AUTORKA BESTSELLEROWEJ SERII BRIDGERTONOWIE

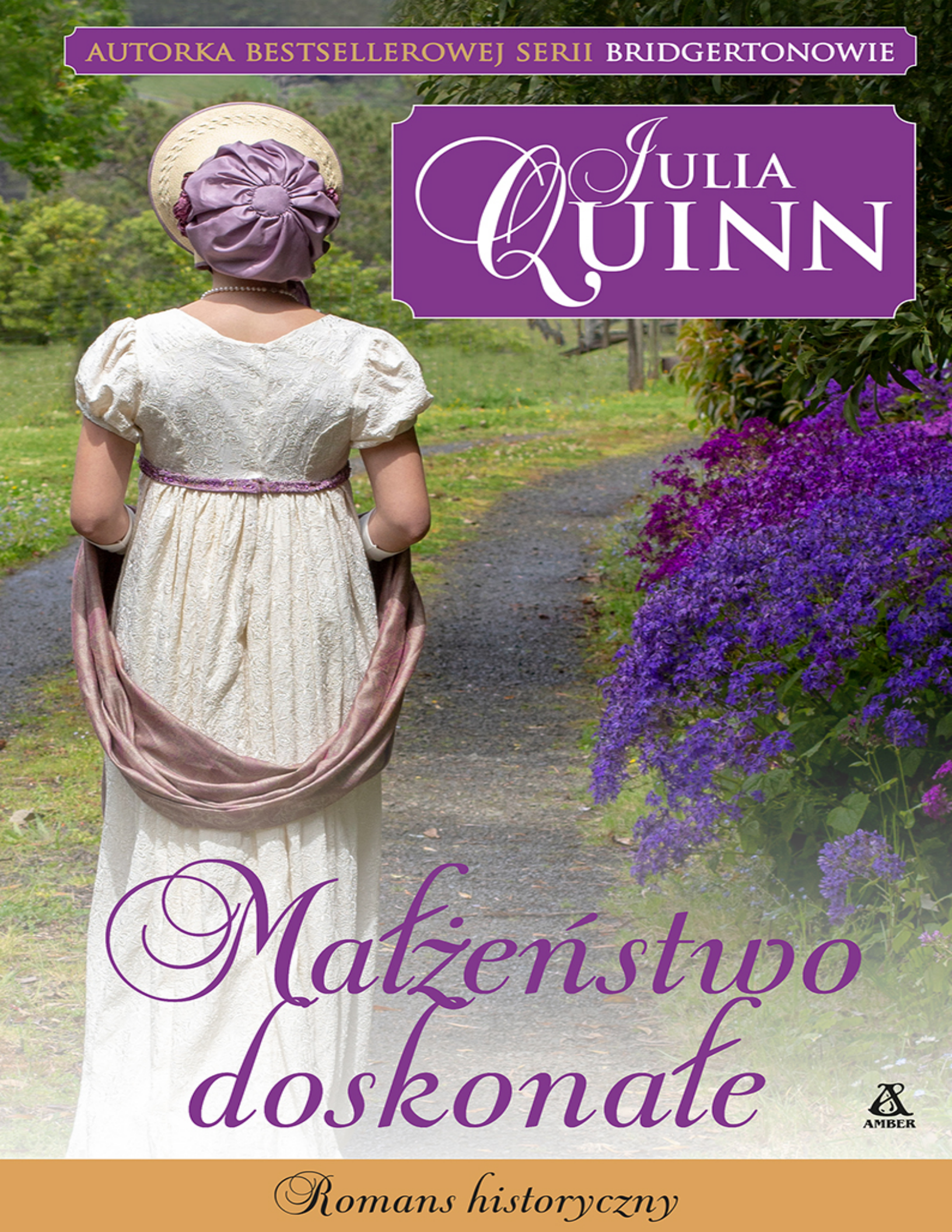

JULIA QUINN

Małżeństwo doskonałe

AMBER

Romans historyczny

JULIA QUINN

Małżeństwo doskonałe

Przekład
Magdalena Jędrzejak

AMBER

Korekta
Halina Lisińska
Agnieszka Pyśk

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Boiko Olha/Shutterstock

Tytuł oryginału
How to Marry a Marquis

Książka wydana w Polsce w 2000 roku pod tytułem *Jak poślubić markiza.*

Copyright © 1999 by Julie Cotler Pottinger
Published by arrangement with HarperCollins Publishers.
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6511-7

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

1

Surrey, Anglia, sierpień 1815

Cztery dodać sześć, dodać osiem, dodać siedem, dodać jeden, dodać jeden, dodać jeden. Osiem, dwa w pamięci…

Elizabeth Hotchkiss zsumowała rządek liczb po raz czwarty, doszła do takiego samego wyniku, jak za każdym poprzednim razem, i jęknęła głośno.

Podniosła wzrok znad słupków i zobaczyła przed sobą trzy poważne twarze – twarze wpatrzonego w nią młodszego rodzeństwa.

– Coś nie tak, Lizzie? – spytała dziewięcioletnia Jane.

Elizabeth uśmiechnęła się blado, zastanawiając się, jak zdoła odłożyć dostatecznie dużo pieniędzy, żeby starczyło na ogrzanie ich niewielkiego domu przez całą zimę.

– Obawiam się, że… hm… nie mamy zbyt wiele funduszy.

Susan, czternastolatka, najbliższa Elizabeth wiekiem, zmarszczyła brwi.

– Jesteś całkiem pewna? Musimy coś mieć. Kiedy papa jeszcze żył, zawsze…

Elizabeth uciszyła ją jednym wymownym spojrzeniem. Było wiele rzeczy, których im nie brakowało, kiedy papa jeszcze żył, ale umarł, nie zostawiając im niczego poza odrobiną oszczędności w banku. Żadnych dochodów, żadnego majątku. Tylko wspomnienia. A one – przynajmniej te,

które zachowała Elizabeth – nie należały do takich, od których robiło się ciepło na sercu.

– Teraz jest inaczej – powiedziała z naciskiem, kończąc temat. – To dwie różne rzeczy i nie można ich porównywać.

– Zawsze zostają nam pieniądze, które Lucas chomikuje w pudełku z żołnierzykami. – Jane wyszczerzyła zęby w krzywym uśmiechu.

Lucas, jedyny chłopiec w klanie Hotchkissów, aż pisnął.

– Czego szukałaś w moich rzeczach? – Odwrócił się do Elizabeth z miną, którą – gdyby nie gościła na twarzy ośmiolatka – można by nazwać pełną oburzenia. – Czy w tym domu nie można zachować nawet odrobiny prywatności?

– Najwyraźniej nie – rzuciła z roztargnieniem Elizabeth, wpatrzona w otwartą księgę rachunkową. Parę razy skrobnęła coś ołówkiem, zajęta główkowaniem nad nowymi sposobami ograniczenia domowych wydatków.

– Siostry – wymamrotał Lucas, wyraźnie przybity – jakżeż one mnie dręczą!

Susan zajrzała w rozłożone przed Elizabeth rachunki.

– A nie można skądś ująć i gdzieś przełożyć? No wiesz, żeby wystarczyło?

– A z czego tu przekładać? Bogu dzięki, że czynsz za dom opłacony, bo wylądowalibyśmy na bruku.

– Naprawdę jest aż tak źle? – wyszeptała Susan.

Elizabeth kiwnęła głową.

– To, czym dysponujemy, starczy nam do końca miesiąca, a jak odbiorę pensję od lady Danbury, to jeszcze na trochę, ale potem…

Głos odmówił jej posłuszeństwa i odwróciła głowę, by Jane i Lucas nie widzieli, jak łzy napływają jej do oczu. Opiekowała się trójką rodzeństwa od pięciu lat, kiedy to sama skończyła osiemnaście. Od niej zależało, czy

mieli co jeść, gdzie mieszkać i – co ważniejsze – czy mogli czuć się bezpiecznie.

Jane szturchnęła brata w bok, a gdy nie zareagował, dźgnęła go palcem w bark.

– No co?! – wybuchnął. – To boli!

– Nie mówi się „co”, to nieuprzejmie – zauważyła machinalnie Elizabeth – lepszym słowem byłoby „przepraszam”.

Mały aż zatrząsł się z oburzenia.

– Nie było uprzejme z jej strony, że mnie tak szturcha! I z całą pewnością nie będę jej za to przepraszał!

Jane przewróciła oczami i westchnęła.

– Nie można zapominać, że on ma dopiero osiem lat.

– A ty dopiero dziewięć – skrzywił się Lucas.

– I tak zawsze będę starsza od ciebie.

– Tak, ale ja niedługo będę większy i wtedy popamiętasz. Elizabeth uśmiechnęła się przez łzy, obserwując ich kłótnię. Słyszała już tę sprzeczkę jakiś milion razy. Ale też i nie raz widziała, jak wieczorem Jane zakrada się na paluszkach do pokoju Lucasa, żeby mu dać buziaka na dobranoc.

Może i nie stanowili typowej rodziny – było ich przecież tylko czworo i od lat wychowywali się bez rodziców. Ale ich klan miał w sobie coś wyjątkowego. Kiedy przed pięciu laty zmarł ich ojciec, Elizabeth udało się utrzymać rodzinę razem i za żadne skarby nie pozwoliłaby, żeby brak pieniędzy stał się teraz przyczyną rozłąki.

– Powinieneś dać Lizzie swoje pieniądze, Lucas – stwierdziła Jane. – Nie bądź chytrusem. Tak nie można.

Przytaknął ponuro i wyszedł z pokoju, nisko zwieszając jasną główkę. Elizabeth zerknęła na Susan i Jane. One też miały jasne włosy i błękitne oczy po matce. Tak zresztą jak i ona sama. Stanowili małą blond armię, ot co. Z tym że bardzo biedną.

Westchnęła znowu i zmierzyła siostry poważnym spojrzeniem.

– Będę musiała wyjść za mąż. Nie ma innego rozwiązania.

– Och, nie, Lizzy! – wykrzyknęła Jane rozdzierająco, zrywając się z krzesła i gramoląc siostrze na kolana. – Tylko nie to! Wszystko, tylko nie to!

Elizabeth spojrzała na Susan ze zdziwieniem, pytając wzrokiem, dlaczego Jane tak bardzo się tym przejęła. Susan pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

– To nic strasznego – powiedziała Elizabeth, głaszcząc Jane po włosach. – Jak wyjdę za mąż, będę pewnie miała własne dzieci, a wtedy ty zostaniesz ciocią. Prawda, że będzie miło?

– Ale przecież o rękę prosił cię tylko pan Nevins, a on jest ohydny! Po prostu ohydny!

Elizabeth uśmiechnęła się bez przekonania.

– Z pewnością uda się nam znaleźć kogoś innego. Kogoś mniej… ohydnego.

– Nie będę mieszkać z nim pod jednym dachem – oznajmiła buntowniczo Jane, krzyżując ręce na piersiach. – Nie będę i już! Raczej pójdę do sierocińca. Albo do jakiegoś obskurnego przytułku.

Elizabeth dobrze ją rozumiała. Pan Nevins był stary, gruby i wstrętny. I zawsze gapił się na nią w sposób, który sprawiał, że oblewał ją zimny pot. Prawdę mówiąc, nie za bardzo też podobał jej się także sposób, w jaki patrzył na Susan. I na Jane.

Nie, nie mogła wyjść za pana Nevinsa.

Lucas wrócił do kuchni z małym metalowym pudełkiem w ręku. Wyciągnął je w stronę Elizabeth.

– Uzbierałem sporo ponad funt. Chciałem za to kupić… – głośno przełknął ślinę. – Nieważne. Masz, weź sobie. Dla rodziny.

Elizabeth w milczeniu wzięła pudełko i zajrzała do środka. Były w nim pieniądze Lucasa, funt czterdzieści, prawie same drobniaki.

– Lucas, skarbie – powiedziała miękko. – To twoje oszczędności. Tak długo je gromadziłeś.

Broda mu zadrżała, ale w końcu udało mu się wyprężyć małą pierś, aż stanął wyprostowany jak jeden z jego ołowianych żołnierzyków.

– Teraz jestem jedynym mężczyzną w domu. Muszę was utrzymywać.

Elizabeth skinęła ponuro głową i przesypała monety do skrzynki z pieniędzmi na domowe wydatki.

– Dobrze więc. Kupimy za nie jedzenie. Może pójdziesz ze mną po zakupy w przyszłym tygodniu, to wybierzesz coś tylko dla siebie.

– Niedługo będzie można zacząć sprzątać warzywa z ogródka – powiedziała Susan z nadzieją w głosie. – Dla nas starczy. A jak trochę zostanie, to będziemy mogli sprzedać albo wymienić na coś we wsi.

Jane zaczęła wiercić się Elizabeth na kolanach.

– Proszę cię, tylko nie mów, że znowu zasadziłaś rzepę. Nienawidzę rzepy.

– Jak my wszyscy – odparła Susan – ale tak łatwo ją uprawiać.

– Tylko jeść nie tak łatwo – mruknął Lucas.

Elizabeth westchnęła ciężko i przymknęła oczy. Na co im przyszło? Należeli do starej, szacownej rodziny – mały Lucas nawet był baronetem! I co? Musieli w przykuchennym ogródku uprawiać warzywa, w dodatku najbardziej przez nich znienawidzone.

Zawiodła. Kiedyś łudziła się, że zdoła sama wychować brata i siostry. Najciężej, wręcz nie do zniesienia, było tuż po śmierci ojca. Jedyne, co nie pozwalało się jej załamać, to myśl, że musi chronić rodzeństwo. Zadbać, by byli bezpieczni, by było im ciepło. By byli razem.

Musiała walczyć z ciotkami, wujkami i kuzynami, którzy ofiarowywali się przyjąć pod swój dach jedno z dzieci Hotchkissów. Najchętniej małego Lucasa, który dzięki swojemu tytułowi mógł mieć nadzieję na poślubienie w przyszłości dziewczyny z nie najgorszym posagiem. Ale Elizabeth

obstawała przy swoim, nawet wtedy gdy przyjaciele i sąsiedzi usilnie ją namawiali, by się poddała.

Powiedziała wówczas, że chce, by rodzina została razem. Czy prosiła o tak wiele?

Nie sprostała sytuacji. Zabrakło pieniędzy na lekcje muzyki, na prywatnych nauczycieli, w ogóle na którąkolwiek z rzeczy, które wydawały się jej oczywiste, gdy sama była dzieckiem. Bóg jeden wie, jak miałoby się jej udać wysłać Lucasa do szkoły w Eton. A przecież powinien tam pójść. Od prawie czterystu lat uczęszczał do niej każdy mężczyzna z rodziny Hotchkissów, choć nie wszystkim udawało się ją ukończyć.

Będzie musiała wyjść za mąż. A jej wybranek musi mieć dużo pieniędzy. I tyle.

– Abraham był ojcem Izaaka; Izaak ojcem Jakuba; Jakub ojcem Judy i jego braci…

Elizabeth chrząknęła cichutko i podniosła znad książki pełne nadziei spojrzenie. Czyżby lady Danbury już spała? Dziewczyna nachyliła się i przyjrzała badawczo twarzy leciwej damy. Trudno powiedzieć.

– Juda zaś był ojcem Faresa i Zary… Fares był ojcem Ezrona…

Oczy starszej pani pozostawały zamknięte już od dłuższej chwili, ale odrobina ostrożności nigdy nie zawadzi.

– Ezron ojcem Arama…

Czyżby to było chrapnięcie? Głos Elizabeth przeszedł w szept.

– Aram ojcem Aminadaba; Aminadam ojcem Naassona…

Zamknęła Biblię i zaczęła się chyłkiem wycofywać z salonu. W zasadzie nie miała nic przeciwko zabawianiu lady Danbury czytaniem. Właściwie był to jeden z przyjemniejszych obowiązków, jakie niosła ze sobą jej pozycja – pozycja damy do towarzystwa u wdowy po hrabim. Ale dziś śpieszyło się jej do domu. Czuła się naprawdę okropnie, kiedy musiała wyjść i zostawić Jane przerażoną myślą, że pan Nevins mógłby stać się

częścią ich małej rodziny. Co prawda zapewniła siostrzyczkę, że nie wyszłaby za niego, nawet gdyby był jedynym mężczyzną na ziemi, ale Jane nie była do końca przekonana, czy ktoś inny poprosi Elizabeth o rękę i…

Łup!

Serce o mało nie wyskoczyło Elizabeth z piersi. Nikt nie potrafił narobić tyle hałasu za pomocą zwykłej laski i kawałka podłogi, co lady Danbury.

– Nie śpię! – rozległ się gromki okrzyk.

Elizabeth obróciła się na pięcie i uśmiechnęła z przymusem.

– Przepraszam najmocniej. Przykro mi, że…

– Nie jest ci ani odrobinę przykro! Proszę mi tu zaraz wrócić!

Dziewczyna zdławiła jęk, który cisnął się jej na usta, i posłusznie wróciła na swoje krzesło. Nie żeby hrabiny nie lubiła. Przeciwnie, lubiła ją szczerze. I z utęsknieniem czekała dnia, by jak ona móc mówić, co myśli, prosto z mostu, bez owijania w bawełnę, używając wieku jako wymówki. Tyle tylko że śpieszyła się do domu i…

– Sprytna z ciebie pannica, ot co.

– Przepraszam?

– Te wszystkie „ten był ojcem tamtego”. Celowo wybierałaś usypiające fragmenty.

Elizabeth wiedziała, że się rumieni, czuła ciepło oblewające policzki. Włożyła sporo wysiłku w to, by jej słowa nie zabrzmiały jak przyznanie się do winy.

– Nie rozumiem…

– Przeskakiwałaś fragmenty. Ciągle jeszcze powinnyśmy być przy Mojżeszu i tym całym potopie. Nie przy tym, kto był czyim ojcem.

– To chyba nie był Mojżesz, ten od potopu.

– Nonsens! Oczywiście, że Mojżesz!

Elizabeth uznała, że Noe zrozumiałby jej pragnienie uniknięcia dłuższej dyskusji na tematy biblijne z lady Danbury, i zasznurowała usta.

– Tak czy inaczej, nieważne, kto się plątał po tej całej powodzi. Rzecz w tym, że z rozmysłem opuściłaś kilka fragmentów, żeby mnie uśpić.

– Ja…

– Och, po prostu się przyznaj, dziewczyno! – Usta lady D. rozciągnęły się w szelmowskim uśmiechu. – Zresztą podziwiam cię za to. W twoim wieku i na twoim miejscu zrobiłabym dokładnie to samo.

Elizabeth przewróciła oczami. I tak źle, i tak niedobrze, pomyślała. Westchnęła więc tylko i wzięła do ręki Biblię.

– Który fragment przeczytać?

– Żadnego. Diabelnie nudna lektura, ot co. Nie mamy w bibliotece czegoś bardziej porywającego?

– Jestem pewna, że tak. Sprawdzę, jeśli pani sobie życzy.

– Sprawdź, sprawdź! Ale zanim to zrobisz, podaj mi, proszę, księgę rachunkową. Tak, tę, która leży na sekretarzyku.

Elizabeth podeszła do sekretarzyka, podniosła oprawioną w skórę księgę i podała ją lady Danbury z grzecznym „proszę!”. Ta otworzyła ją z wojskową wręcz precyzją, by ponownie podnieść wzrok na dziewczynę.

– Dziękuję ci, moje dziecko. Dzisiaj przyjeżdża nowy zarządca i muszę to wszystko spamiętać. Nie mogę mu się przecież dać oskubać do gołej skóry.

– Lady Danbury – powiedziała Elizabeth zupełnie szczerze – sam diabeł nie ważyłby się oskubać pani do gołej skóry!

Lady D. grzmotnęła laską o podłogę, co miało wyrażać aplauz, i roześmiała się.

– Dobrze powiedziane, moje dziecko. Serce rośnie, kiedy widzi się taką młodą osóbkę z głową nie od parady. Moje rodzone dzieci… No cóż, nie będę wchodzić w szczegóły. Powiem ci tylko tyle, że największym sukcesem mojego syna było to, że kiedyś utknął z głową między sztachetami ogrodzenia wokół zamku Windsor.

Dziewczyna przycisnęła dłoń do ust, próbując stłumić chichot.

– Och, ależ chichocz sobie, ile ci się podoba – powiedziała z westchnieniem lady Danbury. – Doszłam do przekonania, iż jedynym sposobem uniknięcia rodzicielskich frustracji jest upatrywanie w moim synu źródła rozrywki.

– Cóż – zaczęła ostrożnie Elizabeth – to wydaje się rozsądnym rozwiązaniem…

– Lizzie Hotchkiss, byłby z ciebie świetny dyplomata – zachichotała lady D. – Gdzie jest moje dzieciątko?

Elizabeth nawet nie mrugnęła okiem. Zdolności hrabiny do przeskakiwania z tematu na temat zdążyły już przejść do legendy.

– Pani kot – rzekła z naciskiem, wskazując przeciwległy kąt pokoju – śpi na otomanie od przeszło godziny.

Malcolm uniósł puchatą głowę barwy ecru, spróbował zogniskować spojrzenie swoich niebieskich, nieco zezowatych oczu, doszedł do wniosku, że rzecz niewarta jest zachodu, i ponownie opadł na otomanę.

– Malcolmie – gruchała lady Danbury – chodź do mamy!

Malcolm wykazywał doskonałą obojętność.

– Mam dla ciebie coś pysznego…

Kot ziewnął szeroko i wobec takiego argumentu swojej – było nie było – głównej żywicielki poczuł się bardziej skory do posłuszeństwa i zeskoczył na podłogę.

– Lady Danbury – powiedziała Elizabeth z przyganą w głosie – sama pani wie, że ten kot jest za gruby.

– Nonsens!

Elizabeth pokręciła głową. Malcolm ważył dobre sześć kilo, chociaż sporą z tego część stanowiło futro. Miała powody, by tak sądzić – codziennie po powrocie do domu spędzała część wieczoru, czyszcząc szczotką ubranie z jego sierści.

Co było zresztą godne uwagi, zważywszy, że ten koci snob nie dał się jej wziąć na ręce ani razu przez całe pięć lat.

– Dobry kiciuś – mruczała lady, wyciągając ręce.

– Głupie kocisko – mruknęła pod nosem Elizabeth, gdy kot się zatrzymał i rzucił jej bezczelne spojrzenie, by następnie spokojnie ruszyć w dalszą drogę.

– Taki jesteś słodki – lady pogłaskała swego pupila po brzuchu – taki słodki…

Kot wyciągnął się jej na kolanach. Ułożył się na grzbiecie z luźno zwisającymi łapami.

– To nie kot – zauważyła kwaśno Elizabeth – to jakaś szmatka.

Lady Danbury uniosła brew.

– Wiem, że tak nie myślisz, Lizzie Hotchkiss.

– Owszem, myślę.

– Nonsens! Przepadasz za Malcolmem.

– W równym stopniu jak za szarańczą.

– W każdym razie Malcolm przepada za tobą.

Kot uniósł głowę. Elizabeth mogłaby przysiąc, że pokazał jej język. Zerwała się z krzesła, krzycząc oburzona:

– Ten kot jest gorszy od zarazy! Idę do biblioteki!

– Dobry pomysł. Znajdź mi jakąś książkę.

Elizabeth zrobiła parę kroków.

– Tylko bez żadnych „ten był ojcem tamtego”!

Dziewczyna zaśmiała się mimo woli i ruszyła przez hol do biblioteki. Stukot jej obcasów urwał się, kiedy zaczęła stąpać po dywanie. Zatrzymała się i westchnęła. Boże drogi, ileż tu książek! Od czego, na miłość boską, zacząć!

Wybrała kilka powieści, potem zdjęła z półek komedie Szekspira. Po chwili dołączył do nich cienki zbiorek poezji. Miała właśnie wracać do salonu, gdy jej wzrok przyciągnęła inna książka.

Niezwykle mały tomik oprawiony w jaskrawoczerwoną skórę o najbardziej krzykliwym odcieniu, jaki Elizabeth widziała w życiu. A już

najdziwniejsze wydało się jej, że leżał na płask. Na płask w bibliotece, która świetnie mogłaby ilustrować znaczenie słowa „porządek”. Nawet kurz nie ważył się tu osiadać, a już na pewno nic nie mogło sobie tak po prostu leżeć.

Odłożyła naręcze książek, zdjęła tomik z półki i obróciła go, by odczytać tytuł.

Jak poślubić markiza.

Upuściła książkę z niejasnym przeczuciem, że za chwilę uderzy w nią grom. Ktoś sobie musiał z niej zadrwić. Przecież nie dalej jak dzisiaj postanowiła wyjść za mąż, i to wyjść za mąż dobrze!

– Susan? – zawołała. – Lucas? Jane?

Potrząsnęła głową. Teraz to się dopiero wygłupiła! Żadne z jej rodzeństwa, choć tupetu im nie brakowało, nie odważyłoby się zakraść do domu hrabiny, żeby podłożyć książkę i…

Ale z drugiej strony, pomyślała, obracając w palcach cienki czerwony tomik, książka nie wyglądała, jakby zrobiono ją dla głupiego dowcipu. Oprawę miała solidną, z dobrej skóry. Dziewczyna rozejrzała się ukradkiem, żeby upewnić się, czy nikt jej nie obserwuje – chociaż sama nie wiedziała, dlaczego czuje się tak zakłopotana – i ostrożnie otworzyła ją na pierwszej stronie.

Książkę napisała niejaka pani Seeton, a wydano ją w roku 1792, a więc w roku, w którym Elizabeth przyszła na świat. Zabawny zbieg okoliczności, pomyślała dziewczyna. Nie należała jednak do osób przesądnych. I z całą pewnością nie było konieczne, żeby jakaś książczyna dyktowała jej, jak kierować swoim życiem.

Poza tym, co mogła o markizach wiedzieć jakaś pani Seeton? Przecież gdyby jej samej udało się któregoś poślubić, byłaby lady Seeton.

Elizabeth zamknęła książkę zdecydowanym ruchem i starannie odłożyła na miejsce, upewniając się, że leży na płask, dokładnie tak, jak przedtem.

Nie chciała, by ktoś pomyślał, że interesuje się czymś równie niepoważnym.

Podniosła przygotowany stosik i pośpieszyła z powrotem do salonu. Lady Danbury wciąż siedziała na fotelu, głaszcząc kota i wyglądając przez okno.

– Przyniosłam kilka książek – powiedziała głośno Elizabeth. – Nie sądzę, żeby można w nich znaleźć wiele „ten był ojcem tamtego”, chociaż może u Szekspira…

– Mam nadzieję, że to nie tragedie.

– Nie, pomyślałam sobie, że w pani obecnym nastroju bardziej odpowiadałyby pani komedie.

– Dobra dziewczyna – mruknęła hrabina z aprobatą. – Coś poza tym?

Elizabeth zamrugała i zerknęła na stos tkwiący w jej ramionach.

– Kilka powieści i trochę poezji.

– Do pieca z poezją!

– Przepraszam?

– No dobrze, nie do pieca. Te książki są na pewno więcej warte niż drewno na opał. Ale nie mam ochoty na poezję. Ten zbiorek musiał kupić mój nieżyjący mąż. Był z niego straszny marzyciel.

– Rozumiem – bąknęła Elizabeth, głównie dlatego, iż miała poczucie, że powinna coś powiedzieć.

Lady Danbury podskoczyła nagle, chrząknęła i nerwowo zamachała ręką.

– A może byś tak poszła wcześniej do domu?

Elizabeth usta otworzyły się ze zdumienia. Lady Danbury nigdy nie zwalniała jej wcześniej.

– Muszę się spotkać z tym piekielnym zarządcą, a do tego z pewnością nie jesteś mi potrzebna. Poza tym, jeśli ma oko na ładne młode dziewczyny, nie będę mogła z nim spokojnie porozmawiać, jak mi się tu będziesz kręcić.

– Lady Danbury, nie wydaje mi się, żebym…

– Nonsens! Jesteś całkiem niebrzydka. Mężczyźni przepadają za jasnymi włosami. Już ja to wiem. Miałam włosy tak jasne, jak twoje teraz.

Elizabeth uśmiechnęła się.

– Dalej są jasne.

– Są siwe, ot co! – odparła ze śmiechem lady Danbury. – Jesteś taka słodka! I zamiast siedzieć tu ze mną, powinnaś się rozejrzeć za jakimś mężem.

– Ja… och!

Co można odpowiedzieć na taką uwagę?

– To bardzo szlachetne z twojej strony, że poświęcasz się rodzeństwu, ale przecież tobie też się coś od życia należy.

Elizabeth wpatrywała się w chlebodawczynię, czując z przerażeniem, że do oczu napływają jej łzy. Pracowała u hrabiny od pięciu lat, ale nigdy wcześniej nie rozmawiały o takich sprawach.

– To ja już… ja już sobie pójdę, skoro pani mówi, że mogę wyjść wcześniej.

Lady Danbury skinęła głową z wyrazem dziwnego rozczarowania na twarzy. A może miała nadzieję, że Elizabeth będzie chciała dalej roztrząsać temat?

– Tylko odłóż zbiorek poezji na swoje miejsce, zanim wyjdziesz – poleciła. – Na pewno nie będę do niego zaglądała, a nie mam co liczyć na to, że służba będzie umiała utrzymać porządek w mojej bibliotece.

– Już odkładam. – Elizabeth zostawiła resztę książek na końcu stołu, zebrała swoje rzeczy i pożegnała się jak zwykle. Kiedy szła do wyjścia, Malcolm zeskoczył z kolan lady Danbury i ruszył za nią.

– Widzisz? – zapiała lady D. – A nie mówiłam, że on za tobą przepada?

Idąc przez hol, Elizabeth mierzyła kota podejrzliwym spojrzeniem.

– Czego chcesz, Malcolmie?

Kot obnażył zęby i stojąc z rozedrganym nagle ogonem, prychnął dziko.

– Och! – wykrzyknęła Elizabeth, upuszczając tomik poezji. – Ty mała bestio! Żeby tak leźć za kimś tylko po to, by na niego prychać…

– Czyś ty rzuciła w mojego kota książką? – rozległo się gniewne pytanie.

Elizabeth postanowiła je zignorować. Wymierzyła w Malcolma palec i syknęła ze złością:

– Wracaj do pani, ty podłe stworzenie!

Malcolm oddalił się z godnością, dumnie dzierżąc ogon wysoko w powietrzu.

Elizabeth odetchnęła głęboko i weszła do biblioteki. Zbliżyła się do półek z poezją, celowo ustawiając się tyłem do małej czerwonej książki. Nie chciała o niej myśleć, nie chciała jej widzieć…

Do diabła, przecież to szkaradzieństwo wydawało się wręcz emanować żarem! Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, by Elizabeth równie silnie uświadamiała sobie obecność jakiegoś przedmiotu.

Odłożyła tomik poezji i podeszła do drzwi, czując, jak narasta w niej złość. Ta śmieszna książczyna nie ma prawa tak na nią działać! To właśnie stroniąc od niej jak od zarazy, przyznawała jej nad sobą władcę, której książka mieć nie mogła…

– Och, skaranie boskie! – wybuchła wreszcie.

– Mówiłaś coś? – zawołała lady D. z głębi mieszkania.

– Nie, nie! Ja tylko… hm… potknęłam się o brzeg dywanu.

Wymamrotała pod nosem przekleństwo i na palcach wróciła do biblioteki. Czerwony tomik leżał sobie spokojnie na miejscu, by pod dotknięciem jej ręki obrócić się nagle i zakłuć w oczy nienawistnym tytułem.

Jak poślubić markiza.

Nic się nie zmieniło. Książka wyglądała dokładnie tak samo jak przed chwilą. Wydawała się patrzeć na Elizabeth bezczelnie, szydzić z niej, jakby już samą swoją obecnością dowodziła, że dziewczynie zabraknie tupetu, by ją przeczytać.

– To tylko książka. Tylko głupia, mała książka w tandetnej oprawie – mruknęła Elizabeth.

Ale tak bardzo potrzebowała pieniędzy. Lucasa trzeba będzie wysłać do Eton. Jane płakała przez okrągły tydzień, kiedy skończyła się jej ostatnia tubka pasteli. A oboje rośli jak na drożdżach. Dla Jane mogłaby przerobić stare sukienki Susan, ale Lucas potrzebował ubrań stosownych do swojej pozycji.

Do dostatku mogło prowadzić tylko małżeństwo, a ta bezczelna książczyna obiecywała mariaż, i to mariaż niebanalny. Elizabeth nie była naiwna. Nie sądziła, że zdoła zainteresować sobą jakiegoś markiza. Uważała jednak, że kilka mądrych porad mogłoby jej pomóc złowić przyjemnego ziemianina – z wcale przyjemnym majątkiem. Wyszłaby nawet za mieszczanina. Ojciec przewróciłby się w grobie, ale cóż… Elizabeth była przekonana, że znalazłby się niejeden zamożny kupiec, skłonny poślubić zubożałą córkę baroneta.

Poza tym to przez ojca znalazła się w takich opałach. Gdyby nie…

Potrząsnęła głową. Też sobie znalazła moment na wspominanie! Powinna się raczej skupić na dniu dzisiejszym.

Mężczyźni. Prawdę mówiąc, nie znała ich wcale. Nie wiedziała, o czym z nimi rozmawiać czy jak się zachowywać, by ich w sobie rozkochać.

Wpatrzyła się w książkę z namysłem.

Rozejrzała się. Czy aby ktoś nie nadchodzi?

Wzięła głęboki wdech. Błyskawicznym ruchem wrzuciła książkę do torebki.

A potem wybiegła z domu.

James Sidewell, markiz Riverdale, lubił unikać rozgłosu. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności, niż wtapianie się w tłum i przysłuchiwanie rozmowom ludzi. I prawdopodobnie właśnie dlatego tyle satysfakcji dawała mu praca w ministerstwie wojny.

Był w niej zresztą piekielnie dobry. Ta sama twarz i postura, które skupiały na sobie tyle uwagi w londyńskich salach balowych, gubiły się w tłumie ze zdumiewającą łatwością. Wystarczało, żeby z jego oczu zniknął władczy błysk, ramiona pochyliły się lekko, i już nikt nie domyślał się w nim człowieka ze szlachetnego rodu.

Rzecz jasna, brązowe oczy i ciemne włosy czyniły sprawę jeszcze łatwiejszą. Nie wyróżniały się. James podejrzewał, że rudowłosi agenci mieli przed sobą dużo trudniejsze zadanie.

Mimo to rok wcześniej został zdemaskowany. Rozpoznał go jeden z napoleońskich szpiegów. A teraz ministerstwo odmawiało przydzielenia mu zadań bardziej ekscytujących niż wyłapywanie drobnych przemytników.

James poddał się losowi z ciężkim westchnieniem i pozorną rezygnacją. Zapewne i tak była najwyższa pora, żeby zająć się majątkami i tytułem. No i powinien się wreszcie ożenić – choć wizja ta nie wydawała się mu szczególnie kusząca – i zadbać o następcę. Dlatego też całą swoją uwagę poświęcił londyńskiej socjecie, w której pojawienie się markiza, zwłaszcza młodego i przystojnego, nie mogło przejść bez rozgłosu.

Jego odczucia oscylowały między obrzydzeniem, nudą a rozbawieniem. Obrzydzenie budził fakt, że młode damy – i ich szacowne rodzicielki – widziały w nim jedynie zwierzynę łowną, którą należy jak najszybciej upolować. Znudzenie – po latach politycznych intryg kolor wstążek czy krój płaszcza nie jawił się mu jako szczególnie fascynujący temat do konwersacji. I wreszcie rozbawienie, gdyby bowiem nie jego poczucie humoru, chyba by oszalał.

Kiedy specjalny posłaniec doręczył mu list od ciotki, James nie posiadał się z radości. Teraz, gdy zbliżał się do jej domu w Surrey, wyjął pismo z kieszeni i ponownie je przeczytał.

Riverdale!

Pilnie potrzebuję Twojej pomocy. Staw się niezwłocznie w moim domu. Podróżuj skromnie. Zapowiem Cię wszystkim jako mojego nowego

zarządcę. Od teraz nazywasz się James Siddons.

Agatha, lady Danbury

James nie miał pojęcia, jakie sprawy mogły wymagać jego natychmiastowego przyjazdu. Wiedział jedno: wezwanie to stanowiło najlepsze lekarstwo na nudę oraz idealną wymówkę, która pozwoli mu wymknąć się z Londynu bez wyrzutów sumienia.

Podróżował wynajętym powozem; zarządcy nie byłoby stać na konie tak szlachetne jak te, które posiadał. Ostatnią milę od centrum miasta do siedziby lady Danbury przebył piechotą. Wszystko, czego potrzebował, mieściło się w jednej torbie.

W oczach świata był zwyczajnym panem Jamesem Siddonsem, dżentelmenem, rzecz jasna, ale niezbyt zamożnym. Odpowiednie ubrania znalazł gdzieś w głębi szafy – nie najtańsze, ale wytarte na łokciach i o nie najmodniejszym kroju. Parę ciachnięć kuchennymi nożycami wystarczyło, by elegancka fryzura, którą zafundował sobie zaledwie tydzień wcześniej, znikła bez śladu. Praktycznie rzecz biorąc, markiz Riverdale przestał istnieć i James nie mógłby być z siebie bardziej zadowolony.

Naturalnie, w planach lady Danbury istniało jedno poważne niedopatrzenie, ale czegóż innego można spodziewać się po amatorce. James nie był w Surrey od blisko dziesięciu lat; służba nie pozostawiała mu wiele wolnego czasu, poza tym nie chciał ciotki narażać na niebezpieczeństwo. Mimo to istniało pewne ryzyko, że ktoś go rozpozna, jakiś stary służący, lokaj na przykład. U ciotki się przecież wychowywał.

Z drugiej strony ludzie zazwyczaj widzieli to, co spodziewali się zobaczyć. I jeśli James będzie zachowywał się jak zarządca, będą widzieli w nim zarządcę.

Był tuż-tuż – właśnie miał wejść na schody – gdy drzwi frontowe otworzyły się nagle i wybiegła z nich drobna blondynka ze spuszczoną głową i oczami wbitymi w ziemię. Poruszała się tak szybko, że James nie zdążył nawet ust otworzyć, a już wpadła na niego z całym impetem.

Ich ciała zderzyły się z głuchym pacnięciem. Dziewczyna pisnęła cienko, odbiła się od niego i wylądowała niezgrabnie na ziemi. Z jej jasnych, złotych włosów zsunęła się wstążka, spinka czy jak to tam kobiety nazywają, uwalniając jedno grube pasmo, które opadło dziwacznie na jej ramię.

– Najmocniej przepraszam – powiedział James, wyciągając rękę, żeby pomóc jej wstać.

– Nie, nie – zaprotestowała, otrzepując spódnice – to moja wina. Nie patrzyłam przed siebie.

Podniosła się sama i James poczuł się dziwnie zawiedziony. Jak on nie miała rękawiczek i poczuł nagłą ochotę, by dotknąć jej dłoni.

Oczywiście nie mógł tego powiedzieć. Mógł tylko pomóc pozbierać drobiazgi, które wysypały się z jej torebki. Dziewczyna zaczerwieniła się, gdy wyciągnął w jej stronę rękawiczki.

– Tak dzisiaj gorąco… – tłumaczyła się, patrząc na nie z rezygnacją.

– Niech ich pani nie zakłada – rzucił swobodnie. – Jak pani widzi, sam potraktowałem pogodę jako wymówkę, by nie zakładać swoich.

Na chwilę zatrzymała wzrok na jego dłoniach, pokręciła głową i powiedziała półgłosem:

– To chyba najdziwniejsza rozmowa w moim życiu.

Uklękła, by pozbierać resztę rzeczy, a James poszedł w jej ślady. Podniósł z ziemi chusteczkę i sięgał właśnie po książkę, gdy dziewczyna wydała z siebie przedziwny odgłos – jakby stłumiony szloch – i wyrwała mu ją spod palców.

James poprzysiągł sobie w duchu, że dowie się, co to za książka.

Usłyszał kilka nerwowych pokasływań i ciche:

– Dziękuję za pomoc. Bardzo pan uprzejmy.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział machinalnie, szukając wzrokiem książki. Ale Elizabeth zdążyła już ją schować.

Uśmiechnęła się, zażenowana, i dyskretnie wsunęła rękę do torebki, żeby upewnić się, czy tomik jest nadal na miejscu, bezpiecznie ukryty przed wzrokiem mężczyzny. Gdyby ją przyłapano na czytaniu podobnych głupstw, spaliłaby się ze wstydu. W tym, że niezamężne kobiety szukają męża, nie było niczego niezwykłego, ale tylko najżałośniejsza dałaby się przyłapać na takiej lekturze.

Milczał, taksując Elizabeth wzrokiem, a ona zdenerwowała się jeszcze bardziej. W końcu nie wytrzymała:

– To pan jest nowym zarządcą? – spytała.

– Owszem.

– Rozumiem – zakasłała nerwowo. – Zatem powinnam się przedstawić. Zapewne będziemy się często spotykać. Jestem Elizabeth Hotchkiss, dama do towarzystwa lady Danbury.

– Ach, tak. Siddons, prosto z Londynu.

– Miło mi pana poznać, panie Siddons – odparła z uśmiechem, który wydał mu się dziwnie ujmujący. – Jeszcze raz przepraszam, ale muszę już iść.

Odczekała chwilę, by się odkłonił, i oddaliła się pośpiesznie, zaciskając rękę na torebce, jakby od tego zależało jej życie.

James patrzył za nią, nie mogąc oderwać wzroku od jej niknącej w dali sylwetki.

2

*J*ames!

Nieczęsto się zdarzało, by Agatha Danbury wydawała z siebie radosny pisk, ale James był jej ukochanym siostrzeńcem. Prawdę mówiąc, lubiła go chyba bardziej niż którekolwiek z rodzonych dzieci. On przynajmniej był na tyle rozsądny, by nie wtykać głowy między metalowe sztachety.

– Jak cudownie cię widzieć!

James pochylił się i nadstawił policzek.

– Cudownie, powiadasz? – zapytał. – Można by wręcz pomyśleć, że mój przyjazd cię zaskoczył. A przecież świetnie wiesz, że nie mógłbym zignorować wezwania od ciebie. To tak, jakby nie stawić się na wezwanie samego księcia regenta.

– Tak, tak.

Zastanowiła go ta ogólnikowa odpowiedź.

– Agatha, nie próbujesz chyba prowadzić ze mną jakichś dziwnych gierek?

Wyprostowała się majestatycznie w fotelu.

– Mógłbyś mnie podejrzewać o coś takiego?

– Bez mrugnięcia okiem – rzekł z beztroskim uśmiechem, siadając. – Wszystkich najlepszych sztuczek nauczyłem się od ciebie.

– Cóż, prawda. Ktoś musiał cię wziąć pod swoje skrzydła – odpowiedziała. – Biedne dziecko! Gdybym tego nie zrobiła…

– Agatha – rzucił James oschle. Nie miał zamiaru wdawać się w dyskusje na temat swojego dzieciństwa. Zawdzięczał ciotce wszystko – nawet swoją duszę. Ale nie chciał o tym rozmawiać. Nie teraz.

– Akurat tak się składa – oznajmiła, pociągając nosem – że nie bawię się w żadne gierki. Padłam ofiarą szantażu.

James aż pochylił się w jej stronę. Agatha szantażowana? Starsza pani miała swoje wady, ale też była z gruntu uczciwa i po prostu nie umiał sobie wyobrazić, by mogła popełnić coś, czego można by użyć przeciwko niej.

– Możesz to w ogóle pojąć? Żeby ktoś okazał się na tyle bezczelny, by mnie szantażować?! Hm. Gdzie jest kot?

– Gdzie jest kot? – powtórzył jak echo.

– Maaaalcooolm!

James zamrugał i przyglądał się, jak do pokoju wtacza się monstrualnie otyłe kocisko. Następnie ruszyło w jego stronę, by wreszcie wskoczyć mu na kolana.

– Prawda, jaki przyjazny? – zakwiliła Agatha.

– Nie znoszę kotów.

– Malcolma pokochasz.

Uznał, że łatwiej mu będzie znieść zachowanie kota niż kłótnię z ciotką.

– Masz jakieś podejrzenia co do tego, kto mógłby cię szantażować?

– Żadnych.

– A można wiedzieć, czym cię szantażuje?

– To takie krępujące – powiedziała cicho, a jej bladoniebieskie oczy zalśniły od łez.

James poczuł niepokój, ciotka Agatha nigdy nie płakała. Niewiele było w jego życiu rzeczy, które można by nazwać całkowicie i ostatecznie niezmiennymi – ale charakter ciotki należał do nich bezsprzecznie. Nie owijała niczego w bawełnę, miała osobliwe poczucie humoru, kochała go ponad miarę i nigdy nie płakała. Nigdy.

Chciał do niej podejść, ale zatrzymał się w pół kroku. Ciotka nie życzyłaby sobie słów otuchy. Odebrałaby je jako dowód swojej słabości. Poza tym kot nie wykazywał najmniejszej ochoty, by zeskoczyć z jego kolan.

– Masz list? – zapytał miękko. – Zakładam, że jakiś dostałaś.

Skinęła głową, podniosła książkę, która leżała na stoliku obok, i wyjęła spomiędzy jej stronic pojedynczą kartkę papieru. Podała mu ją w milczeniu.

James delikatnie zepchnął kota na podłogę i wstał. Podszedł do ciotki, wziął list i nawet nie siadając, przeczytał go szybko.

Lady D!

Znam Pani tajemnice. I tajemnice Pani córki. Moje milczenie będzie Panią kosztować.

Podniósł wzrok na ciotkę.

– Czy to wszystko?

Zobaczył, że Agatha kręci głową i wyciąga w jego stronę kolejną kartkę, mówiąc:

– Dostałam jeszcze to.

Lady D!

Pięćset funtów za moje milczenie. Pieniądze w zwykłej torbie za Workiem Gwoździ w piątek o północy. Nikomu ani słowa. Niech mnie pani nie rozczaruje.

– Za Workiem Gwoździ? – spytał James, unosząc ze zdziwienia brew.

– Tak się nazywa tutejsza gospoda.

– Zostawiłaś pieniądze?

Skinęła, zawstydzona.

– Wiedziałam, że nie zdążysz przed piątkiem. Tylko dlatego.

Chwilę milczał, szukając odpowiednich słów.

– Myślę – zaczął ostrożnie – że byłoby lepiej, gdybyś zdradziła mi swoją tajemnicę.

Pokręciła głową.

– To takie krępujące… Nie mogę.

– Agatha, wiesz, że możesz liczyć na moją dyskrecję. I wiesz, że jesteś dla mnie jak matka. Nic, co tu dzisiaj usłyszę, nie wyjdzie poza te cztery ściany.

W milczeniu przygryzała wargę, spytał więc:

– Która córka dzieli z tobą ten sekret?

– Melissa – wyszeptała Agatha – ale ona nie wie…

James zamknął oczy i westchnął przeciągle. Zrozumiał, co za moment usłyszy, i chciał oszczędzić ciotce upokorzenia.

– Jest z nieprawego łoża, czy tak? – dokończył za nią.

Agatha skinęła głową.

– Miałam romans. Trwał niecały miesiąc. Och, byłam wtedy taka młoda i taka głupia…

James zachował kamienną twarz, choć przyszło mu to z trudem. Od kiedy pamiętał, ciotka przywiązywała do moralności szczególną wagę, i wydawało się wręcz niepojęte, żeby mogła wdać się w romans. Zawdzięczał jej jednak tyle, że nie miał prawa jej osądzać. Ocaliła go i gdyby zaszła taka potrzeba, bez wahania oddałby za nią życie.

– Nie wiedziałam, co robię – dodała ze smutnym uśmiechem.

Starannie dobierał słowa, nim spytał:

– Obawiasz się zatem, że szantażysta ujawni prawdę socjecie i okryje Melissę niesławą?

– Socjeta obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg – warknęła ciotka w nagłym przypływie złości. – Połowa z tych ludzi to bękarty! Jeżeli nie liczyć pierworodnych, to może nawet i dwie trzecie. To o Melissę się obawiam. Nie żeby skandal mógł jej poważnie zaszkodzić – jako żona lorda ma zagwarantowaną pozycję. Chodzi o to, że była tak związana z lordem

Danbury. Zawsze powtarzał, że jest jego ulubienicą. Serce by jej pękło, gdyby miała się dowiedzieć, że nie był jej prawdziwym ojcem.

James nie przypominał sobie, żeby lord Danbury upodobał sobie Melissę bardziej niż którekolwiek inne z dzieci. Tak naprawdę, to nie mógł powiedzieć, żeby lord Danbury sprawiał wrażenie szczególnie związanego ze swoimi dziećmi. Dawał się lubić, ale w jego zachowaniu wyczuwało się chłód. Bezsprzecznie należał do osób, które mawiają, że „miejsce dzieci jest w pokoju dziecinnym i nie powinno się ich pchać dorosłym przed oczy częściej niż raz dziennie". Skoro jednak Agatha uważała, że Melissa była jego ulubienicą, jakże mógłby się z nią spierać?

– I co zrobimy, James? – spytała. – Jesteś jedynym człowiekiem, który może mi pomóc wykaraskać się z tej niezręcznej sytuacji. A przy twoim doświadczeniu…

– Otrzymałaś jeszcze jakieś wiadomości od szantażysty? – przerwał jej James. O tym, gdzie pracował i w jakim charakterze, wiedziała; mogła o tym wiedzieć, bo nie był już w czynnej służbie. Z drugiej jednak strony Agatha była nieuleczalnie ciekawska i ustawicznie wypytywała go o jego tajne misje, a o niektórych sprawach z ciotką dyskutować nie sposób. Nie mówiąc już o tym, że za ujawnienie pewnych tajemnic mógłby zapłacić głową.

– Nie. Ani jednej – odparła ciotka.

– Przeprowadzę wstępne rozpoznanie, ale nie sądzę, żebyśmy się mieli czegoś dowiedzieć przed nadejściem kolejnego listu.

– Sądzisz, że przyjdzie kolejny list?

James ponuro pokiwał głową.

– Szantażyści nie są w stanie się wycofać, kiedy jeszcze mają przewagę nad swoją ofiarą. Właśnie to ich gubi. Tymczasem będę odgrywał rolę twojego nowego zarządcy. Chociaż nie do końca rozumiem, skąd masz pewność, że nikt mnie nie rozpozna.

– Sądziłam, że umiejętność kamuflażu to twoja najsilniejsza strona.

– Racja – odparł swobodnie – ale we Francji, w Hiszpanii czy na południowym wybrzeżu się nie wychowywałem. Wychowałem się tutaj. Czy też raczej ty próbowałaś mnie wychować.

Oczy Agathy zamgliły się. James wiedział, że myśli o jego dzieciństwie, o niezliczonych razach, kiedy to stawała twarzą w twarz z jego ojcem. Gdy powtarzała z gniewem i uporem, że małemu Jamesowi lepiej będzie w rodzinie Danbury.

– Nikt cię nie rozpozna – zapewniła go w końcu.

– Cribbins?

– Zmarło mu się w ubiegłym roku.

– Biedaczysko… – James zawsze darzył starego lokaja szczerą sympatią.

– Ten nowy nie jest najgorszy, chociaż miał czelność pewnego pięknego dnia poprosić mnie, żebym zwracała się do niego per „Wilsonie”.

– Rozumiem, że tak się nazywa? – spytał James wbrew sobie. Znał ciotkę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, co zaraz usłyszy.

– Może i tak – odparła lekko zirytowana. – Ale jak miałabym o tym pamiętać?

– Przecież pamiętasz.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– To mój lokaj i będę go nazywać „Cribbinsem”. W moim wieku niebezpiecznie jest wprowadzać drastyczne zmiany.

– Agatha – w głosie Jamesa zabrzmiało o wiele więcej cierpliwości, niż jej czuł – możemy wrócić do tematu?

– Do groźby dekonspiracji?

– Owszem.

– Nie został nikt, kto mógłby cię rozpoznać. Nie odwiedzałeś mnie prawie dziesięć lat.

James nie zareagował na jej oskarżycielski ton.

– Często widujemy się w Londynie i świetnie o tym wiesz.

– To się nie liczy.

Uparł się, że nie zapyta dlaczego. Wiedział, że ciotka szykuje w myślach kolejną tyradę.

– Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem się dowiedzieć, zanim wejdę w rolę zarządcy? – spytał tylko.

– Czego niby? – odrzekła, pokręciwszy przecząco głową. – Wychowałam cię jak należy. Powinieneś mieć zarządzanie majątkiem w małym palcu.

I faktycznie tak było, chociaż od kiedy odziedziczył tytuł, wolał pozostawiać nadzór nad posiadłościami swoim zarządcom. Tak było wygodniej, zwłaszcza że nie przepadał za przebywaniem w zamku Riverdale.

– Dobrze więc – powiedział, podnosząc się. – Skoro nie ma już z nami Cribbinsa pierwszego… Niech Bóg raczy dać wieczne odpoczywanie temu nieskończenie cierpliwemu…

– Co to ma niby znaczyć?

Przechylił znacząco głowę.

– Każdego, kto wytrzymał u ciebie na posadzie lokaja przez czterdzieści lat, powinno się kanonizować – rzucił z sarkazmem.

– Impertynencki smarkacz – wymamrotała.

– Agatha!

– Co za pożytek z powściągania języka w moim wieku?

Pokręcił głową.

– Chciałem tylko powiedzieć, że skoro nie ma Cribbinsa, kamuflaż w roli zarządcy jest równie dobry jak każdy inny. Poza tym nie mam nic przeciwko wykorzystaniu ładnej pogody i spędzaniu więcej czasu na świeżym powietrzu.

– W Londynie można się udusić?

– Gorzej.

– Takie powietrze czy tacy ludzie?

– Jedno i drugie – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Och, jeszcze jedno… Ciociu Agatho – nachylił się nad nią i pocałował w policzek – cholernie się

cieszę, że cię widzę.

– Ja też cię kocham, James – odparła hrabina z uśmiechem.

Kiedy Elizabeth dotarła do domu, była zdyszana i upaprana błockiem. Tak jej było spieszno oddalić się od posiadłości hrabiny, że biegła spory kawałek drogi. Pech chciał, że mieli akurat w Surrey wyjątkowo deszczowe lato, a ona sama nie należała do osób szczególnie zwinnych. A ten wystający korzeń – cóż, naprawdę nie sposób go było ominąć, i dlatego właśnie z wątpliwą przyjemnością mogła obserwować, jak przy akompaniamencie głośnego chlupnięcia jej najlepsza sukienka zmienia się w mokrą szmatę.

Nie żeby wcześniej jej strój prezentował się szczególnie okazale… Z całą pewnością w kufrach Hotchkissów nie leżało tyle pieniędzy, by któreś z nich mogło sobie pozwolić na nowe ubrania, dopóki stare nie spadły całkiem z grzbietu. Ale Elizabeth miała swoją dumę. Nawet jeśli nie mogła ubrać rodziny wedle najnowszej mody, była w stanie zadbać o to, by wszyscy wyglądali schludnie i czysto.

A teraz do jej aksamitnej szarfy przywarły pecyny błota i – co gorsza – przed chwilą ukradła hrabinie książkę. I to nie pierwszą lepszą. Ukradła książkę, która z pewnością zasługiwała na miano najgłupszej i najbardziej idiotycznej w dziejach edytorstwa. A wszystko dlatego, że musiała się jak przedmiot wystawić na aukcji, gotowa sprzedać się najbogatszemu z kupujących.

Przełknęła ślinę, czując, że zbiera się jej na płacz. A jeśli nie znajdą się kupujący? Co wtedy? Co z nią będzie?

Elizabeth tupnęła parę razy na tarasie przed domem, żeby strząsnąć błoto z butów, po czym popchnęła drzwi i weszła do środka. Chciała niepostrzeżenie przemknąć przez hol i jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju, ale Susan była szybsza.

– Na miłość boską, co ci się stało?

– Poślizgnęłam się – burknęła, nie odrywając wzroku od poręczy.

– Znowu?

To wystarczyło, żeby odwróciła się na pięcie i wbiła w młodszą siostrę mordercze spojrzenie.

– Jak to, znowu?

Susan zakasłała nerwowo.

– Nic, nic.

Elizabeth odwróciła się przodem do schodów z niewzruszonym zamiarem udania się na górę, gdy nagle poczuła, jak jej ręka zawadza o stolik.

– Aua! – zawyła.

– Och – Susan aż się skuliła, pełna współczucia. – Idę o zakład, że porządnie zabolało!

Elizabeth wpatrzyła się w nią w niemej furii. Oczy zwęziły się jej w ledwie widoczne szparki.

– Strasznie mi przykro – wykrztusiła dziewczynka, widząc nie najlepszy humor siostry.

– Idę do swojego pokoju – oznajmiła Elizabeth, wymawiając każde słowo niezwykle starannie, jakby mogło jej to pomóc znaleźć się natychmiast w zaciszu sypialni. – A potem się położę i utnę sobie drzemkę. I lepiej, żeby mi nikt w tym nie przeszkadzał.

– Jane i Lucas bawią się w ogrodzie – odparła Susan, skwapliwie kiwnąwszy głową. – Przypilnuję, żeby byli cicho, jak wrócą.

– Dobrze. Aa!

Dziewczynka skuliła drobne ramionka.

– Co tym razem?

Elizabeth pochyliła się i podniosła z podłogi mały metalowy przedmiot. Jednego z żołnierzyków Lucasa.

– Czy jest jakiś dobry powód, dla którego to paskudztwo musi leżeć na podłodze w miejscu, w którym każdy może na nie nadepnąć?

– Żaden nie przychodzi mi do głowy – odparła Susan, uśmiechając się bez przekonania.

Elizabeth westchnęła tylko.

– To nie jest mój dobry dzień.

– Tak przypuszczałam.

Elizabeth próbowała zdobyć się na uśmiech, ale skończyło się na dziwnym grymasie. Nieposłuszne kąciki ust nie chciały się unieść.

– Przyniosę ci filiżankę herbaty, chcesz? – spytała miękko Susan.

Elizabeth kiwnęła głową.

– Z chęcią bym się napiła. Dziękuję ci.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Zaraz… A co tam masz w torebce?

– Co?

– Ta książka.

Elizabeth zaklęła pod nosem i wepchnęła tomik głębiej pod chusteczkę.

– Nic takiego.

– Pożyczyłaś książkę od lady Danbury?

– Można tak powiedzieć.

– Świetnie! Przeczytałam już wszystko, co mamy w domu. Nie żeby było tego szczególnie dużo…

Elizabeth kiwnęła głową i spróbowała wyminąć siostrę.

– Wiem, że cię serce bolało, że musisz sprzedać tyle książek – paplała Susan – ale pozwoliły nam zapłacić za lekcje łaciny dla Lucasa.

– Naprawdę muszę iść…

– Mogę ją obejrzeć? Chętnie bym przeczytała.

– Nie możesz – warknęła Elizabeth znacznie głośniej, niż by sobie tego życzyła.

Susan cofnęła się, urażona.

– Przepraszam najmocniej!

– Widzisz, muszę ją jutro zwrócić. Tylko o to chodzi. Nie starczy ci czasu, żeby ją przeczytać.

– Nie mogę jej nawet obejrzeć?

– Nie!

– Chcę ją obejrzeć! – Mała doskoczyła do siostry.

– Powiedziałam, nie! – Elizabeth odchyliła się w prawo, cudem unikając wyciągniętych rąk dziewczynki, i rzuciła się do schodów. Ale kiedy postawiła stopę na pierwszym schodku, poczuła, że Susan trzyma ją za spódnicę.

– Mam cię – wychrypiała Susan.

– Puszczaj!

– Najpierw pokaż książkę!

– Susan, jako twoja opiekunka rozkazuję ci…

– Jako twoja siostra chcę zobaczyć, co tam tak chowasz.

Elizabeth uznała, że słowami nic tu nie wskóra, i szarpnęła się mocno, w następstwie czego jej stopa ześlizgnęła się ze schodka, a torba poturlała na podłogę.

– Aha! – wykrzyknęła Susan triumfalnie, chwytając książkę.

Elizabeth jęknęła głucho.

– *Jak poślubić markiza*. – Kiedy Susan podniosła znowu wzrok, na jej twarzy malował się cień zaskoczenia i spora doza rozbawienia.

– Książka jak książka. – Elizabeth czuła, jak zaczynają ją piec policzki. – Po prostu pomyślałam, że… To znaczy, myślałam, że…

– Markiza? – spytała mała z powątpiewaniem. – No, no, no, ale mamy ambitne cele…

– Na miłość boską! – syknęła Elizabeth. – Nie wyjdę za żadnego markiza. Ale może dałoby się w tej książce znaleźć jakieś sensowne wskazówki, skoro i tak muszę wyjść za mąż, a kandydatów jakoś nie widać.

– Jest pan Nevins – mruknęła pod nosem Susan, przerzucając kartki.

Elizabeth poczuła, że robi się jej niedobrze. Sama myśl, że pan Nevins miałby jej dotykać, całować… przyprawiała ją o gęsią skórkę. Ale jeżeli tylko to mogłoby uratować jej rodzinę…

Zacisnęła powieki. W tej książce musi być coś, co nauczy ją, jak znaleźć męża. Cokolwiek!

– Całkiem interesujące – oznajmiła mała i klapnęła na dywanie obok Elizabeth. – Posłuchaj no tego. „edykt numer jeden…”

– Edykt? – zawtórowała jej Elizabeth. – To tam są edykty?

– Jak widać. Odnoszę wrażenie, że całe to szukanie męża jest o wiele bardziej skomplikowane, niż mi się wydawało.

– Nie filozofuj tyle, tylko czytaj.

Susan zamrugała oczami i wróciła do lektury.

– „Bądź niezwykła. Ale nie zbyt niezwykła”.

– Co to ma, do diabła, znaczyć?! – wybuchła Elizabeth. – W życiu nie słyszałam podobnych idiotyzmów. Jutro ją odkładam na miejsce. I kto to jest, ta cała pani Seeton? Nie markiza, jak widać, i nie widzę powodu, żeby…

– Nie, nie – wtrąciła Susan. Uciszyła siostrę kilkoma machnięciami ręki, nie odrywając wzroku od książki. – To takie motto. Dalej jest wyjaśnienie.

– Sama nie wiem, czy chcę je usłyszeć – mruknęła z niezadowoleniem Elizabeth.

– Prawdę mówiąc, to całkiem interesujące.

– Dawaj – wyrwała książkę i zaczęła czytać po cichu:

„Jest rzeczą nieodzowną, by wybranek twój znalazł w tobie kobietę niezwykłą. Magia, którą roztaczasz, musi wziąć go w niepodzielne władanie, by na zawsze utonął w twoich oczach”.

Elizabeth prychnęła pogardliwie.

– „Magia, którą roztaczasz”? „Utonął w oczach”? Od kogo ta kobieta uczyła się pisać? Od domokrążnego handlarza?

– Moim zdaniem ten fragment o oczach i tonięciu jest bardzo romantyczny – zauważyła Susan, wzruszając ramionami.

Siostra nie zwracała na nią najmniejszej uwagi.

– Gdzie jest ten fragment o tym, żeby nie być zbyt niezwykłą? A, tutaj.

„Naucz się skrywać swą niezwykłość przed innymi. Musisz mu dowieść, iż jako żona przyniesiesz mu zaszczyt. Żaden wielki pan nie zechce się związać z kobietą, która ściągnie nań wstyd i złą sławę”.

– Przeczytałaś już ten kawałek o wiązaniu? – spytała Susan.

Elizabeth nie zareagowała.

„Innymi słowy, musisz wyróżniać się w tłumie, lecz jedynie wtedy, gdy on jest blisko. Tylko na nim bowiem ma ci zależeć”.

– No to mamy problem.

– Mamy?

– Owszem. – Stukała się palcem w czoło jak zawsze, kiedy się nad czymś zastanawiała. – Autorka zakłada, że znalazłam już obiekt westchnień! Nie ma się nad czym rozwodzić.

Susan wytrzeszczyła oczy na starszą siostrę.

– Chciałabyś, żeby się dla ciebie rozwiódł?! Tak nie można!

– Och, chodziło mi o to, że nie ma o czym mówić. Musiałabym najpierw mieć na oku jednego konkretnego mężczyznę – odparła Elizabeth i szturchnęła siostrę w ramię.

– Rozumiem. Cóż, muszę się zgodzić z panią Seeton. Za dwóch byś wyjść nie mogła.

Na twarzy Elizabeth malowało się zniecierpliwienie.

– Oczywiście, że nie. Ale powinnam chyba okazać zainteresowanie więcej niż jednemu, żeby mieć pewność, że cokolwiek z tego wyjdzie. Nie pamiętasz, co mama mówiła? Nie można wszystkiego stawiać na jedną kartę.

– Hm… Jest w tym trochę racji. Przestudiuję tę sprawę dziś wieczorem.

– Słucham?

Zanim Elizabeth zareagowała, dziewczynka zdążyła już zerwać się na równe nogi i tanecznym krokiem wbiegała po schodach.

– Skończę jeszcze dziś – zawołała z półpiętra. – Raport zdam ci jutro z samego rana.

– Susan! – Elizabeth starała się, by w jej głosie zadźwięczała stal. – Proszę mi to natychmiast oddać!

– Nic się nie bój! Do śniadania będę miała opracowaną strategię. – Następnym dźwiękiem, jaki Elizabeth usłyszała, był zgrzyt klucza w zamku, gdy Susan barykadowała się w pokoju, który dzieliła z Jane.

– Do śniadania? – mruknęła. – Nie ma zamiaru jeść kolacji?

Najwyraźniej nie miała, do końca dnia bowiem nikt nie zobaczył nawet czubka nosa Susan, a z jej pokoju nie dochodził bodaj najcichszy szmer. Tego wieczora przy stole klan Hotchkissów liczył jedynie troje członków, a biedna mała Jane nie mogła dostać się do swojego łóżka i musiała spać z Elizabeth.

Elizabeth zresztą wcale to nie ucieszyło – Jane była kochanym dzieckiem, ale ściągała na siebie całą kołdrę.

Kiedy nazajutrz Elizabeth zeszła na śniadanie, Susan siedziała już przy stole. W ręku trzymała znajomy czerwony tomik. Elizabeth skonstatowała ponuro, że kuchnia nie nosi śladów porannej krzątaniny.

– Nie mogłaś zabrać się do śniadania? – rzuciła zrzędliwie, przetrząsając szafki w poszukiwaniu jajek.

– Nie miałam czasu – odparła dziewczynka. – Byłam zbyt zajęta.

Elizabeth nie odpowiedziała. Psiakrew! Tylko trzy jajka. Musi obejść się smakiem. Pozostawała jedynie nadzieja, że lady Danbury będzie miała ochotę na obfite drugie śniadanie.

Elizabeth postawiła żeliwną patelnię na trójnogu umiejscowionym nad paleniskiem i wbiła jajka. Susan zajęła się krojeniem chleba na tosty.

– Niektóre z tych zasad nie są wcale takie strasznie trudne – powiedziała. – Sądzę, że nawet ty byś sobie poradziła.

– Jestem wzruszona wiarą, jaką pokładasz w moich możliwościach – rzekła oschle Elizabeth.

– Powiem więcej, powinnaś zacząć stosować te zasady od zaraz. Słyszałam, że lady Danbury wydaje niedługo przyjęcie, prawda? Na pewno wśród gości znajdą się jacyś kandydaci na męża.

– Ale ja się nie znajdę.

– Lady Danbury nie zamierza cię zaprosić?! – wykrzyknęła Susan, wyraźnie oburzona. – Coś podobnego! Może i jesteś panną do towarzystwa, ale także córką baroneta, więc…

– Oczywiście, że mnie zaprosi – tłumaczyła Elizabeth z niezmąconym spokojem – ale ja zaproszenia nie przyjmę.

– Ale dlaczego?

Przez chwilę nie odpowiadała. Stała i patrzyła, jak białka jajek zaczynają się ścinać.

– Susan – powiedziała wreszcie – spójrz na mnie.

Zmięła w dłoni wyblakły zielony materiał swojej sukienki i potrząsnęła głową.

– Jak mogłabym pójść na eleganckie przyjęcie w takim stroju? Może i jestem w desperacji, ale zachowałam swoją dumę.

– Ubraniem się zajmiemy, kiedy na to przyjdzie pora – ucięła zdecydowanie dziewczynka. – Chociaż i tak nie powinno mieć żadnego znaczenia. Nie wtedy, gdy twój przyszły małżonek zatonie w twoich oczach.

– Jeżeli jeszcze raz to powtórzysz…

– Tymczasem powinnyśmy popracować nad twoimi umiejętnościami – przerwała jej Susan. – Nie mówiłaś przypadkiem, że lady Danbury ma nowego zarządcę?

– Nic podobnego!

– Nie? Och, cóż. W takim razie musiałam to usłyszeć od Fanny Brinkley, która najpewniej dowiedziała się od swojej służącej, która z kolei musiała się dowiedzieć od…

– Przejdź do rzeczy, Susan!

– Dlaczego nie miałabyś na nim poćwiczyć? Jeżeli nie jest strasznie odrażający, oczywiście.

– Nie jest – mruknęła niewyraźnie Elizabeth, czując, że policzki zaczynają jej płonąć. Stała z opuszczoną głową, żeby Susan nie zauważyła jej rumieńca. Nowy zarządca odrażający? Daleko mu było do tego. Prawdę mówiąc, to chyba najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała. A kiedy się do niej uśmiechnął, czuła w brzuchu dziwne mrowienie.

Wielka szkoda, że nie był z niego żaden bogacz.

– Świetnie! – Susan aż klasnęła w dłonie, rozemocjonowana. – Musisz go tylko w sobie rozkochać, nic więcej.

Elizabeth przewróciła jajka na patelni.

– I co wtedy? Susan, on jest zarządcą. Na pewno nie jest dość bogaty, by można było wysłać Lucasa do Eton.

– Głuptasie, przecież za niego nie wyjdziesz. Tylko sobie potrenujesz.

– Brzmi to trochę bezdusznie – zauważyła Elizabeth, marszcząc czoło.

– Cóż, nie ma pod ręką nikogo innego, na kim mogłabyś wypróbować swoje umiejętności. Teraz słuchaj uważnie. Wybrałam kilka zasad, od których mogłabyś zacząć.

– Zasad? Myślałam, że to edykty.

– Edykty, zasady. Co za różnica. A zatem…

– Jane! Lucas! – zawołała głośno Elizabeth. – Śniadanie na stole!

– Jak już mówiłam, uważam, że powinnyśmy zacząć od edyktów drugiego, trzeciego i piątego.

– A co z czwartym?

Susan spłonęła wdzięcznym rumieńcem.

– Czwarty, hm… Mówi o ubieraniu się wedle najnowszej mody – powiedziała, nieświadoma, że lada chwila smażone jajko może wylądować na jej głowie. – Chociaż równie dobrze – dziewczynka w zamyśleniu zmarszczyła czoło – mogłabyś zacząć dopiero od punktu ósmego.

Elizabeth świetnie wiedziała, że najrozsądniej byłoby zachować milczenie, ale coś ją podkusiło, by spytać:

– A jak on brzmi?

– „Twój wdzięk musi wydawać się niewymuszony” – odczytała dziewczynka.

– Mój wdzięk niewymuszony? A co to ma do diabła zna… Au!

– Jak sądzę – oznajmiła Susan irytująco uprzejmym tonem – mogłoby to oznaczać, że niewskazane jest wymachiwanie rękami i uderzanie nimi o blat stołu.

Gdyby spojrzenie mogło zabić, Susan leżałaby już na podłodze bez życia. Tymczasem zadarła dumnie nos i sapnęła z pogardą.

– Mówię samą prawdę.

Elizabeth nie spuszczała z niej gniewnego spojrzenia, przyciskając do ust grzbiet dłoni, jakby dzięki temu ból mógł ustąpić.

– Jane! Lucas! – zawołała znowu, tym razem na całe gardło. – Chodźcie wreszcie! Śniadanie wystygnie!

Jane w podskokach wbiegła do kuchni i usiadła przy stole. Rodzina Hotchkissów od dawna już nie przestrzegała nakazów etykiety, przynajmniej w porze śniadania, i zamiast w jadalni spożywała pierwszy posiłek dnia w kuchni. Poza tym zimą każde z nich lubiło siedzieć blisko pieca. A latem… Cóż, niełatwo wyzbyć się przyzwyczajeń. Takiego przynajmniej zdania była sama Elizabeth.

Teraz uśmiechnęła się do najmłodszej siostry.

– Jane, nie wyglądasz dzisiaj szczególnie schludnie.

– To dlatego, że ktoś nie chciał mnie wczoraj wpuścić do mojego pokoju – odparła dziewczynka, rzucając Susan oskarżycielskie spojrzenie. – Nawet się nie mogłam uczesać.

– Mogłaś wziąć szczotkę Elizabeth – odparowała Susan.

– Mnie się podoba moja – odpysknęła mała. – Jest srebrna!

Ale nie ze srebra, pomyślała gorzko Elizabeth, bo już dawno byłaby sprzedana.

– Srebrna czy nie, ale czesze tak samo! – upierała się Susan.

Elizabeth położyła kres ich sprzeczce głośnym okrzykiem:

– Lucas!

– Mamy mleko? – spytała Jane.

– Obawiam się, że nie, skarbie – odpowiedziała Elizabeth, nakładając jedno jajko na jej talerz. – Ale na bawarkę wystarczyło.

Susan dorzuciła do jajka kromkę chleba i zwróciła się do najstarszej siostry:

– Co do edyktu drugiego…

– Nie teraz – syknęła Elizabeth, zerkając znacząco na Jane, która na szczęście była zbyt pochłonięta dłubaniem w swojej porcji pieczywa, by przysłuchiwać się rozmowie sióstr.

– Ten tost jest surowy – poskarżyła się.

Elizabeth nie zdążyła jednak zbesztać Susan za to, że nie dopilnowała tostów, bo do kuchni wpadł Lucas.

– Dzieńdoberek! – rzucił wesoło.

– Co ty dziś taki rozszczebiotany? – spytała Elizabeth, zmierzwiła mu włosy i postawiła przed nim nakrycie.

– Dzisiaj idę na ryby z Tommym Fairmountem i jego ojcem. – Chłopiec w mgnieniu oka pochłonął trzy czwarte swojej porcji i dokończył: – Będziemy dziś mieli królewską kolację!

– To wspaniale, kochanie – odparła Elizabeth. Zerknęła na mały zegar stojący na blacie i dodała: – Muszę się zbierać. A wy już dopilnujcie, żeby w kuchni był porządek, jak wrócę.

Lucas skinął głową.

– Dopilnuję.

– Pomożesz!

– Dobra, dobra – mruknął. – Mogę prosić o dokładkę?

Elizabeth poczuła burczenie w żołądku.

– Nie ma więcej jajek – odpowiedziała.

Jane spojrzała na nią badawczo.

– Lizzie, przecież ty nic nie jadłaś!

– Jadam śniadania z lady Danbury – skłamała Elizabeth.

– Masz. – Susan popchnęła w stronę siostry pozostałości ze swojej porcji: dwa kęsy jajka i kulkę ugniecioną z chleba, wszystko tak wymiętoszone, że Elizabeth musiałaby konać z głodu, by na to bodaj spojrzeć.

– Jedz, jedz, Susan, ja zjem u lady Danbury. Naprawdę.

– Będę musiał złowić wielką rybę – usłyszała, jak Lucas szepcze Jane do ucha.

I to przesądziło sprawę. Wcześniej Elizabeth buntowała się przeciwko temu całemu polowaniu na męża. Sama myśl o nim sprawiała, że czuła się okropną materialistką. Ale dość tego. Co to za świat, skoro ośmioletni chłopiec zamartwia się, czy złowi rybę – nie dla zabawy, ale po to, żeby jego siostry miały co włożyć do ust?

Elizabeth wyprostowała się dumnie i pomaszerowała do drzwi.

– Susan – rzuciła ostro – pozwól na słówko!

Jane i Lucas wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Oberwie się jej za ten surowy tost – szepnęła Jane.

– Surowe tosty – zauważył sentencjonalnie chłopiec, potrząsając głową – są sprzeczne z ludzką naturą.

Elizabeth przewróciła oczami. Lucas i jego „złote” myśli nie przestawały jej zdumiewać. Obie z Susan wyszły z domu. Kiedy już znalazły się w bezpiecznej odległości, Elizabeth odwróciła się do dziewczynki.

– Po pierwsze, nie chcę słyszeć ani jednego słowa o tym… tym polowaniu na męża w obecności dzieci.

Susan uniosła książkę pani Seeton.

– To zamierzasz skorzystać z jej rad?

– A mam jakiś wybór? – mruknęła Elizabeth. – Po prostu powiedz, co i jak.

3

Tego poranka, wchodząc do domu hrabiny, Elizabeth mówiła sama do siebie. Prawdę mówiąc, gadała do siebie półgłosem przez całą drogę. Przed wyjściem do pracy obiecała Susan, że spróbuje przećwiczyć edykty pani Seeton na nowym zarządcy lady Danbury, ale nie miała zielonego pojęcia, jak mogłaby się do tego zabrać, nie łamiąc edyktu drugiego:

„Nigdy nie goń za mężczyzną. Spraw, by to on musiał przyjść do ciebie”.

Elizabeth zakładała, że przynajmniej tę zasadę będzie musiała złamać. Nurtowało ją też, jak pogodzić edykty trzeci i piąty, które brzmiały:

„Przenigdy nie bądź nieuprzejma. Szlachetnie urodzony mężczyzna potrzebuje kobiety uosabiającej wdzięk, dostojeństwo i nienaganne maniery”.

oraz

„Przenigdy nie rozmawiaj z mężczyzną dłużej niż pięć minut. Jeżeli skończysz rozmowę, będzie snuł domysły na temat tego, co mogłabyś powiedzieć.

Pożegnaj się i zniknij bodaj w łazience. Jego fascynacja tobą wzrośnie, gdy zagra jego wyobraźnia”.

I tu Elizabeth gubiła się ostatecznie. Odnosiła wrażenie, że kończenie rozmowy po zaledwie kilku minutach musi się wydawać dość nieuprzejme. A przecież zdaniem pani Seeton szlachetnie urodzony mężczyzna miał szukać damy, która nieuprzejma nie bywa.

Na domiar złego był to dopiero początek niezliczonej serii edyktów, które wywrzaskiwała za nią Susan dziś rano. „Bądź czarująca”. „Bądź słodka”. „Pozwól mu mówić”. „Nie daj po sobie poznać, że masz od niego więcej rozumu”.

W obliczu wszystkich tych idiotyzmów zaczynała z każdą chwilą cieplej myśleć o pozostaniu panną Hotchkiss, starzejącą się damą do towarzystwa, do końca swoich dni.

Jak zwykle pośpieszyła prosto do salonu. Zastała w nim hrabinę, rozpartą w ulubionym fotelu. Pochylona nad sekretarzykiem, pośpiesznie gryzmoliła coś na kartce papieru, pomrukując cicho. Malcolm próżnował w najlepsze, rozciągnięty wygodnie na szerokim parapecie. Otworzył jedno oko, uznał dziewczynę za niegodną jego zainteresowania i wrócił do drzemki.

– Dzień dobry, lady Danbury! – powiedziała Elizabeth, z dezaprobatą kręcąc głową. – Może wolałaby pani mi podyktować?

Hrabina uskarżała się na bóle stawów i Elizabeth często wyręczała ją w korespondencji. Pracodawczyni wepchnęła kartkę do szuflady.

– Nie, nie, nie trzeba. Moje palce są dziś w rewelacyjnej formie. – Stuliła ręce w pięści, a potem strzeliła w stronę Elizabeth palcami, jakby rzucając na nią zaklęcie. – Widzisz?

– Cieszę się, że pani tak dobrze się dzisiaj czuje – odparła dziewczyna niepewnie, zastanawiając się w duchu, czy przypadkiem za chwilę nie zmieni się w żabę.

– Tak, tak, piękny dziś mamy dzień, piękny… Chyba że zamierzasz zacząć mi znowu czytać Biblię.

– Gdzież bym śmiała…

– Chociaż, wiesz co? Mogłabyś coś dla mnie zrobić.

Elizabeth uniosła brwi w niemym pytaniu.

– Muszę się zobaczyć z zarządcą. Powinnaś go teraz zastać w jego gabinecie w niewielkim budynku koło stajni. Mogłabyś go do mnie wezwać?

Dziewczyna z trudem przywołała się do porządku. Wspaniale! Będzie mogła porozmawiać z nowym zarządcą, i to bez łamania edyktu drugiego!

Właściwie dalej uważała, że w pewnym sensie za nim gania, ale to nie mogło się liczyć, skoro ganiała na wyraźne polecenie pracodawczyni.

– Elizabeth! – huknęła lady Danbury.

– Słucham? – wykrztusiła, zamrugawszy oczami.

– Słuchaj, kiedy do ciebie mówię. Śnisz na jawie? To do ciebie niepodobne.

Elizabeth nie mogła się powstrzymać od ironicznego grymasu. Nie oddawała się marzeniom od pięciu lat. Kiedyś marzyła o miłości, małżeństwie, wyprawach do teatru, podróży do Francji. Ale wszystko to skończyło się wraz ze śmiercią ojca. Obowiązki, które na nią spadły, nie pozwalały się łudzić, że te pragnienia kiedykolwiek się ziszczą.

– Przepraszam najmocniej – bąknęła.

Usta lady Danbury zadrgały w sposób, który jasno mówił, że hrabina nie jest naprawdę poirytowana.

– Po prostu go zawołaj – ucięła lady D.

– Już biegnę – przytaknęła posłusznie dziewczyna.

– Ma ciemne włosy, brązowe oczy i jest dość wysoki. Mówię, żebyś wiedziała, kogo mi tu przyprowadzić – dodała po chwili hrabina.

– Och, poznałam już pana Siddonsa. Wczoraj wpadłam na niego, wychodząc do domu.

– Doprawdy? – Na twarzy lady D. malowało się szczere zdziwienie. – Nie wspomniał mi o tym.

Elizabeth przekrzywiła głowę ze zdumienia.

– A czemu miałby o tym wspominać? Moja osoba nie wpływa chyba na jego pracę u pani.

– No tak, zapewne masz rację. – Usta lady Danbury zacisnęły się, jak gdyby hrabina rozważała jakiś wielki, nierozwiązany dotychczas problem filozoficzny. – Ruszaj więc. Będę cię potrzebowała, dopiero jak załatwię

sprawę z Ja… hm… z panem Siddonsem. A właśnie! Kiedy tu będzie, mogłabyś przynieść moje przybory do haftowania.

Elizabeth starała się stłumić rozdzierający jęk, który cisnął się jej na usta. Haftowanie oznaczało dla lady Danbury przyglądanie się, jak Elizabeth walczy z igłą, udzielanie milionów wskazówek i ciągle nadzorowanie jej pracy. A Elizabeth nie znosiła haftować. Miała w domu wystarczająco dużo szycia – czy też raczej cerowania, o które prosiła się cała sterta ubrań.

– I tę zieloną poszewkę, nie tę żółtą – dodała po namyśle hrabina.

Elizabeth machinalnie kiwnęła głową i wycofała się z pokoju.

– Bądź niezwykła – wyszeptała sama do siebie – ale nie zbyt niezwykła.

Pokręciła głową. Ludzie będą sobie spacerować po Księżycu, zanim ona pojmie, co by to miało oznaczać.

Innymi słowy, nie pojmie tego nigdy.

Zanim znalazła się w pobliżu stajni, zdążyła powtórzyć zasady pani Seeton przynajmniej dziesięć razy i w jej głowie powstał taki mętlik, że najchętniej zepchnęłaby ich autorkę z mostu, gdyby ta niebacznie nawinęła się jej pod rękę.

Co prawda żadnego mostu w okolicy nie było, ale to w tej chwili wydawało się Elizabeth nieważne.

Lokum nowego zarządcy znajdowało się po lewej stronie stajni. Mieściło się w niewielkim budynku z masywnym kamiennym kominem i słomianym dachem. Składały się na nie trzy pokoje. Drzwi wejściowe prowadziły do małego saloniku, z którego przechodziło się do sypialni i gabinetu położonych w głębi.

Budyneczek prezentował się schludnie i czysto, co wydało się Elizabeth zrozumiałe samo przez się – zarządcy przywiązywali zwykle wagę do dobrego stanu zabudowy. Stała przed drzwiami przez chwilę, starając się uspokoić wzburzony oddech i wbić sobie do głowy, że jest wcale niebrzydką, miłą, młodą kobietą. Nie było zatem powodów, dla których ten

mężczyzna – który zresztą znowu tak bardzo jej nie interesował – miałby patrzeć na nią z góry.

Śmieszna sprawa, pomyślała Elizabeth, przecież nigdy wcześniej poznawanie nowych ludzi nie wyprowadzało jej tak z równowagi. To wszystko przez to cholerne polowanie na męża i jeszcze bardziej cholerną książkę.

– Mogłabym tę panią Seeton udusić gołymi rękami – mruknęła pod nosem, zdobywając się na odwagę, by wreszcie zapukać. – Nawet by mi powieka nie drgnęła.

Drzwi nie były zamknięte na klucz i uchyliły się pod dotknięciem ręki.

– Panie Siddons? Jest pan tu? Panie Siddons! – zawołała.

Nie było odpowiedzi.

Popchnęła drzwi, tak że uchyliły się nieco szerzej, i wetknęła głowę do środka.

– Panie Siddons!

I co teraz? W domu najwyraźniej go nie było. Westchnęła, opierając się lewym ramieniem o framugę, i zajrzała w głąb pokoju. Wypadałoby go poszukać, chociaż mógł teraz być wszędzie. Posiadłości lady D. były rozległe i Elizabeth nie miała szczególnej ochoty ganiać po całym majątku, żeby znaleźć zarządcę – niezależnie od tego, jak bardzo był jej potrzebny do wypróbowania edyktów pani Seeton.

Kiedy tak stała, zwlekając z odejściem, wzrok jej błądził po zgromadzonych w gabinecie sprzętach. Kiedyś już tu była i wiedziała, które przedmioty należą do lady Danbury. Nie wyglądało na to, żeby pan Siddons przywiózł ze sobą wiele. Tylko małą torbę, która stała teraz w kącie i…

Oniemiała. Na końcu stołu leżała sobie mała czerwona książka. Jakim cudem panu Siddonsowi udało się zdobyć egzemplarz *Jak poślubić markiza*? Przecież podobnych rzeczy nie sprzedaje się w księgarniach dla dżentelmenów. Z rozszerzonymi ze zdumienia oczami popędziła w głąb pokoju i schwyciła książkę.

Eseje Francisa Bacona?!

Zamknęła oczy i zaklęła, myśląc o sobie wyjątkowo niepochlebnie. Boże drogi, dostawała chyba obsesji na tym punkcie. Żeby widzieć książkę pani Seeton wszędzie, gdziekolwiek się obejrzy?

– Idiotka! Idiotka! – wymamrotała pod własnym adresem i obróciła się na pięcie, żeby odłożyć książkę na miejsce. – Pani Seeton nie jest wszechwiedząca. I najwyższa pora, żeby… Au!

Zawyła, uderzywszy dłonią w stojącą na stole mosiężną lampę. Nie wypuszczając książki z zaciśniętej kurczowo lewej ręki, wymachiwała prawą, pulsującą, próbując strząsnąć z niej przeszywający ból.

– Och, och, och, och! – popiskiwała. Bolało bardziej niż stłuczony palec u nogi, a Bóg jeden wie, ile razy udało się jej w coś uderzyć stopą.

Zamknęła oczy i westchnęła.

– Jestem największą niezdarą w Anglii, największą fujarą na wyspach…

Chrup!

Wyprostowała się gwałtownie. Niepokojący odgłos brzmiał zupełnie jak chrzęst żwiru pod czyjąś stopą. A wokół domu zarządcy rozsypany był żwir.

– Kto tam jest? – krzyknęła. Nawet dla niej samej jej własny głos zabrzmiał dość ochryple.

Nie doczekała się odpowiedzi.

Ciarki przeszły jej po plecach, mimo że od miesiąca było niezwykle ciepło jak na tę porę roku. Nigdy nie wierzyła swojej intuicji, ale teraz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dzieje się tu coś niezwykłego.

I była dziwnie przekonana, że nie jest to nic, co by się jej spodobało.

James przez cały ranek jeździł po posiadłości. Rzecz jasna, znał tu każdy kamień. Jako dziecko spędził w Surrey więcej czasu niż w rodzinnym zamku Riverdale. Ale żeby się nie zdemaskować, musiał dokonać inspekcji terenów.

Dzień był upalny i kiedy skończył kilkugodzinną przejażdżkę, czoło miał mokre od potu, a płócienna koszula kleiła się mu do pleców. Miał ochotę na kąpiel, ale zwykły zarządca nie mógł po prostu polecić służącym hrabiny napełnić wannę. Pozostawało zatem skorzystać z miednicy z wodą, która czekała w gabinecie, i ochłodzić się zmoczonym ręcznikiem.

Nie spodziewał się, że zastanie drzwi otwarte na oścież.

Zwolnił, by nie zdradził go odgłos kroków, i podkradł się do drzwi. Zajrzał do środka i zobaczył jakąś kobietę. Stała do niego tyłem, ale sądząc po jasnych włosach i drobnej sylwetce, musiała to być dama do towarzystwa jego ciotki.

Zaintrygowała go od pierwszego spotkania. Tyle tylko że uświadomił to sobie dopiero teraz, widząc ją nachyloną nad zbiorem esejów Bacona.

Francis Bacon? Jak na włamywaczkę dziewczyna miała wyszukane upodobania.

Patrzył na nią, niezdolny do oderwania oczu. Badał wzrokiem jej profil, gdy nagle nos dziewczyny zmarszczył się przezabawnie. Kilka jedwabistych płowych kosmyków wysmyknęło się z ciasno upiętego koka i leżało teraz na karku w małych spiralnych loczkach.

Pomyślał, że jej skóra musi być ciepła w dotyku.

James wstrzymał oddech, próbując zignorować żar, który rozlał się po jego lędźwiach.

Przysunął się tak blisko framugi, jak było to możliwe bez zwrócenia na siebie uwagi. Co też ona, do diaska, mówi? Usiłował skoncentrować się na jej głosie, co przychodziło mu o tyle trudniej, że błądził wzrokiem po delikatnym konturze jej piersi i tym miejscu na karku, które…

Uszczypnął się. Ból zwykle sprawdzał się jako antidotum na zbereźne myśli.

Miss Hotchkiss mamrotała coś pod nosem i w głosie jej pobrzmiewała irytacja.

– …idiotka…

Z tą uwagą musiał się zgodzić. Zakradanie się do jego pokoju w biały dzień nie było sprytnym posunięciem.

– …pani Seeton…

Kto, do cholery?

– Au!

James przyglądał się Elizabeth ze zdwojoną uwagą. Wściekle potrząsała ręką i wpatrywała się dziko w lampę. Musiał się uśmiechnąć. Wyglądała na tak rozwścieczoną, że nie zdziwiłby się, gdyby od jej spojrzenia lampa zapłonęła żywym ogniem i zmieniła się w kupkę popiołu.

Tymczasem dziewczyna wydawała z siebie przypominające miauczenie okrzyki, od których ogarniało go dziwne mrowienie.

W pierwszym odruchu chciał pobiec jej na pomoc. Był w końcu dżentelmenem, niezależnie od roli, którą miał teraz odgrywać przed światem. A dżentelmen nie może nie przyjść z pomocą cierpiącej kobiecie. Ale wahał się. Ręka nie mogła tak bardzo boleć, a poza tym, to czego ona szuka w jego gabinecie, do jasnej cholery!

Czy możliwe, żeby szantażowała jego ciotkę?

A nawet jeśli tak, to skąd mogłaby wiedzieć, że przyjechał po to, żeby zbadać sprawę szantażu? Z drugiej strony, gdyby założyć, że dziewczyna nie próbuje go rozgryźć, to dlaczego myszkuje w jego pokoju? Porządne dziewczęta – a spośród takich wywodziły się zwykle damy do towarzystwa – podobnych rzeczy nie robiły.

Rzecz jasna, równie dobrze mogła być pospolitą złodziejką liczącą na to, że nowy zarządca ma w swoim posiadaniu kosztowne rodzinne precjoza pozostałe z utraconej fortuny. Zegarek, biżuterię po matce – pamiątki, z którymi mężczyźnie trudno się rozstać nawet wtedy, gdy los ciężko go doświadcza.

Dziewczyna zamknęła oczy i westchnęła, odwracając się przodem do drzwi.

– Jestem największą niezdarą w Anglii, największą fujarą na wyspach…

Przybliżył się jeszcze trochę, wyciągając szyję do granic możliwości, i z uwagą słuchał każdego jej słowa.

Chrup!

– Cholera – zaklął James bezgłośnie, wycofując się błyskawicznie i przyciskając plecami do ściany za węgłem. Od lat nie zdarzyła się mu podobna wpadka.

– Kto tam jest? – krzyknęła.

Nie widział dziewczyny, bo stał za rogiem, ale wyraźnie słyszał panikę w jej głosie. Powinna za chwilę wybiec na dwór.

Pośpiesznie ukrył się między domem a stajnią. Kiedy usłyszy, że dama do towarzystwa ciotki Agathy wyszła już z budynku, spokojnym krokiem wyłoni się ze swojego ukrycia z miną, jakby dopiero co się pojawił.

Zgodnie z przewidywaniami kilka sekund później usłyszał trzaśniecie drzwi wejściowych, a następnie odgłos kroków. Pora na jego ruch.

– Dzień dobry, panno Hotchkiss! – zawołał, zbliżając się do dziewczyny długimi krokami.

– Och! – pisnęła, podskakując na metr. – Nie zauważyłam pana.

– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć – odparł z uprzejmym uśmiechem.

Pokręciła przecząco głową, zarumieniona.

James przyłożył palec do ust, by ukryć uśmiech triumfu. Miała coś na sumieniu – kobiety nie rumienią się tak bez powodu.

– Skądże, nie wystraszył mnie pan – wyjąkała. – Ja.. och… Powinnam zacząć patrzeć przed siebie.

– Co panią tu sprowadza? – spytał. – Odniosłem wrażenie, że większość obowiązków nie pozwala się pani oddalać od domu.

– Bo nie pozwalam. To znaczy, nie pozwala. Ale teraz przysłała mnie lady Agatha. Chce z panem porozmawiać.

Oczy Jamesa zwęziły się. Nie żeby jej nie wierzył. Z pewnością była na tyle inteligentna, żeby nie uciekać się do kłamstwa, które łatwo było

odkryć. Ale w takim razie, dlaczego zakradła się do jego pokoju?

Ta bezczelna dziewucha coś knuje, pomyślał. I ze względu na ciotkę on musi dowiedzieć się, co. Umiał postępować z kobietami. I zawsze dowiadywał się wszystkiego, czego chciał się dowiedzieć. Jego przełożeni w ministerstwie wojny żartobliwie mawiali, że podniósł przesłuchiwanie kobiet do rangi sztuki.

Dawno już zrozumiał, że kobiety stanowią inny gatunek niż mężczyźni. Były całkowicie zaabsorbowane sobą. Wystarczało tylko zapytać którąś o coś osobistego, by zwierzenia polały się strumieniem. Zdarzały się co prawda nieliczne wyjątki, ciotka na przykład, ale…

– Coś się stało? – spytała panna Hotchkiss.

– Słucham?

– Tak pan nagle umilkł – zauważyła i przygryzła wargę.

– Zwykłe roztargnienie – skłamał gładko. – Muszę wyznać, że zupełnie się nie orientuję, jaką sprawę może mieć do mnie lady Danbury. Widziałem się z nią dziś rano.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nic nie przyszło jej do głowy.

– Nie wiem – odparła w końcu. – Doszłam do przekonania, że lepiej nie zastanawiać się nad motywami jej postępowania. Od tego można dostać wyłącznie migreny.

Mimo woli zachichotał. Bronił się przed sympatią do nieznajomej, ale musiał uznać, że podchodzi do życia z rzadko spotykanym wdziękiem i humorem. I najwyraźniej udało się jej odkryć najlepszy sposób na ciotkę Agathę. Jej pobłażać, a samej robić, na co przyjdzie ochota – zawsze tak postępował i wiedział, że to skutkuje.

Podał dziewczynie ramię. Postanowił, że będzie się do niej umizgiwał, póki nie dowie się o niej wszystkiego.

– Raczy mi pani towarzyszyć? Jeżeli nie ma pani jeszcze czegoś do załatwienia poza domem, rzecz jasna.

– Nie.

Uniósł brwi, szczerze zaskoczony.

– To znaczy, nie, nie mam niczego do załatwienia – uśmiechnęła się niewyraźnie. – I tak, z chęcią będę panu towarzyszyć.

– Wyśmienicie – rzucił gładko. – Nie mogę się doczekać, by poznać panią bliżej.

Westchnęła przeciągle, biorąc go pod rękę. Ze swojej ostatniej wypowiedzi nie była zadowolona, ale ogólnie rzecz biorąc, udawało się jej trzymać zaleceń pani Seeton z podziwu godną skrupulatnością. Co więcej, zdołała nawet pana Siddonsa rozbawić, a gdzieś w książce była chyba mowa o umiejętności rozbawienia mężczyzny. A jeśli nawet takiego edyktu nie było, to powinien się tam znaleźć. Mężczyźni muszą cenić kobiety, które umieją być dowcipne.

Zmarszczyła brew. Może to sprawi, że wyda się mu niezwykła…

– Taka pani poważna – usłyszała nagle.

Aż drgnęła. Cholera! Powinna się bardziej na nim skoncentrować. Czy książka nie nakazywała poświęcać dżentelmenowi całej swojej uwagi? Zapewne podczas owych pięciu minut przed zakończeniem rozmowy.

– Zupełnie jakby się pani mozoliła nad jakimś szkolnym zadaniem.

O mało nie jęknęła na głos. A więc z pozornie niewymuszonego wdzięku nici! W czym taki wdzięk winien się przejawiać, nie wiedziała, ale na pewno nie chodziło o to, by wyglądać jak osoba, która biedzi się nad otwartym podręcznikiem.

– Naturalnie, właśnie poważne kobiety zawsze intrygowały mnie najbardziej – perorował pan Siddons, nieświadom katuszy, jakie przeżywała Elizabeth.

Nagle wstąpiła w nią nadzieja. Uda się jej. Wiedziała to. Do diabła, nosiła nazwisko Hotchkiss i mogła osiągnąć wszystko, co zamierzy. Musi znaleźć męża, najpierw jednak – co ważniejsze – musi nauczyć się, jak tego dokonać. Co zaś do pana Siddonsa, to nie jej wina, że akurat nawinął się

pod rękę. Może i postępowała bezdusznie, prowadząc na nim swój eksperyment, ale jak trzeba, to trzeba. A ona po prostu musiała.

Zwróciła się w stronę zarządcy, przywołując na twarz promienny uśmiech. Nie przestanie się do niego wdzięczyć, dopóki nie owinie go sobie wokół małego palca, a wtedy… Wtedy będzie owinięty wokół jej małego palca.

Otworzyła usta, by powiedzieć coś zabójczo dowcipnego i wyrafinowanego, ale zanim zdążyła odezwać się bodaj słówkiem, on pochylił się w jej stronę z ciepłymi i niebezpiecznymi iskierkami w oczach i powiedział:

– Niezwykle mnie zaintrygował ten uśmiech.

Zamrugała. Gdyby nie wiedziała lepiej, uznałaby, że to on się do niej wdzięczy.

Gdzie tam. Niemożliwe, zmitygowała się w myślach. Prawie jej nie znał, a chociaż nie była największą maszkarą w całym Surrey, to nie było z niej znowu żadne bóstwo.

– Przepraszam, panie Siddons – odparła z uśmiechem. – Mnie także zdarza się czasem popaść w zadumę. Ale proszę mi wierzyć, nie chciałam być nieuprzejma.

– Nie była pani – zaprzeczył, kręcąc głową.

– Wie pan…

Jak to szło? Zawsze zachęcaj mężczyznę do mówienia o sobie. Mężczyźni są zaabsorbowani sobą.

– Panno Hotchkiss?

Chrząknęła dyskretnie i przyoblekła usta w kolejny uśmiech.

– Właśnie. Wie pan, myślałam o panu.

– O mnie? – zapytał po chwili.

– Tak. Nie co dzień zdarza się nam gościć kogoś nowego w domu Danbury. Skąd pan do nas przybywa?

– Bywałem tu i tam – wykręcił się. – Ostatnio w Londynie.

– Jakież to podniecające! – odparła, starając się, by w jej głosie brzmiało stosowne podekscytowanie. Nie znosiła Londynu. Brudne, cuchnące i zatłoczone miasto. – I zawsze pracował pan jako zarządca?

– Nieee… – odpowiedział wolno. – Nie ma w Londynie wielu dużych posiadłości.

– Ach, tak – mruknęła. – Naturalnie.

Przekrzywił głowę i spojrzał na nią ciepło.

– Długo pani tu mieszka?

Elizabeth skinęła głową.

– Od urodzenia. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej. Latem, kiedy wszystko rozkwita, nie ma równie pięknego zakątka na całym świecie. A już z całą pewnością nie mogłabym… – urwała nagle. Miała przecież nie mówić o sobie.

James zmienił się w słuch, o mało się z czymś nie zdradziła.

Zatrzepotała rzęsami.

– Nie chcę pana zanudzać.

– Ależ skąd, nie nudzi mnie pani – zapewnił, rzucając jej spojrzenie pełne żaru. Kobiety szalały za tym spojrzeniem. Ta jednak najwyraźniej nie, albowiem odwróciła wzrok i zakasłała cicho.

– Coś pani jest?

Szybko pokręciła głową, ale minę miała taką, jakby właśnie połknęła pająka. A potem zrobiła coś absolutnie dla Jamesa niezrozumiałego. Otóż wyprostowała się nagle, jakby w przygotowaniu do ataku, i oznajmiła z niewiarygodną słodyczą:

– Z pewnością prowadzi pan znacznie ciekawsze życie niż ja, panie Siddons.

– Ależ jest pani w błędzie!

Elizabeth chrząknęła znowu, tłumiąc irytację. Przecież nie tak powinien zareagować. Dżentelmeni podobno lubili mówić o sobie, a tymczasem to on

cały czas zasypuje ją pytaniami. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zarządca toczy z nią jakąś dziwną grę.

– Panie Siddons – powiedziała wreszcie, modląc się, by w jej glosie nie zabrzmiała rezygnacja. – Mieszkam w Surrey od urodzenia. Jakże moje życie mogłoby być bardziej interesujące od pańskiego?

Musnął palcami jej policzek.

– Mam przeczucie, że moja fascynacja panią mogłaby nie mieć końca, gdyby pani tylko zechciała…

Elizabeth zachłysnęła się, a potem na chwilę przestała oddychać. Żaden mężczyzna nie dotykał jej wcześniej w taki sposób i – choć zapewne stawiało ją to niżej od zwykłej kokoty – wprost topniała, czując ciepło jego dłoni.

– Nie sądzi pani? – wyszeptał.

Bezwiednie pochyliła się ku niemu na ułamek sekundy i usłyszała rozbrzmiewający w jej mózgu głos pani Seeton, bardzo zresztą podobny do głosu Susan. „Jeżeli zakończysz rozmowę – szeptała jej młodsza siostra – będzie snuł domysły na temat tego, co mogłabyś powiedzieć”.

Elizabeth obce było obezwładniające poczucie szczęścia, którym napełnia kobietę pewność zainteresowania ze strony mężczyzny. Dlatego też wyprostowała się sztywno po raz drugi tego poranka i oznajmiła ze zdumiewającą stanowczością:

– Naprawdę muszę już iść, panie Siddons.

Wolno pokręcił głową, ani na chwilę nie odrywając oczu od jej twarzy.

– Czym się pani interesuje, panno Hotchkiss? – spytał. – Co pani lubi robić, czego pragnie? Uczyniła pani na mnie wrażenie niezwykle inteligentnej młodej damy.

A jednak się do niej umizgiwał, to pewne. Nie znał jej wszak wystarczająco długo, żeby wyrobić sobie opinię o jej intelekcie. Oczy Elizabeth się zwęziły. Zatem interesują go jej ulubione zajęcia, tak? No to mu o nich opowie.

– Moim ulubionym zajęciem – zaczęła, wbijając w niego jasne spojrzenie szeroko otwartych oczu – jest praca w przydomowym ogrodzie.

– W przydomowym ogrodzie? – zakrztusił się.

– Ależ tak! Na ten rok przewidujemy zbiory rzepy. Setek rzep. Czy lubi pan rzepę?

– Rzepę? – powtórzył jak echo.

Skinęła energicznie głową.

– Rzepę. Niektórzy uważają, że to nieciekawe warzywo, można by wręcz powiedzieć, pospolite, ale zapewniam pana, nie znajdzie pan równie fascynującej bulwy.

James rozejrzał się w prawo i w lewo, szukając pretekstu, który umożliwiłby mu ucieczkę. Co też, u licha, ta dziewczyna wygaduje?

– Uprawiał pan kiedyś rzepę?

– Ee… Nie, nigdy.

– Naprawdę szkoda – kontynuowała z wielkim przejęciem. – Można się od rzepy wiele nauczyć o życiu.

James pochylił lekko głowę w niedowierzaniu.

– Naprawdę? A czego, jeśli można?

– No…

Nie mylił się, wyraźnie się do niego umizgiwała. Ale co też jej teraz chodzi po głowie? Uśmiechnął się niewinnie.

– Przerwałem pani…

– Skrupulatności! – wykrzyknęła nagle. – Można się nauczyć prawdziwej skrupulatności!

– Naprawdę? W jaki sposób?

Westchnęła teatralnie.

– Panie Siddons, obawiam się, że skoro zadaje pan takie pytanie, nie zrozumie pan tego nigdy.

Gdy James przetrawiał jej ostatnią uwagę, dziewczyna zaszczebiotała nagle:

– No, proszę! Już jesteśmy na miejscu. Proszę przekazać lady Danbury, że będę w ogrodzie różanym, gdyby mnie potrzebowała.

A potem oddaliła się biegiem bez pożegnania.

James stał przez chwilę w milczeniu, próbując rozszyfrować bez wątpienia najdziwniejszą rozmowę w życiu, gdy nagle coś zwróciło jego uwagę – cień kładący się na ziemi równolegle do budynku.

Będzie w ogrodzie różanym. Akurat! To przeklęte pannisko czaiło się za rogiem, nadal go szpiegując. Postanowił, że dowie się, jakie są jej zamiary, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi.

Dziesięć godzin później Elizabeth, powłócząc nogami ze zmęczenia, weszła do domu. Bez szczególnego zaskoczenia stwierdziła, że Susan czeka na nią przycupnięta na pierwszym schodku z książką *Jak poślubić markiza* w zaciśniętej kurczowo łapce.

– Jak było? – wykrzyknęła dziewczynka, zrywając się na równe nogi. – Opowiadaj!

Elizabeth miała najszczerszą ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem.

– Och, Susan – zaczęła w końcu, wolno potrząsając głową. – Edykt pierwszy mamy opanowany do perfekcji. On z całą pewnością uważa, że jestem niezwykła.

4

Śliczny dziś mamy dzień, prawda?

Elizabeth patrzyła na rozradowaną twarz siostry siedzącej po drugiej stronie kuchennego stołu. Uśmiech Susan był tak promienny, że ustępował jedynie samemu słońcu, które tego poranka zapowiadało kolejny pogodny dzień.

– Prawda? – powtórzyła natarczywie dziewczynka.

Elizabeth nie odpowiedziała. Siedziała w milczeniu, dłubiąc nożem w bułce, która starczała za całe jej śniadanie.

– Jeśli nie masz zamiaru tego jeść, to może ja dokończę? – spytał prosząco Lucas.

Elizabeth popchnęła talerz w stronę brata.

– Moment! Ja też chcę kawałek! – zawtórowała mu Jane.

Dziewczyna z powrotem przysunęła nakrycie, podzieliła zmasakrowaną bulkę na równe dwie części i odepchnęła od siebie.

– Coś jesteśmy nie w humorze – zauważyła Jane, łapiąc jedną połówkę.

– Żebyś wiedziała.

Jakby na dany znak, trójka młodszych Hotchkissów odchyliła się na swoich krzesłach i wymieniła porozumiewawcze spojrzenia. Elizabeth rzadko miewała zły humor, ale kiedy już wpadała w taki nastrój…

– Chyba pójdę na dwór się pobawić – rzucił Lucas, zrywając się szybko z miejsca i wywracając przy okazji krzesło.

– A ja chyba pójdę z tobą – dodała pośpiesznie Jane, wpychając do ust resztkę bułki.

Biegiem wypadli z kuchni. Elizabeth rzuciła Susan ostre spojrzenie.

– Ja tam nigdzie nie idę – oznajmiła dziewczynka. – Mamy zbyt wiele spraw do omówienia.

– Nie zauważyłaś przypadkiem, że nie jestem w nastroju do konwersacji?

Elizabeth sięgnęła po filiżankę. Herbata zdążyła już wystygnąć, więc dziewczyna odstawiła ją na stół i podniosła się, żeby zaparzyć świeżej.

Wczorajsze starania skończyły się całkowitym fiaskiem. Katastrofą, i to najgorszą z możliwych. Co ona sobie w ogóle wyobrażała? Zamiast pracować nad swoimi umiejętnościami towarzyskimi, paplała coś o rzepie.

O rzepie!

Nienawidziła rzepy!

Próbowała sobie wmawiać, że nie miała wyboru. Pan Siddons był człowiekiem bardziej skomplikowanym wewnętrznie, niż to się wydawało. Na dodatek najwyraźniej usiłował wciągnąć ją w jakąś dziwną grę. Ale żeby zacząć opowiadać o rzepie? Dlaczego tak się uparła na tę rzepę? I po co było mówić, że jakieś głupie warzywo może nauczyć człowieka skrupulatności? Dobry Boże, jak ona mu to wytłumaczy?

Pan Siddons zdążył już zapewne opowiedzieć lady Danbury o jej upodobaniu do warzyw korzeniowych. Zanim pojawi się w domu hrabiny, plotka zdąży obiec całą służbę od kuchni po stajnię i z powrotem. Będą się jej śmiać prosto w twarz. Nie bardzo martwiła się tym, że pan Siddons mógłby przestać być „markizem na niby”. Gorsza była świadomość, że będzie musiała pracować z nim przez całe miesiące, może nawet lata! A on z pewnością uznał ją za wariatkę.

Elizabeth zrobiła krok w stronę schodów.

– Chyba jestem chora.

– Ani mi się waż! – wykrzyknęła Susan, omijając łukiem stół i łapiąc ją za rękę. – Pójdziesz do domu hrabiny, nawet gdyby cię to miało zabić.

– To już mnie zabija. Uwierz mi na słowo.

Susan oparła wolną rękę o biodro.

– Nigdy nie myślałam, że jesteś tchórzem, Elizabeth Hotchkiss.

Elizabeth uwolniła swoją dłoń i spojrzała na siostrę płonącymi oczami.

– Bo nie jestem. Po prostu umiem rozpoznać bitwę, której wygrać nie można. I uwierz mi, tej brakuje tylko tabliczki z napisem „Waterloo”.

– Pod Waterloo to myśmy wygrali – rzuciła Susan ze złośliwym uśmieszkiem.

– To wyobraź sobie, że jesteśmy Francuzami – warknęła Elizabeth. – Mówię ci, pan Siddons to nie jest dobry obiekt.

– A czego mu brakuje?

– Czego mu brakuje? Czego mu brakuje? – głos Elizabeth przeszedł w pisk. – Niczego. Wszystkiego!

Susan podrapała się po głowie.

– Może to kwestia wieku albo też mój mózg jeszcze nie do końca się rozwinął, bo…

– Susan, proszę cię!

– …nie mam zielonego pojęcia, o czym ty mówisz. Skoro niczego mu nie brakuje…

– To niebezpieczny człowiek. Prowadził ze mną jakieś gierki.

– Jesteś pewna?

– Uwiódł setki kobiet, daję głowę.

– Zarządca? – spytała Susan z powątpiewaniem. – To oni nie są najczęściej niscy i grubi?

– Jest przystojny jak sam grzech. On…

– Przystojny jak grzech? Naprawdę? – Oczy Susan rozszerzyły się ze zdumienia. – Jak wygląda?

Elizabeth zamilkła na chwilę, próbując się nie zarumienić, gdy przed oczami stanęła jej twarz pana Siddonsa. Miał w sobie coś pociągającego, tylko co? Może to te jego usta. Kształtne, układające się często w delikatny

łuk, jakby znały tajemnicę jemu jedynie znanego żartu. Chociaż z drugiej strony, to mogły być oczy. Brązowe tak jak jego włosy, o odcieniu dość często spotykanym, powinny więc wydawać się zupełnie zwyczajne, ale miały w sobie jakąś głębię. A kiedy na nią kierowało się ich spojrzenie, czuła, że…

– Elizabeth?

Że robi się jej gorąco. Gorąco.

– Elizabeth!

– Co? – spytała z roztargnieniem.

– Jak on wygląda?

– Ach, tak. On… Na miłość boską, jak mam go opisać? Wygląda jak normalny mężczyzna.

– Jakiż precyzyjny opis! – powiedziała Susan drwiąco. – Przypomnij mi, żebym nie doradzała ci pracy w charakterze powieściopisarki.

– Nie ma szans, żebym mogła wymyślić historię równie idiotyczną jak ta, która mi się przydarza.

Susan spoważniała.

– Naprawdę tak źle ci poszło?

– Owszem – odparła Elizabeth z westchnieniem, w którym pobrzmiewała nutka zwątpienia i sporo irytacji. – Źle. Prawie nic nam nie zostało z pieniędzy po ojcu, a z tego, co zarabiam u lady Danbury, nie wyżyjemy, zwłaszcza kiedy minie termin zapłaty za wynajem domu. Muszę wyjść za mąż, a jedynym nieżonatym mężczyzną poza panem Nevinsem jest właśnie nowy zarządca hrabiny, a on nie dość, że jest aż za przystojny i niebezpieczny – no i ma mnie za kompletną wariatkę – to jeszcze zarabia zbyt mało, żeby się nadawać. Pytam cię więc – dodała głośniej i bardziej piskliwie – skoro już słusznie zauważyłaś, że nie zbiję majątku, publikując moje listy, co powinnam zrobić twoim zdaniem.

Założyła ręce, dość zadowolona z wygłoszonej przez siebie tyrady.

Susan zamrugała i spytała:

– Dlaczego ma cię mieć za wariatkę?

– Nieważne – zgrzytnęła Elizabeth. – Ważne jest to, że jestem w impasie.

– Akurat tak się składa – odparła Susan z przeciągłym, szerokim uśmiechem – że znam odpowiedź na twoje pytanie.

Elizabeth zobaczyła, że siostra sięga po coś, co miała za plecami, i czuła, jak kipi w niej złość.

– O, nie! Nie waż mi się z tym pchać przed oczy!

Ale Susan zdążyła już wyjąć i otworzyć książkę.

– Posłuchaj no tylko – powiedziała podekscytowana. – Edykt siedemnasty…

– To już doszłyśmy do siedemnastki?

– Oj, cicho bądź! „Edykt siedemnasty: Dopóki nie spotkasz swojego przyszłego męża, życie jest pasmem prób”.

Susan z zapałem pokiwała głową.

– Rozumiesz?

Cisza.

– Elizabeth?

– Żarty sobie ze mnie robisz?

Susan spojrzała na książkę, potem znowu na siostrę.

– Niee… Ja…

– Dawaj mi to! – Elizabeth wyszarpnęła tomik i zaczęła czytać:

„Dopóki nie poznasz swojego przyszłego męża, życie jest pasmem prób. Musisz zawsze przestrzegać niniejszych edyktów, stosować je wobec każdego napotkanego mężczyzny, nawet jeśli nie masz zamiaru go poślubić. Każdego mężczyznę traktuj jak markiza. Jeśli bowiem wypadniesz z nawyku wdrażania mych edyktów, nie będziesz pamiętać o swym nadrzędnym celu, gdy spotkasz odpowiedniego dżentelmena. Doskonal swe umiejętności. Bądź przygotowana. Twój markiz może czekać za rogiem”.

– Czy ta baba zupełnie zwariowała? – spytała Elizabeth. – Życie to nie bajka. Czy ona naprawdę myśli, że za każdym węgłem czeka jakiś markiz? Poza tym, wszystko to jest dość uwłaczające.

– Który fragment?

– Całość jest uwłaczająca. Ta kobieta twierdzi, że dopóki nie znajdę męża, właściwie nie istnieję. To niesłychane! Skoro nic nie znaczę, to co ja robię od ostatnich pięciu lat? Jak udało mi się utrzymać rodzinę razem? Na pewno nie siedząc z założonymi rękami i czekając, aż jakiś miły dżentelmen uzna za stosowne mnie poślubić!

Susan wybałuszyła oczy w niemym zdziwieniu. W końcu powiedziała:

– Nie sądzę, żeby chodziło jej…

– Wiem, że nie… – Elizabeth urwała nagle, trochę zawstydzona swoim wybuchem złości. – Przepraszam, nie chciałam… Zapomnij, że cokolwiek mówiłam.

– Na pewno? – spytała Susan cichutko.

– To nic – odparła Elizabeth szybko, odwracając twarz i spoglądając przez okno. Lucas i Jane bawili się ogródku. Wymyślili jakąś grę, do której wystarczał kawałek niebieskiej szmatki przywiązanej do patyka, i ganiali się, piszcząc z radości.

Przełknęła ślinę, czując, jak wzbierają w niej miłość i duma. Przesunęła po włosach palcami, aż zatrzymały się u nasady warkocza.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Nie powinnam była na ciebie krzyczeć.

– Nic nie szkodzi – odrzekła dziewczynka ze zrozumieniem. – Miałaś ostatnio dużo kłopotów. Wiem.

– To dlatego, że tak bardzo się martwię. – Elizabeth bezradnie potarła ręką czoło. Nagle poczuła się bardzo zmęczona i bardzo, bardzo stara. – Co za pożytek z próbowania sztuczek na panu Siddonsie, skoro nie mam na widoku odpowiedniego kandydata?

– U lady Danbury ciągle są goście – powiedziała Susan z nadzieją. – Prawda? Sama mówiłaś, że ma bogatych i utytułowanych znajomych.

– Tak, ale daje mi wtedy wolne. Mówi, że nie potrzebuje mojego towarzystwa, skoro nie jest sama.

– Będziesz musiała coś wymyślić. Jakiś powód, który usprawiedliwi twoje przyjście. A co z tym przyjęciem pod koniec miesiąca? Mówiłaś, że lady Danbury zawsze cię zaprasza.

– To bal kostiumowy, nie zwykłe przyjęcie.

– To jeszcze lepiej! Mogłybyśmy sobie nie poradzić z uszyciem modnej sukni, ale z kostiumem na pewno damy sobie radę. Nie musisz koniecznie wybrać szczególnie eleganckiego przebrania.

Susan gestykulowała z ożywieniem i przez jedną ulotną chwilę Elizbeth odniosła wrażenie, że patrzy na samą siebie, kiedy miała czternaście lat i jeszcze wierzyła, że wszystko jest możliwe. Zanim ojciec umarł i zostawił ją z całą masą obowiązków. Zanim odszedł, zabierając ze sobą beztroskę jej dzieciństwa.

– Jakież my jesteśmy do siebie podobne – powiedziała głosem cichszym niż szept.

Susan zamrugała.

– Słucham?

– Nic, nic. Tylko że… – Elizabeth zamilkła na chwilę i uśmiechnęła się melancholijnie. – Tylko że patrzę teraz na ciebie i przypomina mi się, jak bardzo byłam do ciebie podobna.

– A teraz już nie jesteś?

– Nie, w zasadzie nie. No, może czasami, ale tylko przez chwilkę. – Pochyliła się i impulsywnie ucałowała siostrę w policzek. – Te momenty lubię najbardziej.

Susan zamrugała, by odegnać coś, co podejrzanie przypominało łzy, zanim jej twarz odzyskała zwykły, rzeczowy wyraz.

– Wróćmy do tematu.

– Już nie pamiętam, o czym rozmawiałyśmy – odparła z uśmiechem Elizabeth.

– Kiedy lady Danbury spodziewa się gości? – spytała Susan niecierpliwie. – Nie mówię o tym balu. Zwykłych gości.

– Gości, mówisz – odparła Elizabeth ponuro. – Pod koniec tygodnia. Słyszałam, że wtedy odbędzie się kameralne garden party. W sumie raczej spotkanie towarzyskie niż uroczyste przyjęcie. Sama wypisywałam zaproszenia.

– Dla ilu osób?

– Nie więcej niż dziesięciu czy dwunastu. Całe przyjęcie potrwa zaledwie kilka godzin. Jakkolwiek by na to patrzeć, jest stąd wystarczająco blisko do Londynu, żeby można było odbyć podróż w obie strony tego samego dnia.

– Musisz na nie pójść.

– Susan, przecież nie dostałam zaproszenia!

– Z pewnością tylko dlatego, że hrabina sądzi, że byś je odrzuciła. Jeśli jej powiesz…

– Nie będę się prosić – powiedziała z żarem Elizabeth. – Nawet ja mam tyle dumy, by…

– A nie możesz w piątek zostawić czegoś przypadkiem u niej w domu? Wtedy musiałabyś pójść po coś w sobotę. – Na twarzy Susan malowało się więcej nadziei niż przekonania. – Może wtedy poprosiłaby cię, byś została.

– I sądzisz, że nie wyda się to lady Danbury odrobinę dziwne? – zakpiła Elizabeth. – Pracuję u niej od pięciu lat, ale ani razu nie zdarzyło mi się czegoś u niej zostawić.

– Może tak, może nie – Susan wzruszyła ramionami. – Nie dowiesz się, póki nie spróbujesz. Na pewno nie znajdziesz męża, jeśli będziesz się tu chować całymi dniami.

– Dobrze już – zgodziła się niechętnie Elizabeth. – Tak zrobię. Ale dopiero po tym, jak sprawdzę listę gości, i tylko wtedy, gdy będę miała

pewność, że znajdzie się wśród nich chociaż jeden nieżonaty mężczyzna. Nie zamierzam poniżać się przed hrabiną tylko po to, by przekonać się, że zaprasza samych szczęśliwych żonkosi.

Susan zaklaskała w ręce.

– Świetnie! Tymczasem poćwicz na tym panu…

– Nie! – ucięła twardo Elizabeth. – Wykluczone!

– Ale…

– Powiedziałam. Nie będę za nim ganiać.

– No i dobrze. Wcale nie musisz tego robić. Zdaniem pani Seeton wręcz nie wolno ganiać za mężczyzną. Ale gdybyś się na niego przypadkiem natknęła…

– Nie sądzę. Tym bardziej że zamierzam go unikać, jakby roznosił dżumę.

– Ale gdybyś już…

– Susan! – Elizabeth wbiła w siostrę swoje najsurowsze spojrzenie.

– No tak, ale jeżeli…

Elizabeth uniosła dłoń w ostrzegawczym geście.

– Ani słowa więcej, Susan. Teraz pójdę do domu Danbury, gdzie zajmę się lady Danbury i tylko nią. Zrozumiano?

Mała kiwnęła głową bez przekonania.

– Zatem, do widzenia! Jestem pewna, że kiedy wrócę, nie będzie czego opowiadać – powiedziała Elizabeth z mocą, podeszła do drzwi i otworzyła je jednym silnym pchnięciem. Pod nosem zaś dodała: – Będzie dziś strasznie nudno. Krańcowo, cudownie nudno, ot co. A pana Siddonsa najpewniej nawet nie zobaczę.

Myliła się jednak. I to jak! Natknęła się na niego przy drzwiach wejściowych, gdzie stał, wyraźnie na nią czekając.

– Panno Hotchkiss! – zawołał na jej widok z radością, która wydała się Elizabeth nieco przesadzona. – Cieszę się, że znowu się spotykamy.

Elizabeth wahała się między chęcią natychmiastowej ucieczki w głąb domu i pragnieniem starcia mu z twarzy tego wyrażającego pewność uśmiechu. Duma przeważyła – dziewczyna uniosła jasne brwi we wzgardliwym grymasie, którego nauczyła się od lady Danbury, i rzuciła lodowato:

– Doprawdy?

Kącik jego ust uniósł się jakby w półuśmiechu.

– Pani mi nie wierzy?

Elizabeth syknęła przeciągle przez zaciśnięte zęby. I co teraz, do diabła! Przysięgła sobie, że nie będzie ćwiczyć edyktów pani Seeton na tym człowieku. To oczywiste, że był zbyt biegły w sztuce flirtu, żeby dać się zwieść jej żałosnym podchodom.

A po wczorajszej wpadce z rzepą musi ją uważać za kompletną parweniuszkę. Na usta Elizabeth cisnęło się pytanie: Czego, do diabla, on znowu od niej chce?

– Panno Hotchkiss – zaczął, nie czekając dłużej na odpowiedź. – Miałem nadzieję, że mogłaby się między nami zawiązać swoista przyjaźń. Przecież oboje będziemy tu przez jakiś czas pracować. I oboje znajdujemy się, by tak rzec, w stanie zawieszenia – zbyt dobrze wychowani, by dobrze się czuć wśród służby, ale też nie na prawach rodziny.

Zastanawiała się nad słowami zarządcy – lub też raczej nad podejrzanie przyjaznym tonem jego głosu. A potem spojrzała na jego twarz, która wydawała się równie szczera i pełna ciepła.

Ale nie oczy. W ich przepastnej, mrocznej głębi czaiło się coś… niepokojącego.

– Dlaczego jest pan dla mnie taki miły? – spytała nieoczekiwanie.

Drgnął zaskoczony i wykrztusił:

– Nie rozumiem.

Wycelowała w niego palec i pokiwała nim wolniutko.

– Wiem, do czego pan zmierza, i niech pan nie liczy na to, że się dam nabrać.

Uniósł brew, czym ją jeszcze bardziej rozgniewał – minę wyrażającą święte oburzenie miał opanowaną lepiej niż ona – po czym powtórzył:

– Pani wybaczy, ale naprawdę nie rozumiem.

– No, wie pan. Jest pan bardzo czarujący.

Otworzył usta, by odrzec po chwili:

– Pozostaje mi tylko podziękować za komplement.

– Nie wiem, czy to był komplement.

– Ale mógł być? – spytał żartobliwie.

Pokręciła przecząco głową.

– Czegoś pan ode mnie chce.

– Pani przyjaźni i tylko przyjaźni.

– Nie, czegoś pan chce i czaruje mnie, żeby swój cel osiągnąć.

– Czy to działa?

– Nie!

Westchnął teatralnie.

– Cóż, szkoda. Zazwyczaj mi się udaje.

– Przyznaje się pan zatem?

– Nie mam chyba innego wyjścia. – Podniósł obie ręce w geście poddania. – Ale jeśli chce pani, bym odpowiedział na jej pytania, musi mi pani poprawić humor i przejść się ze mną bodaj na krótki spacer.

Pokręciła głową. Pójść z nim na spacerek, jeszcze czego. To byłby duży błąd.

– Nie mogę. Lady Danbury na mnie czeka.

Wyjął zegarek kieszonkowy i uchylił wieczko.

– Nie przez najbliższy kwadrans – oznajmił.

– A skąd pan wie? – spytała.

– Może przypomina sobie pani, że nająłem się u pani hrabiny w charakterze zarządcy?

– Owszem, ale nie sekretarza. – Elizabeth splotła ręce na piersi. – Zarządcy nie zajmują się ustalaniem rozkładu dnia dla swoich chlebodawczyń.

Nie była do końca pewna, ale odnosiła wrażenie, iż zaczął patrzeć na nią cieplej i z większą uwagą.

– Zawsze byłem zdania – odparł – że najważniejsza w życiu jest dobra orientacja. Lady Danbury ma swoje wymagania. Uznałem więc za stosowne zapoznać się z jej rozkładem dnia, by go nie zakłócać.

Elizabeth postanowiła więcej się nie odzywać. Cholera jasna, musiała przyznać mu słuszność! Pierwszą rzeczą, jaką sama zrobiła, gdy tylko zaczęła pracować dla hrabiny, było nauczenie się owego rozkładu na pamięć.

– Widzę, że pani się ze mną zgadza, choć nie chce mi pani uczynić zaszczytu, przyznając rację.

Wbiła w niego pałające oczy. Cóż za arogancja!

– Niech pani nie odmawia – poprosił żarliwie. – Z pewnością może pani stracić kilka minut, żeby pomóc przybyszowi rozeznać się w okolicy.

– No dobrze – poddała się dziewczyna. Nie mogła odmówić mu teraz, gdy prośbę o jej towarzystwo zamienił w prośbę o pomoc. Nigdy nie umiała obojętnie przejść obok człowieka w potrzebie. – Przejdę się z panem. Ale mam nie więcej niż dziesięć minut.

– Cóż za hojność – mruknął Siddons pod nosem, biorąc ją pod rękę.

Elizabeth przełknęła ślinę, gdy jego dłoń spoczęła na wewnętrznej stronie jej łokcia. I znowu ogarnęło ją to dziwne, zapierające dech w piersiach uczucie, którego doświadczała za każdym razem, gdy zarządca znajdował się w pobliżu. Najgorsze jednak było to, że on sam wydawał się nic nie tracić ze swojego chłodu i opanowania.

– Może przejdziemy się po ogrodzie różanym – zaproponował.

Kiwnęła głową, niezdolna odezwać się słowem. Czuła na ramieniu ciepło rozchodzące się od jego dłoni i zabrakło jej tchu.

– Panno Hotchkiss?

Przełknęła ślinę i cudem wydobyła z siebie głos.

– Tak?

– Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że tak się za panią uganiam?

– Ależ skąd! – pisnęła.

– To dobrze – odparł James z uśmiechem. – Nie wiem, do kogo innego mógłbym się zwrócić.

Zerknął na nią z ukosa i dostrzegł na jej policzkach rozkoszny rumieniec.

W milczeniu przeszli pod kamiennym łukiem prowadzącym do różanego ogrodu. James poprowadził Elizabeth w prawo, tak że musieli minąć chlubę domu Danbury – szkarłatne róże szkockie, teraz w pełnym rozkwicie, opalizujące bogactwem odcieni. Pochylił się nad jedną z nich, by ją powąchać. W istocie grał na zwłokę i zastanawiał się, jak powinien wyglądać jego następny krok.

Myślał o tej dziewczynie całą noc i sporą część poranka. Sprytu jej nie brakowało i na pewno miała podejrzane zamiary. Przez długie lata zajmował się dekonspirowaniem tajemnych spisków, więc teraz bez trudu zauważał, że ktoś zachowuje się podejrzanie. A instynkt podpowiadał mu, że podczas ich poprzedniego spotkania panna Hotchkiss zachowywała się co najmniej dziwnie.

Na początku wydawało mu się mało prawdopodobne, by miała okazać się szantażystką. Praktycznie rzecz biorąc, nie mogła mieć więcej niż jakieś dwadzieścia lat, a już na pewno nie była starsza od Melissy, która skończyła trzydzieści dwa. Nie mogła zatem wiedzieć o romansie lady Danbury z pierwszej ręki.

Z drugiej strony, mieszkała tu od dziecka. Być może rodzice wtajemniczyli ją w sprawy hrabiny. W małych miasteczkach sekrety nie umierały szybko, przekazywano je z ust do ust przez całe lata.

Nie mówiąc już o tym, że panna Hotchkiss miała swobodny dostęp do wszystkiego, co mieściło się w domu Danbury. Jeżeli ciotka Agatha przechowywała w ukryciu jakieś obciążające dowody, któż mógłby łatwiej się na nie natknąć, jak nie jej dama do towarzystwa?

Którymkolwiek tropem by ruszył, każdy nieodmiennie prowadził go do panny Hotchkiss.

Ale żeby ją zdemaskować, musiał najpierw pozyskać jej zaufanie. Albo przynajmniej uśpić czujność na tyle, by jakieś mimowolne zwierzenie mogło wymknąć się przez te słodkie różane usteczka. Założył, że najłatwiej przyjdzie mu ten cel osiągnąć, prosząc o pomoc – największą słabością podobnych jej kobiet była właśnie bezgraniczna uczynność. Niemożliwością było zatem, by odmówiła jego uprzejmej prośbie. Nawet gdyby faktycznie szantażowała jego ciotkę – wtedy uznałby ją za straszną egoistkę – musiałaby dbać o zachowanie pozorów. Panna Elizabeth Hotchkiss, dama do towarzystwa, nie może pozwolić sobie na zachowanie inne niż wdzięczne i uprzejme.

– Wie pani zapewne, że jestem tu nowy – zaczął ostrożnie.

Skinęła głową, ale oczy miała czujne.

– A pani wczoraj mówiła, że mieszka tu od dziecka.

– Tak…

Uśmiechnął się serdecznie.

– Muszę wyznać, że potrzebuję przewodnika. Kogoś, kto pokazałby mi miejscowe zabytki. Albo przynajmniej o nich opowiedział.

– Miejscowe zabytki? Jakie? – zamrugała oczami.

Psiakrew. Znowu dał się złapać. W żaden sposób nie można było powiedzieć, by okoliczne wsie słynęły ze swej historii i kultury.

– Może użyłem słowa „zabytek” dość niefortunnie – próbował ratować sytuację. – Ale każda wioska ma swoje ciekawostki i żeby móc wywiązać się z moich obowiązków zarządcy, powinienem o nich wiedzieć.

– Słusznie – odparła z namysłem, kiwając głową. – Oczywiście nie wiem, co by pana dokładnie interesowało. Nigdy nie zarządzałam posiadłością. Zresztą wcale mnie nie dziwi, że pan także ma pewne wątpliwości, zważywszy, że to pana pierwsza posada tego rodzaju.

Rzucił jej ostre spojrzenie.

– Tego nie powiedziałem.

Zatrzymała się i spytała:

– Nie? A wczoraj, kiedy mówił pan, że przybywa z Londynu?

– Powiedziałem, że w Londynie nie pracowałem jako zarządca, a nie że nigdy nie zarządzałem posiadłościami.

– Ach, tak… – Odwróciła twarz w jego stronę i spojrzała badawczo. – A gdzie, skoro nie w Londynie, jeśli można?

Ta piekielna pannica bez wątpienia próbowała pociągnąć go za język! Dlaczego – nie wiedział, ale o tym, że starała się go wybadać, był głęboko przekonany. Co bynajmniej nie oznaczało, iż zamierzał na to pozwolić. James Sidewell pracował w przebraniu więcej razy, niż by umiał zliczyć, i nie zdradził się ani razu.

– W Buckinghamshire – odparł. – Tam się wychowałem.

– Słyszałam, że to piękne okolice – rzuciła uprzejmie. – Czemu pan je opuścił?

– Z takich samych powodów, jak wszyscy.

– To znaczy?

– Dlaczego to panią ciekawi?

Zbyła go wzruszeniem ramion.

– Jestem ciekawska z natury. Niech pan spyta kogokolwiek, kto mnie zna.

Umilkł i pochylił się, by zerwać różę.

– Piękne te kwiaty, prawda?

– Panie Siddons – powiedziała nagle z wyreżyserowanym westchnieniem – obawiam się, że nie wie pan o mnie czegoś ważnego.

James niemal wstrzymał oddech w oczekiwaniu na zwierzenia, które musiały niechybnie nastąpić.

– Mam trójkę młodszego rodzeństwa.

Zamrugał nerwowo. Co to, u diabła, miało do rzeczy?

– Dlatego też – kontynuowała tonem, który zasiał w Jamesie pewne wątpliwości, czy może spodziewać się czegokolwiek ponad żartobliwą uwagę – mam pewną wprawę w poznawaniu, czy ktoś próbuje wykręcić się od odpowiedzi. W rzeczy samej, moje rodzeństwo twierdzi, że jestem w tym wręcz przerażająco wprawna.

– Nie wątpię – mruknął.

– Jednakże – dodała uprzejmie – nie jesteśmy rodzeństwem i nie ciąży na panu obowiązek zwierzania się mi ze swojej przeszłości. Każdy ma prawo do tajemnic.

– Ee, bez wątpienia… – odparł, zastanawiając się, czy przypadkiem nie pomylił się co do niej. Chyba nie była nikim więcej niż miłą, prostą panienką.

Uśmiechnęła się do niego.

– Ma pan jakieś rodzeństwo, panie Siddons?

– Ja? Nie, żadnego. Dlaczego pani pyta?

– Jak już mówiłam, jestem nieuleczalnie ciekawska. Poza tym można się wiele dowiedzieć o charakterze człowieka, słuchając o jego rodzinie.

– A czego można się dowiedzieć o pani charakterze, panno Hotchkiss?

– Że jestem lojalna, jak sądzę. I że dla brata i sióstr byłabym zdolna do wszystkiego.

Nawet do szantażu? Nachylił się ku niej lekko, ale i to wystarczyło, by usta dziewczyny zadrgały. Widok ten napawał go prymitywną satysfakcją.

Wpatrywała się w Jamesa bez słowa, zbyt niedoświadczona, by wiedzieć, jak radzić sobie z takim męskim drapieżcą. Oczy miała ogromne, o odcieniu najczystszego i najciemniejszego błękitu, jaki mu się zdarzyło w życiu widzieć.

Serce zaczęło bić mu szybciej.

– Panie Siddons?

Oblała go fala gorąca.

– Panie Siddons!

Będzie ją musiał pocałować. Nie miał innego wyjścia. Od lat nie powziął równie głupiej i nieprzemyślanej decyzji, ale teraz nie było siły zdolnej go od niej odwieść. Przysunął się do dziewczyny, tak że ich ciała zetknęły się, i pochylał się coraz bardziej, rozkoszując się oczekiwaniem chwili, gdy jego usta spoczną na jej ustach i…

– Uj!

Co u licha?

Wydała z siebie dziwny, ptasi dźwięk i szarpnęła się do tyłu, młócąc rękami w powietrzu. Najwidoczniej się poślizgnęła. Na czym – nie miał pojęcia, bo ziemia była wyschnięta na wiór. Poślizgnęła się jednak i machając szybko rękami, żeby odzyskać równowagę, uderzyła go prosto w podbródek.

– Au! – zawył.

– Och, bardzo przepraszam! – powiedziała szybko i rzuciła się w jego stronę.

– Aua! – krzyknął, gdy nadepnęła mu na stopę.

– Przepraszam! Przepraszam! – jęknęła, potwornie zmieszana. W normalnej sytuacji nie przepuściłby okazji, żeby wziąć ją na spytki, ale teraz stopa bolała go jak diabli.

– Nic mi nie jest, panno Hotchkiss – wykrztusił. – Wystarczy, żeby pani zeszła z mojej nogi i…

– Och, przepraszam – powtórzyła po raz setny i cofnęła się.

Poruszył palcami u nogi i skulił się z bólu.

– Przepraszam – usłyszał znowu i aż się wzdrygnął.

– Niechże już pani przestanie.

– Ale…

– Nalegam!

– Niech mi pan chociaż pozwoli opatrzyć tę stopę – rzekła skruszona, pochylając się.

– Nie! Proszę!

James mógł na palcach jednej ręki zliczyć sytuacje, w których przybranie błagalnego tonu wydawało się mu na miejscu. Teraz uznał, że jest w zupełności usprawiedliwiony.

– Dobrze więc – ustąpiła w końcu i dodała, prostując się: – Ale powinnam…

Łup!

– Moja głowa! – pisnęła Elizabeth, masując się po czaszce.

– Moja broda… – z trudem wykrztusił James.

W błękitnych oczach dziewczyny malowały się wstyd i zatroskanie.

– Przepraszam!

– Cóż za precyzja – zauważył ironicznie, mrużąc z bólu oczy. – Dokładnie w to samo miejsce, w które przyłożyła mi pani poprzednim razem.

W odpowiedzi usłyszał kolejne zdławione przeprosiny. I wtedy właśnie popełnił kardynalny błąd. Chwilę później ślubował sobie przenigdy nie zamykać oczu w towarzystwie podejrzanie niezręcznych panienek, choćby i najbardziej pociągających, nagle bowiem Elizabeth wydała z siebie pisk i całym ciałem zwaliła się na niego, przewracając go na ziemię. Lub też raczej James spodziewał się, że upadnie na ziemię. I zapewne wolałby, żeby tak się stało, gdyby przemknęła mu przez myśl inna możliwość. Wręcz by sobie tego życzył. Byłoby to o wiele przyjemniejsze od lądowania na krzaku róży.

5

*P*rzepraszam!

– Niechże już pani przestanie – warknął, zastanawiając się nad tym, która część jego ciała ucierpiała najdotkliwiej.

– Ale naprawdę mi przykro – zakwiliła. – Pomogę panu wstać.

– Nie! – krzyknął rozpaczliwie, po czym już nieco spokojniej dodał: – Niech mnie pani nie dotyka. Proszę.

Na jej twarzy malowało się przerażenie. Zaczęła podejrzanie szybko mrugać i przez chwilę James sądził, że dziewczyna wybuchnie płaczem.

– Nic się nie stało. Nie potłukłem się… – zmusił się do kłamstwa, a widząc jej pełną niedowierzania minę, dodał: – …tak bardzo.

Przełknęła ślinę.

– Taka ze mnie niezgraba! Nawet Susan nie chce ze mną tańczyć.

– Susan?

– Moja siostra. Ma czternaście lat.

– Aha – bąknął i dodał pod nosem: – Niegłupia dziewczyna!

– A może jednak pomóc panu wstać? – spytała, przygryzając dolną wargę.

James, który od dłuższej chwili usiłował dyskretnie wyplątać się ze swojego kolczastego więzienia, zdążył tymczasem pogodzić się z myślą, że w pojedynku z różanym krzakiem poniósł druzgocącą porażkę.

– Podam pani rękę, a pani pociągnie ją najpierw w górę, a potem do siebie. Zrozumiano? – nakazał jej, cedząc słowo po słowie.

Skinęła głową.

– Nie w bok, nie do siebie, nie…

– Powiedziałam, że rozumiem! – warknęła. Zanim zdążył zareagować, złapała go za rękę i wyciągnęła z krzaka.

Przez chwilę tylko gapił się na nią w milczeniu, zaskoczony siłą kryjącą się w jej drobnym ciele.

– Jestem niezdarą – oznajmiła po chwili – nie idiotką.

I znowu zaniemówił. Drugi raz w tak krótkim czasie, to musi być nowy rekord.

– Pokaleczył się pan? – spytała szorstko, wyjmując kolec z poły jego kurtki, a potem drugi z rękawa. – Ma pan podrapane ręce. Trzeba było włożyć rękawiczki.

– Za gorąco na rękawiczki – mruknął James, przyglądając się jej, gdy zdejmowała z jego ubrania kolejne kolce. Musiała być zupełnie niewinna – kobieta z jakimkolwiek doświadczeniem, chociażby w zwykłym flircie, nie stałaby tak blisko, nie błądziłaby tak swobodnie rękami po jego ciele…

No dobrze, może troszkę popuścił wodze wyobraźni. Nie mógł wszak powiedzieć, żeby Elizabeth wodziła rękami po całym jego ciele, chociaż skutek był taki sam. Stała tak blisko. Wystarczyłoby, żeby wyciągnął rękę i mógłby dotknąć jej włosów, przekonać się, czy naprawdę są tak miękkie i… Boże, czuł nawet jej zapach.

Reakcja była natychmiastowa.

Elizabeth cofnęła dłoń i podniosła na niego wzrok. W błękitnych oczach malowała się niewinność.

– Coś się stało?

– Co by się miało stać? – spytał zdławionym głosem.

– Tak pan zesztywniał.

Uśmiechnął się, chociaż nie było mu do śmiechu. Gdyby tylko wiedziała…

Wyciągnęła kolejny kolec, tym razem z kołnierza jego kurtki.

– Głos też pan ma jakiś dziwny.

Zakasłał, starając się zignorować przypadkowe muśnięcie jej palców na swoim policzku.

– To chrypka – odrzekł niewyraźnie.

– Aha. – Cofnęła się i oceniła wzrokiem swoje dzieło. – Ojej, przegapiłam jeden.

Podążył za jej spojrzeniem… prosto na swoje udo.

– Ja wyjmę – powiedział szybko.

Zarumieniła się.

– Tak będzie najlepiej, ale..

– Ale?

– Został jeszcze jeden – wykrztusiła, zakłopotana, wykonując ręką nieokreślony gest.

– Gdzie? – zapytał po to tylko, by ją bardziej zawstydzić.

– Tam. Trochę wyżej – wskazała palcem i odwróciła się, czerwona jak burak.

James wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zdążył już zapomnieć, jak przyjemnie jest przyprawiać damę o rumieniec.

– Po kłopocie. Wszystkie kolce wyjęte?

Odwróciła się przodem, zlustrowała go wzrokiem i skinęła głową.

– Naprawdę najmocniej przepraszam za ten… hm… krzak – powiedziała, przechylając głowę ze skruchą. – Naprawdę mi przykro!

Kiedy James po raz kolejny usłyszał słowo „przepraszam”, miał przemożną ochotę chwycić ją za ramiona i solidnie nią potrząsnąć.

– Tak, tak. Odnoszę wrażenie, że już to ustaliliśmy.

Jej delikatna dłoń powędrowała do policzka w geście zatroskania.

– Ale pan jest podrapany na twarzy! Wypadałoby przemyć ranki i… Co pan tak węszy?

Poczuł się przyłapany na gorącym uczynku.

– A węszę?

– Owszem.

Posłał jej swój najbardziej chłopięcy uśmiech.

– Pachnie pani różami.

– O, nie – odparła z rozbawieniem – to pan pachnie różami!

James zaczął się śmiać. Bolał go podbródek, w który mu przyłożyła dwa razy, pulsowała stopa, na którą nadepnęła, ciało miał zmaltretowane, jakby tarzał się w różach, co zresztą nie było wcale dalekie od prawdy. Mimo to śmiał się w najlepsze.

Zerknął na pannę Hotchkiss, która przygryzała dolną wargę i mierzyła go podejrzliwym wzrokiem.

– Proszę się nie obawiać, nie postradałem zmysłów – rzucił z beztroskim uśmiechem. – Chociaż może to tak wyglądać, bo chciałbym przyjąć pani pomoc medyczną.

Pokiwała żywo głową.

– Najlepiej od razu wróćmy do domu. Lady Danbury trzyma leki w pokoiku koło kuchni. Z pewnością znajdziemy tam jakąś maść czy choćby wodę utlenioną.

– Czy pani opatrzy te… hm…

– Zadrapania? – dokończyła za niego pytanie i dodała z ironicznym uśmiechem: – Proszę się nie martwić. Nawet ja mam wystarczająco lekką rękę, żeby móc zająć się nimi, nie wysyłając pana na tamten świat. Przemywałam już więcej skaleczeń, niż pan myśli.

– Młodsze rodzeństwo?

Skinęła głową.

– Z zamiłowaniem do przygód. Nie dalej jak wczoraj Jane i Lucas poinformowali mnie, że zamierzają zbudować podziemny fort – zaśmiała się bez przekonania. – Powiedzieli, żebym ścięła nasze jedyne drzewo, bo potrzebują drewna na rusztowanie. Sama nie wiem, skąd biorą takie pomysły, ale… Och, przepraszam. To nieuprzejme z mojej strony tak paplać o moich bliskich.

– Nie, nie – odparł James. – Słucham z przyjemnością. Musi pani mieć wspaniałą rodzinę.

Spojrzenie jej złagodniało. Odniósł wrażenie, że myślami znalazła się gdzieś daleko, w miejscu – sądząc po rozmarzonym uśmiechu – bardzo jej drogim.

– Bo to prawda – przytaknęła. – Naturalnie kłócimy się i spieramy, jak to w rodzinie, ale… No proszę! Znowu to samo. A chciałam pana tylko zapewnić, że zdobyłam wystarczająco dużo doświadczenia w opatrywaniu takich ranek.

– W takim razie – rzucił niezwykle szarmancko – bez wahania oddaję się w pani ręce. Czym jest opatrzenie kilku błahych zadrapań dla osoby, która umie zatroszczyć się o małe dzieci!

– Miło mi słyszeć, że zdałam egzamin – odparła cierpko.

Wyciągnął do niej rękę.

– Zawieszenie broni? Mam w pani przyjaciółkę?

– Niech i tak będzie. – Kiwnęła głową.

Wychodząc z ogrodu, rozmawiali i śmiali się w najlepsze. Dopiero w połowie drogi do domu hrabiny James przypomniał sobie, że podejrzewa Elizabeth o szantaż.

Elizabeth zamoczyła róg chusteczki w ostro pachnącym płynie.

– Może trochę szczypać – uprzedziła.

Pan Siddons wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Uważam się za osobę wystarczająco odporną na… Au! Co to jest?

– Mówiłam, że może szczypać.

– Szczypać tak, ale nie nadgryźć, a to mnie wyraźnie ugryzło!

Elizabeth uniosła słoiczek na wysokość nosa i powąchała.

– Sama nie wiem. Pachnie jak brandy. Chociaż równie dobrze może to być jakiś inny alkohol. Ja tego nie robiłam.

– A kto? – zapytał z komicznym przerażeniem na twarzy.

– Lady Danbury.

– Tego się obawiałem – jęknął.

Elizabeth spojrzała na niego podejrzliwie.

– Dlaczego miałby się pan tego obawiać? Przecież prawie jej pan nie zna?

– To prawda, ale nasze rodziny znają się od lat. Niech mi pani wierzy, dla pokolenia moich rodziców hrabina stanowi żywą legendę.

– Och, wierzę, wierzę! – zaśmiała się Elizabeth. – Uchodzi za legendę i w moim pokoleniu. Wszystkie dzieci z naszej wioski mdleją na jej widok.

– W to jestem skłonny uwierzyć – odparł sucho pan Siddons.

– Zakładałam, że nie znał pan hrabiny do swojego przyjazdu – rzuciła, zwilżając ponownie chusteczkę.

– Znałem. Zapewne właśnie dlatego – skulił się, gdy chustka dotknęła jego czoła – mnie zatrudniła. Uznała pewnie, że może mi bardziej zaufać niż komuś poleconemu przez agencję.

– Dziwne. Przed pańskim przyjazdem hrabina zwolniła mnie wcześniej, by przejrzeć księgi rachunkowe i sprawdzić, jak się mają jej sprawy finansowe, żeby pan jej nie mógł oskubać do gołej skóry.

– Tak powiedziała? – James zakasłał, żeby ukryć chichot.

– Mhm… – Pochyliła się do przodu i zwężając w skupieniu oczy, poddała jego twarz drobiazgowym oględzinom.

– Ale nie brałabym tego do siebie. Zachowałaby się tak samo, nawet gdyby chodziło o jej rodzonego syna.

– Zwłaszcza o niego.

Roześmiała się.

– Widzę, że naprawdę ją pan zna. Wiecznie na niego narzeka.

– Opowiadała pani, jak utknął z głową między sztachetami…

– …przed zamkiem Windsor? Tak – zachichotała, przykrywając ręką usta. – Uśmiałam się jak nigdy.

James odwzajemnił jej uśmiech. Sama bliskość Elizabeth rozbrajała go i czuł się tak, jakby miało mu się zakręcić w głowie.

– Zna go pani?

– Cedrica? – Odsunęła się nieco, żeby móc swobodnie rozmawiać. – Chociaż powinnam była raczej powiedzieć „lorda Danbury'', prawda?

Wzruszył ramieniem.

– W moim towarzystwie może go pani nazywać, jak jej się żywnie podoba. Ja chociażby nazywam go…

Pokiwała ostrzegawczo palcem.

– Bardzo niełądnie, panie Siddons. Próbuje mnie pan nakłonić do powiedzenia czegoś, czego mogę potem żałować.

Posłał jej lubieżny uśmieszek.

– Wolałbym raczej wymóc na pani zrobienie czegoś, czego mogłaby pani potem żałować.

– Panie Siddons! – odparła karcąco.

Wzruszył ramionami.

– Pani wybaczy…

– Tak się składa, że znam nowego lorda Danbury – oznajmiła, patrząc na niego spod oka na znak, że temat rozmowy uległ zmianie. – Naturalnie, nie jest to bliska znajomość. Jest ode mnie trochę starszy i nie mieliśmy okazji bawić się razem jako dzieci. Ale czasem odwiedza matkę i zdarza się nam spotykać.

James uświadomił sobie, że gdyby Cedric zapragnął w najbliższym czasie odwiedzić swoją rodzicielkę, kamuflaż zarządcy nie zdałby się na nic. Nawet gdyby ciotka Agatha zdążyła zapoznać Cedrica z sytuacją, on i tak nie umiałby trzymać gęby na kłódkę. Ten człowiek nie wiedział, co to dyskrecja, nie mówiąc już o tym, że nie miał krzty zdrowego rozsądku.

James w zamyśleniu pokręcił głową. Głupota nie jest dziedziczna, dzięki Bogu.

– Co się stało? – zagadnęła go panna Hotchkiss.

– Nic. Dlaczego pani pyta?

– Kręcił pan głową.

– Naprawdę?

Potaknęła.

– Nie byłam wystarczająco delikatna? Przepraszam.

Uwięził dłoń Elizabeth w swojej, zapatrzony w jej twarz.

– Nawet anioł nie byłby delikatniejszy.

Oczy dziewczyny się rozszerzyły. Na ulotną chwilę ich spojrzenia spotkały się, po czym opuściła wzrok na ich stykające się dłonie. James spodziewał się jakichś protestów, ale dziewczyna milczała. Wypuszczając rękę Elizabeth ze swojej, powiódł kciukiem po jej nadgarstku.

– Proszę mi wybaczyć – poprosił cicho. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Nic… nic nie szkodzi – wyjąkała. – Przeżył pan nie lada szok. Nie co dzień człowiek ląduje na krzaku róży.

Nie odpowiedział. Odwrócił twarz w bok, gdy przemywała zadrapanie koło jego ucha.

– Proszę się nie ruszać – poprosiła miękko. – Muszę przemyć najgłębszą rankę.

Zamknął usta, a Elizabeth pochyliła się nad nim, wstrzymując oddech. Skaleczenie zaczynało się poniżej lewego kącika ust i szło łukowato do zagłębienia pod dolną wargą.

– Jeszcze tu – wymamrotała. – Zaraz… och, niech się pan jeszcze chwilę nie rusza. Zaraz…

Ugięła lekko nogi w kolanach, by ich twarze znalazły się na tej samej wysokości. Delikatnie naciągnęła palcami skórę.

– No już, już… – wyszeptała, zdumiona. Serce tłukło się jej w piersi tak głośno, że nie spodziewała się usłyszeć własnego głosu.

Nigdy wcześniej nie stała tak blisko mężczyzny, a obecność Jamesa budziła w niej najdziwniejsze odczucia. Miała niepojętą ochotę pozwolić

palcom błądzić po jego twarzy i wygładzić kształtne łuki potarganych ciemnych brwi.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała mu prosto w oczy. Wpatrywał się w nią z dziwnym wyrazem twarzy, w którym rozpoznała rozbawienie i jeszcze coś – coś, czego nazwać nie umiała. Jej palce nadal spoczywały na jego ustach i – nie wiadomo dlaczego – widok ten wydał się jeszcze bardziej niepokojący niż samo dotknięcie.

Zabrała rękę ze zdławionym okrzykiem.

– Skończyła pani? – zapytał.

Kiwnęła głową.

– Mam… mam nadzieję, że bardzo nie bolało.

Oczy mu pociemniały.

– Nawet nie poczułem.

Na ustach dziewczyny pojawił się nieśmiały uśmiech. Cofnęła się o krok. Musiała dojść do siebie.

– Jest pan zupełnie innym pacjentem niż mój brat – powiedziała, żeby skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– Pewnie nie krzywił się nawet w połowie tyle co ja – zażartował pan Siddons.

– Nie – odparła Elizabeth i roześmiała się perliście – ale głośniej krzyczał.

– Mówiła pani, że ma na imię Lucas.

Skinęła głową.

– Jest do pani podobny?

Elizabeth od pewnego czasu pilnie wpatrywała się w jeden z obrazów z silnym postanowieniem unikania wzroku pana Siddonsa, teraz jednak odruchowo podniosła na niego oczy.

– Dziwne pytanie.

– Podobnie jak pani należę do osób ciekawskich.

– A więc, tak, jest do mnie podobny. Wszyscy jesteśmy do siebie podobni. Oboje nasi rodzice mieli bardzo jasne włosy.

Nie odpowiedział od razu, zastanawiając się nad jej słowami. Trudno było nie zauważyć, że użyła czasu przeszłego.

– Nie żyją? – spytał miękko.

Skinęła głową. Zanim odwróciła od niego twarz, zdążył jeszcze zobaczyć, jak tężeją jej rysy.

– Ponad pięć lat temu. Nauczyliśmy się już sobie sami radzić, ale nadal jest – przełknęła ślinę – ciężko.

– Przykro mi. Przepraszam, że poruszyłem ten temat.

Przez chwilę milczała, a potem zaśmiała się z przymusem.

– Sądziłam, że umówiliśmy się, że nie będziemy się co chwila przepraszać.

– Skądże – powiedział, pragnąc, by rozmowa przybrała bardziej żartobliwy ton. Respektował jej niechęć do mówienia o własnym bólu. – Ustaliliśmy, że to pani zapomni o słowie „przepraszam”. Ja zaś…

– Zgoda – wtrąciła z ulgą, zadowolona, że nie drążył tematu. – Jeśli szczerze pragnie pan prosić mnie o wybaczenie, z chęcią wypiszę listę pana uchybień.

– Uchybień, mówi pani? – Pochylił się ku niej, wsparłszy dłońmi o kolana.

– Och, tak! Co prawda jest pan tutaj zaledwie od trzech dni, ale powinno mi się udać zapisać przynajmniej jedną stronę.

– Tylko jedną? Będę się musiał bardziej postarać… panno Hotchkiss?

Zesztywniała nagle i wbiła wściekłe spojrzenie w drzwi.

– Wynoś się! – syknęła.

Wysoka szafka przesłaniała Jamesowi widok i musiał wstać, żeby zobaczyć, co się dzieje. Na progu, przycupnąwszy na puchatych tylnych łapkach, siedział kot ciotki Agathy.

– Co panią niepokoi? – spytał James.

– Ten kot jest gorszy od zarazy – odparła, nie spuszczając z kocura roziskrzonych oczu.

– Malcolm? – James uśmiechnął się szeroko i podszedł do zwierzęcia. – Nie skrzywdziłby muchy.

– Niech go pan nie dotyka – ostrzegła Elizabeth. – Jest wredny.

James spokojnie podniósł go z podłogi, Kot zamruczał głośno i powoli, z lubością zaczął ocierać się łebkiem o jego szyję.

Elizabeth aż się zatrzęsła.

– Podły zdrajca! Przez trzy lata próbowałam się z nim zaprzyjaźnić!

– Myślałem, że pracuje tu pani od pięciu.

– Tak, ale po trzech latach dałam sobie spokój. Ile razy kobieta może pozwolić na siebie syczeć?

Malcolm rzucił jej wyzywające spojrzenie, zadarł nos do góry i wrócił do poprzedniej czynności. James zachichotał tylko i opadł na krzesło.

– Jestem przekonany, że stanowię dla niego wyzwanie. Nie znoszę kotów.

Elizabeth przekrzywiła głowę.

– Zabawne, ale nie wygląda pan na osobę, która nie lubi kotów – zauważyła z sarkazmem.

– Cóż, tego zdążyłem polubić.

– Dobrana para – mruknęła Elizabeth. – Człowiek, który nienawidzi wszystkich kotów z wyjątkiem jednego, i kot, który nie cierpi wszystkich ludzi z wyjątkiem jednego.

– Z wyjątkiem dwojga, jeśli liczyć lady Danbury.

James z szelmowskim uśmiechem rozparł się w krześle, odczuwając przedziwny przypływ zadowolenia. Cieszyło go, że jest daleko od Londynu, z dala od głupawo uśmiechniętych debiutantek i ich pazernych matek. W dodatku znajdował się w towarzystwie tej czarującej młodej kobiety, która zresztą najpewniej wcale ciotki nie szantażowała, a nawet

jeśli… Cóż, od lat serce nie biło mu w piersi tak żywo jak wtedy, gdy czuł na ustach dotyk jej dłoni.

To musiało coś znaczyć, zważywszy, że nie udało się mu wykrzesać bodaj cienia zainteresowania wobec żadnej z „odpowiednich kandydatek", których w Londynie było na pęczki.

A może, pomyślał tęsknie, z nadzieją, jakiej nie czuł od lat, jeżeli już faktycznie ciotkę szantażuje, ma ku temu istotne powody. Chorego krewniaka, na przykład, albo też grozi jej eksmisja. Całkiem możliwe, że potrzebowała pieniędzy na jakiś podniosły, szlachetny cel i nawet przez chwilę nie zamierzała narazić ciotki Agathy na skandal.

Uśmiechnął się do dziewczyny, przekonany, że będzie ją trzymał w ramionach, zanim tydzień dobiegnie końca, i zdecydowany zastanowić się nad ewentualnym ciągiem dalszym, jeżeli okaże się tak słodka, jak przypuszczał.

– Przy odpowiedniej zachęcie – powiedział filuternie – mógłbym szepnąć za panią słówko naszemu puchatemu znajomemu.

– Już mi nie zależy na… Boże drogi!

– Co się stało?

– Która godzina?

Wyjął zegarek, ale nie zdążył go nawet otworzyć, Elizabeth bowiem rzuciła się w jego stronę i wręcz wyrwała mu go z ręki.

– Ojej! – wykrzyknęła. – Od dwudziestu minut powinnam być w bawialni. Każdego poranka czytam pani hrabinie i…

– Jestem przekonany, że nie będzie miała pretensji. Było nie było – James wskazał ręką swoje zadrapania – ma pani mnóstwo dowodów na to, że niosła pani pomoc chorym i potrzebującym.

– Pan nie rozumie! Nie powinnam… To znaczy, powinnam ćwiczyć. – W oczach Elizabeth pojawiło się zażenowanie i błyskawicznie przycisnęła rękę do ust.

Podniósł się z krzesła i wyprostował groźnie. Chciał, żeby się zlękła.

– Co ćwiczyć?

– Nic – pisnęła. – Przysięgłam sobie, że więcej tego nie zrobię.

– Nie zrobię czego?

– Niczego, przysięgam! Na pewno się jeszcze zobaczymy!

I zanim zdążył ją zatrzymać, pośpiesznie wybiegła z pokoju.

James nie od razu przystąpił do działania. Najpierw przez dobrą minutę wpatrywał się w drzwi, za którymi znikła dziewczyna, czując w głowie zupełny zamęt. Z tej panny Elizabeth Hotchkiss była doprawdy przedziwna osóbka. Kiedy w końcu ukazała swoje prawdziwe oblicze – kobiety delikatnej, uczynnej, ale obdarzonej ostrym jak brzytwa językiem, gdyż, zdaniem Jamesa, te właśnie cechy były jej przyrodzone – musiała zacząć się miotać, jąkać i wyrzucać z siebie najróżniejsze idiotyzmy.

Co też ona mówiła? Że musi poczytać jego ciotce? Wspomniała też, że musi coś ćwiczyć, by się za chwilę zarzekać, że już więcej nie będzie – co to miało, do diabła, znaczyć?

Wystawił głowę za drzwi i rozejrzał się po holu. W domu panował spokój. Elizabeth – nawet nie zauważył, kiedy zaczął ją w myślach nazywać po imieniu – nie było w zasięgu wzroku. Prawdopodobnie siedziała już w bibliotece, wybierając lekturę dla ciotki…

Doznał nagłego skojarzenia. Książka! Kiedy zobaczył Elizabeth w swoim gabinecie, stała pochylona nad esejami Bacona.

W kolejnym przebłysku ujrzał siebie sięgającego po małą czerwoną książeczkę pierwszego dnia, kiedy się poznali. Wpadła wtedy w panikę – rzuciła się na niego jak lwica, by tylko nie dotknął tej książki. I wtedy, w gabinecie, musiała myśleć, że jakimś cudem ten sam egzemplarz wpadł mu w ręce.

Ale co w nim, u licha, było takiego?

6

Obserwował ją cały dzień. Był to jego fach – umiał przemykać się jak cień i znikać w pustych pokojach. Jednakże Elizabeth nie mogłaby się zachowywać przezorniej, nawet gdyby wiedziała, że jest śledzona. Słuchał, jak czyta na głos, przyglądał się, jak w tę i z powrotem przemierza hol, przynosząc jego ciotce przeróżne przedmioty.

Elizabeth traktowała swą chlebodawczynię z szacunkiem i oddaniem. James nasłuchiwał, czy w głosie dziewczyny nie pojawią się nutki zniecierpliwienia lub gniewu. Ta jednak na każde nieracjonalne polecenie ciotki reagowała z pełną pogody pobłażliwością, która wydała się mu ujmująca.

Spokój dziewczyny w obliczu kaprysów pani domu mógł budzić zgoła nabożny podziw. James straciłby panowanie nad sobą jeszcze przed dwunastą. Panna Hotchkiss nadal miała na twarzy uśmiech, gdy opuszczała dom hrabiny o czwartej po południu.

James przyglądał się jej z okna, gdy tak oddalała się spokojnym krokiem. Jej głowa kiwała się lekko na boki i przyszła mu do głowy dziwna, pełna ciepła myśl – że dziewczyna musi sobie podśpiewywać. Bezwiednie zaczął sam pogwizdywać.

– Co to za melodia?

Podniósł wzrok. W drzwiach do bawialni stała jego ciotka, ciężko wsparta o laskę.

– Na pewno nie taka, żebyś chciała poznać jej słowa – odparł z uśmiechem.

– Nonsens! Tym bardziej, jeśli jest zbereźna.

James zachichotał.

– Ciociu Agatho, pamiętasz, jak przyłapałaś mnie na nuceniu takiej marynarskiej piosenki, kiedy miałem dwanaście lat? Nie powiedziałem ci wtedy i tym bardziej nie powiem ci dziś.

– Hm… – Stuknęła laską i odwróciła się. – Chodź, dotrzymasz mi towarzystwa przy herbacie.

James posłusznie poszedł za ciotką do bawialni i usiadł na krześle naprzeciw niej.

– Dobrze się złożyło – zaczął – bo chciałbym z tobą porozmawiać o twojej damie do towarzystwa.

– O pannie Hotchkiss?

– Tak – odparł, siląc się na obojętny ton. – Taka drobna blondynka.

Agatha uśmiechnęła się znacząco.

– No proszę, zauważyłeś.

James udał, że nie rozumie, o co ciotce chodzi.

– Że ma jasne włosy? Trudno by było nie zauważyć, ciociu.

– Chciałam powiedzieć, że jest śliczna jak malowanie, i sam o tym dobrze wiesz.

– Panna Hotchkiss jest bez wątpienia atrakcyjna, ale…

– Ale nie jest w twoim typie – skończyła za niego ciotka. – Wiem. – Podniosła na niego wzrok i dodała: – Nie pamiętam, jaką pijasz herbatę.

Oczy Jamesa zwęziły się. Ciotce nie zdarzało się czegoś zapomnieć.

– Z mlekiem, bez cukru – powiedział, pełen podejrzeń. – A dlaczego uważasz, że panna Hotchkiss nie jest w moim typie?

Ciotka lekko wzruszyła ramionami i nalała odrobinę mleka do jego filiżanki.

– Było nie było, to dziewczyna o dyskretnej elegancji.

Po chwili milczenia udało mu się wykrztusić:

– Chciałaś mnie obrazić?

– Cóż, sam musisz przyznać, że tamta kobieta była ździebko… pretensjonalna, powiedzmy. – Podała mu filiżankę.

– Jaka „tamta” kobieta?

– Och, wiesz. Ta z rudymi włosami i… – Uniosła ręce na wysokość klatki piersiowej i zaczęła czynić w powietrzu nieokreślone, koliste gesty. – No wiesz…

– Ciociu Agatho, to była śpiewaczka operowa!

– Cóż… – sapnęła wzgardliwie. – Trzeba mi było jej nie przedstawiać.

– Wcale ci jej nie przedstawiałem – odparował kwaśno. – Leciałaś do mnie przez całą ulicę jak wystrzelona z armaty.

– Jeżeli masz zamiar mnie obrażać…

– Próbowałem tego spotkania uniknąć – wtrącił – próbowałem uciec, ale gdzie tam! Od razu mnie dopadłaś.

Przycisnęła dłoń do piersi teatralnym gestem.

– Daruj mi, że się o ciebie troszczę. Od lat nakłaniamy cię do małżeństwa i po prostu byłam ciekawa twojej towarzyszki.

James odetchnął głęboko, by uspokoić wzburzony oddech. Spróbował rozluźnić napięte mięśnie barku. Ciotka była jedyną osobą, która potrafiła sprawić, że czuł się jak szesnastoletni smarkacz.

– Odniosłem wrażenie – powiedział z naciskiem – że rozmawialiśmy o pannie Hotchkiss.

– Ach, tak! – Agatha pociągnęła łyk herbaty i uśmiechnęła się. – Panna Hotchkiss. Urocza dziewczyna. I taka zrównoważona. Nie tak, jak te niestałe londyńskie pannice, które widuję u Almacksa. Wystarczy jeden spędzony tam wieczór, by człowiek doszedł do wniosku, że inteligencja i zdrowy rozsądek wyginęły w naszym narodzie.

James zgadzał się z ciotką w zupełności, nie sądził jednak, by była to pora na podobne dyskusje.

– Panna Hotchkiss – przypomniał.

Ciotka podniosła na niego oczy, zamrugała i wyznała:

– Nie wiem, co by ze mną było, gdyby nie ona.

– Byłabyś o pięćset funtów zamożniejsza? – zasugerował.

Filiżanka ciotki gwałtownie zagrzechotała o talerzyk.

– Nie mów mi, że podejrzewasz Elizabeth!

– Kto jak kto, ale ona ma dostęp do twoich szpargałów – zauważył. – Może zostało w nich coś obciążającego? Mogła od lat szperać w twoich rzeczach i nawet byś o tym nie wiedziała.

– Nie – odparła głosem cichym, lecz nie znoszącym sprzeciwu. – Nie Elizabeth. Nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

– Wybacz, ciociu, ale skąd ta pewność?

Osadziła go jednym spojrzeniem.

– Sądziłam, że wiesz, iż znam się na ludziach, Jamesie. Już to powinno wystarczyć za dowód.

– Oczywiście, że się znasz, ciociu Agatho, niemniej jednak…

Uniosła dłoń.

– Panna Hotchkiss jest uosobieniem dobroci. Jest uczynna, lojalna i nie zamierzam wysłuchiwać kalumnii pod jej adresem.

– Jak chcesz.

– Jeśli mi nie wierzysz, spędź z nią trochę czasu. Sam się przekonasz.

James rozparł się na krześle, nagle zadowolony.

– Mam szczery zamiar.

Śniła się mu tej nocy.

Stała pochylona nad tą swoją cholerną czerwoną książką. Rozpuszczone jasne włosy migotały jak promienie księżyca. Miała na sobie dziewiczo białą koszulę nocną okrywającą całe jej ciało, ale w jakiś sposób wiedział, jak wygląda pod ową koszulą. Pragnął jej tak bardzo…

I wtedy zaczęła przed nim uciekać. Oglądała się ze śmiechem przez ramię, a długie pasma jej włosów łaskotały go po twarzy, gdy udawało się mu do niej zbliżyć. Ale za każdym razem, gdy wyciągał dłoń, by jej dotknąć, wymykała się. Za każdym razem, kiedy brakowało tylko chwili, by zdołał odczytać tytuł książki, złote litery umykały i rozmazywały się, a on potykał się i zatrzymywał bez tchu.

I dokładnie tak się czuł, gdy usiadł w swoim łóżku, nagle rozbudzony, i patrzył, jak poranne słońce zaczyna omywać horyzont. Czuł jakiś dziwny zawrót głowy, oddychał ciężko i wszystkie jego myśli dotyczyły jednego.

Elizabeth Hotchkiss.

Gdy Elizabeth tego poranka zbliżała się do domu lady Danbury, jej czoło przecinała głęboka zmarszczka. Jeszcze wczoraj obiecywała sobie, że nie spojrzy nawet na okładkę *Jak poślubić markiza*, tymczasem kiedy wróciła wieczorem do domu, zastała książkę na swoim łóżku, kuszącą jaskrawoczerwoną oprawą, zachęcającą do lektury.

Elizabeth powiedziała sobie, że tylko rzuci na nią okiem. Chciała poszukać edyktów, które mówiłyby coś o inteligencji i umiejętności rozbawienia mężczyzny, ale zanim się zorientowała, siedziała na brzegu łóżka, zaczytana w najlepsze.

Teraz w jej mózgu wirowała taka masa wskazówek, że dosłownie kręciło się jej w głowie. Miała nie flirtować z żonatymi mężczyznami, nie udzielać rad, za to z całą stanowczością odprawić wielbiciela, który by zapomniał o jej urodzinach.

– Bogu dzięki za małe dary – mruknęła pod nosem, wchodząc do holu. Do urodzin miała dobrze ponad dziewięć miesięcy, a więc wystarczająco dużo czasu, by nie mogły pokrzyżować planów jej ewentualnym zalotnikom…

Och, na miłość boską! Gdzie ona ma rozum? Obiecała sobie przecież, że nie pozwoli pani Seeton kierować swoim życiem, a tu znowu…

– Jaka pani dziś poważna…

Elizabeth drgnęła i zaskoczona podniosła oczy.

– Pan Siddons! – Głos dziewczyny załamał się na pierwszej sylabie nazwiska Jamesa. – Miło pana widzieć.

– Mogę tylko powiedzieć to samo – rzucił i pokłonił się dwornie.

Uśmiechnęła się powściągliwie, bo nagle poczuła się w jego obecności wyjątkowo niezręcznie. Ich ostatnie spotkanie przebiegło bez zarzutu i jeszcze wczoraj Elizabeth sądziła, że mogą się uważać za przyjaciół, ale tak było, zanim…

Zakrztusiła się. To było, zanim spędziła bezsenne pół nocy, myśląc o nim.

Natychmiast podał jej swoją chustkę.

Elizabeth wiedziała, że się rumieni, i modliła się w duchu, by tego nie zauważył.

– Nie trzeba – odparła szybko. – Po prostu zaschło mi w gardle.

Łup!

– Lady Danbury daje o sobie znać, jak sądzę – mruknął James, nawet się nie oglądając.

Elizabeth powściągnęła porozumiewawczy grymas i odwróciła głowę. Jak można się było spodziewać, na drugim końcu korytarza stała hrabina we własnej osobie, postukując gniewnie laską. U jej stóp siedział Malcolm i szczerzył się szyderczo.

– Dzień dobry, lady Danbury! – powiedziała Elizabeth, ruszając szybkim krokiem w jej stronę. – Jak się pani dziś czuje?

– Jakbym miała siedemdziesiąt dwa lata – usłyszała w odpowiedzi.

– Cóż, to niedobrze – odparła Elizabeth z kamienną twarzą. – Według najświeższych danych ma pani nie więcej niż sześćdziesiąt siedem.

– Bezczelna smarkula. Dobrze wiesz, że mam sześćdziesiąt sześć.

Elizabeth ukryła uśmieszek, który wypełzał jej na twarz.

– Pomóc pani przejść do bawialni? Jadła już pani dzisiaj?

– Zjadłam dwa jajka i trzy tosty i nie mam zamiaru siedzieć dzisiaj w bawialni.

Elizabeth szeroko otworzyła oczy, zdumiona. Obie z lady Danbury spędzały w bawialni każdy poranek. Z wielu tyrad, które wygłaszała z upodobaniem starsza pani, ulubiona dotyczyła właśnie zbawiennych skutków przyzwyczajenia.

– Postanowiłam posiedzieć trochę w ogrodzie – oznajmiła.

– Rozumiem – odparła Elizabeth. – Wspaniały pomysł. Powietrze dziś takie świeże, a wiaterek…

– Utnę sobie drzemkę.

Ostatnie słowa hrabiny sprawiły, że Elizabeth kompletnie oniemiała. Starszej pani zdarzało się co prawda przysypiać, ale nigdy się do tego nie przyznawała. A już na pewno nie użyłaby słowa „drzemka”.

– Pomóc pani dojść do ogrodu? – spytał pan Siddons. – Z radością pani potowarzyszę.

Elizabeth aż podskoczyła. Z tego wszystkiego całkiem o nim zapomniała.

– Nic podobnego – odparła lady D. rześko. – Może i nie chodzę szybko, ale jeszcze nie umarłam. Idziemy, Malcolmie.

Pokuśtykała w stronę ogrodu, z Malcolmem posłusznie drepczącym u jej boku.

Elizabeth patrzyła za nimi, zszokowana, z ręką przyciśniętą do policzka.

– Godna uwagi rzecz, jak udało się jej wytresować tego kota – zauważył James.

Elizabeth odwróciła się do swego towarzysza, a na jej twarzy malował się przestrach.

– Sądzi pan, że wygląda na chorą? – spytała.

– Nie, dlaczego?

Zamachała bezładnie rękami w stronę malejącej postaci, niezdolna wyrazić słowami ogromu swojego zdumienia.

James przyglądał się jej z rozbawieniem.

– Czy to aż takie dziwne, że ma ochotę na drzemkę w ogrodzie? Pogoda jest ładna.

– Owszem! – Niepokój nie pozwolił zapanować Elizabeth nad głosem. – To bardzo dziwne.

– Cóż, jestem pewien, że…

– Powtarzam panu, to jest dziwne. Nie podoba mi się to. Bardzo mi się nie podoba.

Przekrzywił głowę i spojrzał na dziewczynę badawczo.

– Co zatem zrobimy?

Wyprostowała się.

– Będę ją szpiegować.

– Chce pani szpiegować ją w czasie drzemki? – spytał niedowierzająco.

– A ma pan lepszy pomysł?

– Lepszy od przyglądania się śpiącej starszej pani? Cóż, gdyby mnie przycisnąć, mógłbym pewnie zaproponować jedno czy dwa zajęcia, które…

– Och, ćśśś! – przerwała z irytacją. – I tak pana pomoc nie jest mi potrzebna.

Uśmiechnął się.

– A prosiła pani o nią?

– Jak słusznie pan zauważył – odparła, dumnie unosząc brodę – nietrudno jest obserwować śpiącą kobietę. Z pewnością wzywają pana inne, ważniejsze obowiązki. Do widzenia!

James patrzył za nią, oniemiały. Niech to szlag, nie chciał jej przecież urazić.

– Elizabeth, poczekaj!

Zatrzymała się i odwróciła do niego, bardziej zaskoczona tym, że zawołał ją po imieniu, niż żarliwością jego prośby. Do diabła, sam siebie zaskoczył. Ale zajmowała go do tego stopnia, że zaczął o niej myśleć jako o Elizabeth i…

– Tak? – spytała w końcu.

– Pójdę z tobą.

Spojrzała na niego z rozdrażnieniem.

– Ale umiesz siedzieć cicho, prawda? Nie chcę, żeby nas przyłapała na szpiegowaniu.

Kąciki jego ust zaczęły drgać, udało mu się jednak nie wybuchnąć śmiechem.

– Możesz mi zaufać, że nas nie zdradzę – odparł ze śmiertelną powagą. – Mam się za nie najgorszego szpiega.

Zmarszczyła czoło.

– Dziwna uwaga. I… czy aby wszystko w porządku?

– W najlepszym. Dlaczego?

– Wyglądasz, jakbyś miał zaraz kichnąć.

Kątem oka dostrzegł jakiś bukiet i skwapliwie skorzystał z wymówki.

– To przez kwiaty. Zawsze od nich kicham.

– Wczoraj w ogrodzie różanym nie kichałeś.

Chrząknął, szukając w myślach odpowiedzi.

– To nie są róże – odrzekł po chwili, wskazując na kwiaty w wazonie.

– Tak czy siak, nie mogę cię ze sobą zabrać. – Skinieniem głowy podkreśliła nieodwołalność swojej decyzji. – Obrzeża ogrodu wręcz toną w kwiatach, a ja nie mogę pozwolić, żebyś mi kichał co kilka minut.

– Nie będę – odparł szybko. – Tylko od ciętych kwiatów chce mi się kichać.

Oczy się jej zwęziły.

– W życiu nie słyszałam o takiej dolegliwości…

– Ani ja. Nie spotkałem nikogo, kto reagowałby podobnie. To musi być coś w łodygach. Coś, co… hm… unosi się w powietrzu, kiedy przeciąć łodyżkę.

Rzuciła mu kolejne pełne niedowierzania spojrzenie, upiększył więc swoją historyjkę komentarzem:

– Piekielnie utrudnia życie, gdy uderzam w konkury do jakiejś damy. Boże broń, żebym chciał dać jej bukiet.

– Dobrze, dobrze – powiedziała żywo. – Chodź ze mną. Ale jeśli coś sknocisz…

– Nie sknocę – zapewnił ją.

– Jeżeli coś sknocisz – powtórzyła, tym razem głośniej – nigdy ci nie wybaczę.

Nieznacznie się jej ukłonił.

– Pani przodem, panno Hotchkiss.

Zrobiła kilka kroków, zatrzymała się i odwróciła do Jamesa. W jej błękitnych oczach malowała się niepewność.

– Zwracał się pan do mnie po imieniu.

– Proszę o wybaczenie – wymamrotał. – Pozwoliłem sobie na zbytnią śmiałość.

James obserwował, jak różne odczucia walczą na twarzy dziewczyny. Nie była pewna, czy powinna mu pozwolić na taką poufałość. Widział, że jej wrodzona życzliwość zmaga się z chęcią trzymania go na dystans. W końcu kąciki jej ust znieruchomiały i odparła:

– Nie szkodzi. My, służba w domu lady Danbury, nie jesteśmy szczególnie oficjalni. Skoro kucharz i lokaj zwracają się do mnie po imieniu, to i pan może.

– Tylko jeśli i pani będzie mówić do mnie po imieniu – odparł, czując, że w jego sercu wzbiera absurdalne uczucie radości.

– James – powiedziała na próbę, a potem dodała: – Naturalnie nie pozwolę sobie na taką poufałość, gdyby ktoś o ciebie pytał.

– Naturalnie. Ale kiedy będziemy sami, nie ma tej potrzeby.

Kiwnęła głową.

– Cóż, panie… – uśmiechnęła się ze skrępowaniem. – Jamesie, powinniśmy ruszać.

Poprowadziła go przez istny labirynt korytarzy. Nalegała, by poszli okrężną drogą, żeby nie wzbudzić podejrzeń lady Danbury. James nie mógł sobie wyobrazić, żeby ich obecność kolejno w sali balowej, jadalni i szklarni tego samego poranka mogła nie wzbudzić podejrzeń, ale opinię tę zachował dla siebie. Elizabeth wydawała się czerpać cichą satysfakcję z roli przywódczyni, a poza tym nie miał niczego przeciwko oglądaniu jej z tyłu.

Na dwór wyłonili się po wschodniej stronie budynku, blisko wejścia frontowego, za to kawał drogi od ogrodu.

– Można było wyjść przez oszklone drzwi w pokoju muzycznym – wyjaśniła. – Ale idąc tędy, będziemy mogli kryć się za żywopłotem i spokojnie okrążyć dom.

– Świetny pomysł – mruknął, idąc za nią.

Żywopłot rozpościerał się na jakieś dwanaście stóp, całkowicie zasłaniając ich od strony domu. Ku szczeremu zdumieniu Jamesa, gdy tylko Elizabeth pokonała najbliższy zakręt, puściła się biegiem. No, może nie biegiem, a czymś pośrednim między szybkim marszem a truchtem. James był od niej o wiele wyższy i nie musiał podbiegać. Wystarczyło, że zaczął stawiać dłuższe kroki.

– Aż tak nam się śpieszy? – spytał.

Odwróciła twarz w jego stronę, ale nie zatrzymała się.

– Bardzo się martwię o lady Danbury – rzuciła i przyśpieszyła znowu.

Dla Jamesa to sam na sam z Elizabeth stanowiło wyśmienitą okazję, by się czegoś o niej dowiedzieć, ale i tak nie zdołał powstrzymać się od komentarza:

– Z pewnością życie w domu Danbury nie może być aż tak szare, by największym wydarzeniem lata miała być sześćdziesięciolatka ucinająca sobie drzemkę.

Elizabeth obróciła się jak fryga.

– Przykro mi, jeśli się nudzisz, ale racz nie zapominać, że nie zmuszałam cię, byś mi towarzyszył.

– Och, twoje towarzystwo bynajmniej mnie nie nudzi – odparł, strzelając uwodzicielskim spojrzeniem. – Po prostu nie pojmuję powagi sytuacji.

Zatrzymała się z impetem, oparła ręce na biodrach i rzuciła mu karcące spojrzenie.

– Patrzę teraz na ciebie i myślę, że byłaby z ciebie nie najgorsza guwernantka – zaśmiał się.

– Lady Danbury nie ucina sobie drzemek. Nigdy – warknęła Elizabeth, rozzłoszczona tą uwagą. – Ta kobieta składa się z przyzwyczajeń. Dwa jajka i trzy tosty na śniadanie. Codziennie. Trzydzieści minut haftowania. Codziennie. Listy przegląda i odpowiada na nie o trzeciej po południu. Codziennie. I…

James uniósł dłoń.

– Poddaję się.

– Nie ucina sobie drzemek. Przenigdy.

Kiwnął powoli głową, zastanawiając się, co mógłby jeszcze dodać.

Podsumowała go jednym krótkim „phi!”, odwróciła się na pięcie i pędem ruszyła przed siebie. James podążał za nią długimi, swobodnymi krokami. Odległość między nimi nieco się zwiększyła i miał właśnie poddać się myśli, że sam będzie zmuszony puścić się truchtem, gdy dostrzegł przed Elizabeth wystający korzeń.

– Uważaj na ten…

Wylądowała na ziemi z jedną ręką uniesioną wdzięcznie jak ptasie skrzydło i drugą wbitą w ścieżkę.

– …korzeń – dokończył i rzucił się ku Elizabeth. – Coś ci się stało?

Kręciła głową i wymamrotała: „Oczywiście, że nie”, ale odpowiadając, skuliła się z bólu, i James słuchał jej zapewnień z niedowierzaniem.

Ukucnął przy niej i wskazał na rękę, na której oparła się, upadając.

– A ręka cała?

– Nic mi nie jest – powtórzyła z uporem, przyciągając dłoń do siebie. W milczeniu zeskubywała drobiny ziemi i kamyczki, które przykleiły się do

skóry.

– Nalegam, byś pozwoliła mi to ocenić.

– To musi być twoja wina – mruknęła.

Nie mógł powstrzymać pełnego zaskoczenia uśmiechu.

– Moja?

– Nie wiem jak i dlaczego, ale jeżeli na tym świecie jest bodaj odrobina sprawiedliwości, to jest to twoja wina.

– Skoro tak – odparł, jak mu się zdawało, ze śmiertelną powagą – to muszę ci to wynagrodzić, opatrując twoje rany.

– Nie trzeba…

– Potrafię być bardzo uparty.

Z głośnym westchnieniem wyciągnęła przed siebie rękę z niezbyt uprzejmym:

– Masz!

James delikatnie zgiął jej rękę w nadgarstku. Nie reagowała, dopóki delikatnie nie odgiął jej w drugą stronę.

– Och! – wykrzyknęła, zła na siebie za ten okrzyk, i dodała szybko: – Wcale tak bardzo nie zabolało. Na pewno nie jest zwichnięta.

– Nie wątpię, że masz rację – przyznał. Nie było opuchlizny. – Ale nie powinnaś jej obciążać przez dzień czy dwa. I dobrze by było, gdybyś wróciła do domu i przyłożyła sobie na to stłuczenie trochę lodu czy cokolwiek zimnego.

– Nie mam czasu – odparła żywo, wstając. – Muszę sprawdzić, jak się ma lady Danbury.

– Jeżeli twoje czarne prognozy się sprawdziły i hrabina rzeczywiście śpi, byłbym skłonny przypuszczać, że obawy, iż ucieknie, są nieco przesadzone.

Elizabeth patrzyła na niego z oburzeniem.

– Innymi słowy – kontynuował niezwykle ostrożnie – nie ma potrzeby, żebyś narażała swoje życie i kończynę, tak pędząc.

Przez chwilę ważyła słowa, w końcu pokręciła głową i oznajmiła:

– Możesz decydować za siebie. – Potem odwróciła się na pięcie i pomknęła naprzód.

James wydał z siebie jęk, zastanawiając się, dlaczego w ogóle wlókł się tutaj za Elizabeth. Po chwili sobie przypomniał. Ciotka Agatha. To o nią chodziło. Miał się dowiedzieć, czy ta dziewczyna ją szantażuje.

Intuicja mówiła mu, że tak nie było – ktoś, kto jak Elizabeth przejawiał szczerą troskę o samopoczucie apodyktycznej i najczęściej niezwykle irytującej starszej pani, nie mógł być zdolny do szantażu.

Niemniej jednak James nie miał innych podejrzanych, potruchtał więc posłusznie za nią. Minęła kolejny róg i na chwilę znikła mu z oczu. Kilka długich kroków wystarczyło, by znowu ją zobaczył. Stała nieruchomo, sztywna jak kij, przyciśnięta plecami do żywopłotu. Patrzyła w bok.

– Widzisz coś? – spytał.

– Nie – przyznała – ale za to dorobiłam się paskudnego skurczu.

James powściągnął uśmiech, który cisnął się mu na usta, i z całą powagą w głosie spytał:

– Chcesz, żebym ja spróbował?

Wyprostowała głowę, a potem przekrzywiła ponownie z grymasem bólu na twarzy. James usłyszał głośne chrupnięcie i aż się skulił.

Rozmasowała szyję.

– Tylko nie daj się zauważyć.

Przed oczami przepłynęły mu obrazy dawnych misji – we Francji, Hiszpanii i w kraju, w Anglii. Sztukę niezwracania na siebie uwagi miał opanowaną do perfekcji.

– Och – odparł beztrosko – powinienem sobie poradzić.

– Dobrze więc – rzuciła, wycofując się ostrożnie. – Ale jeżeli będziesz miał wrażenie, choćby przez ułamek sekundy, że cię widzi, natychmiast się chowaj.

Zasalutował jej z szerokim uśmiechem.

– Tak jest, panie generale!

W tym momencie Elizabeth zapomniała o całym bożym świecie.

Nie pamiętała, że nie wie, jak utrzymać młodsze rodzeństwo. Nie pamiętała, że przed chwilą martwiła się dziwnym zachowaniem lady Danbury i stanem jej zdrowia. Nie pamiętała ani jednego piekielnego edyktu z książki pani Seeton. I – co najważniejsze – nie pamiętała o tym, że stoi obok mężczyzny, którego jeden gest sprawiał, że robiło się jej słabo.

Zostały tylko komizm chwili i szelmowski uśmiech na twarzy Jamesa Siddonsa. Roześmiała się półgłosem, wyciągnęła rękę i poklepała go żartobliwie po ramieniu.

– Och, przestań – wykrztusiła, z trudem rozpoznając własny głos.

– Co mam przestać? – spytał z pociesznie zdziwioną miną.

Powtórzyła jego salut.

– Wydawanie całej masy rozkazów przychodziło ci z taką łatwością – powiedział z naciskiem – że porównanie z generałem wydało się mi jak najbardziej na…

– Idź zobaczyć, jak ma się lady Danbury – przerwała.

James uśmiechnął się z pobłażaniem i ostrożnie wyjrzał za róg żywopłotu.

– Widzisz coś? – szepnęła Eizabeth.

Wychylił się ostrożnie.

– Widzę lady Danbury.

– Coś jeszcze?

– Sądziłem, że kot cię nie interesuje.

– Malcolm?

– Śpi na jej kolanach.

– Nie obchodzi mnie, czym się zajmuje to zwierzę.

Spojrzał na nią spod oka.

– Tak też sądziłem.

– I co ona robi? – warknęła Elizabeth.

– Śpi.

– Śpi?

– Zdaje się, że mówiła, że ma zamiar się przespać, prawda?

Elizabeth zmarszczyła gniewnie czoło.

– Chodzi mi o to, czy śpi normalnie. Oddycha równomiernie? Nie rzuca się?

– Przez sen? – spytał z powątpiewaniem.

– Nie bądź fujarą. Ludzie kręcą się przez sen, to się często… – Jej oczy się zwęziły. – Podśmiewasz się ze mnie?

James zakasłał, próbując zakryć dłonią zdradzieckie usta i przypomnieć sobie, kiedy ostatnio jakaś kobieta nazwała go „fujarą”. Damy, które spotkał podczas swojego niedawnego pobytu w Londynie, omdlewały na sam jego widok. Obsypywały komplementami, zachwycały się strojem, twarzą, sylwetką. Kiedy jedna posunęła się wręcz do tego, by opiewać zarys jego czoła, uznał, że najwyższa pora wiać gdzie pieprz rośnie.

Nigdy by jednak nie przypuszczał, że tak zabawnie jest usłyszeć obelgę z ust Elizabeth.

– Podśmiewasz się ze mnie? – powtórzyła ze zniecierpliwieniem.

– Podśmiewam?

– Wiesz, że tak.

Pochylił się ku niej wystarczająco blisko, by zamarła w bezruchu.

– Chcesz poznać prawdę?

– Hm, tak. Zawsze powinno się mówić prawdę. Prawie zawsze…

– Prawie?

– Cóż, jeżeli miałoby to niepotrzebnie zranić czyjeś uczucia – wyjaśniła – można… Poczekaj, poczekaj. Przecież to ty miałeś odpowiedzieć na pytanie.

– Ach, tak, mój uśmiech – odparł. – Szczerze mówiąc, rozbawiła mnie twoja ostatnia uwaga.

– Rozbawiło cię to, że cię obraziłam?

Wzruszył ramionami i powiedział:

– Nieczęsto zdarza mi się być obrażanym przez kobiety.

– W takim razie do tej pory zadawałeś się z niewłaściwymi kobietami – mruknęła.

Wybuchnął gromkim śmiechem.

– Cicho – syknęła, odciągając go od żywopłotu. – Usłyszy cię!

– Chrapie tak głośno, że ziemia drży – odrzekł. – Wątpię, żeby mogło ją obudzić nasze przekomarzanie.

Elizabeth pokręciła głową i zmarszczyła czoło.

– Nie podoba mi się to. Ona nigdy nie ucina sobie drzemek. Twierdzi, że to niezgodne z naturą.

James wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu z zamiarem podroczenia się z Elizabeth jeszcze chwilę, ale zmienił zdanie, widząc szczere zatroskanie w jej ciemnobłękitnych oczach.

– Elizabeth – rzekł miękko – czego ty się naprawdę boisz?

Westchnęła przeciągle.

– Może jest chora. Kiedy ludzie nagle zaczynają czuć się zmęczeni… – przełknęła ślinę. – To może być pierwszy objaw choroby.

Milczał przez kilka chwil, a potem zapytał cicho:

– Twoi rodzice chorowali przed śmiercią?

Spojrzała mu prosto w oczy, a on uzmysłowił sobie, że jego pytanie ją całkiem zaskoczyło.

– Nie – odparła. – Moja matka zginęła w wypadku, a ojciec…

Umilkła i uciekła spojrzeniem gdzieś w bok. W jej twarzy wyczytał takie napięcie, że ścisnęło mu się serce.

– Ojciec nie chorował – powiedziała w końcu.

Niczego nie pragnął bardziej, niż móc pytać ją dalej, dowiedzieć się, dlaczego nie chciała mówić o śmierci ojca. W nagłym przebłysku uświadomił sobie, że chce wiedzieć o niej wszystko. Poznać jej przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Chciał wiedzieć, czy zna francuski, czy lubi czekoladki, czy czytuje Moliera.

Najbardziej zaś pragnął poznać tajemnicę każdego jej uśmiechu.

Nigdy wcześniej nie odczuwał tak silnej potrzeby poznania najskrytszych zakamarków duszy kobiety.

Elizabeth przerwała niezręczną ciszę pytaniem:

– Twoi rodzice żyją?

– Nie – odparł James. – Ojciec zmarł dość nagle. Lekarz mówił, że to serce – wzruszył ramionami – albo brak tegoż.

– Mój Boże!

– To nic wielkiego. – Niedbale machnął ręką i wyjaśnił: – Nie był z niego dobry człowiek. Nie tęsknię za nim i go nie opłakuję.

Kąciki jej ust stężały, ale zdawało się mu, że dostrzega w jej oczach cień… zrozumienia?

– Matka zmarła, kiedy byłem mały – dodał gwałtownie, sam nie wiedząc, dlaczego to mówi. – Prawie jej nie pamiętam.

– Przykro mi – rzekła Elizabeth łagodnie. – Mam nadzieję, że nie cierpiała.

James obawiał się, że odczytała w jego oczach odpowiedź na to pytanie, przełknęła bowiem ślinę i powtórzyła: „Przykro mi”. Podziękował jej skinieniem głowy. Milczał.

Elizabeth patrzyła mu prosto w oczy przez krótką chwilę, a potem wyciągnęła szyję, żeby rzucić kolejne spojrzenie w kierunku hrabiny.

– Umarłabym, gdyby cierpiała. Głowę daję, że nikomu by się do tego nie przyznała. Potrafi być dumna nie do wytrzymania. I nigdy nie uwierzyłaby w czyjeś uczucie i troskę. Wzięłaby je za litość.

Patrzył na dziewczynę, gdy ta obserwowała jego ciotkę. Nagle uderzyło go, jaka Elizabeth jest drobniutka. Park rozciągał się za nią bezkresną, zielono-zieloną szachownicą i jej sylwetka wydawała się tak strasznie krucha i samotna na tle rozległego krajobrazu. Letni wiaterek unosił jasne, lśniące kosmyki włosów z jej koczka. James bezwiednie wyciągnął rękę i zaczesał jeden z nich za ucho.

Ze zdławionym oddechem uniosła rękę do twarzy. Poczuł przypadkowe muśnięcie jej palców na swoich i z trudem oparł się bezrozumnej potrzebie uwięzienia jej dłoni w swojej. Wystarczyłby ledwie zauważalny ruch palcami, by ich ręce się spotkały. Pokusa była niezwykle silna, ale zdołał się opanować i wymamrotał:

– Wybacz, proszę. Wiatr rozwiał ci włosy.

Oczy się jej rozszerzyły, a usta drgnęły, jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu tylko odsunęła się od niego.

– Lady Danbury jest dla mnie bardzo dobra – wyznała po chwili. – Nigdy nie zdołam jej odpłacić za całą życzliwość, jakiej od niej doznałam.

Po raz pierwszy w życiu James słyszał, jak ktoś nazywa jego szorstką, bezpośrednią do bólu ciotkę życzliwą. W towarzystwie szanowano ją, lękano się jej, śmiano się z jej jadowitych dowcipów, jednak nie zdarzyło się nigdy, by w oczach innego człowieka zobaczył miłość, jaką żywił do niej on sam – do kobiety, która być może ocaliła mu życie.

Własne ciało wydało się mu nagle obce i poczuł, że zbliża się do Elizabeth, niezdolny nad sobą zapanować. Zupełnie jakby wstąpiła w niego jakaś wyższa siła, nakazując dłoni popełznąć po jej szyi, palcom wśliznąć w jedwabiste włosy i przyciągać ją ku sobie, bliżej i bliżej, by wreszcie…

Ustami przywarł do jej ust, a hipnotyzująca siła, która kazała mu ją pocałować, znikła. Został tylko on – on i przemożna potrzeba, by posiąść ją do końca, jak tylko mężczyzna może posiąść kobietę.

Jedną rękę zatopił głębiej we włosach Elizabeth, druga wężowym ruchem popełzła po jej talii. Dziewczyna była zupełnie niedoświadczona, ale zaczynała reagować na jego pieszczoty. Zmiękła w jego ramionach, serce zaczęło jej bić szybciej, a wtedy także jego serce zaczęło uderzać tak mocno, że o mało nie wyskoczyło z piersi.

– Mój Boże, Elizabeth – wykrztusił bez tchu, ustami muskając jej policzek, potem ucho. – Chcę… Chcę…

– Och, nie… – szepnęła.

James chciał trzymać ją w ramionach, pozwolić jej osunąć się na ziemię i całować aż do zapamiętania. Musiał jednak mieć w sobie więcej szlachetności ducha, niż kiedykolwiek podejrzewał, puścił ją bowiem w chwili, gdy zaczęła się wyrywać.

Stała naprzeciw niego przez kilka sekund. Wyglądała tak, jakby doznała wielkiego wstrząsu. Przycisnęła do ust drobniutką dłoń, a oczy miała ogromne i nieruchome.

– Nigdy nie sądziłam – wyszeptała przez palce. – Nie mogę uwierzyć…

– W co nie możesz uwierzyć?

Potrząsała głową.

– Och, to okropne!

– No, cóż, nie powiedziałbym, żeby… – zaczął, urażony.

Ale Elizabeth zdążyła już ruszyć biegiem przed siebie

7

Kiedy Elizabeth zjawiła się w domu lady Danbury następnego poranka, przyświecał jej jeden nadrzędny cel – trzymać się od Jamesa Siddonsa tak daleko, jak to tylko możliwe.

Pocałował ją. Najnormalniej w świecie pocałował ją. Co gorsza, ona mu na to pozwoliła. Na domiar złego, uciekła przed nim jak ostatni tchórz – biegła całą drogę do domu. Od dnia, kiedy po raz pierwszy przestąpiła próg domu hrabiny jako jej dama do towarzystwa, jeden jedyny raz zdarzyło się jej wcześniej wrócić do domu – miała wtedy wysoką gorączkę. Mimo to jednak nie chciała zostawić hrabiny samej. Ustąpiła dopiero wtedy, kiedy lady Danbury zagroziła, że zaopiekuje się nią osobiście.

Tym razem jeden pocałunek przystojnego mężczyzny wystarczył, by mazała się jak najgorsza beksa. Była tak przerażona swoją reakcją, że wysłała do hrabiny Lucasa z listem wyjaśniającym, że nagle poczuła się chora. Co zresztą nie do końca było kłamstwem, powtarzała sobie w myślach. Cała była rozpalona, miała wypieki i ściskało ją w gardle.

Poza tym alternatywą wobec kłamstwa była śmierć ze wstydu. W sumie nie potrzebowała wiele czasu, by dojść do wniosku, że jej małe kłamstewko było w pełni usprawiedliwione.

Cały wieczór spędziła w sypialni, obsesyjnie wręcz pogrążona w lekturze książki *Jak poślubić markiza*. Nie znalazła w niej zbyt wiele odniesień do pocałunków. Pani Seeton najwyraźniej sądziła, że osoba na tyle rozsądna, by kupić jej poradnik, będzie miała wystarczająco dużo rozumu, żeby się

nie obcałowywać z dżentelmenem, z którym nie łączy jej głęboka i potencjalnie trwała więź.

A już z całą pewnością, żeby nie czerpać z tego przyjemności.

Nazajutrz rano wczorajszy dzień stanął Elizabeth przed oczami i jęknęła. Jak na razie dzisiejszy przebiegał zupełnie zwyczajnie, z tym może wyjątkiem, że zdążyła już tyle razy obejrzeć się przez ramię, że lady Danbury spytała ją, czy aby nie nabawiła się tiku nerwowego.

Zawstydziła się i przestała oglądać co chwila, ale dalej podrygiwała za każdym razem, gdy słyszała czyjeś kroki.

Usiłowała sobie wmówić, że unikanie pana Siddonsa nie może jej nastręczyć większych trudności. Jako zarządca musiał mieć przecież na głowie jakiś tysiąc obowiązków, z których dziewięćset wymagało jego obecności poza domem. Gdyby zatem tylko zabarykadowała się w czterech ścianach, powinna być bezpieczna. A gdyby jakieś wyjątkowe zadanie ściągnęło go do domu… Cóż, była przekonana, że uda się jej znaleźć jakiś powód, by samej wyjść na dwór i pogrzać się chwilę w ciepłych promieniach angielskiego słońca.

Wtedy właśnie spadły pierwsze krople deszczu.

Elizabeth oparła czoło o szybę w oknie bawialni, aż zadudniło.

– Nie wierzę własnym oczom – wymamrotała. – Po prostu nie wierzę własnym oczom.

– W co nie wierzysz. Że pada? – spytała żywo hrabina. – Nie bądź fujarą. To Anglia. Wniosek – musi padać.

– Ale nie dzisiaj – odparła dziewczyna z westchnieniem. – Kiedy tu szłam, było tak słonecznie…

– A od kiedy to deszcz sprawia ci taką wielką różnicę?

– Od kiedy…

Zamknęła oczy i stłumiła kolejny jęk. Ktoś, kto od dziecka mieszkał w Surrey, nie powinien dać się zwieść słonecznemu porankowi.

– Och, nieważne. To nic takiego.

– Martwisz się, jak wrócisz do domu? Niepotrzebnie. Każę cię komuś odwieźć. Nie powinnaś się wystawiać na działanie żywiołów tak szybko po chorobie. – Oczy lady D. zwęziły się nagle. – Chociaż muszę powiedzieć, że wyglądasz niezwykle zdrowo.

– Ale się nie czuję zdrowa – odparła Elizabeth dość szczerze.

– Mówiłaś, że co ci dolega?

– Żołądek – odparła niewyraźnie. – Musiałam się czymś zatruć.

– Hm… Nikt inny się nie rozchorował. Nie mam pojęcia, czym byś się mogła struć. Ale jeżeli już haftowałaś przez cały wieczór…

– Lady Danbury! – wykrzyknęła Elizabeth.

Co prawda nie spędziła wieczoru w łazience, ale i tak nie widziała powodu, by dyskutować o fizjologii.

Lady Danbury pokręciła głową.

– Masz ci ją, skromnisia. Kiedy to kobiety zrobiły się takie przewrażliwione?

– Od kiedy uznałyśmy, że wymiotowanie nie stanowi przyjemnego tematu do rozmowy – odparowała Elizabeth.

– Tak trzymać! – zaśmiała się rubasznie hrabina i klasnęła w dłonie. – Moja panno, słowo daję, że z dnia na dzień stajesz się coraz bardziej do mnie podobna.

– Boże, broń! – jęknęła Elizabeth.

– Brawo! Sama nie odpowiedziałabym lepiej!

Lady Danbury rozparła się wygodnie w fotelu i popukała palcem wskazującym w zmarszczone czoło.

– Tak, tak… O czym to ja mówiłam? A tak, stanęłyśmy na tym, że nie powinnaś wracać na piechotę w takim deszczu. Nic się nie bój, znajdziemy kogoś, kto cię odwiezie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, zrobi to mój zarządca. I tak nie mógłby niczego załatwić przy takiej pogodzie.

Elizabeth zakrztusiła się.

– Jestem pewna, że deszcz zaraz zelżeje.

Jak na złość niebo przecięła błyskawica, rozszczepiając się na dwie zygzakowate linie, po czym rozległ się grzmot tak donośny, że Elizabeth aż podskoczyła.

– Au! – zapiszczała.

– Co sobie zrobiłaś tym razem?

– To tylko kolano – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Nie boli ani odrobinę.

Lady Danbury sapnęła z niedowierzaniem.

– Naprawdę nie – powtórzyła z uporem Elizabeth. – Śmieszna rzecz, ale nigdy nie zauważyłam tego stołu.

– A, to. Wczoraj kazałam go tam przesunąć. Pomysł pana Siddonsa.

– Można się było domyślić – mruknęła dziewczyna.

– Słucham?

– Nic – odburknęła trochę za głośno.

– Hm… – mruknęła w odpowiedzi hrabina. – Pić mi się chce.

Elizabeth ciepło powitała myśl o zajęciu innym niż gapienie się przez okno i zamartwianie, czy panu Siddonsowi nie zachce się nagle przyjść z wizytą.

– Napiłaby się pani herbaty, lady Danbury? A może kazać kucharce zrobić lemoniady?

– Za wcześnie na lemoniadę – warknęła zagadnięta. – Na herbatę zresztą też, ściśle biorąc, ale niech będzie.

– Nie piła pani herbaty do śniadania? – zapytała Elizabeth.

– To była herbata śniadaniowa, a to zupełnie co innego.

– Aha.

Elizabeth przemknęło przez myśl, że miejsce w niebie ma zagwarantowane.

– Dopilnuj, żeby kucharka nie zapomniała o herbatnikach. No i przypomnij jej, żeby przyrządziła coś dla Malcolma. – Lady D. obróciła głowę w jedną, potem w drugą stronę. – Gdzie się ten kot podziewa?

– Bez wątpienia obmyśla kolejny sposób, jak mnie podręczyć – mruknęła Elizabeth.

– Hm? Co to było?

Dziewczyna odwróciła się w stronę drzwi, nadal jednak patrząc na hrabinę znad ramienia:

– Nic, nic, lady Danbury. Zaraz pójdę…

Świat nie dowiedział się jednak, co chciała powiedzieć, poczuła bowiem, jak jej ramię wpada na duży, ciepły i zdecydowanie człowieczy kształt.

Jęknęła. Pan Siddons. To musiał być on. Nigdy nie miała szczęścia.

– Powoli, powoli – usłyszała jego głos ułamek sekundy wcześniej, zanim poczuła na ramionach jego ręce.

– Pan Siddons! – zaszczebiotała lady Danbury. – Jak miło pana widzieć tak wcześnie rano.

– Przemiło – sarknęła pod nosem Elizabeth.

– Napije się pan z nami herbaty? – kontynuowała hrabina. – Elizabeth właśnie miała iść po tacę.

Elizabeth nie patrzyła na jego twarz z zasady – chociaż nie była pewna której. Wcale zresztą nie musiała, i tak wiedziała, że jego usta rozchylają się w wilczym uśmiechu.

– Z rozkoszą – odparł.

– Wyśmienicie – oznajmiła hrabina. – Elizabeth, biegnij po herbatę. Dla trzech osób.

– Nigdzie nie pójdę – burknęła dziewczyna – dopóki pan Siddons mnie nie puści.

– A trzymam panią? – spytał ze zdumieniem, zabierając ręce. – Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Elizabeth skonstatowała ponuro, że gdyby nie towarzyszył jej zawsze beznadziejny pech, założyłaby się, że kłamał.

– Miałem, co prawda, do naszej drogiej panny Hotchkiss kilka pytań – dodał.

Aż drgnęła, zaskoczona.

– Oczywiście mogą zaczekać do jej powrotu – mruknął.

Elizabeth zerkała to na niego, to na hrabinę, próbując zrozumieć niepojęte napięcie wiszące w powietrzu.

– Skoro tak – powiedziała – to z chęcią…

– On sądzi, że mnie szantażujesz – oznajmiła otwarcie lady Danbury.

– Że co robię? – Elizabeth zapytała cienko i ochryple.

– Agatha?! – wybuchnął pan Siddons z taką nutką w głosie, jakby chciał zobaczyć starszą panią na piekielnych mękach. – Znasz może słowo „subtelność”?

– Hm. Nigdy za nim nie przepadałam.

– Nie mów – mruknął.

– Zwrócił się pan do hrabiny po imieniu? – spytała Elizabeth. Przeniosła pytający wzrok na lady Danbury. Pracowała u niej od pięciu lat i nigdy nie pozwoliłaby sobie na podobną poufałość.

– Znałam matkę pana Siddonsa – oznajmiła hrabina, jakby to miało wszystko wyjaśniać.

Elizabeth oparła ręce na biodrach i rzuciła przystojnemu zarządcy rozwścieczone spojrzenie.

– Jak pan śmie sądzić, że mogłabym szantażować tę uroczą starszą panią!

– Uroczą? – zawtórował pan Siddons.

– Starszą?! – zagrzmiała lady Danbury.

– Nigdy bym nie upadła tak nisko – powiedziała dumnie Elizabeth. – Nigdy! Powinien się pan wstydzić.

– Dokładnie to samo mu powiedziałam – poparła ją hrabina. – Rzecz jasna, potrzebujesz pieniędzy, ale nie należysz do osób, które…

Dziewczyna przewróciła oczami.

– A jest ktoś, kto nie potrzebuje?

– Ja na przykład mam ich pod dostatkiem – zauważyła hrabina.

Dwoje pracowników lady Agathy zgodnie odwróciło głowy w jej stronę i wbiło w nią oburzone spojrzenia.

– Hm! Taka jest prawda – rzuciła Elizabeth.

– Na co pani potrzebne pieniądze? – spytał łagodnie pan Siddons.

– Nic panu do tego! – rzekła oburzona Elizabeth.

Ale lady Danbury najwyraźniej była odmiennego zdania, powiedziała bowiem:

– Wszystko zaczęło się od tego, że…

– Lady Danbury, proszę! – Elizabeth spojrzała na nią błagalnie. Było wystarczająco ciężko zamartwiać się finansami. Ale żeby jeszcze zostać poniżonym w obecności obcego człowieka…

Lady Danbury wydawała się zorientować – chyba po raz pierwszy w życiu – że przebrała miarkę i zasznurowała usta.

Elizabeth zamknęła oczy i odetchnęła.

– Dziękuję – wyszeptała.

– Pić mi się chce – stwierdziła hrabina.

– Właśnie – powiedziała Elizabeth właściwie do siebie, ale na tyle głośno, żeby pozostali ją usłyszeli. – Herbata.

– Na co jeszcze czekasz? – spytała lady Danbury, postukując niecierpliwie laską.

– Na wniebowzięcie – mruknęła pod nosem Elizabeth.

Oczy pana Siddonsa rozszerzyły się. Och, do diabła! Tak się przyzwyczaiła do tego, że jest z hrabiną sama, że nie uważała już, co mówi pod nosem.

Pan Siddons tymczasem, ku wielkiemu zaskoczeniu Elizabeth, pośpiesznie zabrał rękę z jej ramienia i zaczął pokasływać. Wtedy, gdy normalny człowiek musiałby zapewne przestać, zgiął się wpół, oparł plecami o ścianę i rozkasłał jeszcze gwałtowniej.

Wrogość Elizabeth ustąpiła miejsca zatroskaniu i dziewczyna pochyliła się nad nim.

– Dobrze się pan czuje?

Pośpiesznie pokiwał głową, nie odrywając dłoni od ust.

– Coś mu utknęło w gardle? – krzyknęła lady Danbury.

– Nie wiem, co mogłoby mu utknąć – odrzekła Elizabeth. – Przecież niczego nie jadł.

– Klepnij go po plecach – poinstruowała ją hrabina. – Porządnie.

Pan Siddons pokręcił głową i wypadł z pokoju.

– Może powinnaś za nim pójść – zastanowiła się hrabina. – I nie zapomnij go klepnąć.

Elizabeth zamrugała oczami, wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju, myśląc o tym, że porządne klepnięcie go w plecy powinno okazać się dość satysfakcjonującym zadaniem.

– Panie Siddons? James!

I wtedy je usłyszała. Ryki śmiechu dobiegające zza rogu. Przezornie zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy go zobaczyła, siedział na pufie, dysząc ciężko.

Podniósł na nią oczy i nagle przestał się jej wydawać tak niebezpieczny jak jeszcze wczoraj.

– Wniebowzięcie – rzucił piskliwie. – Dobry Boże, wszystkim się nam ono należy.

– Cóż, jesteś tu dopiero od kilku dni – podkreśliła Elizabeth. – Czeka cię jakieś kilka lat w jej towarzystwie, zanim będzie cię można nazwać męczennikiem.

Pan Siddons znowu próbował się nie roześmiać, mimo to wybuchnął ponownie gromkim śmiechem. Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, powiedział:

– Najgorsze są takie ciche osóbki jak ty. Najbardziej niebezpieczne i szczwane.

– Jak ja? – spytała niedowierzająco Elizabeth. – W ogóle nie jestem cicha.

– Może i tak, ale starannie dobierasz słowa.

– Cóż, owszem – odparła, nieświadomie przekrzywiając głowę. – Jestem wystarczająco niezdarna, żeby przynajmniej gadać sensownie.

Właśnie wtedy James doszedł do wniosku, że Elizabeth nie może być szantażystką. Och, wiedział naturalnie, że nie miał wystarczających dowodów, by ją skreślić z listy podejrzanych, ale od pewnego czasu całe jego jestestwo mówiło mu, że jest niewinna. Z tym że zmądrzał dopiero teraz.

Przyglądał się chwilę Elizabeth, a potem spytał:

– Pomóc ci przynieść herbatę?

– Z pewnością masz jakieś ważniejsze zajęcia niż towarzyszenie damie do towarzystwa do kuchni.

– Często odnoszę wrażenie, że właśnie damy do towarzystwa najbardziej towarzystwa potrzebują.

Jej usta niespiesznie ułożyły się w uśmiech.

– Ej, ej. Lady Danbury to dobra kobieta.

James patrzył na usta Elizabeth z pozbawionym wstydu zainteresowaniem. Uzmysłowił sobie, że chce ją pocałować. Samo w sobie nie było to zaskakujące – przez cały wczorajszy dzień nie myślał o niczym innym, jak właśnie o tym, by to uczynić. Dziwne, że chciał to zrobić tu i teraz. Zwykle bywał bardziej dyskretny.

– Panie Siddons?

Zamrugał oczami, odrobinę zawstydzony tym, że dał się przyłapać na wpatrywaniu się w nią.

– Kto szantażuje lady Danbury?

– Gdybym to wiedział, zapewne nie oskarżałbym o to ciebie.

– Hm… Tylko nie sądź, że już ci wybaczyłam.

– Dobry Boże – powiedział w osłupieniu. – Zaczynasz mówić jak ona!

Oczy Elizabeth rozszerzyły się ze zgrozy.

– Jak lady Danbury?

Skinął głową i wydał z siebie krótkie „hm”, wiernie naśladujące pomruk, jaki Elizabeth przejęła od hrabiny.

Ze wstrzymanym oddechem spytała:

– Nie zrobiłam tak. Nie zrobiłam, prawda?

Ponownie skinął głową. W oczach lśniły mu iskierki rozbawienia.

Jęknęła.

– Pójdę po herbatę.

– Wybaczyłaś mi już, że cię podejrzewałem?

– Chyba nie mam innego wyjścia. Nie znałeś mojego charakteru na tyle, żeby móc od razu oczyścić mnie z zarzutów.

– Bardzo to wspaniałomyślne z twojej strony.

Rzuciła mu spojrzenie, które upewniło go w przekonaniu, że nie była zachwycona jego swobodą.

– Dalej jednak nie rozumiem, jak, na Boga, lady Danbury mogłaby zrobić cokolwiek, co dałoby atut szantażyście.

– Nie mnie o tym mówić – odparł cicho.

Kiwnęła głową.

– Przyniosę herbatę.

– Pójdę z tobą.

Uniosła dłoń.

– O, nie, nie pójdziesz.

Przyciągnął rękę Elizabeth do ust i ucałował koniuszki palców.

– A właśnie że pójdę!

Elizabeth wpatrzyła się w swoją rękę. Dobry Boże, ten mężczyzna znowu ją pocałował! Tutaj, na środku holu. Zbyt zdumiona, by wyszarpnąć dłoń, rozglądała się na prawo i lewo, przerażona myślą, że akurat mógłby się na nich napatoczyć jakiś służący.

– Do wczoraj nikt cię nie całował – wymamrotał.

– Oczywiście, że nie!

– Nawet w rękę. – Pozwolił się wysmyknąć jej dłoni, przyciągnął do ust drugą i zaczął okrywać pocałunkami zgięcie palców.

– Panie Siddons! – wykrztusiła. – Czy pan oszalał?

Uśmiechnął się.

– Cieszę się, że nikt przede mną cię nie całował.

– Oszalałeś. Kompletnie oszalałeś. No i – dodała defensywnie – oczywiście, że całowano mnie w rękę.

– Ojciec się nie liczy.

Bardziej niż czegokolwiek innego na świecie pragnęła zapaść się pod ziemię. Czuła, jak płoną jej policzki, i uznała, że nie warto zaprzeczać. I tak wiedział, że ma rację. W jej małej osadzie nie było wielu nieżonatych mężczyzn, a już z pewnością żaden z nich nie był na tyle światowy, by całować kobietę w rękę.

– Kim jesteś? – wyszeptała.

Spojrzał na nią dziwnie. Brązowe oczy zwęziły się, gdy mówił:

– Jestem James Siddons. Przecież wiesz.

Pokręciła głową.

– Nigdy wcześniej nie pracowałeś jako zarządca. Założyłabym się o własne życie.

– Chcesz zobaczyć moje referencje?

– Twoje maniery. Służący nie…

– Tak, ale w zasadzie nie jestem służącym – przerwał. – Podobnie jak ty. Rozumiem, że wywodzisz się z miejscowej szlachty.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Ja także pochodzę ze starej rodziny – kontynuował. – Wraz z pieniędzmi nie straciliśmy naszej dumy, niestety…

– Niestety?

Kącik jego ust uniósł się.

– Doprowadza do niezręcznych sytuacji.

– Takich jak ta – powiedziała stanowczo. – Wracaj do bawialni, i to już. Do lady Danbury, która siedzi tam sobie i zastanawia się, dlaczego, do diabła, zamknęłam drzwi i co my tu robimy. Głowę daję. I nie wiem jak ty, ale ja nie chcę się jej z tego tłumaczyć.

James przyglądał się bez słowa dziewczynie, zastanawiając się, czemu nagle poczuł się jak chłopczyk rozebrany przez swoją guwernantkę. Wyszczerzył się radośnie i powiedział:

– Dobra w tym jesteś.

– W czym?

– W mówieniu do dorosłego mężczyzny, jakby był dzieckiem. Od razu zrozumiałem, gdzie moje miejsce.

– Nie wiem – odparowała, machając ręką w jego stronę. – Spójrz tylko na siebie. Nie widać po tobie chociaż cienia skruchy. Szczerzysz się jak idiota.

Przekrzywił głowę.

– Wiem.

Uniosła ręce gestem zniecierpliwienia.

– Muszę iść.

– Uśmiecham się, bo cię widzę.

Jego słowa, miękkie i szczere, zatrzymały ją w pół kroku.

– Odwróć się, Elizabeth.

Istniała między nimi jakaś szczególna więź. Elizabeth nie miała pojęcia o miłości, ale wiedziała, że mogłaby go pokochać. Czuła tak w głębi serca i przerażało ją to. Nie był mężczyzną, za jakiego mogła wyjść. Nie miał pieniędzy; sam się do tego przyznał. Jak mogłaby wysłać Lucasa do Eton, wychodząc za mąż za zwykłego zarządcę? Jak nakarmić i ubrać Susan? Jane? Susan skończyła dopiero czternaście lat, ale wkrótce zapragnie bywać. O Londynie nie było co myśleć, ale nawet na mały, lokalny debiut w towarzystwie potrzeba było pieniędzy.

A to była jedyna rzecz, której ani Elizabeth, ani stojący przed nią mężczyzna – być może jedyny, któremu mogłaby oddać swe serce – nie mieli.

Dobry Boże, wcześniej sądziła, że życie nie obchodzi się z nią łaskawie, ale teraz… To była prawdziwa udręka.

– Odwróć się, Elizabeth.

Ruszyła przed siebie. I była to najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiła.

Późnym wieczorem Susan, Jane i Lucas Hotchkiss stali zbici w gromadkę na zimnej podłodze tuż przed drzwiami sypialni najstarszej siostry.

– Chyba płacze – wyszeptał Lucas.

– Oczywiście, że płacze – syknęła Jane. – Każdy głupek by się zorientował…

– Pytanie brzmi – wtrąciła Susan – dlaczego?

Nie byli w stanie odpowiedzieć.

Chwilę później odsunęli się od drzwi, słysząc szloch nieco głośniejszy od poprzednich, a potem przełknęli ślinę, gdy dotarło do ich uszu następujące po nim głośne siąkanie nosem.

– Ostatnio zamartwiała się pieniędzmi – powiedział Lucas z wahaniem.

– Ciągle się o nie martwi – odparła Jane.

– To zupełnie zrozumiale – dodała Susan. – Ludzie, którzy nie mają pieniędzy, ciągle się nimi martwią.

Dwójka młodszych Hotchkissów skinęła głowami potakująco.

– Naprawdę nic nie mamy? – szepnęła Jane.

– Obawiam się, że tak.

Oczy Lucasa zaczęły szklić.

– Nie pojadę do Eton, prawda?

– Ależ nie – odparła Susan szybko. – Oczywiście, że pojedziesz. Tyle tylko, że będziemy musieli przyoszczędzić.

– Jak możemy oszczędzać, skoro nic nie mamy? – spytał.

Susan nie umiała znaleźć odpowiedzi.

Jane dała jej szturchańca w bok.

– Myślę, że któreś z nas powinno ją pocieszyć.

Zanim Susan zdążyła bodaj potaknąć, rozległo się głośne plaśnięcie, a po nim niesamowicie zdumiewający okrzyk ich świetnie wychowanej siostry:

– Niech cię diabli porwą!

Jane aż zatkało.

Susan otworzyła usta ze zdumienia.

– Nie mogę uwierzyć, że to powiedziała – westchnął Lucas z nabożnym podziwem. – Ciekawe, kogo mają diabli porwać…

– Nie ma z czego być dumnym – warknęła Jane i dźgnęła go palcem w bark.

– Au!

– I nie powtarzaj takich rzeczy! – dodała Susan.

– Owszem, jest z czego być dumnym. Nawet ja tego nigdy nie powiedziałem.

Jane przewróciła oczami.

– Mężczyźni!

– Przestańcie się sprzeczać – powiedziała Susan. – Chyba będzie lepiej, jak do niej pójdę.

– Tak – odparła Jane – jak już wcześniej zauważyłam…

– Dlaczego wszystko musi być twoim pomysłem? – spytał smętnie Lucas. – Zawsze…

– To był mój pomysł!

– Cisza! – wybuchła Susan. – Na dół, oboje! A jak zobaczę, że mnie które nie posłuchało, przez miesiąc będziecie paradować w przekrochmalonych ubraniach!

Kiwnęli głowami i pobiegli na dół. Susan zrobiła głęboki wdech i zapukała do drzwi.

Nie było odpowiedzi.

Zapukała ponownie.

Rozległy się kroki, po czym drzwi otworzyły się szeroko jak kopnięte.

– Rzecz jasna, wiesz, że tu jestem – warknęła Elizabeth. – Pewnie słychać mnie nawet w domu Danbury.

Susan otworzyła usta, zamknęła je i otworzyła znowu, by powiedzieć:

– Chciałam tylko zapytać, czy coś się stało, ale zdałam sobie sprawę, jak to idiotycznie zabrzmi. Może więc raczej spytam, co się stało?

Elizabeth nie odpowiedziała, czy też raczej za odpowiedź miały starczyć ruch głową i wściekłe spojrzenie w stronę pewnego czerwonego przedmiotu spoczywającego w rogu.

– Dobry Boże! – wykrzyknęła Susan, mknąc przez pokój. – To był ten łomot, który słyszałam?

Elizabeth łypnęła z pogardą na książkę *Jak poślubić markiza*, bezpiecznie spoczywającą w rękach siostry.

– To książka lady Danbury! – wykrzyknęła Susan ze zgrozą. – Sama mi obiecywałaś, że będziesz się z nią obchodzić jak z jajkiem. A ty rzucasz nią o ścianę?

– Zmieniłam zdanie. Może ją piekło pochłonąć, nie interesuje mnie to wcale. Ją i panią Seeton.

– To o niej mówiłaś? Żeby ją diabli wzięli? – Dziewczynce bródka opadła ze zdumienia.

– Może – odparła Elizabeth pogardliwym tonem.

Osłupiała Susan przycisnęła rękę do twarzy.

– Elizabeth, nie poznaję cię.

– Sama się nie poznaję.

– Musisz mi opowiedzieć, co cię tak zdenerwowało.

– Ta książka zrujnowała mi życie – wyznała resztką tchu Elizabeth.

– Nigdy dotąd nie byłaś melodramatyczna – rzekła Susan, mrugając.

– Może się zmieniłam.

– A może tak raczyłabyś rozwinąć myśl i wytłumaczyć mi, w jaki sposób książka zrujnowała twoje życie? – spytała Susan, nieco już zniecierpliwiona wymijającymi wyjaśnieniami siostry.

Elizabeth odwróciła twarz, by dziewczynka nie zobaczyła, że drżą jej usta.

– Nigdy bym z nim nie zaczęła flirtować. Nigdy bym go nie zagadnęła, gdybym nie wbiła sobie do głowy, że…

– Boże drogi! – wpadła jej w słowo Susan. – Co on ci zrobił? Znieważył cię?

– Nie! Nigdy by czegoś takiego nie zrobił!

– To co się stało?

– Och, Susan! – odparła Elizabeth z rozpaczą, czując, jak po policzku spływają jej strumienie łez. – Mogłabym go pokochać. Mogłabym go naprawdę pokochać.

– To czym się martwisz? – wyszeptała miękko mała.

– Susan, on jest biedny jak mysz kościelna! Jest zwykłym zarządcą!

– A ty nie mogłabyś być z kimś takim szczęśliwa?

– Oczywiście, że tak – warknęła Elizabeth. – Ale co z wykształceniem Lucasa? I z twoim debiutem? I pastelami Jane? Nie słuchałaś, co do ciebie mówię od tygodnia? Myślałaś, że szukam męża ot tak? Potrzebujemy pieniędzy, Susan.

Susan nie mogła się zdobyć na to, by spojrzeć siostrze w oczy.

– Przykro mi, jeśli uważasz, że musisz się poświęcić.

– Najzabawniejsze jest to, że wcześniej nie myślałam o tym w ten sposób. Cała masa kobiet wychodzi za mężczyzn, których nie kocha. Ale teraz… – urwała i otarła łzy. – Teraz to takie trudne. Tylko tyle. Trudne.

Susan przełknęła ślinę i powiedziała łagodnie:

– Może powinnaś zwrócić tę książkę.

– Jutro to zrobię – odparła Elizabeth, skinąwszy głową.

– Możemy… możemy później zdecydować, co dalej. Jestem pewna, że uda ci się znaleźć męża, nie ćwicząc na…

Elizabeth uciszyła ją uniesieniem ręki.

– Nie mówmy o tym teraz.

Susan pokiwała głową, po czym uśmiechnęła się blado, unosząc książkę.

– Tylko przetrę okładkę. Możesz jutro oddać.

Elizabeth, stojąc bez ruchu, patrzyła, jak siostra wychodzi z pokoju. Potem wpełzła na łóżko i wybuchła gorzkim płaczem. Tym razem jednak przykryła głowę poduszką, by nikt nie usłyszał, jak szlocha.

Nie chciała niczyjej litości.

8

Nazajutrz zjawiła się w domu hrabiny później niż zwykle, licząc na to, że uda się jej zakraść do biblioteki i odłożyć książkę na miejsce, zanim lady Danbury skończy śniadanie. Chciała tylko, by to cholerstwo znikło z jej oczu – i z jej torebki – raz na zawsze.

Odgrywała tę scenę w myślach setki razy. Musiała wsunąć *Jak poślubić markiza* z powrotem na półkę i cicho zamknąć za sobą drzwi. I sprawa będzie skończona, taką przynajmniej żywiła nadzieję.

– Nie przyniosłaś mi niczego prócz zgryzot – wyszeptała w głąb torebki.

Dobry Boże, zaczyna się zachowywać jak skończona idiotka. Żeby rozmawiać z książką?! Z książką! Przedmiotem pozbawionym wszelkiej mocy. Przedmiotem, który nie był w stanie odmienić jej życia, a już z całą pewnością nie miał prawa odpowiedzieć, choćby nie wiedzieć ile do niego mówiła.

To tylko książka. Zwyczajny przedmiot. Mógł mieć nad nią władzę tylko w takim stopniu, w jakim sama mu ją przyznawała. Mógł mieć znaczenie tylko wtedy, gdy sama się go w nim dopatrywała.

Naturalnie to nie tłumaczyło, dlaczego za każdym razem, gdy zaglądała do torebki, spodziewała się ujrzeć, jak książka emanuje sama z siebie dziwnym blaskiem.

Na palcach przemierzyła hol, po raz pierwszy w życiu wdzięczna Bogu za żelazną konsekwencję, z jaką lady Danbury przestrzegała swoich przyzwyczajeń. Pozwalało to żywić pewność, że hrabina nie przebrnęła

jeszcze przez połowę śniadania. To z kolei oznaczało, że przed Elizabeth było dobre dwadzieścia minut. Dopiero potem zobaczy swoją pracodawczynię w drzwiach bawialni.

Wsunęła do torebki rękę i kurczowo zaciskając palce na książce, skręciła za rogiem. Drzwi do biblioteki stały otworem. Doskonale. Im mniej będzie musiała hałasować, tym mniejsze niebezpieczeństwo, że ktoś tu się na nią natknie. Nie żeby w porze śniadania panowała w tej części domu zbytnia krzątanina, ale nadmiar ostrożności nie mógł nikomu zaszkodzić.

Bokiem prześliznęła się przez otwarte drzwi ze wzrokiem utkwionym w półce, na której zobaczyła książkę po raz pierwszy. Musiała tylko przejść przez pokój, odłożyć ją na miejsce i wyjść. Żadnego skradania się, żadnych zbędnych przystanków.

Nadal nie odrywając oczu od półki, wyjęła tomik z torebki. Jeszcze dwa kroki i…

– Dzień dobry, Elizabeth!

Wrzasnęła.

James cofnął się trochę, zaskoczony.

– Najmocniej przepraszam, nie chciałem cię tak przerazić.

– Co ty tu robisz? – spytała.

– Drżysz – powiedział z troską w głosie. – Naprawdę cię przeraziłem?

– Nie! – odburknęła trochę za głośno. – Po prostu nikogo się nie spodziewałam. O tej porze biblioteka jest zazwyczaj pusta.

– Lubię czytać – odparł z niedbałym wzruszeniem ramion. – Lady Danbury powiedziała, że mogę swobodnie korzystać z jej zbiorów. Co tam masz?

Elizabeth podążyła za jego wzrokiem i zakrztusiła się. Dobry Boże, dalej trzymała fatalny tomik w dłoni.

– Nic takiego – rzuciła nerwowo, usiłując wepchnąć go z powrotem do torebki. – Nic.

Ale w zdenerwowaniu książka wyśliznęła się jej z palców i upadła na podłogę.

– To ta sama książka, którą próbowałaś przede mną schować ostatnim razem – rzucił James z triumfalnym błyskiem w oku.

– Nie ta sama! – niemalże wydarła się Elizabeth, padając na podłogę, by przykryć tomik własnym ciałem. – To głupiutka powieść, którą sobie pożyczyłam i…

– Interesująca? – spytał przeciągle. – Sam bym chętnie przeczytał.

– Nie spodobałaby ci się – zapewniła pośpiesznie. – To romansidło.

– Lubię romanse.

– Jak każdy, to zrozumiałe – paplała – ale czy naprawdę chcesz o nich czytać? Nie sądzę. Strasznie melodramatyczne. Zanudziłbyś się tylko.

– Tak sądzisz? – mruknął, unosząc kącik ust w dość pobłażliwym uśmiechu.

– Wszystko podane jak na tacy – dodała, rozpaczliwie kiwając głową. – W zasadzie to książka dla kobiet.

– To trąci dyskryminacją, nie sądzisz?

– Po prostu staram się oszczędzić twój czas.

– To bardzo uprzejme z twojej strony – skomentował i kucnął obok niej.

Przemieściła się tak, żeby książka znalazła się dokładnie pod nią.

– Uprzejmość jest bardzo ważna.

Przysunął się jeszcze bliżej z błyszczącymi oczami.

– To jedna z cech, które w tobie cenię najbardziej, Elizabeth.

– Co? – pisnęła.

– Twoja uprzejmość.

– Niemożliwe – odparła. – Jeszcze wczoraj uważałeś, że szantażuję lady Danbury. To miało dowodzić mojej uprzejmości?

– Próbujesz zmienić temat – powiedział z naganą – ale tak na marginesie, już wcześniej przestałem cię podejrzewać. Prawda, na początku sądziłem, że to ty. Jakkolwiek na to patrzeć, masz swobodny dostęp do rzeczy lady

Danbury. Ale trochę czasu spędzonego w twoim towarzystwie wystarcza, żeby trafniej ocenić twój charakter.

– To bardzo uprzejme z twojej strony – wycedziła zgryźliwie.

– Złaź z książki, Elizabeth – polecił jej.

– Nie.

– Złaź z książki.

Wydała z siebie jęk. Niemożliwe, żeby jej życie mogło stać się aż tak podłe. Słowo „zgroza” nawet w połowie nie oddawało stanu jej duszy. A słowo „burak” nawet w połowie nie opisywało barwy jej policzków.

– Tylko pogarszasz swoją sytuację – dodał.

Wyciągnął rękę i jakimś cudem zdołał uchwycić róg książki.

Przygarbiła się.

– Nie ruszę się stąd.

Omiótł ją lubieżnym spojrzeniem i poruszał palcami.

– A ja nie ruszam ręką.

– Ty świntuchu! – wydusiła. – Żeby tak miętosić damę po siedzeniu!

Pochylił się ku niej.

– Gdybym miętosił twoje siedzenie, miałabyś zupełnie inny wyraz twarzy.

Uderzyła go w ramię. Pomyślał, że chociaż pewnie sobie na to zasłużył, prędzej go diabli wezmą, niż wyjdzie z biblioteki, nie rzuciwszy bodaj okiem na tę bezcenną książkę.

– Możesz mnie obrażać do woli – odparła patetycznie – ale nic ci z tego nie przyjdzie. Nie ruszam się stąd.

– Elizabeth, wyglądasz zupełnie jak kura wysiadująca książkę, wypisz, wymaluj.

– Gdybyś miał w sobie cokolwiek z dżentelmena…

– Na wszystko jest czas i miejsce, teraz nie pora na galanterię.

Wcisnął palce głębiej pod nią, zdobywając kilka kolejnych cali. Jeszcze jedna próba i powinno mu się udać zacisnąć kciuk na krawędzi książki, a

wtedy będzie jego!

Elizabeth mocno zagryzła zęby.

– Zabieraj spode mnie tę łapę! – warknęła po chwili.

Zrobił coś wręcz przeciwnego i udało mu się przesunąć rękę o jeszcze jakieś pół cala.

– Uwagi godny wyczyn, naprawdę, tyle mówić z zaciśniętymi zębami.

– James!

Uniósł wolną rękę.

– Chwilkę, jeśli można. Próbuję się skoncentrować.

Nie zważając na jej wściekle spojrzenia, zaczepił w końcu kciukiem o górną krawędź książki. Usta rozciągnęły się mu w zabójczym uśmiechu.

– Już po pani, panno Hotchkiss.

– Co ty… Aaaaaach!

Jednym zdecydowanym szarpnięciem wydobył spod Elizabeth książkę, a dziewczyna rozłożyła się jak długa.

– Nieee! – zawołała.

W jej głosie brzmiała taka determinacja, jakby los całego świata zależał od tego, czy uda się jej odzyskać książkę.

James pomknął do drzwi, trzymając wysoko czerwony tomik. Wiedział, że Elizabeth do niego nie dosięgnie. Przewyższał ją wzrostem prawie o głowę.

– James, proszę! – W głosie dziewczyny słyszał błaganie.

Pokręcił głową z uczuciem, że zachował się jak najgorszy drań. Gdy patrzył na wyraz twarzy Elizabeth, dosłownie ściskało mu się serce. Ale ciekawość dręczyła go od tylu dni, a poza tym włożył już tyle wysiłku, by zdobyć ten mały tomik, że zadarł głowę do góry, obrócił go w dłoni i przeczytał tytuł.

Jak poślubić markiza.

Zamrugał oczami. Nie mogła przecież wiedzieć… Po prostu nie mogła znać jego prawdziwej tożsamości.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała zdławionym głosem. – Dlaczego tak się uparłeś?

Przechylił głowę i spojrzał na nią.

– Co to ma być?

– A na co to wygląda? – warknęła.

– Ja… hm… sam nie wiem.

Nadal trzymając tomik w uniesionej wysoko ręce, otworzył go i przewertował kilka stron.

– W zasadzie wygląda to na jakiś poradnik.

– W takim razie to jest poradnik – warknęła. – A teraz grzecznie go oddaj. Muszę go zwrócić lady Danbury.

– To on należy do mojej… do lady Danbury? – spytał z niedowierzaniem.

– Owszem! A teraz go oddaj!

James pokręcił głową, podnosząc wzrok na tomik, by po chwili znowu spojrzeć na Elizabeth.

– Ale na co może jej być coś takiego?

– Nie wiem – niemalże zakwiliła. – To stara książka. Może hrabina kupiła ją, zanim wyszła za lorda Danbury. Proszę cię, pozwól mi ją odłożyć na miejsce, zanim skończy śniadanie.

– Chwilkę – otworzył książkę na następnej stronie i przeczytał: – „Nie wolno ci się uśmiechać inaczej niż z domkniętymi ustami. Taki uśmiech jest nieskończenie bardziej tajemniczy, a twoim zadaniem jest zafascynować sobą markiza”.

– To dlatego one zawsze się tak dziwnie śmieją? – wymamrotał. Zerknął na stojącą obok dziewczynę. – Edykt dwunasty wiele wyjaśnia.

– Książka! – powiedziała z groźbą w głosie, wyciągając przed siebie dłoń.

– Nie wiem, czy cię to zainteresuje – dodał z zamaszystym machnięciem ręki – ale osobiście wolę, jak kobieta umie się ładnie uśmiechnąć. To –

rozciągnął usta w parodii powściągliwego uśmiechu – jest raczej nietwarzowe.

– Nie sądzę, żeby pani Seeton miała na myśli coś takiego – powtórzyła jego wymuszony uśmiech. – Raczej coś w tym rodzaju.

Tym razem usta ułożyły się jej w delikatny półuśmiech, który sprawił, że przyjemny dreszczyk przebiegł po ciele Jamesa prosto do…

– Tak – przyznał po chwili – to znacznie bardziej skuteczne.

– Nie mogę uwierzyć, że z tobą o tym dyskutuję – powiedziała bardziej do siebie niż do niego. – Może po prostu odłóżmy tę książkę na miejsce, dobrze?

– Mamy przynajmniej dziesięć minut, zanim lady Danbury skończy śniadanie. Nic się nie martw – dodał, myślami wracając do poradnika. – Muszę przyznać, że to mnie fascynuje.

– Ale mnie nie – warknęła.

Przyjrzał się dziewczynie, jakby widział ją po raz pierwszy. Stała sztywno, z rękami zaciśniętymi w pięści. Ze złości na policzkach wykwitły jej dwie czerwone plamy.

– Złościsz się na mnie – stwierdził.

– Cóż za zdumiewająca przenikliwość!

– Przecież tylko sobie żartowałem. Zapewniam, że nie chciałem, byś poczuła się urażona.

W jej oczach pojawiły się stalowe błyski.

– Ale się uśmiałam!

– Elizabeth – zaczął pojednawczo – to były zwykłe żarty. Nie traktujesz chyba tej książki zbyt poważnie.

Odpowiedzią było milczenie. Cisza w pokoju zgęstniała nagle i James dostrzegł w błękitnych oczach dziewczyny błysk bólu. Kąciki jej ust zadrgały, by znieruchomieć nagle, gdy odwracała od niego twarz.

– O Boże – rzucił prawie bezgłośnie z uczuciem, jakby ktoś mu wbił sztylet w samo serce. – Tak cię przepraszam!

Uniosła dumnie brodę, ale jej twarz zdradzała targające nią uczucia.

– Starczy już?

Opuścił tomik i podał go Elizabeth w milczeniu. Wzięła bez słowa i przycisnęła do piersi.

– Nie wiedziałem, że szukasz męża – powiedział miękko.

– Nic o mnie nie wiesz.

Niezręcznym gestem wskazał książkę.

– Okazała się w czymś pomocna?

– Nie.

Wyprany z emocji ton jej głosu odczuł jak cios prosto w żołądek. Nie wiedzieć dlaczego nagle poczuł, że musi jakoś wynagrodzić Elizabeth krzywdę, jaką jej wyrządził. Sprawić, by z oczu dziewczyny zniknął wyraz martwoty, by do jej głosu wróciła śpiewna nutka. Chciał usłyszeć, jak się śmieje, i móc samemu śmiać się z jakiegoś jej żarciku.

Dlaczego – nie wiedział. Wiedział tylko, że tak zrobić musi.

Chrząknął i zapytał:

– Czy mógłbym w jakikolwiek sposób pomóc?

– Słucham?

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Jak to? – spytała, patrząc na niego podejrzliwie.

Usta mu się rozchyliły, gdy usiłował wymyślić sensowną odpowiedź na to pytanie.

– Tak się… Cóż, tak się składa, że wiem to i owo o szukaniu męża. To znaczy, w moim przypadku, żony.

– Masz żonę?! – wytrzeszczyła na niego oczy.

– Nie! – odparł, sam zaskoczony gwałtownością swojej odpowiedzi.

– Och, dzięki Bogu… Bo przecież ty… ty… – Umilkła. Na jej twarzy malowała się ulga.

– Bo cię pocałowałem?

– Tak – wymamrotała i zaróżowiła się nagle, czy też raczej skóra wokół pałających na jej policzkach rumieńców jeszcze bardziej poróżowiała.

Wyciągnął dłoń i siłą uniósł brodę dziewczyny tak, że musiała na niego spojrzeć.

– Elizabeth, gdybym był żonaty, nie spojrzałbym na inną kobietę, uwierz mi.

– Jakże to szlachetnie z twojej strony.

– Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli naprawdę szukasz męża, z radością pomogę ci, jak tylko będę umiał.

Elizabeth patrzyła na niego, porażona ironią losu. Oto stała właśnie przed mężczyzną, przez którego przepłakała całą noc, a on proponuje jej pomoc w znalezieniu męża!

– Nie wierzę własnym uszom – zamruczała sama do siebie. – Po prostu nie wierzę.

– Dlaczego miałabyś nie wierzyć? – rzucił gładko. – Mam cię za przyjaciółkę i…

– Jak, u nieba, mógłbyś mi w ogóle pomóc? – spytała, zastanawiając się, co za diabeł ją podkusił, żeby kontynuować ten temat. – Jesteś tu nowy. Z pewnością nie mógłbyś mnie przedstawić odpowiednim kandydatom. Poza tym – dodała, machając ręką w jego stronę – widać, że nie jesteś z modą za pan brat.

– Wypraszam sobie! – cofnął się, urażony.

– Twojemu ubraniu niczego nie brakuje, tyle że pamięta lepsze czasy.

– Zupełnie jak twoje – odparł ze złośliwym uśmieszkiem.

– Wiem – odparowała. – Właśnie dlatego potrzebuję kogoś, kto będzie wiedział, o czym mówi.

James nerwowo przechylił głowę i szybko ją wyprostował, starając się powstrzymać od odpowiedzi. Ta mała impertynentka powinna sobie obejrzeć jego szafę w Londynie, wypchaną ubraniami – każde skrojone

wedle najświeższej mody, ale bez żadnych żałosnych dandysowatych prążków i falbanek.

– Dlaczego tak się upierasz przy małżeństwie? – zapytał, uznawszy, że poznanie jej sytuacji życiowej jest ważniejsze od obrony honoru własnej garderoby.

– To nie twoja sprawa.

– Nie zgadzam się z tobą. Jeśli mam ci pomóc, to musi być moja sprawa.

– Jeszcze się nie zgodziłam, żebyś mi pomógł – odrzekła.

Jego spojrzenie powędrowało na książkę.

– Czy to musi być markiz?

– Słucham? – zamrugała, nie rozumiejąc.

– Czy to musi być markiz? – powtórzył. – Musi mieć tytuł? To takie ważne?

Cofnęła się, słysząc oschłość w jego głosie.

– Nie.

James poczuł, jak rozluźniają się mu mięśnie. Dopiero teraz zauważył, jaki był jeszcze przed chwilą spięty, czy też może raczej inaczej – jak bardzo czekał na taką odpowiedź. Od najwcześniejszej młodości dręczyła go bolesna świadomość, że liczy się jego pozycja, nie charakter. Nawet ojciec nie nazywał go inaczej, jak „swoim następcą”. Stary markiz nie umiał obchodzić się z dziećmi; syna traktował jak miniaturowego dorosłego. Każdy dziecięcy grzeszek Jamesa urastał do rangi obrazy wobec tytułu i chłopak szybko nauczył się skrywać swój z natury żywiołowy charakter pod maską pełnej dostojeństwa pokory. Przynajmniej wtedy, gdy ojciec znajdował się w pobliżu.

Jak większość chłopców obdarzonych wdziękiem i mających zacięcie sportowe, w szkole cieszył się popularnością. Trochę jednak potrwało, zanim zdołał wyłowić prawdziwych przyjaciół z masy tych, którzy widzieli w nim jedynie pośrednika między sobą a lepszym życiem, wyższą pozycją.

A później… Dobry Boże, mógłby mieć dwie głowy i słoniową trąbę zamiast nosa, a londyńskie piękności i tak mdlałyby z zachwytu. „Markiz, markiz” – szeptały. „On jest markizem. Ma niewyobrażalny majątek. Mieszka w zamku”. O tym, że jest młody i przystojny, nie mówiono inaczej, jak o dodatku do jego fortuny. Nie zdarzyło się mu jednak usłyszeć, by ktoś wspomniał o jego intelekcie, poczuciu humoru czy choćby uśmiechu.

Kiedy się nad tym zastanowić, z kobiet, które znał, Elizabeth Hotchkiss pierwsza, już od bardzo dawna, wydawała się lubić go za to, jaki jest.

– Nie markiz? – wymamrotał, kierując na nią wzrok. – W takim razie po co ta książka?

Potrząsnęła piąstkami. Wyglądała, jakby miała zaraz tupnąć nogą.

– Bo tu była. Bo nie było innej, o tytule: „Jak poślubić dżentelmena bez tytułu, za to z majątkiem i znośnym poczuciem humoru”. Nie wiem.

James nie mógł się nie uśmiechnąć, słysząc te słowa.

– A w ogóle to nie sądzę, żebym mogła zainteresować sobą kogoś z tytułem – dodała. – Nie mam posagu, a już na pewno nie jest ze mnie brylant pierwszej wody.

Wyznawał w tej kwestii odmienny pogląd, ale podejrzewał, że nie uwierzyłaby, nawet gdyby się z nim ujawnił.

– Myślisz już o kimś? – spytał tylko.

Milczała dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała: „Nie”. Ale już samo to milczenie mówiło wiele.

– Zatem myślisz o jakimś mężczyźnie – odparł, wyszczerzając zęby w uśmiechu.

Znowu milczała przez kilka sekund.

– To nieodpowiedni kandydat – odparła wreszcie tonem, który jasno mówił, że życie Jamesa znajdzie się w niebezpieczeństwie, jeżeli spróbuje dalej drążyć temat.

– A co decyduje o tym, czy kandydat jest odpowiedni?

Westchnęła ciężko.

– Nie chcę, żeby mnie bito, wolałabym, żeby mnie nie porzucono…

– No, no, no! Ale mamy wymagania!

– Zapomnij, że cokolwiek mówiłam – wybuchła. – Tak czy inaczej, nie wiem, po co ci to wszystko tłumaczę. Najwyraźniej nie masz pojęcia, co to znaczy być w desperacji, nie mieć wyboru, mieć świadomość, że cokolwiek byś zrobił…

– Elizabeth – powiedział miękko, chwytając ją za rękę. – Przepraszam.

– On musi mieć pieniądze – rzuciła bez wyrazu, patrząc na swoje palce w jego dłoni. – Potrzebuję pieniędzy.

– Rozumiem.

– Wątpię, ale nie musisz wiedzieć nic ponad to, że żyję w nędzy.

– Lady Danbury nie płaci tyle, żeby starczyło na twoje utrzymanie? – spytał cicho.

– Płaci, ale nie tyle, żeby wystarczyło na utrzymanie mojego młodszego rodzeństwa. No i Lucas musi pójść do Eton.

– Tak – odparł z roztargnieniem – jak każdy chłopiec. Mówiłaś, że jest baronetem, prawda?

– Nie, nie mówiłam, ale owszem, jest.

– Widocznie lady Danbury mi powiedziała.

Elizabeth wzruszyła ramionami i zaśmiała się ironicznie.

– Wszyscy to wiedzą. Stanowimy w okolicy sztandarowy przykład zubożałej szlachty. Sam widzisz, nie można mnie właściwie uznać za dobrą partię. Mam do zaoferowania tylko rodowód. A nawet i on nie jest szczególnie imponujący. Nie mogę powiedzieć, żebym wywodziła się z arystokracji.

– Nie – zastanowił się. – Ale można by przypuszczać, że niejeden mężczyzna chętnie wżeniłby się w miejscową szlachtę, zwłaszcza w linię z tytułem. Dodatkową zachętę stanowi fakt, że jesteś piękna.

– Nie zachowuj się protekcjonalnie – odparła, rzuciwszy mu gniewne spojrzenie.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem. Wyglądało na to, że Elizabeth nie zdawała sobie sprawy ze swojej urody.

– Mówiono mi, że jestem w miarę ładna… – zaczęła.

A może po części sobie zdawała?

– Ale że piękna, to już przesada.

Uciszył jej protesty machnięciem ręki.

– W tej kwestii będziesz musiała zdać się na moją opinię. Jak już mówiłem, jestem przekonany, że w tym okręgu znajdzie się kilku mężczyzn, którzy chętnie cię poślubią.

– Jeden już się znalazł – odparła z niesmakiem. – Tutejszy szlachcic. Ale jest stary, gruby i wredny. Moja młodsza siostra zdążyła mi zapowiedzieć, że ucieknie do przytułku, jeśli za niego wyjdę.

– Rozumiem. – James gładził się po brodzie, szukając w myślach jakiegoś rozwiązania. Wydawało się mu zbrodnią, żeby miała oddać rękę jakiemuś obrzydliwemu jegomościowi, starszemu od niej dwa razy. Ale może on sam mógłby jakoś temu zaradzić. Miał przecież dość pieniędzy, by wysłać do Eton nie tylko Lucasa, ale i połowę okolicy.

Czy też raczej markiz Riverdale miał na to dość pieniędzy. Za cały majątek „pana” Jamesa Siddonsa starczało ubranie, które nosił na grzbiecie.

Może jednak udałoby się zaaranżować jakiś anonimowy podarunek? Elizabeth na pewno nie okazałaby się na tyle dumna, by nie skorzystać z nieoczekiwanego uśmiechu losu. Co do tego, że wzgardziłaby darowizną, gdyby myślała tylko o swojej przyszłości, nie miał najmniejszych wątpliwości. Ale teraz na szali ważyły się losy jej rodziny.

James zanotował sobie w pamięci, żeby jak najszybciej skontaktować się ze swoim radcą prawnym.

– Zatem – odparła, śmiejąc się ze skrępowaniem – nie widzę, jak mógłbyś mi pomóc, chyba że ukrywasz przede mną fortunę.

– Cóż – powiedział. Nie chciał kłamać w żywe oczy. – Myślałem, żeby ci pomóc w inny sposób.

– Jak to?

– Mam pewne rozeznanie w sztuce flirtu – starannie dobierał słowa. – Zanim zacząłem szukać posady, byłem… no, może nie czynnym, ale zawsze uczestnikiem życia towarzyskiego.

– W Londynie? – spytała z niedowierzaniem. – Obracałeś się wśród śmietanki towarzyskiej?

– Nigdy nie będę w stanie pojąć zawiłości londyńskiego sezonu – wyznał szczerze i z mocą.

– Och, nie szkodzi, jak sądzę. Nie mam na to wystarczających funduszy – spojrzała na niego i uśmiechnęła się tęsknie. – A nawet gdybym miała, tak czy inaczej poszłyby na edukację Lucasa.

Wpatrywał się w Elizabeth, delektując się widokiem jej owalnej twarzy i wielkich, błękitnych oczu. Pomyślał, że w życiu nie spotkał równie wyzbytej z egoizmu osoby.

– Jesteś dobrą siostrą, Elizabeth Hotchkiss – powiedział cicho.

– Wcale nie – odparła ze smutkiem. – Czasem jest we mnie tyle buntu. Gdybym była lepszym człowiekiem…

– Nonsens! – przerwał. – To nic złego odczuwać gniew wobec niesprawiedliwości.

Roześmiała się.

– To nie jest niesprawiedliwość, James, tylko bieda. Jestem pewna, że mnie rozumiesz.

Przez całe życie Jamesowi na niczym nie zbywało. Jeszcze przed śmiercią ojca zaczął otrzymywać niebotycznie wielkie kieszonkowe. A później wraz z tytułem odziedziczył jeszcze bardziej niewiarygodną fortunę.

Elizabeth przekrzywiła głowę i wyjrzała przez okno. Delikatny wietrzyk poruszał liśćmi ulubionego wiązu hrabiny.

– Czasami – szepnęła – chciałabym…

– Czego byś chciała? – zapytał James z uwagą.

Pokręciła lekko głową.

– Nieważne. Poza tym naprawdę muszę już zajrzeć do lady Danbury. Lada moment powinna pojawić się w bawialni i na pewno będę jej potrzebna.

– Elizabeth! – rozległ się tubalny okrzyk z drugiego końca korytarza.

– Widzisz? Widzisz, jak ją dobrze znam?

James z szacunkiem pochylił głowę i powiedział cicho:

– Jestem pod wrażeniem.

– Elizabeth!

– Na miłość boską – powiedziała Elizabeth – czego może jej być trzeba?

– Towarzystwa – odparł James. – Tego właśnie potrzebuje. Towarzystwa.

– Gdzie się podziewa ten durny kot właśnie wtedy, kiedy mógłby się na coś przydać?

Odwróciła się i zbierała do odejścia.

– Elizabeth! – zawołał James.

Zatrzymała się na moment.

– Tak?

– Książka. – Palcem wskazał czerwony tomik, który nadal tuliła do piersi. – Nie chcesz chyba tego zabrać ze sobą do bawialni, prawda?

– Och, nie! – Wepchnęła mu książkę w ręce. – Dziękuję. Zupełnie zapomniałam, że ją mam.

– Daj, odłożę.

– Na tamtą półkę, o, tam – rzuciła, wskazując palcem przeciwległy róg biblioteki. – Na płask. Tytułem do spodu. Tylko upewnij się, żeby leżała dokładnie tak, jak mówię.

Uśmiechnął się z pobłażaniem.

– A może będziesz spokojniejsza, jeżeli sama ją odłożysz?

– Prawdę mówiąc, tak – odparła po chwili namysłu i wyjęła mu książkę z ręki.

James patrzył na nią, gdy mknęła przez pokój i pieczołowicie układała tomik na właściwej półce. Przez chwilę przyglądała się krytycznie całości, po czym leciusieńko trąciła palcem krawędź książki, nieznacznie przesuwając ją w lewo. Wykrzywiła śmiesznie usta w zamyśleniu, ponownie oceniła efekt, by następnie lekkim dotknięciem palca przywrócić książce jej poprzednie położenie.

– Jestem pewny, że lady Danbury niczego nie zauważy, nawet jeżeli zostawisz książkę przesuniętą o cal czy dwa.

Ale zignorowała to. Pomknęła do wyjścia, rzucając tylko krótkie:

– Zobaczymy się później.

James wytknął głowę do holu i patrzył, jak Elizabeth znika w bawialni jego ciotki. Następnie zamknął drzwi do biblioteki, podszedł do książki, zdjął ją z półki i pogrążył się w lekturze.

9

Cooo pani chce robić?!

Elizabeth stała naprzeciw lady Danbury z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Już ci mówiłam. Chcę sobie uciąć drzemkę.

– Ale pani tego nigdy nie robi.

Lady Danbury uniosła brew.

– Ucięłam sobie drzemkę nie dalej jak dwa dni temu.

– Ale… Ale…

– Zamknij buzię, Elizabeth. Zaczynasz przypominać rybkę akwariową.

– Ale przecież pani w kółko powtarza – protestowała dziewczyna – że stałość przyzwyczajeń dowodzi manier człowieka.

Hrabina wzruszyła ramionami i wydała z siebie zdradzające niezadowolenie fuknięcie.

– Czy dama nie może sobie pozwolić na okazjonalne odstępstwo od rutyny? Wszystkie przyzwyczajenia wymagają okresowego odświeżania.

Elizabeth zdołała się jakoś opanować, ale wciąż nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Mogę sobie ucinać drzemkę codziennie – oznajmiła lady Danbury wojowniczo, skrzyżowawszy ręce na piersi. – Czego ty, u diabła, znowu szukasz?

Elizabeth bowiem od pewnej chwili rozglądała się po pokoju z wyrazem zdumienia na twarzy.

– Brzuchomówcy. Nie wierzę, żeby te słowa mogły paść z pani ust – odparła w końcu.

– Ależ zapewniam cię, że tak. Zdążyłam zagustować w popołudniowych drzemkach. Wyjątkowo mi służą.

– Ale kiedy ostatnio ucięła sobie pani drzemkę, powinnam dodać: pierwszą drzemkę od czasów dzieciństwa, był ranek.

– Hm… Może tak, może nie.

– Owszem, był.

– Gdyby było popołudnie, byłaby jeszcze lepsza.

Elizabeth nie miała pojęcia, jak odeprzeć podobnie pozbawiony logiki argument. Uniosła do góry ręce.

– W takim razie już pójdę. Nie chciałabym pani przeszkadzać.

– Idź, idź. Tylko zamknij za sobą drzwi. Będę potrzebowała bezwzględnej ciszy.

– Jakże bym śmiała sądzić inaczej.

– Gdzieś ty się nauczyła takiej impertynencji, panno mądralińska?

Elizabeth rzuciła pracodawczyni krzywe spojrzenie.

– Dobrze pani wie, że u pani, lady Danbury.

– Prawda, wcale nie najgorzej udaje mi się kształtować twój charakter.

– Boże, dopomóż – mruknęła dziewczyna.

– Słyszałam to!

– Nie miałam wielkich nadziei, że słuch zawiedzie panią jako pierwszy.

Hrabina skwitowała jej komentarz wybuchem śmiechu.

– Elizabeth Hotchkiss, wiesz, jak zabawić starszą kobietę. I nie myśl, że tego nie doceniam. Jesteś mi bardzo bliska.

Elizabeth zamrugała, zdumiona tym nietypowym jak na jej chlebodawczynię przypływem serdeczności.

– Dz… dziękuję.

– Nie zawsze zachowuję się jak ostatnia prostaczka. – Lady Danbury spojrzała na mały zegarek na cienkim łańcuszku, który nosiła na szyi. –

Proszę mnie obudzić za siedemdziesiąt minut.

– Siedemdziesiąt?

Skąd, na Boga, taka przedziwna precyzja?

– Godzina to za mało, a mam zdecydowanie za dużo zajęć, żeby zmarnotrawić półtorej. Poza tym – dodała hrabina, zerkając na Elizabeth przebiegle – lubię cię trzymać w pogotowiu.

– Nie wątpię – sarknęła dziewczyna.

– Zatem za siedemdziesiąt minut. Ale ani chwili wcześniej.

Elizabeth ruszyła do drzwi, z niedowierzaniem kręcąc głową. Zanim jednak wyszła, odwróciła się jeszcze i zapytała:

– Na pewno pani dobrze się czuje?

– Najlepiej, jak można się tego spodziewać po pięćdziesięcioośmioletniej kobiecie.

– Jest za co dziękować Bogu, zważywszy, że skończyła pani sześćdziesiąt sześć.

– Bezczelna smarkula! Uciekaj, zanim potrącę ci z pensji.

– Nie odważyłaby się pani – rzuciła Elizabeth dumnie.

Lady Danbury uśmiechnęła się pod nosem, patrząc, jak jej dama do towarzystwa zamyka za sobą drzwi.

– Wcale niezgorzej mi idzie – powiedziała do siebie. W głosie jej brzmiała czułość i może jakaś nutka samozadowolenia. – Z dnia na dzień staje się coraz bardziej podobna do mnie.

Elizabeth westchnęła przeciągle i opadła ciężko na stojący w holu puf, zastanawiając się, co ma ze sobą zrobić. Gdyby wcześniej wiedziała, że całe te drzemki wejdą hrabinie w krew, przyniosłaby ze sobą coś do cerowania. Albo chociażby domowe rachunki. Bóg świadkiem, że tu zawsze było coś do zrobienia.

Naturalnie pozostawała jeszcze jedna możliwość. *Jak poślubić markiza*. Co prawda poprzysięgła sobie, że nawet na tę piekielną książkę nie spojrzy, ale może powinna zakraść się do biblioteki i upewnić, czy James jej gdzieś

nie przełożył, nie odwrócił tytułem do góry, nie pomiął kartek albo… Cóż, czy czegoś przy niej nie zmajstrował.

Nie, zabroniła sobie w myślach. Żeby odpędzić pokusę, wbiła palce w brązowe aksamitne obicie. Od tej pory nie będzie miała nic wspólnego z panią Seeton i jej edyktami. Będzie tu sobie siedzieć jak przyklejona, dopóki nie postanowi, jak spędzić najbliższe siedemdziesiąt minut.

Bez konieczności wchodzenia do biblioteki. Tak, w żadnym razie do biblioteki nie wejdzie.

– Elizabeth?

Podniosła wzrok i ujrzała Jamesa, czy też raczej jego głowę wystającą zza drzwi do biblioteki.

– Mogę prosić na chwilę?

Podniosła się.

– Jakiś kłopot?

– Nie, nie. Powiedziałbym, wręcz przeciwnie.

– Brzmi obiecująco – wymamrotała. Już od dawna nikt nie wzywał jej po to, by przekazać jakąś dobrą wiadomość. Uprzejme „mogę prosić na chwilę?” przekładało się zwykle na mniej już uprzejme „zalega pani z płatnościami i jeżeli ich pani bezzwłocznie nie ureguluje, będę zmuszony powiadomić odpowiednie władze”.

James ponaglił ją przyzywającym ruchem ręki.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Po chwili stała obok niego w bibliotece. Z ostatnich postanowień nici.

– W czym rzecz?

Uniósł rękę z *Jak poślubić markiza* i zmarszczył czoło.

– Przeczytałem.

Och, nie!

– Wcale fascynująca lektura.

Zajęczała i zasłoniła uszy rękami.

– Nie słucham cię.

– Jestem przekonany, że mógłbym ci pomóc.

Złapał ją za ręce i ciągnął za nie, dopóki nie zaczęła przypominać rozgwiazdy.

– Mogę ci pomóc – powtórzył.

– Mnie nie można pomóc.

Zaśmiał się gardłowo. Barwa jego głosu sprawiła, że dziewczynę oblała fala ciepła.

– Ejże… – powiedział – nie bądź taką pesymistką.

– Może mi powiesz, dlaczego to czytasz?

Jakim cudem przystojny, czarujący mężczyzna, ten czy jakikolwiek inny, mógłby interesować się podobną książką? Traktatem dla zdesperowanych kobiet, by nazwać rzecz po imieniu. A czyż podobne jej desperatki nie miały w sobie, zdaniem mężczyzn, powabu cykuty, zatrucia pokarmowego i dżumy razem wziętych?

– Złóż to na karb mojej nienasyconej ciekawości – odparł. – Jakże mógłbym postąpić inaczej po tych heroicznych wysiłkach, na które musiałem się zdobyć dziś rano, by pozyskać tę książkę?

– Heroicznych wysiłkach! – wykrzyknęła. – Wyrwałeś ją spode mnie!

– Słowo „heroicznych” można interpretować na różne sposoby – rzucił swobodnie, śląc jej kolejny niepokojąco męski uśmiech.

Elizabeth zamknęła oczy i wydała westchnienie, w którym było tyleż zmęczenia, co i zakłopotania. To z pewnością najdziwniejsza rozmowa w jej życiu, a przecież w jakiś sposób wydawała się zupełnie naturalna.

Najbardziej zdumiewało Elizabeth jednak to, że nie czuje się zakłopotana. Och, rzecz jasna policzki lekko się jej zarumieniły i była naprawdę zaskoczona niektórymi swoimi wypowiedziami, ale w normalnej sytuacji zdążyłaby już umrzeć ze wstydu.

Nagle uzmysłowiła sobie, że to obecność Jamesa tak na nią działa. Ten mężczyzna miał w sobie coś, co sprawiało, że nie czuła skrępowania. Szczery uśmiech, śmiech, który koił. Może i miał swoją mroczną,

tajemniczą stronę, może i patrzył na nią czasem tak dziwnie, że powietrze zdawało się gęstnieć, ale poza tymi chwilami po prostu nie można się było przy nim nie czuć swobodnie.

– Nad czym tak rozmyślasz? – usłyszała niespodziewanie.

Otworzyła oczy.

– Myślałam o tym, że nie mogę sobie przypomnieć żadnej sytuacji, w której czułabym się równie upokorzona.

– Nie bądź niemądra.

– Czasami – odparła, z niesmakiem potrząsając głową – nic nie mogę na to poradzić.

Nie odpowiedział. Uniósł tomik i potrząsnął nim lekko.

– Ma wady.

– Książka?

– Wiele wad.

– Strasznie się cieszę, że to mówisz. Muszę przyznać, że niezwykle trudno sprostać jej edyktom.

James zaczął maszerować po pokoju w tę i z powrotem. W jego brązowych oczach malowało się zamyślenie.

– Wydaje mi się oczywiste – oznajmił wreszcie – że pani Seeton, jeśli to jej prawdziwe nazwisko, nigdy nie konsultowała się z mężczyzną, spisując swoje arcydzieło.

Elizabeth tak to zaintrygowało, że na chwilę oniemiała.

– Może sobie obwieszczać tyle zakazów i nakazów, ile się jej żywnie podoba – tłumaczył James – ale przyjęła błędne założenie. Zapewnia bowiem, że jeżeli będziesz postępować zgodnie z edyktami, poślubisz markiza…

– Mówiąc „markiza”, miała na myśli odpowiedniego dżentelmena, jak sądzę – przerwała mu Elizabeth. – Myślę, że chciała tylko, żeby tytuł robił większe wrażenie.

– To zupełnie bez znaczenia. – Pokręcił głową. – Markiz czy nie markiz, wszyscy jesteśmy mężczyznami.

– Taak… – odparła przeciągle, z trudem opierając się pokusie, by omieść jego postać wzrokiem i naocznie się o tym przekonać. – Można by żywić taką nadzieję.

James nachylił się ku Elizabeth, patrząc uważnie w jej twarz.

– Zadam ci jedno pytanie, jeśli można. W jaki sposób pani Seeton, jeżeli naprawdę się tak nazywa, może ocenić, czy jej własne edykty są sensowne?

– Cóż… – Elizabeth grała na zwłokę. – Sądzę, że mogła mieć do czynienia z paroma młodymi damami, chociażby jako przyzwoitka, i…

– Błąd w rozumowaniu – wpadł jej w słowo. – Jedyną osobą, która mogłaby je rzetelnie ocenić, byłby jakiś markiz.

– Albo odpowiedni dżentelmen – dodała.

– Albo odpowiedni dżentelmen – ustąpił, nieznacznie się krzywiąc. – Jako względnie odpowiedni kandydat zapewniam cię, że gdyby jakaś kobieta zagadnęła mnie, trzymając się niewolniczo edyktów…

– Ależ nigdy by cię nie zagadnęła – wtrąciła Elizabeth. – Nie zagadnęłaby, gdyby trzymała się edyktów pani Seeton. To niezgodne z zasadami. Nie pamiętam, w którym edykcie była o tym mowa, ale czytałam coś takiego.

– Co dowodzi jedynie, jak idiotyczna jest większość tych porad. Zmierzałem jednak do tego, że gdybym miał przyjemność poznać uczennicę naszej drogiej pani Seeton, jeżeli faktycznie tak się nazywa…

– Dlaczego ciągle to powtarzasz?

James zastanawiał się przez chwilę. Najwyraźniej dawały o sobie znać lata pracy w szpiegowskim fachu.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł tylko. – Ale jak już mówiłem, gdybym spotkał jedną z jej uczennic, z krzykiem rzuciłbym się do ucieczki.

Na krótką chwilę zapadła cisza, po czym na usta Elizabeth wypłynął figlarny uśmieszek.

– Ode mnie nie uciekłeś.

Głowa Jamesa poderwała się nagle.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Uśmieszek Elizabeth przerodził się w szeroki uśmiech. Miała na twarzy wyraz jakiejś kociej satysfakcji z tego, że zdołała wyprowadzić go z równowagi.

– Nie natrafiłeś na edykt o stosowaniu wszystkich edyktów? – Pochyliła się do przodu, by zerknąć w stronice *Jak poślubić markiza*, które James właśnie nerwowo wertował. – Numer siedemnasty, jak sądzę.

Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem przez dobrych kilka sekund, zanim zapytał:

– Ćwiczyłaś na mnie?

– Brzmi to dość bezdusznie, wiem, i raz czy dwa razy odezwało się we mnie sumienie. Ale naprawdę nie miałam innego wyboru. Bo jeśli nie na tobie, to na kim?

– Faktycznie – mruknął James, nie wiedzieć dlaczego nagle poirytowany. Nie dlatego, że trenowała na nim jakieś sztuczki. To było raczej zabawne. Bardziej chyba zdenerwował go fakt, że od razu nie przejrzał jej gry.

Zważywszy, że trafiło na człowieka, który chlubił się swoją intuicją i spostrzegawczością, było to doprawdy wybitnie irytujące.

– Ale już nie będę – obiecała. – Zapewne nie było to z mojej strony do końca fair.

Zaczął znowu krążyć po pokoju. Palcem stukał w policzek, zastanawiając się, jak najlepiej wykorzystać sytuację.

– James?

Aha! Nagle olśnienie i błyskawicznie obrócił się w jej stronę z lśniącymi podnieceniem oczami.

– Ćwiczyłaś z myślą o kim?

– Nie rozumiem.

Usiadł naprzeciw niej i nachylił się, opierając rękami o uda. Rano poprzysiągł sobie, że sprawi, iż z oczu Elizabeth zniknie wyraz desperacji. Prawdę mówiąc, teraz malował się w nich spokój. Wiedział jednak, że rozpacz znowu w nich zagości, gdy tylko dziewczyna przypomni sobie o trójce głodnego rodzeństwa czekającego na nią w domu. A on wpadł na pomysł, jak jej pomóc, samemu przy tym bawiąc się nie najgorzej.

Będzie jej udzielał lekcji. Chciała złowić jakiegoś nic nie podejrzewającego mężczyznę i skłonić go do małżeństwa – cóż, nie było chyba człowieka, który więcej by wiedział o kobiecych podstępach niż markiz Riverdale. Stosowano już na nim każdą sztuczkę – widział wszystko, począwszy od rozchichotanych debiutantek ochoczo maszerujących za nim w ciemne kąty, a skończywszy na szokująco otwartych listach miłosnych czy nagich wdowach czekających na niego w jego własnym łóżku.

Wydawało się zatem logiczne, że skoro umiał tak skutecznie unikać małżeństwa, powinien równie dobrze umieć zastosować tę wiedzę w odwrotnym celu. Odrobina pracy powinna wystarczyć, by Elizabeth była w stanie uwieść dowolnego mężczyznę w kraju.

Ta część planu – wiążąca się z „pracą” – sprawiała, że czuł, jak przyśpiesza mu puls, a pewna inna, mniej godna wzmianki część jego anatomii zwiększa swoją objętość. Podobne lekcje musiałyby się przecież wiązać z chociażby pobieżnym przeglądem sztuki miłosnej. Naturalnie nic z rzeczy, które mogłyby dziewczynę narazić na hańbę, ale…

– Panie Siddons? James!

Podniósł na nią oczy, świadom, że się zagalopował. Dobry Boże, przecież ona ma twarz anioła! Wydało mu się wręcz niewiarygodne, by ktoś taki jak ona mógł sądzić, że potrzebuje pomocy, by znaleźć męża. Ale faktycznie tak myślała, a to dawało mu przewspaniałą możliwość…

– Ćwiczyłaś na mnie – zaczął z namysłem – ale na kim chciałaś wywrzeć efekt?

– Chodzi ci o to, za kogo chciałam się wydać?

– Tak.

Zamrugała. Usta jej lekko drgnęły, zanim powiedziała w końcu:

– Nie… nie wiem, prawdę mówiąc. Nad tym się jeszcze nie zastanawiałam. Miałam tylko nadzieję wziąć udział w którymś ze spotkań towarzyskich lady Danbury. Wydawało mi się, że to równie dobra okazja, jak każda inna, żeby znaleźć odpowiedniego dżentelmena.

– Planuje jakieś w najbliższym czasie?

– Jakieś spotkanie? Tak. Ma się odbyć w tę niedzielę, jak sądzę. Takie małe garden party.

James rozparł się w krześle. Niech to piekło pochłonie! Ciotka go nie uprzedzała, że spodziewa się towarzystwa. Jeżeli wśród gości pojawi się któryś z jego znajomych, będzie musiał jak najszybciej zniknąć wszystkim z oczu. Ostatnie, czego potrzebował, to jakiś londyński dandys poklepujący go po ramieniu i tytułujący markizem Riverdale w obecności Elizabeth.

– Ale nie sądzę, żeby ktoś zamierzał zostać na noc – dodała.

James pokiwał głową z namysłem.

– Zatem nadarza ci się wspaniała sposobność.

– Rozumiem – odparła, ale w jej głosie nie zabrzmiało nawet w połowie tyle ożywienia, ile się spodziewał.

– Musisz się tylko dowiedzieć, którzy z mężczyzn nie są żonaci, i wybrać najlepszego kandydata.

– Przejrzałam już listę gości i jest kilku dżentelmenów bez zobowiązań. Ale – zaśmiała się z przygnębieniem – zapominasz o jednej rzeczy, Jamesie. Wiadomy dżentelmen musi także wybrać mnie.

Zbył ją machnięciem ręki.

– Porażka nie wchodzi w rachubę. Kiedy z tobą skończymy…

– Nie brzmi to szczególnie zachęcająco.

– …nauki, nikt nie zdoła ci się oprzeć – stwierdził z mocą.

Dłoń Elizabeth bezwiednie powędrowała do policzka, gdy wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Czy on aby nie proponował jej, że będzie ją szkolił? Żeby było jej łatwiej znaleźć kogoś odpowiedniego? Nie wiedziała, dlaczego ta myśl zdumiała ją aż tak bardzo. Właściwie nigdy nie dał jej odczuć – nie licząc jednego słodkiego pocałunku – by miał się nią sam interesować. A poza tym nie raz sama podkreślała, że nie może wyjść za zwykłego zarządcę bez grosza przy duszy.

Dlaczego więc czuła taką rozpacz na myśl, że wydawał się żywo zainteresowany wydaniem jej za jakiegoś zamożnego dżentelmena z koneksjami? Czyż sama nie mówiła mu, że właśnie tego potrzebuje i pragnie od życia?

– Co miałby obejmować ten trening? – spytała podejrzliwie.

– Cóż, nie pozostało nam dużo czasu – myślał głośno – i nie możemy niczego dokonać w kwestii stroju.

– Niezwykle to uprzejme z twojej strony, że mi przypominasz – mruknęła.

Rzucił jej karcące spojrzenie.

– O ile pamiętam, moją garderobę obrażałaś bez najmniejszych skrupułów.

Nie mogła nie przyznać mu racji. Poczuła się w obowiązku powiedzieć coś miłego.

– Podobają mi się twoje buty – burknęła dość niechętnie.

Wyszczerzył się i ocenił wzrokiem swoje obuwie, które, chociaż nie najnowsze, wydawało się być świetnego gatunku.

– A tak, owszem. Ładne, nieprawdaż?

– Nawet jeśli nie do końca czyste.

– Jutro je wypastuję – przyrzekł z wyższością, wyraźnie świadczącą o tym, że nie da się sprowokować.

– Przepraszam – rzekła cicho. – Nie zasłużyłeś sobie na podobne traktowanie. Komplementy powinno się mówić szczerze i bez żadnych

„ale”.

Patrzył na nią z dziwną miną, badawczo.

– Wiesz, co w tobie lubię, Elizabeth? – spytał po chwili.

Nie miała bladego pojęcia.

– Jesteś życzliwa i dobra jak mało kto – kontynuował – ale w odróżnieniu od większości dobrych i życzliwych ludzi nie prawisz kazań, nie moralizujesz do znudzenia, nie próbujesz nawrócić reszty świata.

Wytrzeszczyła oczy. Nie mogła uwierzyć, że on mówi coś podobnego.

– A pod całą tą dobrocią i życzliwością kryje się kąśliwe poczucie humoru, które daje o sobie znać, choćbyś nie wiem jak mocno starała się czasem to ukryć.

Boże drogi, jeszcze jedno słowo, a zakocha się w nim na miejscu.

– Nie ma niczego złego w żarcikach pod adresem przyjaciół tak długo, jak długo nie dyktuje ich nieżyczliwość. – Jego głos był niby delikatna pieszczota. – A nie sądzę, żebyś umiała być nieżyczliwa, nawet gdybyś przeczytała stosy książek na ten temat.

– Pewnie dlatego się przyjaźnimy – odparła lekko łamiącym się głosem.

Uśmiechnął się, a w Elizabeth zamarło serce.

– Tak naprawdę, to musisz się ze mną przyjaźnić. Nie masz wyboru – powiedział, nachylając się w jej stronę. – Jakkolwiek by patrzeć, znam wszystkie twoje najbardziej wstydliwe tajemnice.

Wyrwał się jej nerwowy chichot.

– Przyjaciel, który ma mi znaleźć męża. Doprawdy dziwne…

– Cóż, sądzę, że mogę okazać się bardziej pomocny od pani Seeton. Jeżeli to rzeczywiście…

– Nie mów tego – ostrzegła.

– Nic nie mówiłem, zgoda? Ale skoro potrzebujesz pomocy… – spojrzał na nią z uwagą. – A potrzebujesz, prawda?

– Ee… Tak.

Chyba tak.

– Powinniśmy zacząć od razu.

Elizabeth łypnęła okiem na zdobiony zegar, sprowadzony na życzenie hrabiny ze Szwajcarii.

– Muszę być z powrotem w bawialni za niecałą godzinę.

James przejrzał pobieżnie kilka stron *Jak poślubić markiza*, z dezaprobatą kręcąc głową.

– Hm… To nie pozostaje nam zbyt wiele czasu, ale… – rzucił jej ostre spojrzenie. – Jak udało ci się wymknąć lady Danbury o tej porze?

– Ona śpi.

– Znowu? – spytał James, szczerze zdumiony.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

– Wydało mi się równie niewiarygodne jak tobie, ale uparła się. Zażądała absolutnej ciszy i zabroniła budzić się przed upływem siedemdziesięciu minut.

– Siedemdziesięciu?

Dziewczyna wykrzywiła się zabawnie.

– Żeby mnie trzymać w pogotowiu. To cytat, nawiasem mówiąc.

– Nie wiem dlaczego, ale nietrudno mi w to uwierzyć.

Zabębnił palcami o blat stołu i spojrzał na Elizabeth.

– Możemy zacząć, jak skończysz z nią po południu. Będę potrzebował czasu, żeby opracować szczegółowy plan lekcji i…

– Plan lekcji? – zawtórowała mu.

– Musimy się zorganizować. Organizacja sprawia, że każdy cel jest w zasięgu ręki.

Elizabeth aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Dlaczego mi się tak przyglądasz? – spytał ze zmarszczonym czołem.

– Mówisz zupełnie jak lady Danbury. Powiem więcej, przed chwilą powtórzyłeś jedno z jej ulubionych powiedzonek.

– Naprawdę?

James zakasłał nerwowo. Do diabła, żeby tak się wyłożyć! Elizabeth i te jej anielskie, błękitne oczy sprawiały, że zapominał o swojej roli. Nie powinien był bezmyślnie powtórzyć jednej z ulubionych maksym ciotki Agathy. Ale tak gorliwie wbijała mu je do głowy, kiedy był mały, że zdążyły w niego wrosnąć.

Zapomniał ponadto, że rozmawia z jedyną osobą, która znała każde z dziwactw jego ciotki równie dobrze jak on sam.

– Jestem przekonany, że to zwykły zbieg okoliczności – powiedział stanowczo.

Z doświadczenia wiedział, że najczęściej ludzie wierzyli we wszystko, co mówił, jeżeli tylko w jego głosie brzmiała niezachwiana pewność.

Ale najwyraźniej Elizabeth nie należała do takich osób.

– Powtarza to przynajmniej raz w tygodniu.

– Cóż, w takim razie musiałem to od niej usłyszeć.

Wydawała się zadowolona z tego wyjaśnienia, bowiem zmieniła temat i rzuciła od niechcenia:

– Wspomniałeś coś o planach lekcyjnych…

– A tak. Będę potrzebował jednego popołudnia, żeby wszystko zaplanować, ale może moglibyśmy się spotkać, kiedy skończysz pracę. Odprowadzę cię do domu i zaczniemy po drodze.

Uśmiechnęła się blado.

– Dobrze więc. Spotkamy się przy bramie frontowej o czwartej trzydzieści pięć. Jestem wolna od wpół do piątej – wyjaśniła – ale jakieś pięć minut zajmie mi dojście.

– Nie możemy się po prostu spotkać tutaj?

Pokręciła głową.

– Nie, chyba że chcesz postawić na nogi wszystkich plotkarzy w domu Danbury.

– Święta racja. Zatem przy bramie frontowej.

Elizabeth skinęła głową i wyszła. Nogi się pod nią uginały, ale jakoś zdołała dotrzeć z powrotem na puf, gdzie ostatecznie opadła z sił. Boże drogi, w co też ona się wpakowała?

– Miau.

Spojrzała w dół. U jej stóp siedział Malcolm, kot z piekła rodem, i wpatrywał się w nią, jakby była tłuściutką myszą.

– Czego chcesz?

Kot wzruszył ramionami. Elizabeth nigdy nie przypuszczała, by koty mogły wzruszać ramionami, ale też i nie zdarzyło się jej nigdy wcześniej siedzieć w przestrzennym holu hrabiny, przemawiając do swojej kociej Nemezis.

– Myślisz, że jestem żałosna, prawda?

Malcolm ziewnął szeroko.

– Zgodziłam się, żeby pan Siddons nauczył mnie, jak znaleźć męża.

Nastawił uszy.

– Tak, wiem, że go lubisz bardziej niż mnie. „Wszystkich lubisz bardziej niż mnie”.

Kot ponownie wzruszył ramionami, najwyraźniej nie mając ochoty wdawać się w dyskusje na ten temat.

– Myślisz, że mi się nie uda, co?

Ogon kota zafalował. Elizabeth nie miała pojęcia, co przez to rozumieć, ale zważywszy na dobrze udokumentowaną odrazę, jaką żywił do niej Malcolm, odczytała owo machnięcie ogonem jako: „Nawet mnie uda się wyjść prędzej za mąż niż tobie”.

– Elizabeth?

Zaczerwieniła się jak burak i przekrzywiła głowę. Oczom jej ukazała się twarz Jamesa, który zza bibliotecznych drzwi przyglądał się jej z nie ukrywaną ciekawością.

– Mówisz do kota?

– Nie.

– Mógłbym przysiąc, że słyszałem, jak do niego mówisz.

– Ale tak nie jest.

– Aha.

– Dlaczego miałabym się do niego odzywać? Przecież on mnie nie znosi.

Usta mu zadrgały.

– A tak. Wspominałaś coś o tym.

Usiłowała udawać, że nie czuje, jak płoną jej policzki.

– Nie masz przypadkiem czegoś do zrobienia? – spytała.

– Prawda, plan lekcji! Do zobaczenia trochę po wpół do piątej.

Elizabeth odczekała, aż drzwi do biblioteki zamknęły się z cichym szczękiem.

– Boże kochany – powiedziała bezgłośnie. – Zwariowałam. Zwariowałam do imentu.

Po czym zdębiała, widząc, że kot najbezczelniej w świecie kiwa łebkiem.

10

James zjawił się przy bramie kwadrans po czwartej, mając pełną świadomość tego, że się śmiesznie wręcz pośpieszył. Nogi jednak zaniosły go prosto na umówione miejsce. Przez całe popołudnie nie mógł się na niczym skoncentrować. Co rusz bębnił palcami o blat stołu to w tym, to w tamtym pokoju, między którymi ustawicznie kursował. Próbował zmusić się do tego, by usiąść spokojnie i sporządzić plan lekcji, który tak szumnie zapowiadał, ale w głowie miał pustkę.

Nie posiadł doświadczenia w przygotowywaniu dobrze wychowanych panienek do wejścia w towarzystwo. Jedyną młodą kobietą, którą dobrze znał, była żona jego najlepszego przyjaciela, Blake'a Ravenscrofta. A nie można było powiedzieć, by Caroline miała odpowiednie przygotowanie, zanim sama zaczęła bywać. Co do innych, znanych mu bliżej przedstawicielek płci pięknej – należały do rodzaju, w który pani Seeton chciała zmienić Elizabeth. Do takiego, który sprawiał, że opuszczał Londyn z uczuciem ulgi.

A co on sam pragnął znaleźć w kobiecie? Propozycja dopomożenia Elizabeth w jej wysiłkach zdawała się wręcz narzucać to pytanie. Jakiej chciałby żony dla siebie? To bowiem, że będzie się musiał kiedyś ożenić, nie podlegało dyskusji – wiedział, że w tej materii los po prostu nie da się ubłagać. Mimo to z trudem przychodziło mu wyobrażenie sobie reszty swojego życia u boku nieśmiałej mimozy, która będzie się bała zdradzić z własnym zdaniem.

Lub jeszcze gorzej, z mimozą, która takiegoż w ogóle nie posiadała.

Czary goryczy dopełniał fakt, iż w parze z każdą z tych pozbawionych umiejętności wyrażania własnej opinii panienek szła zawsze niezwykle autorytatywna matka.

Zmusił się, by przyznać przed sobą samym, że nie oddaje im sprawiedliwości. Zdarzyło mu się poznać kilka młodych kobiet, które były interesujące. Niewiele, ale zawsze kilka. Z jedną czy drugą mógłby się nawet ożenić bez obawy, że zrujnuje sobie życie. Nie byłoby to małżeństwo z miłości i nie rządziłaby nim namiętność, ale mógłby żyć całkiem znośnie.

Co zatem miały w sobie owe kobiety, te, które choć na krótką chwilę przykuły jego uwagę? Jakąś *joie de vivre*, pasję życia, uśmiech, który wydawał się szczery, błysk w oku. James nie miał żadnych wątpliwości, że nie był jedynym mężczyzną zdolnym dostrzec te zalety. Wszystkie te wyjątkowe młode damy szybko powychodziły za mąż, najczęściej za ludzi, których sam lubił i szanował.

Pasja życia. Może chodziło właśnie o to. James cały dzisiejszy poranek spędził, czytając *Jak poślubić markiza*, przy każdym edykcie wyobrażając sobie, jak niemający sobie równego błysk w błękitnych oczach Elizabeth przygasa i blednie.

Nie chciał, by ta dziewczyna zamieniła się w jakiś z góry wykreowany ideał kobiecości. Nie chciał, by wbijała oczy w ziemię, siląc się na wstydliwość i tajemniczość. Chciał, żeby była sobą.

Elizabeth zamknęła za sobą drzwi domu hrabiny i ruszyła wzdłuż głównego podjazdu. Serce jej trzepotało w piersi, dłonie miała lepkie i chociaż nie była szczególnie zakłopotana tym, że James odkrył jej rozpaczliwy sekret, umierała ze zdenerwowania.

Całe popołudnie wyrzucała sobie, że w ogóle przystała na jego propozycję. Czyż ubiegłej nocy nie szlochała tak długo, aż zmorzył ją sen, a wszystko to dlatego, że przyszło jej do głowy, iż mogłaby pokochać właśnie

Jamesa – mężczyznę, za którego nigdy nie będzie mogła wyjść za mąż? A teraz z rozmysłem doprowadziła do tego, że będzie przebywać w jego towarzystwie, dając mu szansę na przekomarzanie się z nią, flirtowanie i…

Boże kochany, a jeżeli będzie chciał ją znowu pocałować? Powiedział, że nauczy ją budzić męskie zainteresowanie. Czy całowanie miało wchodzić w skład tych nauk? A jeżeli tak, to czy powinna mu na nie pozwolić?

Jęknęła. Przecież nie była w stanie go powstrzymać. Za każdym razem, kiedy znajdowali się w tym samym pomieszczeniu, jej spojrzenie samo biegło na usta Jamesa i mogła myśleć tylko o tym, jak to będzie czuć je na swoich. I, Boże wybacz, ale chciała doznać tego znowu!

Ostatnia chwila szczęścia. Może właśnie o to chodziło. Będzie musiała wyjść za kogoś, kogo nie kocha, być może nawet za kogoś, kogo nie będzie darzyć sympatią. Czy tak trudno zrozumieć, że mogłaby pragnąć kilku ostatnich dni pełnych śmiechu, potajemnych spojrzeń, upajającego dreszczyku dopiero co kiełkującego pożądania?

Kiedy zmierzała w stronę bramy, przyszło jej na myśl, że zgadzając się na to spotkanie, popełniła błąd, za który zapłaci złamanym sercem, ale nie mogła postąpić inaczej. Za bardzo pragnęła zobaczyć Jamesa. Przeczytała zbyt wiele dramatów Szekspira, by nie wierzyć jego słowom: „Lepiej jest kochać i stracić, niż nie kochać wcale”.

James czekał na nią w bezpiecznej odległości od domu. Oczy mu pojaśniały, gdy ją zauważył.

– Elizabeth! – zawołał, ruszając żwawo w jej stronę.

Zatrzymała się. Dziewczynie wystarczało, że może patrzeć, jak się zbliża, a lekki wiatr targa jego ciemne włosy. Nie spotkała wcześniej nikogo, kto zachowywałby się równie swobodnie jak James Siddons. Poruszał się tak pewnie, tak miarowym krokiem. Myślała o tym niezliczoną ilość razy, kiedy zdarzało się jej potknąć o jakiś dywanik czy uderzyć przypadkiem ręką o ścianę, i zawsze wzdychała zazdrośnie.

Zrównał się z nią i powiedział po prostu:

– Jesteś tu.

– Nie sądziłeś, że przyjdę?

– Przemknęło mi przez myśl, że mogłaś zacząć się wahać.

– Oczywiście, że się wahałam. Pierwszy raz w życiu robię coś podobnie dziwacznego.

– A to doprawdy godne podziwu – mruknął.

– Ale nawet gdybym zmieniła zdanie, i tak na nic to by się nie zdało – uśmiechnęła się bezradnie. – I tak muszę tędy przejść, żeby dostać się do domu, więc nie mogłabym cię uniknąć, nawet gdybym chciała.

– Szczęśliwie się dla mnie składa.

– Odnoszę wrażenie, że los często się do ciebie uśmiecha.

Przekrzywił głowę.

– Dlaczego tak sądzisz?

Zbyła go wzruszeniem ramion.

– Nie wiem. Wydajesz się należeć do tych ludzi, którzy zawsze spadają na cztery łapy.

– Podejrzewam, że ty też nie poddajesz się bez walki.

– W pewnym sensie masz rację. Wiesz, mogłam przestać walczyć o moją rodzinę już całe lata temu. Krewni chcieli wziąć do siebie Lucasa.

– Ale tylko jego?

Uśmiechnęła się kwaśno.

– Reszta z nas nie ma tytułów.

– Rozumiem – rzucił poważnie i podał jej ramię. – To w tę stronę?

Kiwnęła głową.

– Tak, jakąś milę prosto, a potem jeszcze ćwierć mili boczną drogą.

Po kilku krokach odwrócił się do niej i zapytał:

– Kiedy mówiłem, że nie poddajesz się bez walki, odpowiedziałaś „w pewnym sensie”. Co chciałaś przez to powiedzieć?

– Mężczyźnie łatwiej walczyć o swoje niż kobiecie.

– Czyżby?

Spojrzała na niego z lekkim politowaniem. Nigdy nie będzie mógł zrozumieć, co miała na myśli. Uznała jednak, że należy się mu jakieś wyjaśnienie.

– Kiedy mężczyzna napotyka trudności – zaczęła – ma przed sobą różne drogi, którymi może pójść, by jego los się odwrócił. Może się zgłosić do wojska czy zaciągnąć na piracki statek. Może znaleźć pracę jak ty. Może wykorzystać swój wdzięk i urodę – potrząsnęła głową i uśmiechnęła się z trudem – co, jak sądzę, także już robiłeś.

– Kobieta nie może zachować się tak samo?

– Przed kobietą poszukującą pracy nie ma tylu możliwości, jeżeli nie zamierza na stałe opuścić domu. Posada guwernantki jest może minimalnie lepiej płatna od pozycji damy do towarzystwa, ale wątpię, czy wielu pracodawców patrzyłoby chętnym okiem na to, żebym wzięła ze sobą Susan, Jane i Lucasa, by mogli ze mną zamieszkać w skrzydle dla służby.

– Przekonałaś mnie – odrzekł, kiwając głową.

– Co zaś do wdzięków i urody, cóż, mogą się przydać kobiecie do osiągnięcia jednego z trzech celów. Może pracować w teatrze, zostać czyjąś kochanką albo wyjść za mąż. Jeśli zaś o mnie chodzi, to nie mam zamiłowania ani talentu do gry aktorskiej, nie mam też życzenia okryć rodziny złą sławą, żyjąc w grzechu.

Spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

– Pozostaje mi tylko małżeństwo. I właśnie to, jak sądzę, oznacza dla kobiety nie poddawać się bez walki.

Umilkła na chwilę. Kąciki jej ust drżały, jak gdyby nie mogły się zdecydować, czy ułożyć się w uśmiech, czy też grymas.

– Dość to żałosne, prawda?

James milczał przez dobrą chwilę. Miał się za osobę o szerokich horyzontach, ale nigdy nie próbował spojrzeć na świat oczami kobiety. Przed nim samym było tysiące możliwości i nie wyobrażał sobie, by mogło być inaczej.

Przekrzywiła głowę.

– Dlaczego przyglądasz mi się z taką uwagą?

– Wyrazy szacunku.

Aż się cofnęła, zaskoczona.

– Słucham?

– Podziwiam cię nie od teraz. Zrobiłaś na mnie wrażenie niepospolicie inteligentnej, dowcipnej młodej damy. Ale uświadomiłem sobie właśnie, że zasługujesz nie tylko na mój podziw, ale i szacunek.

– Och! Ja… ja… – urwała i zarumieniła się, niezdolna wykrztusić nic więcej.

Potrząsnął głową.

– Nie chciałem cię zawstydzić.

– Nie zawstydziłeś – odparła, ale ton jej głosu wskazywał, że nie powiedziała prawdy.

– Owszem, przecież widzę, ale z całą pewnością nie chciałem, żeby to popołudnie przebiegało w tak poważnym nastroju. Przed nami wiele pracy, możemy jednak połączyć przyjemne z pożytecznym.

Chrząknęła.

– Jak to rozumiesz?

– Nie mamy wiele czasu, musimy więc wybrać najistotniejsze zagadnienia – odparł. – Skoncentrujemy się na najważniejszych umiejętnościach.

– Czyli?

– Na całowaniu i boksie.

Elizabeth wypuściła torebkę.

– Wydajesz się zaskoczona – odezwał się, podnosząc torebkę z ziemi.

– Nie jestem nawet w stanie powiedzieć, która z umiejętności zaskoczyła mnie bardziej.

– To naprawdę ma sens, jeśli się nad tym zastanowić. Dżentelmen z pewnością będzie chciał pocałować swoją wybrankę, zanim się oświadczy

o jej rękę.

– Nie, jeżeli ją szanuje – powiedziała z naciskiem Elizabeth. – Wiem z pewnego źródła, że mężczyźni nie całują niezamężnych kobiet, które darzą szacunkiem.

– Ja cię pocałowałem.

– Cóż… To inna sprawa.

– A jak mi się zdaje, jasno powiedziałem, że cię szanuję – dodał, machnięciem ręki uprzedzając jej protesty. – Musisz mi uwierzyć na słowo, że żaden mężczyzna obdarzony bodaj odrobiną zdrowego rozsądku nie ożeni się, zanim nie rozpozna terenu.

– Pięknie – mruknęła.

– Jednakże może cię to postawić w niezręcznej sytuacji.

– Och, zauważyłeś! – rzuciła z sarkazmem.

Spojrzał na nią, wyraźnie poirytowany tym, że wciąż mu przerywa.

– Niektórym panom brak zdrowego rozsądku oraz zdolności właściwej oceny sytuacji i mogą nie chcieć skończyć pocałunku w stosownym czasie. Dlatego właśnie muszę nauczyć cię boksowania.

– I nauczysz mnie tego wszystkiego w jedno popołudnie?

Wyjął zegarek kieszonkowy i uchylił wieczko. Na jego twarzy malowała się niewzruszona nonszalancja.

– Nie, na to popołudnie przewidywałem jedynie całowanie. Boksem możemy się zająć jutro.

– A ty jesteś ekspertem w walce na pięści?

– Naturalnie.

Zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem.

– Czy aby takie lekcje nie są strasznie drogie? Słyszałam, że w całym Londynie jest zaledwie garstka instruktorów, którzy znają się na rzeczy.

– Zawsze można znaleźć jakiś sposób, żeby zdobyć to, czego się pragnie. – Popatrzył na Elizabeth, dumnie unosząc brew. – Odnoszę wrażenie, że

sama zauważyłaś, jakobym należał do ludzi, którzy zwykle spadają na cztery łapy.

– Mam rozumieć, że teraz mi powiesz, iż nie tylko spadają na cztery łapy, ale też zaraz stoją z rękami uniesionymi i gotowymi do walki?

Roześmiał się i wymierzył kilka ciosów w powietrze.

– Nie ma nic lepszego, żeby krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach.

Zmarszczyła czoło z powątpiewaniem.

– Nie wygląda mi to na szczególnie kobiece zajęcie.

– Sądziłem, że postanowiliśmy zapomnieć o poglądach pani Seeton na temat kobiecości.

– Bo postanowiliśmy – odparła – ale próbujemy znaleźć dla mnie męża.

– No tak, męża – potwierdził ponuro.

– Nie wyobrażam sobie, żeby w Anglii znalazł się jakiś mężczyzna marzący o poślubieniu pięściarza w spódnicy.

– Nie musisz być pięściarzem. Wystarczy, żebyś nauczyła się boksować na tyle, żeby mieć pewność, iż nie dasz się wykorzystać.

Wzruszyła ramionami i stuliła palce w pięść.

– Tak?

– Boże, nie. Nie zaciskaj kciuka. Jak nic byś go sobie połamała!

Elizabeth wytknęła kciuk z zaciśniętej piąstki.

– Tak?

Z aprobatą skinął głową.

– Dokładnie. Ale dziś zajmiemy się całowaniem.

– Nie, odłóżmy to na później. – Wymierzyła w powietrze kilka ciosów. – To nawet dość przyjemne.

James jęknął, zastanawiając się w duchu, co napawa go większym smutkiem: konieczność odłożenia pocałunku na następny dzień czy nasuwająca się uwaga, że w życiu nie widział równie słabiutkich uderzeń.

– Nie, nie. Nie tak – powiedział, ustawiając się za Elizabeth. Pozwolił, by torebka dziewczyny zsunęła się na ziemię, kiedy położył rękę na jej łokciu,

ustawiając ramię pod odpowiednim kątem. – Bijesz po damsku.

– Bo jestem damą.

– Cóż, to akurat zawsze wydawało mi się oczywiste, co jednak nie oznacza, że nie możesz się nauczyć porządnie boksować.

– A jak – spytała, naśladując niski męski głos – uderza mężczyzna?

– Zauważyłem, że dziewczęta boksują w ten sposób. – Zacisnął rękę w pięść, po czym ruszył nią do przodu i z powrotem, przez cały czas trzymając łokieć blisko tułowia. – Mężczyźni natomiast biorą przy tym lekki zamach.

– Raczysz zademonstrować?

– Dobrze. Tylko cofnij się trochę. Nie chciałbym cię niechcący uderzyć.

Elizabeth zrobiła kilka kroków do tyłu.

– Wystarczająco dużo miejsca dla mężczyzny?

– Nie ironizuj. Po prostu patrz. – Zamachnął się ręką i zamarł. – Będę musiał wyprowadzić cios dwa razy wolniej niż normalnie, bo uderzę w powietrze. Inaczej mógłbym się przewrócić.

– Ależ oczywiście – odparła ze wspaniałomyślnym skinieniem ręki. – Zatem dwa razy wolniej.

– Uważaj. Stoi przed tobą mistrz.

– Co do tego – odparła sucho – nie mam najmniejszych wątpliwości.

Całe ramię Jamesa wystrzeliło do przodu – ruch zaczął się od mięśni pleców, potem ramienia i skończył na pięści. James był zdania, że gdyby wyprowadził ten cios z normalną prędkością i gdyby przed nim ktoś stał, leżałby teraz na ziemi.

– I jak? – spytał, niezwykle z siebie zadowolony.

– Zrób to jeszcze raz.

Uniósł brwi, ale posłusznie wyprowadził kolejny cios, tym razem biorąc jeszcze większy zamach. Spojrzał w twarz Elizabeth; oczy miała zwężone i przyglądała mu się tak uważnie, że poczuł się jak wypisz, wymaluj zdobywca głównej nagrody na wystawie zwierząt hodowlanych.

Na chwilę odwzajemniła jego spojrzenie i poprosiła:

– Jeszcze raz, dobrze?

– Jesteś niezwykłe dociekliwa, czy po prostu chcesz, żebym robił z siebie idiotę?

– Och, zdecydowanie to pierwsze.

James wziął kolejny zamach i zastygł z ręką w górze.

– Podsumujmy: kobieta uderza prosto z ramienia, nie używając mięśni pleców.

Elizabeth machnęła ręką w imitacji damskiego ciosu.

– O, tak.

– Właśnie. Mężczyzna zaś wykorzystuje do ciosu mięśnie pleców i ramienia.

– Te mięśnie tutaj? – Uniosła rękę, drugą wskazując prawą stronę swojej klatki piersiowej.

Zaschło mu w ustach. Sukienka opinała się na niej w doprawdy przemiłych miejscach.

– Te, James? – powtórzyła, klepiąc się po plecach. – Czy te?

Tym razem dziewczyna poklepała po plecach jego, z tym że dłoń się jej obsunęła i poczuł palce na boku niemalże na wysokości pasa.

– Zgadłaś za pierwszym razem – wykrztusił, uchylając się od jej ręki. Gdyby bowiem wylądowała o jakiś cal czy dwa dalej w kierunku południowym, każdy sąd by go uniewinnił.

– Więc to coś w tym rodzaju. – Wyprowadziła niespieszny cios, tylko odrobinę szybszy od tych, które demonstrował.

– Tak. Ale stoisz trochę za sztywno. Pokażę ci jeszcze jeden raz. – Uderzył w powietrze. – Rozumiesz?

– Chyba tak. Chcesz, żebym spróbowała na serio?

– Tak. – Skrzyżował ręce na piersi. – Uderz mnie.

– Och, nie, nie mogłabym.

– Nie, nie. Chcę, żebyś mnie uderzyła.

– W życiu! Nigdy z rozmysłem nie zrobiłam komuś krzywdy.

– Elizabeth, wyłącznym celem naszych lekcji jest to, żebyś umiała zrobić komuś krzywdę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jeśli nie jesteś w stanie uderzyć człowieka, to niepotrzebnie tracimy czas.

– Skoro nalegasz… – odrzekła, ale nie wyglądała na przekonaną.

– Nalegam.

– Dobrze.

Na przygotowanie do ciosu miał zaledwie sekundy, zamachnęła się bowiem znienacka i uderzyła. Zanim James zdążył się zorientować, co się dzieje, leżał już na ziemi jak długi, czując, że prawe oko pulsuje mu boleśnie.

Zamiast okazać bodaj cień zaniepokojenia jego samopoczuciem, Elizabeth zaczęła podskakiwać z radości, wydając wyrażające zachwyt piski.

– Udało mi się! Naprawdę się udało! Widziałeś to? Widziałeś?

– Nie – mruknął – ale poczułem.

Wsparła ręce o biodra i uśmiechała się promiennie, jakby przed chwilą cały świat znalazł się u jej stóp.

– Och, to było świetne! Powtórzmy to.

– Lepiej nie – zaprotestował.

Powściągnęła swój entuzjazm i pochyliła się nad Jamesem.

– Nic ci nie zrobiłam, prawda?

– Skądże – skłamał.

– Nie? – w jej głosie brzmiało rozczarowanie.

– No, może troszeczkę mnie poturbowałaś.

– Och, dobrze. Ja… – przełknęła słowa, które cisnęły się jej na usta. – Nie chciałam przez to powiedzieć nic złego. Przysięgam. Nie chciałam, żeby cię zabolało, ale włożyłam w ten cios całą siłę i…

– Nic się nie bój, jutro będę obnosił jego skutki.

Aż wstrzymała oddech w przemieszanym z uszczęśliwieniem przerażeniu.

– Podbiłam ci oko?

– Myślałem, że nie chcesz, żeby mnie coś bolało.

– Nie chcę – odparła szybko – ale muszę się przyznać, że nigdy wcześniej nie robiłam czegoś, co choć trochę byłoby do tego podobne, i dość przyjemnie jest wiedzieć, że zrobiłam to jak należy.

James nie sądził, by siniak pod okiem miał prezentować się tak okazale, jak Elizabeth najwyraźniej się spodziewała, ale mimo to był na siebie zły, że do tego stopnia pomylił się w ocenie jej możliwości. Była taka drobniutka. W głowie mu nie postało, że uda się jej coś zdziałać już pierwszym ciosem. A gdyby to nawet przewidział, i tak pewnie by założył, że nie jest na tyle silna, by osiągnąć cokolwiek ponad oszołomienie przeciwnika. Zamierzał jedynie nauczyć Elizabeth, jak na chwilę unieszkodliwić napastnika, by zyskać czas na ucieczkę.

Jednakże, pomyślał smętnie, dotykając ostrożnie oka, wydaje się, że jej ciosy bynajmniej nie dają chwilowych skutków. Podniósł na nią wzrok. Wyglądała na tak dumną z siebie, że nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Stworzyłem potwora – powiedział.

– Tak myślisz?

Twarz Elizabeth pojaśniała jeszcze bardziej, co Jamesa wręcz zdumiało. Nie spodziewał się, by można było wyglądać jeszcze promienniej niż ona przed chwilą. Teraz jednak wydawało się, że samo słońce przegląda się w jej oczach.

Elizabeth wymierzyła kilka ciosów w powietrze.

– Może mógłbyś mnie nauczyć bardziej zaawansowanych technik?

– Piękne dzięki, już jesteś wystarczająco zaawansowana.

Przestała podskakiwać i twarz jej spoważniała.

– A może powinniśmy coś przyłożyć na to oko? Może nie zrobiłby się siniak i obrzęk, gdyby położyć na nie chłodny kompres?

O mały włos James by odmówił. Oko nie było znowu w takim kiepskim stanie – upadł na ziemię raczej z powodu własnego zaskoczenia niż na skutek siły jej ciosu. Ale Elizabeth właśnie zapraszała go do swojego domu i grzechem byłoby z takiej sposobności nie skorzystać.

– Chłodny kompres zrobiłby mi świetnie – mruknął.

– Zatem pójdź ze mną. Pomóc ci?

James patrzył na jej wyciągniętą dłoń z lekkim smutkiem – musiała go mieć za strasznego słabeusza.

– Boli mnie oko – odrzekł oschle. – Reszta mojego organizmu funkcjonuje należycie, nie narzekam.

Cofnęła rękę.

– Po prostu sądziłam… Musiałeś się porządnie uderzyć, padając na ziemię.

Cholera. Kolejna stracona okazja. Własna duma zaczynała go coraz bardziej irytować. Gdyby nie ona, mógłby przez całą drogę wspierać się na ramieniu Elizabeth.

– Może najpierw spróbuję iść o własnych siłach, a potem zobaczymy – zaproponował.

Może mógłbym „skręcić kostkę” na przestrzeni najbliższych dwudziestu jardów? – pomyślał.

– Brzmi to rozsądnie. Ale staraj się nie przemęczać.

James zrobił kilka ostrożnych kroków, usiłując sobie przypomnieć, na którą stronę upadł. Z pewnością by spostrzegła, gdyby się pomylił.

– Na pewno nie boli?

Musiałby być ostatnim łajdakiem, żeby wykorzystać ten niepokój, jaki widział w jej oczach. Najwyraźniej jednak jego sumienie przebywało obecnie w bliżej nieokreślonym miejscu, westchnął bowiem głośno i oznajmił:

– Chyba sobie coś zrobiłem w biodro.

Zerknęła na nie, od czego poczuł ukłucie w innych, nieopodal znajdujących się rejonach.

– Masz siniaka?

– Najpewniej tak – odparł. – Z pewnością to nic takiego, ale…

– Ale boli, kiedy idziesz – powiedziała z macierzyńską niemal troską. – Pewnie do jutra rana poczujesz się lepiej, ale rozsądnie byłoby teraz tego biodra nie przeciążać.

W zamyśleniu zmarszczyła czoło.

– Nie wiem, czy nie zrobiłbyś lepiej, wracając od razu do domu lady Danbury. Gdybyś poszedł ze mną, miałbyś jeszcze przed sobą całą drogę powrotną i….

– Och, ależ to naprawdę nic poważnego – zaprotestował pośpiesznie. – Poza tym obiecałem, że cię odprowadzę.

– James, codziennie wracam sama do domu!

– Niemniej jednak muszę dotrzymać obietnicy.

– Z przyjemnością cię z niej zwalniam. Przecież nie mogłeś przewidzieć, że zostaniesz znokautowany.

– Naprawdę, to wcale aż tak nie boli. Tyle że nie mogę iść za szybko.

Zaczynała się wahać.

– Poza tym – dodał, uznawszy, że powinien umocnić swoją pozycję – mamy jeszcze sporo do omówienia w związku z niedzielnym garden party u lady Danbury.

– Dobrze więc – ustąpiła niechętnie. – Ale musisz mi dać słowo, że od razu powiesz, jeśli ból zacznie się stawać bardziej dokuczliwy.

Dotrzymanie tej obietnicy nie mogło mu nastręczać szczególnych trudności, zważywszy, że takowego nie czuł.

Przeszli zaledwie kilka kroków, gdy Elizabeth odwróciła się do Jamesa i spytała:

– Dobrze się czujesz?

– Świetnie – zapewnił ją. – Ale sądzę, że teraz, gdy opanowałaś już sztukę samoobrony, powinniśmy przejść do kolejnego aspektu twojej edukacji…

– Myślisz o… – zarumieniła się.

– Dokładnie.

– Nie uważasz, że mądrzej byłoby zacząć od nauki flirtowania?

– Elizabeth, doprawdy nie stwierdzam u ciebie jakichkolwiek braków.

– Ależ ja nie mam o flircie zielonego pojęcia!

– Muszę zatem zauważyć, że masz wrodzony talent.

– Nie! – odparła z mocą. – To nieprawda! W ogóle nie wiem, jak prowadzić rozmowę.

– Wydawało się, że wiesz, o czym rozmawiać ze mną. To znaczy – zastrzegł się – wtedy gdy nie starałaś się przestrzegać edyktów pani Seeton.

– Ty się nie liczysz.

Zakasłał.

– A czemuż to?

– Nie wiem – odparła, leciutko kręcąc głową. – Naprawdę nie wiem. Jesteś inny.

Zakasłał znowu.

– Chyba nie różnię się aż tak bardzo od pozostałych przedstawicieli mojej płci.

– Skoro musisz wiedzieć, to dużo łatwiej się z tobą rozmawia.

James zastanowił się nad tym. Zanim poznał Elizabeth, chlubił się swoją umiejętnością odbierania mowy omdlewającym debiutantkom i ich pazernym rodzicielkom jednym lodowatym spojrzeniem. Od kiedy sięgał pamięcią, nie zawiodło go ono ani razu. To była chyba jedna z niewielu prawdziwie użytecznych rzeczy, których nauczył się od ojca.

Z czystej ciekawości wbił w Elizabeth swe najbardziej wzgardliwe spojrzenie: „jam-ci-jest-markiz-Riverdale” – spojrzenie, pod którego wpływem dorośli mężczyźni rozpierzchali się po kątach.

– A gdybym patrzył na ciebie w ten sposób? – spytał.

Wybuchła serdecznym śmiechem.

– Och, przestań! Przestań! Wyglądasz przekomicznie!

– Słucham?!

– Przestań, James! Błagam! Zupełnie jak mały chłopczyk, który udaje, że jest diukiem. Wiem, bo mój brat bez przerwy trenuje na mnie tę samą sztuczkę.

Poczuł ukłucie dumy i spytał:

– A ile ma lat?

– Osiem, ale…

Nie zdołała dokończyć zdania, bo reszta utonęła w kolejnym wybuchu wesołości.

James nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś śmiał się z niego. Nie był także szczególnie zachwycony porównaniem do ośmiolatka.

– Zapewniam cię – oznajmił chłodno – iż…

– Już nic nie mów – odparła ze śmiechem. – Naprawdę, James, nie ma co się puszyć jak arystokrata, kiedy człowiek nie ma odpowiedniego zadęcia.

Od czasów gdy rozpoczął pracę w wywiadzie, nigdy nie czul silniejszej jak w tym momencie pokusy, by ujawnić swą prawdziwą tożsamość. Aż go świerzbiło, by złapać Elizabeth za ramiona, porządnie nią potrząsnąć i krzyknąć: „Jestem cholernym markizem, ty głuptasie! I umiem być snobem jak mało kto, kiedy mi tylko przyjdzie na to ochota”.

Z drugiej strony w jej niewymuszonym śmiechu było coś czarującego. I kiedy odwróciła się w jego stronę, mówiąc: „Och, proszę, nie obrażaj się, James. To był komplement, naprawdę. Jesteś zdecydowanie zbyt miły, żeby być arystokratą”, przemknęło mu przez myśl, że w życiu rzadko zdarzają się podobnie cudowne chwile.

Wpatrywał się intensywnie w jakiś Bogu ducha winny kamyk i Elizabeth musiała się pochylić, żeby znaleźć się na linii jego wzroku.

– Wybaczysz mi? – spytała żartobliwie.

– Może uda mi się znaleźć w sercu…

– Jeżeli mi nie przebaczysz, mogę się poczuć zmuszona do dalszych treningów i…

Skulił się.

– W takim razie wybaczam ci natychmiast.

– Tak też sądziłam. Chodźmy do domu.

A on zastanawiał się, dlaczego słysząc z jej ust słowo „dom”, pomyślał, że mogłoby dotyczyć ich obojga.

11

Elizabeth sama nie mogła uwierzyć, jak mało przejmuje się stanem swojego domu, gdy wraz z Jamesem stanęli w jego progach. Zielone wzorzyste zasłony dawno już zdążyły wyblaknąć, lamperia wręcz prosiła się o świeżą warstwę farby. Meble były solidne, ale podniszczone. Strategicznie rozmieszczone poduszki przykrywały miejsca, w których czas poczynił największe spustoszenie. W sumie dom sprawiał wrażenie trochę pustawego. Kilka ukochanych bibelotów – wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, dawno już trafiło do lombardu czy wędrownych handlarzy.

Czuła zwykle potrzebę, by wyjaśnić, kiedy to i w jakich okolicznościach na ich rodzinę przyszły złe czasy, by jasno dać do zrozumienia, że przed śmiercią rodziców mieszkali w innym, o wiele większym domu. Lucas przecież był baronetem i to, jak musieli żyć, napawało ją wstydem.

Tym razem jednak po prostu otworzyła drzwi z uśmiechem na twarzy, pewna, że James zobaczy jej domek takim, jakim widziała go ona sama: jako ciepłe i wygodne schronienie. Co prawda James napomykał o swoim szlachetnym pochodzeniu, ale mówił także, że jego rodzina straciła cały majątek. Musiał wiedzieć, czym jest niemożność kupienia nowych rzeczy i konieczność ciągłego oszczędzania.

Szczęśliwie w domu panował ład, a w powietrzu unosił się zapach świeżo upieczonych ciastek.

– Los ci dziś sprzyja – rzuciła Elizabeth z uśmiechem. – Najwidoczniej Susan postanowiła upiec coś słodkiego.

– Pachnie smakowicie – przyznał James.

– Pierniczki z imbirem. Wiesz co, chodź do kuchni. Obawiam się, że nie zachowujemy się tutaj zbyt oficjalnie…

Pchnięciem ręki otworzyła drzwi i weszła do środka. Widząc, że James nie kwapi się usiąść, skarciła go wzrokiem i powiedziała:

– Nie stój tak na baczność. Masz posiniaczone biodro, które musi ci się solidnie dawać we znaki. Poza tym czułabym się niezręcznie, gdybyś tak stał i patrzył, jak parzę herbatę.

Przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Ta dwójka w ogrodzie to twoje rodzeństwo? – spytał po chwili.

Elizabeth odsunęła szerzej zasłonę i wyjrzała przez okno.

– Tak, to Lucas i Jane. Nie wiem, gdzie jest Susan, ale też musiała tu być jeszcze przed chwilą. Pierniczki nie zdążyły wystygnąć.

Z uśmiechem postawiła przed Jamesem talerz z ciastkami.

– Zawołam ich. Na pewno będą chcieli cię poznać.

James przyglądał się z zainteresowaniem, jak Elizabeth puka trzy razy w szybę. W przeciągu kilku sekund drzwi otworzyły się na oścież i do kuchni wpadła dwójka dzieciaków.

– O, to ty – oznajmił chłopczyk. – Myślałem, że to Susan.

– To tylko ja, niestety. Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest Susan?

– Poszła na rynek – odparł mały. – Przy odrobinie szczęścia dostaniemy trochę mięsa za tę naszą rzepę.

– Raczej z litości – mruknęła dziewczynka. – Zupełnie nie pojmuję, dlaczego ktoś miałby chcieć zamienić całkiem dobry kawałek mięsa za zupełnie ohydne rzepsko.

– Nie znoszę rzepy – powiedział James.

Dwójka młodszych Hotchkissów zwróciła płowe główki w jego stronę.

– Pewna osoba powiedziała mi kiedyś, że od rzepy można się nauczyć skrupulatności, ale do dziś nie udało mi się odgadnąć, co miała na myśli.

Elizabeth aż się zachłysnęła.

– Jak na mój gust, to bzdura – oznajmiła dziewczynka.

– Lucas, Jane – wtrąciła pośpiesznie Elizabeth. – Chciałabym wam przedstawić mojego przyjaciela, pana Siddonsa. On także pracuje u lady Danbury. Jest jej nowym zarządcą.

James wstał i potrząsnął rękę Lucasa z taką powagą, z jaką witałby premiera. Następnie zwrócił się do Jane i pocałował ją w rączkę. Buzia jej pojaśniała, a co ważniejsze, gdy podniósł wzrok na Elizabeth, szukając u niej aprobaty, zobaczył, że wprost promienieje.

– Miło mi pana poznać – rzucił James dwornie.

– Mnie również – odparł Lucas.

Jane nie zdobyła się na odpowiedź. Była zbyt zajęta wpatrywaniem się w rękę, na której gość przed chwilą złożył pocałunek.

– Zaprosiłam pana Siddonsa na herbatę i ciasteczka – kontynuowała Elizabeth. – Czy chcielibyście się do nas przyłączyć?

Jeszcze do niedawna James nie byłby zachwycony końcem miłego sam na sam z Elizabeth. Teraz jednak czuł, że robi mu się cieplej na sercu, gdy tak siedział i patrzył na uroczą trójkę rodzeństwa, które tak dobrze znało sens słowa „rodzina”.

Elizabeth wręczyła bratu i siostrze po jednym pierniczku i zapytała:

– Jak wam dzień minął? Odrobiliście pracę domową, którą wam zadałam?

Jane pokiwała głową.

– Pomogłam Lucasowi w arytmetyce.

– Nic podobnego! – wykrzyknął Lucas z takim oburzeniem, że z buzi poleciało mu kilka okruchów. – Sam sobie radzę.

– Może i tak – odparła Jane, lekceważąco wzruszając ramionami. – Ale dziś sobie nie poradziłeś.

– Elizabeth! – denerwował się chłopiec. – Słyszałaś, co ona powiedziała?

Ale Elizabeth zignorowała pytanie, węsząc z widocznym obrzydzeniem.

– Na miłość boską, co to za zapaszek?

– Byłem na rybach – odparł Lucas.

– Proszę mi natychmiast iść się umyć. Pan Siddons jest naszym gościem i to doprawdy nieuprzejme, żeby…

– W ogóle mi to nie przeszkadza – wtrącił James. – Złowiłeś coś?

– O mało co nie złapałem taaaaaakiej wielkiej – odparł Lucas, wyciągając ręce prawie tak daleko, jak mogły sięgnąć – ale w ostatniej chwili mi się wymknęła.

– Zawsze to robią – mruknął James współczująco.

– Ale złapałem dwie średniej wielkości. Zostały w wiaderku przed wejściem.

– Są dość obrzydliwe – wtrąciła Jane, straciwszy w końcu zainteresowanie swoją ręką.

– Nie mówisz tak, kiedy masz okazję jeść je na kolację – napadł na nią natychmiast Lucas.

– To dlatego, że Lizzy najpierw obcina im głowy, ty głupolu – odparowała dziewczynka.

– Lucas – powiedziała Elizabeth głośno – naprawdę uważam, że powinieneś pójść na dwór i zmyć z siebie chociaż trochę tego odorku.

– Ale pan Siddons…

– Starał się być uprzejmy, i tyle – wpadła bratu w słowo Elizabeth. – Zrób to natychmiast i przy okazji się przebierz.

Lucas zamruczał coś pod nosem, ale usłuchał.

– Czasami jest z nim tyle kłopotu – wyjaśniła z westchnieniem.

James zakasłał, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Jane odebrała to jako potaknięcie i dodała wyjaśniająco:

– On ma dopiero osiem lat.

– A ty ile?

– Dziewięć – odparła tonem, jakby od brata dzieliła ją przepaść nie do przebycia.

– Jane – powiedziała Elizabeth zajęta nastawianiem wody – mogę cię prosić na słowo?

Dziewczynka rzuciła uprzejme „pan wybaczy” i podeszła do siostry. James udawał, że nie patrzy, jak Elizabeth nachyla się ku siostrze i szepcze jej coś do ucha. Mała skinęła głową i wybiegła z kuchni.

– O czym tak szeptałyście? – Nie zdołał opanować ciekawości.

– Pomyślałam, że jej też nie zaszkodziłoby trochę wody, ale nie chciałam jej upokorzyć, mówiąc jej to w twojej obecności.

– Naprawdę uważasz, że poczułaby się upokorzona? – spytał, przekrzywiając głowę.

– James, to dziewięcioletnia dziewczynka, która uważa się za piętnastolatkę. Ty jesteś przystojnym mężczyzną. Naturalnie, że czułaby się upokorzona.

– Cóż, wiesz lepiej niż ja – odparł, starając się nie okazać, jak wielką przyjemność sprawiła mu tym przemyconym komplementem.

Elizabeth wskazała ręką na talerz z pierniczkami.

– Nie spróbujesz?

Wybrał sobie ciastko.

– Pyszne.

– Prawda? Nie wiem, co Susan z nimi wyczynia. Mnie samej nigdy nie wychodzą takie smaczne.

Podniosła z talerza pierniczek i ugryzła kawałek.

James wpatrywał się w Elizabeth, urzeczony. Patrzył, jak ciastko powoli znika w jej ustach. Dostrzegł koniuszek jej języka, gdy zagarniała jakiś okruszek, i…

– Wróciłem!

Westchnął. Jeden z najmniej oczekiwanych momentów przesyconych erotyzmem umknął, spłoszony pojawieniem się ośmiolatka.

Lucas wyszczerzył się radośnie.

– Lubi pan łowić ryby?

– To jeden z moich ulubionych sportów.

– Ja bym chciał polować, ale Elizabeth mi nie pozwala.

– Twoja siostra jest bardzo mądrą kobietą. Chłopiec w twoim wieku nie powinien bawić się bronią bez właściwego nadzoru.

Lucas wykrzywił się pociesznie.

– Wiem, ale nie dlatego mi nie pozwala. To dlatego, że ma za miękkie serce.

– Jeżeli to, że nie chcę patrzeć, jak krzywdzisz biednego Bogu ducha winnego króliczka – wtrąciła Elizabeth – oznacza, że mam zbyt miękkie serce, to…

– Ale jesz króliki – spierał się Lucas. – Widziałem nieraz.

Elizabeth skrzyżowała ręce na piersi i mruknęła:

– To zupełnie co innego, niż kiedy mają uszka.

James zaśmiał się.

– Zupełnie jakbym słyszał Jane z jej awersją do rybich oczu.

– Nie, nie, nie – upierała się Elizabeth – to na całkiem innej zasadzie. O ile sobie przypominasz, właśnie ja zawsze obcinam rybom głowy. Widzisz więc, że nie mogę być przewrażliwiona.

– Zatem na jakiej zasadzie? – droczył się z nią.

– Właśnie – zawtórował Lucas, na wzór Jamesa krzyżując ręce i przekrzywiając głowę. – Na jakiej?

– Nie muszę odpowiadać na takie pytania!

James zwrócił się do Lucasa i powiedział, przysłaniając ręką usta:

– Wie, że nie ma argumentów.

– Słyszałam to!

Mały zachichotał tylko. James wymienił z nim poważne, porozumiewawcze spojrzenie, które miało znaczyć: „Kobiety robią się zwykle irytująco sentymentalne, gdy idzie o małe, puchate stworzenia”.

Elizabeth nie odrywała oczu od pieca, udając, że przygotowuje herbatę. Już od tak dawna Lucas nie przebywał z człowiekiem, którego mógłby

szanować i podziwiać. Przez cały ten czas dręczyła ją niejasna obawa, że pozbawia braciszka czegoś ważnego, wychowując go sama, zdanego wyłącznie na towarzystwo sióstr. Gdyby odesłała go do któregoś z krewnych, wciąż nie miałby co prawda ojca, ale przynajmniej w jego życiu pojawiłby się jakiś dorosły mężczyzna.

– Jaką największą rybę udało się panu złowić? – spytał Lucas.

– Na lądzie czy na morzu?

Lucas szturchnął Jamesa w ramię i zaprotestował:

– Na lądzie ryb się nie łowi!

– Chodziło mi o staw.

Oczy chłopca rozszerzyły się.

– To pan łowił na morzu?

– Naturalnie.

Elizabeth rzuciła mu rozbawione spojrzenie, mówił o tym tak od niechcenia.

– Na statku? – dopytywał się Lucas.

– No, w zasadzie to był żaglowiec.

Żaglowiec? Elizabeth kręciła głową, wyjmując z szafki zastawę. James musiał mieć ustosunkowanych znajomych.

– Jaka była duża?

– Och, czy ja wiem. Może coś koło tego… – Rozłożył szeroko ręce.

– O, kurde! – wykrzyknął Lucas.

Elizabeth o mało nie upuściła sosjerki.

– Lucas?!

– Przepraszam, Elizabeth – bąknął mały nieuważnie. Nawet się nie odwrócił w jej stronę, całą jego uwagę pochłaniał rozmówca. – Trudno było ją wyciągnąć?

James nachylił się do niego i wyszeptał mu coś do ucha. Elizabeth wygięła szyję do granic możliwości i zdrowo nadwerężyła uszu, ale nie zdołała usłyszeć jego słów.

Lucas pokiwał głową dość smętnie, uniósł się, podszedł do siostry i ukłonił się jej lekko. Tak ją tym zaskoczył, że tym razem upuściła to, co trzymała w ręce: zwykłą łyżkę, Bogu dzięki.

– Przepraszam, Elizabeth – powiedział Lucas. – Taki język nie przystoi w obecności damy.

– Dziękuję, Lucas.

Spojrzała na Jamesa, a on dyskretnie uśmiechnął się do niej. Głową wskazał na chłopca, nachyliła się więc do niego, podała mu talerz z pierniczkami i zaproponowała:

– A może tak pójdziecie z Jane poszukać Susan? Będziecie mogli sobie podjadać ciasteczka przez całą drogę do miasta.

Oczy chłopca pojaśniały. Szybko schwycił talerz i wypadł z kuchni. Elizabeth na chwilę oniemiała ze zdumienia.

– Coś ty mu takiego szepnął? – spytała w końcu.

Wzruszył ramionami.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Ależ musisz. Cokolwiek to było, czyni cuda.

Rozparł się w krześle. Wyglądał na wyjątkowo zadowolonego z siebie.

– Niektóre rzeczy powinny pozostawać między mężczyznami.

Elizabeth zmarszczyła czoło z udawaną surowością, niezdecydowana, czy dalej drążyć temat, gdy nagle zauważyła pod okiem Jamesa ciemniejącą plamę.

– Och, zupełnie zapomniałam! – wykrzyknęła. – Twoje oko! Muszę zrobić ci okład!

– Nic mi nie będzie, naprawdę. Zdarzały mi się o wiele większe obrażenia i przeżyłem je bez żadnych okładów.

Ale dziewczyna nie słuchała, pośpiesznie plądrując kuchnię w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego na kompres.

– Nie rób sobie kłopotu – spróbował jeszcze raz.

Ku jego zaskoczeniu podniosła na niego wzrok. Sądził, że jest zbyt zajęta gorączkowymi poszukiwaniami, by go słuchać, nie mówiąc już o udzieleniu odpowiedzi.

– Nie mam zamiaru wdawać się z tobą w dyskusję – ucięła. – Możesz więc równie dobrze nie strzępić języka.

Uzmysłowił sobie, że była to szczera prawda. Elizabeth Hotchkiss nie należała do osób, którym zdarzałoby się zarzucić nie zrealizowany projekt czy nie wywiązać się ze swoich obowiązków. I skoro już uparła się opatrzyć jego podbite oko, nawet on – arystokrata, mężczyzna dwakroć od niej silniejszy – nie zdoła jej powstrzymać.

– Jeśli musisz – mruknął, starając się, by w jego tonie pojawiła się chociaż nutka rezygnacji.

Wyżęła coś nad zlewem, odwróciła się w jego stronę i wyciągnęła triumfalnie ręce.

– Proszę!

– Co to? – spytał podejrzliwie.

– Mokra ściereczka. A co myślałeś? Że położę ci na twarzy dzisiejszą zdobycz Lucasa?

– Nie, nie jesteś aż tak rozzłoszczona, chociaż…

Uniosła brwi i zajęła się drapowaniem mokrego gałganka na jego oku.

– Insynuujesz, że mógłbyś mnie pewnego pięknego dnia rozzłościć do takiego stopnia, że…

– Nic podobnego. Boże, nie znoszę, jak ktoś się ze mną cacka. Po prostu sądziłem… Nie tak, troszkę bardziej w prawo.

Elizabeth poprawiła ułożenie ściereczki, pochylając się nad Jamesem.

– Tak lepiej?

– Owszem, chociaż czuję, że robi się coraz cieplej…

– Przepraszam – wpadła mu w słowo. Gwałtownie odsunęła się od niego o kilka cali i wyraźnie zesztywniała.

– …sza. Ściereczka, znaczy się – dokończył.

Zabrakło mu sił, by oderwać oczy od tego, co znajdowało się przed nimi. Nie wiedział, czy dziewczyna zdawała sobie sprawę z tego, że wpatrywał się w jej piersi, ale gwałtownie odskoczyła.

– Mogę ją znowu zmoczyć – powiedziała po chwili i wyciągnęła w stronę Jamesa ociekający gałganek. – Lepiej będzie, jak sobie sam przyłożysz.

Spojrzał na nią z miną aniołka.

– Ale ja lubię, jak ty to robisz.

– Sądziłam, że nie lubisz, jak ktoś się z tobą cacka.

– Bo tak myślałem.

Zareagowała oparciem ręki na biodrze i przybraniem pozy zdradzającej na poły przestrach, a na poły sarkazm. Wyglądała raczej komicznie i jednocześnie nie wiedzieć czemu zachwycająco, gdy tak stała przed Jamesem ze ścierką do naczyń zwisającą z dłoni.

– Starasz się mnie przekonać, że jestem twoim aniołem miłosierdzia, który zstąpił z nieba, żeby…

Usta rozciągnęły mu się w powolnym, uwodzicielskim uśmiechu.

– Dokładnie tak.

Cisnęła w Jamesa ściereczką, która pozostawiła na środku jego koszuli mokrą plamę.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

– Jak na anioła – mruknął – masz dosyć gwałtowny charakterek.

– Przyłóż wreszcie tę ścierkę – jęknęła.

Posłusznie przycisnął gałganek do oka. Nie ryzykowałby dyskusji z Elizabeth, zważywszy na jej obecny nastrój.

Stali przez chwilę w milczeniu, popatrując na siebie, po czym Elizabeth rzekła:

– Zdejmij to na chwilę.

– Ścierkę?

Skinęła głową.

– Czy aby nie kazałaś mi przed chwilą jej przyłożyć?

– Owszem, ale chcę zerknąć na siniak.

James nie widział powodów, by nie posłuchać, pochylił się więc w jej stronę z uniesioną brodą i przekrzywiając głowę, żeby ułatwić dziewczynie oględziny.

– Hm… – mruknęła. – Nie jest nawet w połowie tak fioletowy, jak bym mogła się spodziewać.

– Mówiłem, że to nic poważnego.

– Powaliłam cię na ziemię jednym ciosem – odparła ze zmarszczonym czołem.

Przysunął twarz bliżej w milczącym wyzwaniu – chciał, by znalazła się w zasięgu jego ust.

– Może przyjrzałabyś się z bliska?

Nie dała się oszukać.

– Będę w stanie lepiej ocenić odcień twojego siniaka, jeżeli się bliżej przysunę? Hm. Nie wiem, co ci tam chodzi po głowie, ale nie złapiesz mnie na te swoje sztuczki.

Fakt, iż była zbyt niewinna, by móc zorientować się, że chciał jej skraść pocałunek, zarazem zdumiał go, jak i oczarował. Po chwili namysłu zdał sobie jednak sprawę, że także przerażał. Skoro jego prawdziwe pobudki pozostawały dla niej taką zagadką, to co dopiero może się stać, gdy będzie miała do czynienia z mężczyznami, którym przyświecają znacznie mniej szlachetne cele?

A że się z nimi zetknie, był absolutnie przekonany. Może i sam miał reputację rozpustnika, ale starał się w swoim postępowaniu kierować jakąś krztyną przyzwoitości, a nie mógł tego powiedzieć o większości towarzystwa. Elizabeth zaś z tymi jej księżycowo świetlistymi włosami, z tymi ustami i…

Niech to diabli, nie o to chodziło, by miał siedzieć i wyliczać jej wdzięki. Rzecz w tym, że nie stała za nią potężna rodzina, która by ją mogła chronić,

dlatego też panowie z pewnością spróbują ją wykorzystać. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej był przekonany, czy Elizabeth zdoła trafić przed ołtarz, zachowując niewinność – i duszę – nieskalaną.

– Jutro będziemy mieli kolejną lekcję boksu – rzucił nieoczekiwanie.

– Wydaje mi się, że mówiłeś…

– Wiem, co mówiłem – warknął – ale potem zacząłem myśleć.

– To niezwykłe – mruknęła złośliwie.

– Elizabeth, musisz wiedzieć, jak się bronić. Mężczyźni to łajdaki. Podłe dranie. Idioci, co do jednego.

– Ty też?

– Zwłaszcza ja! Czy wiesz, co zamierzałem zrobić, gdy przyglądałaś się mojemu oku?

Pokręciła głową.

– Jeszcze jedna sekunda – mówił z płonącymi oczami, w których malowała się wściekłość i żądza – jeszcze jedna błogosławiona chwilka i dotykałbym ręką twojej szyi. Zanim zdążyłabyś zliczyć do jednego, siedziałabyś już na moich kolanach.

Nic nie odpowiedziała, co z jakiegoś idiotycznego, niezrozumiałego dla niego samego powodu rozwścieczyło go jeszcze bardziej.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? – spytał.

– Rozumiem – odparła chłodno. – I uważam tę nauczkę za najważniejszą część mojej edukacji. Jestem zbyt ufna.

– Żebyś wiedziała, psiakrew! – burknął.

– Naturalnie stawia to pod znakiem zapytania naszą jutrzejszą lekcję – rzekła i obrzuciła Jamesa badawczym spojrzeniem. – Pamiętasz, mówiłeś, że muszę zapoznać się z… hm… romansowym aspektem zalotów.

James miał przeczucie, że nie spodoba mu się to, co zaraz usłyszy.

– Mówisz, że muszę się nauczyć całować, a także – tu posłała mu pełne niedowierzania spojrzenie – że to ty musisz mnie tego nauczyć.

James rozpaczliwie szukał słów, które mogłyby go przedstawić w korzystniejszym świetle, ale ich nie znalazł. Milczał więc i usiłował zachować pozory godności, obrzucając dziewczynę spojrzeniem wyrażającym święte oburzenie.

– A potem mówisz – kontynuowała – że nie powinnam ufać nikomu. Dlaczego więc powinnam zaufać tobie?

– Ponieważ ja mam na uwadze wyłącznie twoje dobro.

– Ha!

Jak na wyrzut, ten był krótki, celny i niezwykle skuteczny.

– Dlaczego mi pomagasz? – wyszeptała. – Dlaczego złożyłeś mi tę dziwaczną propozycję pomocy? Bo jest dziwaczna, sam wiesz. Musisz wiedzieć.

– To dlaczego ją przyjęłaś? – odparował.

Umilkła na chwilę. Na to pytanie nie mogła odpowiedzieć. Okłamywała go, ale tylko dlatego, że prawdy powiedzieć nie mogła. Och, setnie by się ubawił, słysząc, że chciała spędzić w jego towarzystwie ten jedyny, ostatni tydzień, może całe dwa, gdyby szczęście się do niej uśmiechnęło. Pragnęła słyszeć jego głos, czuć zapach, doznawać zapierającego dech w piersiach uczucia za każdym razem, gdy zbliżał się do niej niebezpiecznie blisko. Chciała zakochać się i łudzić się, że szczęście może trwać wiecznie.

Nie, wyznanie prawdy nie wchodziło w rachubę.

– Nieważne, dlaczego – odparła w końcu.

Wstał z krzesła.

– Nieważne?

Nie zdając nawet sobie z tego sprawy cofnęła się o krok. O ileż łatwiej przychodziło jej zdobyć się na brawurę, kiedy siedział… Kiedy bowiem stał wyprostowany, stawał się najbardziej onieśmielającym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała, a przeświadczenie, że w jego obecności czuje się swobodnie, wydawało się nagle bezpodstawne.

Ale coś się zmieniło. On był tutaj. Blisko. I pragnął jej.

Znikło uczucie nieskrępowania – to samo, które pozwalało jej zachowywać się przy nim tak naturalnie, mówić, co myśli, bez obawy o jego reakcję. Jego miejsce zajęło coś nieskończenie bardziej przejmującego. Coś, co zawładnęło jej ciałem i duszą.

James nie spuszczał z niej oczu. Ich intensywny brązowy kolor stawał się coraz ciemniejszy, coraz bardziej mroczny, kiedy zmniejszała się odległość dzieląca go od Elizabeth. Nie mogła mrugnąć, nie mogła nawet oddychać, gdy tak się do niej zbliżał. Powietrze stało się gorące, potem zaczęło iskrzyć i wtedy zatrzymał się.

– Teraz cię pocałuję – wyszeptał.

Nie mogła z siebie wydobyć głosu.

Ręką objął ją w talii.

– Jeżeli nie chcesz, powiedz od razu, bo jeśli nie…

Myślała, że stoi jak skamieniała, ale usta same rozchyliły się jej w niemym przyzwoleniu.

Druga dłoń Jamesa wśliznęła się na nasadę karku Elizabeth. Dziewczynie wydawało się, że coś szeptał, gdy zatapiał palce w jej jedwabistych włosach. Wargi musnęły jej usta, raz, drugi, po czym przeniosły się na ich kącik. Język pieścił delikatną skórę na obrzeżu warg Elizabeth, a ona nie była w stanie powstrzymać jęku.

Przez cały ten czas jego ręce poruszały się, pieszcząc jej plecy, delikatnie łaskocząc szyję. Potem pobłądził ustami ku uchu dziewczyny. Kiedy szeptał, słyszała każde jego słowo równie wyraźnie, jak je czuła.

– Przytulę cię do siebie.

Oddech i słowa Jamesa parzyły skórę Elizabeth.

Wiedziała, że odnosił się do niej ze szczególnym szacunkiem. Udało się jej odzyskać głos na tak długo, by spytać:

– Dlaczego mnie pytasz o zgodę?

– Żeby dać ci szansę odmówić. – Jego spojrzenie, płonące, mroczne i niezwykle męskie, spoczęło na jej twarzy. – Ale ty nie odmówisz.

Nienawidziła go za tę jego pewność, nienawidziła siebie, bo nie była w stanie niczego mu odmówić, gdy trzymał ją w ramionach. Ale uwielbiała ową dziwną świadomość, że po raz pierwszy w życiu rozumie mowę swojego ciała.

A gdy przygarnął ją do siebie, cudownie było poczuć, że serce bije mu równie szybko jak jej.

Jego dotyk wydawał się parzyć, nie słyszała niczego poza szumem własnej krwi i łagodnie wypowiedzianym:

– Cholera.

Cholera? James odsunął się nagle.

Cholera. Elizabeth cofnęła się na miękkich nogach i opadła na pierwsze krzesło, na które natrafiła.

– Słyszysz to? – szepnął.

– Co?

Szmer głosów.

– To! – syknął.

Elizabeth skoczyła na równe nogi.

– Och, nie! – jęknęła. – To Susan. I Lucas, i Jane. Wyglądam w porządku?

– Ee… Prawie… – skłamał. – Mogłabyś co prawda… – Parę razy machnął ręką nad głową w niejasnym geście.

– Moje włosy? – spytała. – Moje włosy? Coś ty zrobił z moją fryzurą?

– Nie tyle, ile bym sobie życzył – mruknął.

– Ojej, ojej, ojej!

Pomknęła do zlewu, zatrzymawszy się na chwilę, by rzucić mu sponad ramienia:

– Muszę być dla nich wzorem. Pięć lat temu przysięgłam na Boga, że będę dla nich wzorem. I spójrz tylko na mnie.

James pomyślał ponuro, że przez całe popołudnie niczego innego nie robił i jedyne, co na tym zyskał, to uczucie frustracji.

Rozległ się trzask frontowych drzwi i Elizabeth podskoczyła.

– Naprawdę mam potargane włosy? – spytała w panice.

– Cóż, wyglądają inaczej niż wtedy, gdy tu przyszliśmy – przyznał.

– Nie zdążę się uczesać.

Wolał nie odpowiadać. Z doświadczenia wiedział, że rozsądni mężczyźni nie przerywają damie toalety.

– Pozostaje zatem jedno – powiedziała.

James przyglądał się z zainteresowaniem, jak nabierała wody w mały garnczek porwany pośpiesznie z blatu. W ten sam, w którym zmoczyła ścierkę na okład.

Dziecięcy szczebiot rozbrzmiewał coraz bliżej.

I wtedy Elizabeth, którą jeszcze do niedawna miał za względnie racjonalną i trzeźwo myślącą osobę, wyrzuciła ręce w górę i chlusnęła sobie wodą po twarzy, staniku i – żeby nie skłamać – po całej jego skromnej osobie.

Powoli strząsając wodę w butów, pomyślał, że kwestia jej zdrowego rozsądku wymaga ponownego przemyślenia.

12

Jezus, Maria, Józefie święty! – wykrzyknęła Susan. – Co ci się stało?

– Miałam małą przygodę – odparła Elizabeth.

W sztuce kłamania musiała poczynić pewne postępy, Susan bowiem nie zareagowała natychmiastowym przewróceniem oczami i pełnym niedowierzania chrząknięciem. Oblanie się wodą nie było rozwiązaniem szczególnie przemyślanym, raczej natchnionym. Skoro nie można było błyskawicznie doprowadzić fryzury do ładu, pozostawało jedynie zrobić na głowie większy bałagan. Wtedy przynajmniej nikt nie powinien podejrzewać, co działo się tu przed chwilą.

Mała, płowa główka obracała się to w jedną, to w drugą stronę, gdy Lucas szacował wzrokiem zakres poczynionych przez wodę spustoszeń.

– Wyglądasz, jakby cię tu potop zastał.

Elizabeth starała się przyjąć spokojnie tę uwagę.

– Przygotowywałam kompres dla pana Siddonsa, bo uderzył się w oko, wywróciłam garnek i…

– To dlaczego garnek stoi normalnie? – spytał chłopiec.

– Bo go podniosłam – warknęła.

Lucas zamrugał zdumiony i cofnął się.

– Powinienem się chyba zbierać – powiedział James.

Elizabeth zerknęła w jego stronę. Strząsał wodę z rąk z uwagi godnym spokojem, zważywszy, że przed chwilą znienacka urządziła mu porządną kąpiel.

Susan chrząknęła znacząco, ale Elizabeth nie zwracała na nią uwagi. Dziewczynka znowu chrząknęła.

– Ale najpierw przydałby się jakiś ręcznik – mruknął James.

– Ach, tak, naturalnie.

Kolejne chrząknięcie było tak donośne, że Elizabeth nie mogła nie zareagować.

– Czego chcesz, Susan? – syknęła.

– Zechciałabyś mnie przedstawić?

– Och, tak. – Elizabeth poczuła, jak policzki zaczynają ją szczypać wobec tego oczywistego zaniedbania protokołu. – Panie Siddons, pozwoli pan, że przedstawię moją młodszą siostrę, pannę Susan Hotchkiss. Susan, poznaj…

– Pana Siddonsa? – zakrztusiła się dziewczynka.

Uśmiechnął się i skłonił z niebywałą elegancją.

– Można by pomyśleć, że pani mnie zna.

– Ależ nie – odparła Susan tak żywo, że nietrudno było zorientować się, że kłamie. Na jej ustach pojawił się uśmiech – zdaniem Elizabeth podejrzanie szeroki – po czym szybko zaczęła z innej beczki: – Zmieniłaś fryzurę?

– Mam mokre włosy – warknęła Elizabeth.

– Wiem, ale i tak wyglądają…

– Na mokre.

Dziewczynka zamknęła buzię, ale mimo zaciśniętych ust zdołała jakoś powiedzieć „przepraszam”.

– Pan Siddons musi już wracać – rzuciła Elizabeth pośpiesznie, przyskoczyła do Jamesa i chwyciła go za ramię. – Odprowadzę pana do furtki.

– Miło mi było panią poznać, panno Hotchkiss – rzucił, odwracając głowę. Nie mógł się pożegnać w bardziej cywilizowany sposób, trójkę młodszych Hotchkissów bowiem zostawił już w tyle. Elizabeth zdążyła

dociągnąć go do drzwi, a potem zaczęła wypychać do holu. – Ciebie też, Lucas! – zawołał. – Musimy się kiedyś wybrać na ryby!

Lukas wydał z siebie radosny pisk i rzucił się w ślad za gościem.

– Och, dziękuję, panie Siddons. Dziękuję!

Elizabeth praktycznie wywlokła Jamesa na schody frontowe, gdy ten nieoczekiwanie zatrzymał się i oznajmił:

– Muszę jeszcze coś zrobić.

– Co takiego mógłbyś chcieć zrobić? – spytała, podnosząc oczy ku niebu. Ale James zdążył się już wywinąć z jej kurczowego chwytu i pomaszerował z powrotem do kuchni. Kiedy uznała, że oddalił się na tyle, by jej nie słyszeć, mruknęła:

– Odnoszę wrażenie, że już wszystko dziś robiliśmy.

Rzucił jej przez ramię lubieżny uśmieszek.

– Nie wszystko.

Krztusiła się i dygotała ze złości, starając się znaleźć w myślach dostatecznie jadowitą odpowiedź, gdy nagle musiała wszystkie te wysiłki uznać za bezcelowe. James bowiem zrobił coś, od czego stopniało w niej serce.

– Jane! – zawołał, opierając się o framugę.

Elizabeth nie widziała, co dzieje się w kuchni, ale i tak miała w oczach całą scenę – jej siostrzyczka unosi główkę, ciemnobłękitne oczy ma szeroko otwarte i uszczęśliwione.

James posłał w głąb mieszkania pocałunek.

– Do widzenia, słodka Jane. Gdybyś tylko była trochę starsza…

Elizabeth westchnęła, rozrzewniona. Jej najmłodsza siostrzyczka będzie tego całusa wspominać co najmniej przez dziesięć lat.

Elizabeth wiedziała, że nie ominie jej rozmowa z Jamesem na temat ich skandalicznego postępowania i przygotowała sobie na tę okazję małe przemówienie, może aż nazbyt wystudiowane, ale z pewnością szczere.

Odgrywała w myślach najróżniejsze scenariusze tego spotkania przez całą noc i następnego dnia rano. I dalej powtarzała swoją kwestię, gdy brnęła przez błoto – zeszłej nocy padał deszcz – w kierunku domu lady Danbury.

Cały ten plan – dziwny, niecodzienny i niepojęty plan, który miał ją doprowadzić do ołtarza – wymagał przyjęcia pewnych zasad. Dyktatów zachowania, wytycznych i temu podobnych. Inaczej musiałaby po prostu oszaleć.

Jej wczorajsze zachowanie, na przykład, wyraźnie nosiło znamiona histerii. W przystępie paniki cała oblała się wodą. O reakcji na pocałunek Jamesa lepiej wcale nie mówić.

Będzie musiała bodaj częściowo przejąć panowanie nad sytuacją. Wykluczone, żeby James dalej robił, co mu się żywnie podoba, świetnie się przy tym bawiąc. Będzie stanowcza i odwzajemni się mu za jego „pomoc".

A w ogóle, to nie miał prawa porywać jej w ramiona w chwili, gdy się tego zupełnie nie spodziewała. Powie mu, że nauka całowania będzie musiała ograniczyć się do teorii. Jeśli będzie się z niej śmiał, to trudno. Tylko tak mogłoby się jej udać wyjść z całej tej afery, zachowując spokój duszy.

Bo co do spokoju serca – cóż, ta sprawa była już chyba przegrana.

Raz za razem przepowiadała w myślach przygotowaną mówkę, ciągle jednak nie była z niej zadowolona. To wydawała się jej zbyt stanowcza, to za mało zdecydowana. Raz przesadnie oschła, raz aż nazbyt błagalna. Ale gdzie tu można szukać rady?

A może powinna ten jeden jedyny raz zajrzeć do *Jak poślubić markiza*? Szukała przecież zasad, edyktów, a gdzie jak gdzie, ale tam było ich bez liku. Całkiem możliwe, że pani Seeton wspomniała, jak przekonać mężczyznę, że postępuje niemoralnie, nie obrażając go przy tym. Albo też jak sprawić, by robił to, czego pragnie kobieta, wierząc, że robi to, czego chce on sam. Elizabeth miała wrażenie, że natknęła się na coś podobnego.

A jeżeli niczego takiego w książce nie było, to powinno się w niej znaleźć – była o tym głęboko przekonana. W obecnej chwili nie umiała sobie wyobrazić bardziej przydatnej umiejętności. Matka nie zdążyła jej udzielić przed śmiercią wielu rad na temat postępowania z mężczyznami, ale jedną Elizabeth pamiętała do dziś. „Nigdy nie przypisuj sobie zasługi – powiedziała jej Claire Hotchkiss. – Osiągniesz o wiele więcej, pozwalając mu sądzić, że jest najmądrzejszym, najbłyskotliwszym i najpotężniejszym mężczyzną, jakiego nosi ziemia”.

Z tego, co Elizabeth zdążyła już zauważyć, rada ta skutkowała. Anthony Hotchkiss był w żonie szaleńczo zakochany. Gdy wchodziła do pokoju, tracił z oczu cały świat – w tym także własne dzieci.

Jednak nieszczęśliwie dla Elizabeth, mówiąc jej, co robić, matka nie uznała za stosowne powiedzieć jej, jak.

Być może w tych sprawach niektórym kobietom wystarczała intuicja, ale Elizabeth do nich nie należała. Boże drogi, musi zajrzeć do poradnika, żeby dowiedzieć się, jak dalej postępować. Brakowało jej bowiem nie tylko intuicji, ale i doświadczenia.

Na schodach Elizabeth otrząsnęła błoto z butów kilkoma energicznymi tupnięciami, otworzyła drzwi frontowe i pomknęła przez hol prosto do biblioteki. Lady Danbury nie skończyła jeszcze śniadania i w tej części domu było zupełnie cicho, a ta cholerna książka czekała tuż-tuż.

Elizabeth stąpała po eleganckim chodniku przykrywającym większą część holu. Panująca tu cisza wydała się jej wręcz uroczysta – co naturalnie mogło się wiązać z tym, że w porze własnego śniadania miała zwykle do czynienia z nieustannymi sprzeczkami między Lucasem i Jane o to, czyja dziś kolej na zmywanie naczyń po posiłku. W momencie gdy Elizabeth dotknęła stopą podłogi, rozległ się potworny stukot, niosący się echem po całym holu. Drgnęła, i tak już spięta.

Wpadła do biblioteki i nozdrza jej wypełnił zapach wypolerowanego drewna i starych książek. Uwielbiała te rzadkie chwile niezmąconego

spokoju. Ostrożnie, niemal bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi i powiodła uważnym spojrzeniem po półkach. Tomik leżał tam, gdzie spodziewała się go ujrzeć.

Chciała tylko do niego zerknąć, a to przecież nie mogło nikomu zaszkodzić. Rzecz jasna, wiedziała świetnie, że nie było to żadne poważne dzieło i że większą jego część stanowiły najróżniejsze idiotyzmy, ale gdyby udało się jej znaleźć bodaj strzęp informacji, który mógłby rozwiązać jej obecny dylemat…

Wzięła książkę do ręki i zaczęła ją wertować. Energicznie przewracała palcami kartki, starając się wyłowić wzrokiem coś stosownego. Pominęła fragment o garderobie i całe te głupotki o trenowaniu edyktów. Może gdzieś pod koniec znajdzie się…

– Co robisz?

Podniosła oczy z bolesną świadomością, iż przypominają wzrok sarny wpatrującej się w lufę skierowanej w nią myśliwskiej strzelby.

– Nic – odpowiedziała niepewnie.

James ruszył w jej stronę. Zaledwie po kilku krokach znalazł się niepokojąco wręcz blisko.

– Znowu czytasz to paskudztwo, tak?

– W zasadzie to nie – wyjąkała. Pomyślała, że musi jej brakować piątej klepki, skoro czuje się tak bardzo zawstydzona, ale po prostu nie mogła się wyzbyć wrażenia, że została przyłapana na czymś wyjątkowo nieprzystojnym. – Właściwie tylko ją przeglądałam.

– Sam nie wiem dlaczego, ale różnica między czytaniem a przeglądaniem nie wydaje mi się istotna.

Elizabeth szybko uznała, że najrozsądniej będzie zmienić temat.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Słyszałem kroki. Na drugi raz staraj się iść po dywanie.

– Szłam po dywanie! Ale on nie sięga do samej biblioteki i trzeba przejść kilka kroków po gołej podłodze.

W brązowych oczach Jamesa pojawił się dziwny błysk.

– Zawsze można jakoś stłumić… Nieważne. Nie w tym rzecz. – Wyciągnął szybko rękę i wyrwał *Jak poślubić markiza* z palców Elizabeth. – Sądziłem, że ustaliliśmy raz na zawsze, że to stek bzdur, pustosłowie, którego wyłącznym celem jest zmienianie kobiet w pozbawione mózgu, histeryczne idiotki.

– Miałam wrażenie, że tak właśnie myślą o nas mężczyźni.

– Bo taka jest większość kobiet – burknął. – Ale ty nie musisz taka być.

– Ależ, panie Siddons, pan mnie szokuje. To zabrzmiało prawie jak komplement.

– I ty mówisz, że nie umiesz flirtować – mruknął.

Elizabeth nie zdołała opanować uśmiechu, który cisnął się jej na usta. Ze wszystkich jego komplementów najbardziej poruszały ją właśnie te wygłaszane mimo woli.

James rzucił jej gniewne spojrzenie i szybko odłożył tomik na miejsce. Złość malująca się na jego twarzy sprawiała, że przypominał teraz rozgniewanego chłopca.

– Lepiej, żebym cię przy niej znowu nie przyłapał.

– Szukałam tylko jednej konkretnej porady – wyjaśniła.

– Jeśli potrzebujesz porad, z chęcią ci ich udzielę.

Na ułamek sekundy zacisnęła usta, po czym odparła:

– Nie sądzę, żeby to było wskazane w tym wypadku.

– Co to ma, do cholery, znaczyć?

– Panie Siddons…

– Jamesie – warknął.

– Jamesie – poprawiła się. – Nie wiem, co cię rozzłościło, ale nie podobają mi się takie wyrażenia. Ani ten ton.

Westchnął przeciągle, zły na swoje zdradzieckie ciało, które przebiegł dreszcz. Ściskało go w dołku od blisko dwudziestu czterech godzin, a

wszystko z powodu tego cienia kobiety. Ledwie sięgała mu do ramienia, na miłość boską!

Wszystko zaczęło się od tamtego pocałunku. Nie, poprawił się ponuro, zaczęło się o wiele wcześniej, od oczekiwania, domyślania się, marzeniu o tym, jak wspaniale będzie poczuć jej usta na swoich.

I naturalnie wcale mu to nie wystarczało, gdzie tam. Przez całe poprzednie popołudnie silenie się na obojętność wychodziło mu całkiem nieźle – a już wręcz świetnie, gdy dosięgła go dobrze wycelowana struga zimnej wody. Po tym incydencie niektóre jego palące potrzeby stały się zdecydowanie mniej palące.

Ale w nocy pozostał sam na sam z wyobraźnią. A tej mu nie brakowało.

– Jestem zły – odparł w końcu, a żeby uniknąć ewidentnego kłamstwa, dodał: – Nie spałem za dobrze.

– A… – Wydawała się zaskoczona prostotą jego odpowiedzi. Otworzyła usta, jakby chciała o coś spytać, ale nie dodała nic więcej.

I bardzo rozsądnie, pomyślał cierpko. Gdyby przejawiła bodaj cień zainteresowania tym, dlaczego nie spał dobrze, wyznałby jej. Mógł to przysiąc. Opisałby jej swoje sny z każdym najmniejszym szczegółem.

– Przykro mi, że cierpisz na bezsenność – rzekła w końcu. – Sądzę jednak, że powinniśmy przedyskutować twoją propozycję udzielenia mi pomocy w znalezieniu męża. Zapewne zdajesz sobie sprawę, że jest wysoce oryginalna.

– Sądziłem, że uzgodniliśmy już, że to nie będzie wpływać na nasze wzajemne stosunki.

Zignorowała tę uwagę.

– Muszę mieć jakiś punkt oparcia, panie Siddons.

– Jamesie.

– Jamesie – powtórzyła. Jego imię zlało się w jedno z westchnieniem. – Nie mogę przez cały czas mieć się na baczności, żebyś przypadkiem na mnie nie naskoczył.

– Naskoczył, powiadasz? – Kącik jego ust uniósł się w lekkim uśmiechu, gdyż przed oczami stanął mu wcale przyjemny obrazek.

– A już z całą pewnością żadnemu z nas nie wyjdzie na dobre taka… e…

– Zażyłość? – dokończył po to tylko, by ją rozzłościć.

I udało się. Od spojrzenia, jakie mu rzuciła, mogłyby potrzaskać szyby.

– Rzecz w tym – powiedziała głośno, jakby to mogło zagłuszyć jego ostatnią uwagę – że naszym celem jest znalezienie mi męża i…

– Nic się nie martw – odrzekł ponuro – znajdziemy dla ciebie męża.

Ale jeszcze kiedy to mówił, poczuł w ustach dziwny niesmak. Lekcje z Elizabeth potrafił sobie wyobrazić bez trudu – każdą ich cudowną minutę. Jednak na samą myśl, że dziewczyna mogłaby rzeczywiście osiągnąć wyznaczony cel – i wyjść za mąż – odczuwał lekkie mdłości.

– Przechodząc do kolejnej kwestii… – perorowała.

James założył ręce. Jeszcze jedna kwestia i całkiem prawdopodobne, że będzie ją musiał zakneblować.

– …Mianowicie twojej chęci udzielenia mi pomocy, to nie jestem przekonana, czy czuję się dobrze jako twoja dłużniczka.

– Nie jesteś mi nic dłużna.

– Owszem – ucięła zdecydowanie – Jestem. I zamierzam ci się zrewanżować.

Rzucił Elizabeth takie spojrzenie, że ugięły się pod nią nogi.

– A w jaki to sposób – spytał przeciągle – zamierzasz się zrewanżować?

– Szantażem.

Zamrugał, szczerze zaskoczony, a Elizabeth poczuła lekki przypływ dumy.

– Szantażem? – powtórzył jak echo.

– Lady Danbury powiedziała mi, że pomagasz jej zdemaskować jej szantażystę. Z chęcią ci w tym pomogę.

– Nie.

– Ale…

– Powiedziałem nie.

Patrzyła na niego rozzłoszczona, a kiedy milczał uparcie, zapytała:

– Dlaczego nie?

– Bo to może być niebezpieczne, oto dlaczego.

– Ale ty się tym zajmujesz.

– Jestem mężczyzną.

– Och! – wykrzyknęła. Ręce same jej się zacisnęły. – Ależ z ciebie hipokryta! Wszystko, co wczoraj mówiłeś, że mnie szanujesz, że masz mnie za bardziej inteligentną od większości kobiet, wszystko to kłamstwa, żeby zdobyć moje zaufanie i móc… i móc…

– Szacunek tu nie ma nic do rzeczy, Elizabeth. – Wsparł dłonie o biodra, a w oczach miał takie błyski, że bezwiednie się cofnęła. Poczuła się zupełnie tak, jakby w przeciągu kilku sekund stojący przed nią mężczyzna zmienił się, stając się kimś, kto poznał smak niebezpieczeństwa, zetknął się z naprawdę groźnymi ludźmi.

– Idę – powiedziała. – A ty możesz sobie tu zostać, nic mnie to nie obchodzi.

Złapał szarfę u jej sukni.

– Jeszcze nie skończyliśmy rozmawiać.

– Wcale nie jestem pewna, czy mam ochotę na twoje towarzystwo.

Syknął przez zęby, przeciągle, z irytacją.

– Szacunek nie oznacza, że mam prawo cię narażać.

– Trudno mi uwierzyć, by prześladowca lady Danbury miał okazać się niebezpiecznym indywiduum. Przecież w jej wypadku w grę nie wchodzą tajemnice państwowe czy coś w tym rodzaju.

– A skąd ta pewność?

Oniemiała na chwilę.

– A wchodzą?

– Oczywiście, że nie – warknął. – Ale skąd ty miałabyś o tym wiedzieć?

– Oczywiście, że bym wiedziała! Pracuję u niej od ponad pięciu lat. Naprawdę uważasz, że mogłabym nie zauważyć, gdyby lady Danbury zachowywała się podejrzanie? Boże miły, wystarczy sobie przypomnieć, jak zareagowałam na te jej drzemki.

Patrzył na nią rozwścieczony. Wyraz jego brązowych oczu mówił dziewczynie, że takimi argumentami nic nie wskóra.

– Nie będziesz brała udziału w śledztwie i koniec.

Skrzyżowała ręce na piersi i milczała.

– Elizabeth?

Kobieta bardziej wyczulona wychwyciłaby w głosie Jamesa ostrzegawcze nutki, ale Elizabeth nie była w nastroju do czytania w cudzych myślach.

– Spróbuję jej pomóc i nie uda ci się mnie powstrzymać. Lady Danbury jest dla mnie jak matka i…

Zachłysnęła się, przyparta do krawędzi stołu. Poczuła, jak dłonie Jamesa zaciskają się na jej ramionach ze zdumiewającą siłą.

– Zwiążę cię, zaknebluję. Przywiążę do cholernego drzewa, jeśli będę musiał, żeby zniechęcić cię do wtykania nosa w cudze sprawy.

Serce w niej zamarło. Nigdy dotąd nie widziała takiej furii. Oczy Jamesa ciskały błyskawice, ręce mu drżały, a kark miał wyprężony do takiego stopnia, że wydawało się, że zaraz trzaśnie.

– Spokojnie – pisnęła, próbując odgiąć palce, które kurczowo wbijały się w jej ramiona. James wydawał się nie zdawać sobie sprawy z tego, z jaką siłą ją trzyma, czy też w ogóle z tego, co działo się z jego dłońmi. – Nie mówiłam, że mam zamiar wtykać nos w nie swoje sprawy, ale pomagać ci w niektórych, całkowicie bezpiecznych zadaniach i…

– Obiecaj mi, Elizabeth – powiedział z taką mocą, że niemożliwością byłoby nie odczuć żaru zawartego w tych zaledwie trzech słowach.

– Ja… ja…

I gdzie też się pani Seeton podziewa teraz, kiedy jej rada byłaby tak potrzebna? Elizabeth próbowała ułagodzić Jamesa – właściwie była pewna, że mówił o tym edykt dwudziesty szósty – ale jej wysiłki spełzły na niczym. James nadal był w furii, nadal wbijał dłonie w ramiona Elizabeth, a ona – o zgrozo – nie mogła oderwać oczu od jego ust.

– Obiecaj mi, Elizabeth – powtórzył, a ona w dziwnym zapamiętaniu śledziła wzrokiem każdy ruch jego warg.

Ścisnął ją jeszcze mocniej. Gwałtowność tego uścisku w połączeniu z jakąś nadludzką wręcz siłą pomogły jej otrząsnąć się z transu. Poderwała głowę, by poszukać jego spojrzenia.

– Niczego nie zrobię bez uzgodnienia z tobą.

– To za mało.

– Będzie musiało wystarczyć. James, to boli!

Spojrzał na swoje dłonie tak, jak patrzy się na nieznany przedmiot, i puścił ją gwałtownie.

– Przepraszam – powiedział z roztargnieniem – nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię.

Odsunęła się o krok i zaczęła rozcierać ramię.

– Nic się nie stało.

James wpatrywał się w Elizabeth przez dłuższą chwilę, po czym zaklął bezgłośnie i umknął spojrzeniem w bok. Był spięty, zdenerwowany. Ale przenigdy nie podejrzewałby, że ta dziewczyna zdoła wyzwolić w nim tak silne emocje. Wystarczyła sama myśl, że Elizabeth mogłaby znaleźć się w niebezpieczeństwie, i zmieniał się w paplającego bez ładu i składu głupka.

Cóż za ironia losu! Nie dalej jak w ubiegłym roku uśmiał się ze swojego najlepszego przyjaciela, gdy ten znalazł się w podobnej sytuacji. Na wieść, że jego przyszła żona zamierza wziąć udział w operacji pod patronatem ministerstwa wojny, Blake Ravenscroft zachowywał się tak, jakby zabrakło mu piątej klepki. Jamesowi cała ta sytuacja wydała się wtedy przekomiczna. Był przekonany, że Caroline nie groziło żadne realne

niebezpieczeństwo, i Blake’a, który wszczął taki alarm bez powodu, uznał za zaślepionego idiotę.

James umiał ocenić obecną sytuację na tyle obiektywnie, by zdawać sobie sprawę, że ewentualne zagrożenia czyhające na Elizabeth w domu lady Danbury były jeszcze bardziej znikome. Niemniej jednak obawa i wściekłość sprawiły, że krew zaczęła mu żywiej krążyć w żyłach, gdy tylko napomknęła o swoim ewentualnym udziale w aferze z szantażem.

Miał dziwne przeczucie, że nie wróży to niczego dobrego.

To musi być jakaś chorobliwa obsesja. Od kiedy przybył do domu ciotki, myślał tylko o Elizabeth. Najpierw widział w niej potencjalną szantażystkę, by zaraz potem znaleźć się w niewiarygodnej roli jej „nauczyciela od zalotów”.

Prawdę mówiąc, na tę rolę przystał z chęcią, chociaż nad powodami, dla których się jej podjął, wolał się zbytnio nie zastanawiać.

Po głębszym namyśle doszedł jednak do wniosku, iż jego obawa o bezpieczeństwo dziewczyny była najzupełniej naturalna. W pewnym sensie mianowała go swoim obrońcą, a że była z niej taka kruszyna… Na jego miejscu każdy odczułby potrzebę osłaniania jej przed światem.

Co zaś do owych pragnień, tych, które szarpały jego trzewia i przyspieszały puls… Cóż, był w końcu mężczyzną, a ona piękną kobietą, przynajmniej jego zdaniem, i kiedy uśmiechała się, czuł dziwne mrowienie w…

– Niech to piekło pochłonie – powiedział półgłosem – będę cię musiał pocałować.

13

Elizabeth zdążyła złapać jeden płytki oddech, zanim ramiona Jamesa zamknęły się wokół niej. Jego wargi przywarły do jej ust zdumiewająco władczo i czule zarazem, i poczuła, że topnieje, dosłownie topnieje w jego objęciach.

To ten mężczyzna tak na nią działał. Jedno spojrzenie spod przymkniętych powiek – spojrzenie zapowiadające rzeczy mroczne i niebezpieczne, o których nic nie wiedziała – i była stracona.

Język wdarł się między jej wargi i poczuła, jak same się rozchylają. Spenetrował każdy zakamarek jej ust, wcisnął głęboko w mocnej pieszczocie, aż ich oddechy zlały się w jedno.

– Elizabeth – powiedział potem James bez tchu – powiedz mi, że tego chcesz. Powiedz mi.

Ale nie była w stanie odezwać się słowem. Serce tłukło się jej w piersi jak oszalałe, kolana się pod nią uginały. Przeczuwała, że jeżeli wypowie te słowa, nie będzie już odwrotu. Stchórzyła więc i uniosła głowę, milcząco dopominając się o jeszcze.

Usta Jamesa powędrowały na policzek Elizabeth, potem na gładką skórę szyi. Przez cały ten czas jego ręce nie przestawały błądzić po jej ciele. Jedna ręka Jamesa ześlizgnęła się na jej pośladek, druga pełzła po boku ku górze.

Elizabeth zamarła bez tchu. Każdy nerw w jej ciele drgał w wyczekiwaniu, targany pragnieniem, którego istnienia nawet nie

podejrzewała.

Kiedy dłoń Jamesa zamknęła się na jej piersi, dwie warstwy materiału oddzielające nagie ciało od jego palców wydawały się nie istnieć. Jego dotyk parzył ją, piętnował i pojęła, że bez względu na to, co się później stanie, część jej duszy na zawsze będzie należała do niego.

Słyszała zdławiony głos, słowa tkliwe i namiętne, ale ich nie rozumiała, zasłuchana w brzmiące w głosie Jamesa pożądanie. I choć podtrzymywały ją silne dłonie, powoli osuwała się na miękki dywan.

Jęknął niewyraźnie – zdało się jej, że słyszy swoje imię – i w jęku tym brzmiało błaganie. I już leżała na ziemi, a on przykrywał ją swoim ciałem.

– James, nie – wyszeptała. – Nie mogę.

Gdyby nie powiedziała tego teraz, nic nie byłoby w stanie go powstrzymać. Nie wiedziała, skąd w niej ta pewność, ale wiedziała, że się nie myli.

Usta Jamesa zamarły, ale dalej oddychał z trudem i nie zmieniał pozycji.

– James, nie mogę. Chciałabym… – Zmitygowała się w ostatniej chwili. Boże w niebiesiech, o mały włos nie powiedziała mu, że chciałaby móc. Jaką to z niej czyniło kobietę? Ten mężczyzna nie był jej mężem – i nigdy nie mógł nim zostać.

– Chwilę – rzucił ochryple. – Daj mi chwilę.

Czekali, aż jego oddech się uspokoi. Po kilku sekundach podniósł się z podłogi i jak przystało na dżentelmena – nawet w okolicznościach, które wystawiały go na taką próbę – wyciągnął rękę.

– Przepraszam – powiedziała, pozwalając, by pomógł jej się podnieść – ale skoro mam wyjść za mąż, mój mąż będzie spodziewał się…

– Nie mów tego – warknął. – Nie mów ani jednego cholernego słowa. – Puścił rękę Elizabeth i gwałtownie się odwrócił. Chryste! Jeszcze moment, a kochałby się z nią, na zawsze odebrałby jej niewinność. Wiedział, że postępuje źle, nawet gorzej niż źle, ale nie był w stanie się powstrzymać.

Zawsze chlubił się umiejętnością panowania nad swoimi namiętnościami, ale teraz…

Teraz było inaczej.

– James? – usłyszał za plecami jej głos, łagodny i pełen wahania.

Nie odpowiedział; nie ufał sobie na tyle, by się odezwać. Wyczuwał jej niezdecydowanie. Stał do niej tyłem, ale i tak wiedział, że zastanawiała się teraz, czy coś jeszcze dodać.

Ale niech Bóg ma Elizabeth w opiece, jeżeli jeszcze raz usłyszy z jej ust słowo „mąż”…

– Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zły – powiedziała cicho. – Ale jeżeli już muszę poślubić kogoś dla jego pieniędzy, mogę mu dać przynajmniej tyle. – Zaśmiała się, ale jej śmiech zaprawiony był goryczą. – Dzięki temu wszystko to staje się trochę mniej podłe, nie sądzisz?

Odezwał się z całym spokojem w głosie, na jaki mógł się zdobyć.

– Znajdę ci męża.

– Może to nie jest najlepszy pomysł. Ty…

Odwrócił się na pięcie i syknął:

– Obiecałem, że znajdę ci tego cholernego męża!

Elizabeth cofnęła się w stronę drzwi. Matka zawsze jej powtarzała, że dyskutowanie z mężczyzną w furii jest pozbawione wszelkiego sensu. Jakby się nad tym dobrze zastanowić, to pani Seeton napisała coś bardzo podobnego.

– Porozmawiamy na ten temat kiedy indziej – odrzekła.

Westchnął długo, urywanie.

– Przyjmij moje przeprosiny. Nie chciałem…

– Nic nie szkodzi – odparła szybko. – Naprawdę. Chociaż powinniśmy chyba odwołać resztę dzisiejszych lekcji, zważywszy…

Spojrzał na nią, gdy nieoczekiwanie umilkła.

– Zważywszy na co?

Niech to szlag, pomyślała, zmusi ją do wypowiedzenia tych słów. Ciepło oblało jej policzki.

– Zważywszy na to, że całe całowanie, o jakim może być mowa przed ślubem, mamy już za sobą. – Widząc, że James nie kwapi się z komentarzem, mruknęła: – A pewnie i więcej.

Ledwie zauważalnie skinął głową.

– Masz listę jutrzejszych gości?

Zamrugała, zaskoczona nagłością, z jaką zmienił temat.

– Jest u lady Danbury, ale mogłabym ci ją przynieść później po południu.

– Sam sobie wezmę.

Ton jego głosu nie zachęcał do dalszej rozmowy. Szybko wyszła z biblioteki.

Przez cały ranek James ciskał wokół siebie gniewne spojrzenia – oberwało się służbie, oberwało się Malcolmowi, oberwało się nawet cholernej gazecie.

Jego spokojny zwykle chód zmienił się w nerwowy trucht, co rusz przerywany gwałtownym tupnięciem, i kiedy po kilkugodzinnym pobycie na polach wracał do domu ciotki, jego wysokie buty robiły hałas zdolny obudzić nieboszczyka.

Tak naprawdę jednak, pomyślał, przydałaby mi się laska ciotki. Wiedział, że zachowuje się jak smarkacz, ale w pastwieniu się nad podłogą było coś wysoce satysfakcjonującego. Zwykłe tupanie mu jednak nie wystarczało. Mając laskę, mógłby wybić w tej cholernej podłodze wielką dziurę.

Szybko ruszył przez hol, mimowolnie nastawiając uszu, gdy mijał lekko uchylone drzwi do bawialni. Czy Elizabeth tam jest? O czym myśli, słysząc jego kroki? Musiała się spodziewać, że to on. Bo tego, że go słyszała, był pewny. Tylko głuchy nie zwróciłby uwagi na taki hałas.

Tymczasem zamiast melodyjnego głosu dziewczyny usłyszał skrzekliwy i gromki okrzyk:

– James!

Wydał ledwie słyszalny jęk. Ciotka zawołała go po imieniu, co oznaczało, że jest w bawialni sama. A skoro tak, to z pewnością będzie chciała się z nim „rozmówić”. To zaś nigdy nie wróżyło niczego dobrego.

– Tak?

– Muszę się z tobą rozmówić.

Jamesowi cudem udało się nie jęknąć. Jak – dla niego samego pozostawało zagadką.

– Tak też przypuszczałem.

Stuknęła gniewnie laską.

– Po co ten ton? Nie idziesz na egzekucję.

– Zależy na czyją – mruknął.

– Hm? Co mówiłeś?

Łup, łup, łup.

Wszedł do bawialni i rozejrzał się błyskawicznie, szukając Elizabeth wzrokiem, nie było jej tu jednak. Był za to Malcolm, który szybciutko zeskoczył z parapetu i potruchtał w jego stronę.

– Powiedziałem – skłamał James – że muszę sobie sprawić taką laskę.

Oczy Agathy zwęziły się nagle.

– A co jest nie tak z twoimi nogami?

– Nic. Tylko chciałbym sobie pohałasować.

– Nie możesz po prostu trzasnąć drzwiami?

– Byłem na dworze – powiedział głucho.

Zachichotała.

– Kiepski humorek, co?

– Fatalny.

– Masz ochotę wyznać własnej ciotce, z jakiego powodu?

– Nie. Nawet gdybyś mi przystawiła pistolet do głowy.

Jego słowa wywołały znaczące uniesienie brwi Agathy.

– W takim razie nie powinieneś był rozbudzać mojej ciekawości.

Uśmiechnął się krzywo i usiadł na krześle naprzeciwko ciotki. Malcolm podążył za nim i usadowił się u jego stóp.

– Potrzebujesz czegoś? – spytał James

– Nie mogłam po prostu chcieć się z tobą zobaczyć?

Nie był w nastroju do żadnych gierek, podniósł się więc i powiedział:

– Jeżeli to już wszystko, to będę się zbierał. Jako twój zarządca mam pewne obowiązki.

– Siadaj!

Opadł na krzesło. Zawsze słuchał się ciotki, gdy mówiła do niego takim tonem. Niektórych przyzwyczajeń trudno się wyzbyć.

Agatha chrząknęła dyskretnie, co – jak James wiedział z doświadczenia – także nie było dobrym znakiem. Pogodził się w duchu z myślą o dłuższej tyradzie.

– Ostatnimi czasy moja dama do towarzystwa zachowuje się wyjątkowo dziwnie – usłyszał.

– Doprawdy?

Ciotka złożyła ręce tak, że stykały się tylko czubkami palców, i popukiwała nimi w zamyśleniu.

– Tak. Zupełnie inaczej niż zwykle. Zauważyłeś?

Wykluczone, żeby miał zdradzić ciotce wydarzenia kilku ubiegłych dni. Wykluczone, do diaska!

– Nie mogę powiedzieć, żebym dobrze znał pannę Hotchkiss – odparł. – Nie mam zdania.

– Naprawdę? – spytała podejrzanie niewinnym tonem. – Sądziłam, że łączy was coś na kształt przyjaźni.

– Owszem, coś w tym rodzaju. To wyjątkowo sympatyczna młoda dama. – Czuł, że zaczynają go palić czubki uszu, i pomyślał, że jeżeli zrobi się czerwony także na twarzy, będzie musiał wyjechać z kraju. Nie zdarzyło mu się zarumienić od dobrych dziesięciu lat. Z drugiej strony mniej więcej tyle czasu upłynęło od jego ostatniego przesłuchania u ciotki.

– Niemniej jednak – kontynuował, lekko potrząsając głową, by włosami przykryć pałające uszy – jestem tu od zaledwie kilku dni. A to zbyt krótko, bym mógł ocenić jej zachowanie.

– Hm. – Zapadła cisza, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, po czym ciotka nieoczekiwanie zmieniła wyraz twarzy i zagadnęła go nagle: – A jak tam przebiega śledztwo?

James zamrugał, czy też raczej raz mrugnął oczami; był przyzwyczajony do tego, że Agatha notorycznie przeskakuje z tematu na temat.

– Utknęło w martwym punkcie – rzekł prosto z mostu. – Niewiele zdziałam, o ile szantażysta znowu się nie odezwie. Rozmawiałem już z tobą o służących i sama mnie zapewniałaś, że albo są na bakier z pisaniem, albo na tyle lojalni, że nigdy by czegoś takiego nie uknuli.

Zionące chłodem niebieskie oczy ciotki zwęziły się.

– Nie podejrzewasz już chyba panny Hotchkiss, prawda?

– Ucieszysz się zapewne, słysząc, że skreśliłem ją z listy podejrzanych.

– Co jeszcze zdziałałeś?

– Nic – przyznał James. – Nie mam nic do roboty. Jak już mówiłem, obawiam się, że kolejny ruch należy do szantażysty.

Lady Danbury znowu popukała palcami.

– Chcesz przez to powiedzieć, że będziesz zmuszony tu pozostać, dopóki nie poznamy następnego żądania szantażysty?

Kiwnął głową.

– Rozumiem. – Ciotka zapadła się w krześle. – Wygląda na to, że jedyne, co możesz zrobić, to starać się nie wypaść z roli mojego zarządcy, żeby cię nikt nie zdemaskował.

– Agatha – powiedział ostrzegawczym tonem – nie zwabiłaś mnie tu tylko po to, by mieć za darmo zarządcę? – Widząc urażoną minę ciotki, dodał: – Wiem, jaka potrafi być z ciebie sknera.

– Nie mogę uwierzyć, że mógłbyś mnie podejrzewać coś takiego – sapnęła pogardliwie.

– O to i o inne rzeczy, droga ciociu.

Uśmiechnęła się z podejrzaną słodyczą.

– Miło jest wiedzieć, że ceni się w człowieku inteligencję.

– Czego jak czego, ale twojej przebiegłości nigdy nie zlekceważę.

– Ach, dobrze cię wychowałam, Jamesie. Strasznie cię kocham.

Z westchnieniem podniósł się z krzesła. Ciotka była przebiegła, bez skrupułów wtrącała się do jego życia – czasem zmieniając je w piekło na ziemi – ale i on ją kochał.

– Wrócę zatem do swoich zajęć. Nie chcielibyśmy przecież, żeby ktoś pomyślał, że jestem niekompetentnym zarządcą.

Agatha rzuciła mu spojrzenie spod oka. Tolerowała sarkazm tylko we własnych słowach.

– Będziesz mnie musiała powiadomić – dodał – jeżeli otrzymasz kolejną wiadomość od szantażysty.

– Jak tylko ją dostanę – zapewniła.

Zatrzymał się w drzwiach.

– Jutro masz gości, jak rozumiem?

– Tak, wydaję małe garden party, dlaczego pytasz? – I zanim zdążył odpowiedzieć, dorzuciła: – No tak, naturalnie. Nie chcesz, żeby cię ktoś rozpoznał. Poczekaj, zobaczysz listę gości. – Wskazała na przeciwległy kąt pokoju. – Podaj mi, proszę, skrzynkę z dokumentami, leży na sekretarzyku. Dobrze, że kazałam ci przybrać fałszywe nazwisko – oznajmiła, gdy wręczył jej żądany przedmiot. – Ktoś ze służby mógłby wspomnieć niejakiego pana Sidewella i klops gotowy.

Kiwając głową, James patrzył, jak ciotka gmera w swoich szpargałach. Powszechnie znano go jako markiza Riverdale, było tak od czasu, gdy w wieku dwudziestu lat odziedziczył tytuł, ale jego rodowe nazwisko pamiętało i tak wystarczająco wielu ludzi.

– Aha! – wykrzyknęła Agatha triumfalnie i wyciągnęła ze skrzynki kremową kartkę. Zanim mu ją podała, przejrzała pobieżnie wypisane na

niej nazwiska, mrucząc: – Ojej. Nie sądzę, żeby była tu chociaż jedna osoba, której byś nie znał.

James studiował listę w milczeniu, pozwalając ciotce wierzyć, że jego zainteresowanie gośćmi wynika z obawy przed zdekonspirowaniem. On tymczasem szukał na liście mężczyzn, spośród których miał wybrać tego całego cholernego męża dla Elizabeth.

Sir Bertram Fellport. Pijak.

Lord Binsby. Nieuleczalny hazardzista.

Daniel, lord Harmon. Żonaty.

Sir Christopher Gatcombe. Żonaty.

Dr Robert Gifford. Żonaty.

Pan William Dunford. Rozpustnik.

Kapitan Cynric Andrien. Straszny służbista.

– Do niczego – burknął, z trudem opierając się pokusie zmięcia kartki w małą, żałosną kulkę.

– O co chodzi? – spytała dociekliwie Agatha.

Podniósł zdumione oczy. Zdążył zupełnie zapomnieć o obecności ciotki.

– Miałabyś coś przeciwko temu, żebym to sobie przepisał?

– Nie widzę powodu, dla którego mógłbyś to zrobić.

– Do akt – improwizował. – Skrupulatne prowadzenie akt jest bardzo ważne.

W rzeczywistości James był zdania, że im mniej informacji trafia na papier, tym lepiej. Nic nie jest w stanie tak obciążyć człowieka, jak pisemne dowody.

Agatha wzruszyła ramionami i podała mu czystą kartkę.

– Pióro i atrament znajdziesz na biurku przy oknie.

Minutę później James miał już listę gości starannie przepisaną i czekał, aż wyschnie atrament. Potem podszedł do ciotki i oznajmił:

– Zawsze istnieje możliwość, że szantażystą jest ktoś z tej listy.

– Śmiem wątpić, ale to twój fach.

– Odwołujesz się do mojej opinii w jakiejś sprawie? Życie nie przestaje mnie zdumiewać.

– Sarkazm ci nie przystoi, mój chłopcze. – Agatha wyciągnęła szyję, żeby zerknąć na jego listę. – Dlaczego pominąłeś nazwiska kobiet?

Kolejna improwizowana odpowiedź.

– Są mniej podejrzane.

– Trele-morele. Kilka dni wzdychasz do panny Hotchkiss, sądząc…

– Nie wzdychałem do niej!

– To taka przenośnia, naturalnie. Chciałam jedynie podkreślić, że najpierw podejrzewałeś pannę Hotchkiss, nie rozumiem więc, dlaczego teraz wykluczasz inne kobiety.

– Do kobiet wrócę, kiedy już uporam się z mężczyznami – mruknął z irytacją. Ciotka umiała go przyprzeć do muru jak mało kto. – Naprawdę już muszę iść do pracy.

– Idź, idź – odprawiła go machnięciem ręki. – Chociaż to szokujący widok, markiz Riverdale oddający się pracy fizycznej z takim zaangażowaniem!

Bez słowa pokręcił głową.

– Poza tym Elizabeth powinna wrócić lada moment. Jestem pewna, że będzie mi milszym towarzyszem niż ty teraz.

– Bez wątpienia.

– Idź.

Wyszedł. Prawdę mówiąc, i tak w obecnej chwili możliwość natknięcia się na Elizabeth wcale go nie zachwycała. Chciał najpierw mieć trochę czasu na przestudiowanie listy i przygotowanie argumentów przemawiających przeciwko większości, to znaczy, przeciwko wszystkim figurującym na niej mężczyznom.

A to będzie wymagało trochę wysiłku, zważywszy, że dwaj z nich byli jego przyjaciółmi.

Kiedy późnym popołudniem Elizabeth wracała do domu, zobaczyła Jamesa wyłaniającego się z gabinetu i na chwilę utraciła zdolność mowy. Co prawda wcześniej kusiło ją, by dojść do głównego podjazdu inną niż zwykle drogą, ale po namyśle pomysł ten odrzuciła jako niepoważny. Wracając, zawsze przechodziła obok domu zarządcy i nie miała zamiaru nadkładać drogi ze względu na niemal nierealną możliwość, że James jest teraz w domu, a nie na polach czy u jakiegoś dzierżawcy, czy też przy jednym z tysięcy obowiązków przypadających mu z tytułu kontraktu.

Ale otóż i był – pokazał się w drzwiach dokładnie wtedy, gdy je mijała.

Elizabeth zanotowała sobie w pamięci, by przenigdy już nie zdawać się na łut szczęścia.

– Elizabeth – wręcz warknął. Wyglądał jak chmura gradowa. – Szukałem cię.

Wystarczyło jedno spojrzenie na minę Jamesa, by Elizabeth doszła do wniosku, że musi skłamać, iż wzywa ją do domu jakaś sprawa życia lub śmierci.

– Z chęcią bym z tobą pogawędziła – rzuciła, starając się go błyskawicznie wyminąć – ale Lucas jest chory, a Jane…

– Wczoraj nie wyglądał na chorego.

Próbowała uśmiechnąć się słodko, ale okazało się to zbyt trudne, bo zęby miała zaciśnięte.

– Dzieci potrafią się rozchorować z minuty na minutę. Wybacz, ale będę się zbierać.

Złapał ją za rękę.

– Gdyby był chory, nie przyszłabyś dzisiaj do pracy.

Och, do licha. Tu miał rację.

– Nie powiedziałam, że jest konający – sarknęła – chciałabym po prostu posiedzieć z nim i…

– Skoro tak, to z pewnością możesz mi poświęcić kilka minut – uciął, a potem, zanim zdążyła bodaj pisnąć, złapał ją za łokieć i wciągnął do domu.

– Panie Siddons! – krzyknęła cienko.

Zamknął drzwi kopniakiem.

– Myślałem, że już jesteśmy na ty.

– Byliśmy – syknęła. – Proszę mnie puścić!

– Przestań się zachowywać, jakbym miał zamiar cię zgwałcić.

– A takie rzeczy się nie zdarzają, tak? – rzuciła oburzona, z pałającymi oczami.

– Dobry Boże – powiedział, przegarniając ręką włosy – kiedy zrobiła się z ciebie taka sekutnica?

– W chwili gdy mnie tu przemocą wciągnąłeś!

– Z całą pewnością nie postąpiłbym tak, gdyby nie te twoje łgarstwa o chorobie brata.

– Jak śmiesz!

– A nie kłamałaś?

– Owszem, kłamałam – przyznała z rozdrażnieniem – ale tylko dlatego, że jesteś źle wychowanym, aroganckim prostakiem, który nie umie pogodzić się z odmową.

– Co zwykle daje pozytywne skutki – rzucił tak protekcjonalnym tonem, że aż zacisnęła dłonie na spódnicy, by go nie uderzyć.

Głos i oczy Elizabeth wręcz zionęły chłodem, gdy odrzekła:

– Wydaje się, że jedyną szansą na ucieczkę jest wysłuchanie tego, co masz do powiedzenia. Zatem słucham cię, mów.

Wyciągnął w stronę Elizabeth kartkę.

– Dostałem to od lady Danbury.

– Wypowiedzenie na piśmie, mam nadzieję – mruknęła.

– To lista jej gości – oznajmił, ignorując uwagę dziewczyny. – I muszę cię z żalem powiadomić, że żaden z tych dżentelmenów nie jest odpowiedni.

– Och, tak, i oczywiście znasz ich wszystkich osobiście – zadrwiła.

– Żebyś wiedziała!

Wyszarpnęła mu kartkę, naddzierając ją przy tym.

– Och, proszę cię – powiedziała kwaśno. – Tu jest dwóch panów z tytułem sir i jeden lord. Jakże mógłbyś ich wszystkich znać?

– Twojemu bratu też przysługuje tytuł sir – przypomniał jej.

– Cóż, to prawda, ale twojemu nie – odparowała.

– Tego nie możesz wiedzieć.

Poderwała głowę.

– Kim ty jesteś?

– Mój brat nie nosi tytułu sir – odparł z rozdrażnieniem w głosie. – Ja nawet nie mam brata. Chciałem ci tylko pokazać, że masz niefortunny nawyk wysnuwania hipotez, zanim się zapoznasz z faktami.

– Co jest z tymi mężczyznami nie w porządku? – spytała tak wolno, że wiedział, iż z trudem tłumi wybuch.

– Trzech z nich ma żony.

Broda Elizabeth drgała.

– A co z tymi, którzy żon nie mają?

– Cóż, ten na przykład – wskazał na nazwisko „sir Bertram Fellport” – pije.

– Jesteś tego pewny?

– Nie mógłbym z czystym sumieniem pozwolić ci na ślub z człowiekiem, który nadużywa trunków.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Co za cholerna dociekliwość, pomyślał.

– Tak, głowę daję, że to pijak, i do tego z paskudnym charakterkiem.

– A lord Binsby? – spytała, zerknąwszy na naddartą kartkę.

– Uprawia hazard.

– Nałogowo?

Kiwnął głową. Zaczynał się dobrze bawić.

– Nałogowo. A na dodatek jest gruby.

Wskazała kolejne nazwisko.

– A…

– Żonaty, żonaty i ten też.

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Wszyscy trzej?

– Jeden z nich nawet szczęśliwie – odparł, skinąwszy głową.

– Nie do wiary – mruknęła.

I tę uwagę James pozostawił bez komentarza.

Elizabeth westchnęła przeciągle, a on zdążył już zauważyć, że w jej przypadku westchnienia oznaczają stan przejściowy między irytacją a zmęczeniem.

– Pozostaje więc pan William Dunford i kapitan Cynric Andrien. Zgaduję, że jeden ma szklane oko, a drugi to nieokrzesany gbur, tak?

Strasznie go korciło, by przytaknąć, ale wiedział, że jeśli Elizabeth choć raz spojrzy na któregokolwiek z nich, od razu zorientuje się, że kłamał.

– Obaj uchodzą za inteligentnych i przystojnych – przyznał niechętnie.

– W czym więc miałby tkwić problem?

– Dunford jest kobieciarzem.

– I co z tego?

– Na pewno nie będzie wierny.

– Nie jest ze mnie szczególnie wspaniała zdobycz, James. Nie mogę spodziewać się chodzącej doskonałości.

– Powinnaś spodziewać się wierności – powiedział z płonącymi oczami. – Powinnaś jej żądać.

Patrzyła na Jamesa z niedowierzaniem.

– Byłoby wspaniale, naprawdę tak uważam, ale nie wydaje mi się, by wierność była równie ważna jak…

– Twój mąż – syknął przez zaciśnięte zęby – będzie ci wierny albo będzie miał ze mną do czynienia.

Oczy Elizabeth zrobiły się okrągłe. Oniemiała na chwilę, a potem zaniosła się chichotem.

James piorunował ją wzrokiem. Nie był przyzwyczajony, by jego galanterię kwitowano śmiechem.

– Och, James… – Nie mogła złapać tchu. – Przepraszam, to było urocze. Niemal tak urocze, że prawie przebaczyłam ci, że mnie uprowadziłeś.

– Wcale cię nie uprowadziłem – sprostował ponuro.

Zamachała uniesioną ręką.

– Ale jak, na Boga, mógłbyś stawać w obronie mojego honoru, kiedy już będę miała męża?

– Dunford nim nie zostanie – mruknął pod nosem.

– Skoro tak mówisz – rzuciła niby to poważnie, ale tak lekko, że wiedział, iż znowu ją rozbawił. – Możesz mi teraz powiedzieć, co jest nie tak z kapitanem Andrienem?

Zapadła cisza. Naprawdę długa.

– On się garbi! – wykrzyknął w końcu James.

– Wykluczasz go, bo się garbi? – spytała niedowierzająco po chwili milczenia.

– To dowodzi jego wewnętrznej słabości.

– Ach, tak.

James uświadomił sobie, że musi znaleźć u Andriena jakąś gorszą wadę.

– Nie wspominając o tym – mówił powoli, szukając gorączkowo stosownego kłamstewka – że słyszałem, jak kiedyś w miejscu publicznym podniósł głos na rodzoną matkę.

Tym razem dziewczyna nie zdobyła się na odpowiedź. Dlatego, że starała się znowu nie wybuchnąć śmiechem, czy też dlatego, że jej odebrało mowę – tego James nie wiedział.

I nie był do końca przekonany, czy w ogóle chce się tego dowiedzieć.

– Hm, rażący brak szacunku – dodał.

Niespodziewanie wyciągnęła rękę i dotknęła jego czoła.

– Masz gorączkę? Na pewno masz gorączkę.

– Nic podobnego.

– Zachowujesz się tak, jakbyś był chory.

– Położysz mnie do łóżka i będziesz się mną czule zajmować, jeżeli odpowiem, że tak?

– Nie.

– W takim razie nie mam gorączki.

Cofnęła się nieznacznie.

– To ja już chyba pójdę.

James oparł się ciężko o ścianę, krańcowo wyczerpany. To przez nią, uzmysłowił sobie. Jeżeli nie szczerzy się jak głupi, to cały trzęsie się ze złości. Jak nie jest wściekły, to owładnięty żądzą. A jeżeli nie czuje żądzy…

Cóż, było to zagadnienie czysto teoretyczne.

Patrzył, jak Elizabeth otwiera drzwi, zahipnotyzowany smukłością jej dłoni w rękawiczce.

– James? James!

Podniósł pełne zaskoczenia oczy.

– Jesteś pewny, że kapitan Andrien się garbi?

Pokiwał głową, świadom, że jego kłamstwo wyjdzie na jaw już nazajutrz. Miał jednak nadzieję, że do tego czasu zdoła wymyślić nowe, lepsze.

Zasznurowała usta.

Poczuł, że coś ścisnęło mu się w brzuchu, a następnie fiknęło kozła.

– Nie wydaje ci się to dziwne? Wojskowy, który się garbi. Bezradnie wzruszył ramionami.

– Mówiłem ci, żebyś za niego nie wychodziła.

Wydała śmieszny, stłumiony dźwięk.

– Mogę poprawić jego postawę.

Pozostało mu jedynie pokręcić głową i powiedzieć:

– Niezwykła z ciebie kobieta, Elizabeth Hotchkiss. – Kiwnęła głową i ruszyła do wyjścia. Zanim jednak zamknęła za sobą drzwi, wetknęła przez nie głowę i zawołała:

– James?

Spojrzał na nią.
– Wyprostuj się!

14

Następnego dnia po południu Elizabeth czaiła się nieopodal bramy frontowej prowadzącej na posesję lady Danbury, przeklinając się w duchu za swoją skrajną głupotę, za tchórzostwo i wreszcie bez powodu.

Za radą Susan poprzedniego dnia zostawiła w domu hrabiny kajet, w którym prowadziła domowe rachunki. A że był on w codziennym użytku, po prostu musiała najść lady Danbury podczas garden party, by go odzyskać.

W mojej obecności tutaj nie ma niczego podejrzanego, powtarzała sobie w myślach. Zapomniałam swojego kajetu. Kajet jest mi potrzebny. Nie mogłabym żadną miarą wyżyć bez niego do poniedziałku.

Naturalnie, nie tłumaczyło to, dlaczego w ogóle wzięła go ze sobą – nigdy wcześniej kajet nie opuścił domu Hotchkissów.

Odczekała prawie do czwartej, o tej bowiem godzinie goście powinni już być na dworze, rozkoszując się ciepłymi promieniami słońca. Lady Danbury wspominała coś o grze w tenisa i herbatce na trawniku po południowej stronie domu. Co prawda Elizabeth wcale nie musiałaby tamtędy iść, żeby dostać się do środka i poszukać kajetu, ale mogła przecież chcieć nadłożyć kawałek drogi, by zapytać hrabinę, czy ta nie widziała gdzieś zguby.

Nie było powodów, dla których nie miałaby tak zrobić. Poza jednym – dumą.

Na miły Bóg, jakże ona się w tym wszystkim ohydnie czuła. Być w takiej desperacji, tak interesownym… Za każdym razem, gdy muskał ją powiew wiatru, była wręcz pewna, że to jej rodzice dają znak, że wyrażają niesmak wobec jej świadomego poniżenia. Byliby zgorszeni, widząc ją w takim stanie, wymyślającą niezręczne wymówki, by uczestniczyć w przyjęciu, na które nie została zaproszona.

A wszystko po to, by poznać mężczyznę, który najpewniej się garbi.

Jęknęła. Stała przed furtą z czołem opartym o metalowe kraty od dobrych dwudziestu minut. Gdyby postała tak jeszcze kilka minut, jej głowa prześliznęłaby się na drugą stronę i utknęłaby na dobre, zupełnie jak głowa Cedrica Danbury przed zamkiem Windsor.

Dalsza zwłoka była nie do pomyślenia. Elizabeth uniosła brodę, wyprostowała plecy i pomaszerowała przed siebie, Dom Jamesa rozmyślnie obeszła dużym łukiem – ostatnie czego potrzebowała, była publiczność, a już zwłaszcza taka, wśród której znalazłby się on.

Wśliznęła się do domu od frontu, nasłuchując odgłosów zabawy, ale wewnątrz panowała cisza. Kajet leżał w bibliotece, ale miała przecież udawać, że tego nie wie, ruszyła więc w stronę przeszklonych drzwi prowadzących na taras na tyle budynku

No i faktycznie, po trawniku krążyła grupka złożona z kilkanaściorga elegancko przyodzianych dam i dżentelmenów Kilka osób trzymało w dłoniach rakiety tenisowe, inni sączyli poncz, a wszyscy zaśmiewali się i gawędzili beztrosko.

Elizabeth przygryzła wargę. Nawet ich głosy miały w sobie tyle elegancji!

Nieśmiało wyszła na taras. Poczuła się szara i nijaka, ale starała się o tym nie myśleć. Tu nie chodziło o jej uczucia.

Lady Danbury urzędowała na drugim końcu tarasu, rozparta w monstrualnym, niemalże pękającym w szwach fotelu, stojącym zwykle w niebieskim pokoju. Ta obciągnięta aksamitem ohyda była jedynym meblem

wyniesionym na dwór z wnętrza domu – zdaniem Elizabeth nieprzypadkowo – i pełniła funkcję swoistego tronu. Hrabinie towarzyszyły dwie panie i jeden mężczyzna. Panie przysłuchiwały się perorom gospodyni, skwapliwie kiwały głowami przy co drugim jej słowie, mężczyzna miał szkliste, niewidzące spojrzenie. Żadne z nich nie wydawało się dziwić temu, że Malcolm leży na kolanach hrabiny brzuchem do góry ze zwiotczałymi, skrzyżowanymi łapami. Wyglądał jak kocie truchełko, ale lady Danbury nieustannie powtarzała, że jej pupil ma niesamowicie giętki kręgosłup i wręcz przepada za tą pozycją.

Elizabeth zbliżyła się trochę, by móc swobodniej przysłuchiwać się słowom hrabiny i odezwać się w najbardziej odpowiedniej chwili. Nietrudno było śledzić tę rozmowę, czy też raczej monolog z lady Danbury w roli głównej.

Dziewczyna miała właśnie postąpić o krok do przodu i postarać się zwrócić na siebie uwagę gospodyni, gdy poczuła, że ktoś chwyta ją za łokieć. Obróciła się jak fryga i stanęła twarzą w twarz z najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Złote włosy, modre oczy – w odniesieniu do niego słowo „przystojny” stawało się wręcz prostackie. Ten człowiek miał twarz anioła.

– Jeszcze ponczu, jeśli można – powiedział, podając jej szklankę.

– Nie, nie. Przepraszam, ale pan się myli. Ja…

– Już – powiedział i klepnął ją w pośladek.

Elizabeth czuła, że żar oblewa jej policzki, i gwałtownie odsunęła od siebie szklankę.

– Pan się myli – powtórzyła.

Oczy blondyna zwęziły się niebezpiecznie i poczuła, jak zimny dreszcz przebiega jej po plecach. Z takim człowiekiem lepiej nie zadzierać, pomyślała, chociaż nawet i największy choleryk nie zdenerwowałby się aż tak bardzo z powodu szklanki ponczu.

Wzruszyła dyskretnie ramionami i szybko zapomniała o tym incydencie. Podeszła do lady Danbury, która podniosła na nią zdumione oczy.

– Elizabeth! – wykrzyknęła. – Co ty tutaj robisz?

Elizabeth nakazała twarzy przyoblec się w rozbrajający i skruszony – w jej przekonaniu – uśmiech. Miała wszak widownię.

– Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam, lady Danbury.

– Nonsens! Coś się stało w domu?

– Nie, nie. Nic podobnego. – Kątem oka zerknęła na dżentelmena stojącego obok hrabiny. Właściwie był podobny do Jamesa, wydawał się też być w tym samym wieku, tylko oczy miał jakieś takie młodsze. Mężczyźnie na tarasie niczego nie brakowało. Obiektywnie rzecz biorąc, był niewiarygodnie wręcz przystojny. I wcale się nie garbił.

Tyle że nie był Jamesem.

Elizabeth zmitygowała się w myślach.

– Obawiam się, że zostawiłam tu mój kajet – odparła, patrząc już na hrabinę. – Widziała go może pani? Będzie mi potrzebny jeszcze przed poniedziałkiem.

Lady D. pokręciła przecząco głową, pieszczotliwym gestem zatapiając dłoń w gęstej sierści na brzuchu Malcolma.

– Nie mogę powiedzieć, żebym widziała. Na pewno go ze sobą wzięłaś? O ile wiem, nigdy wcześniej nie przynosiłaś tu podobnych rzeczy.

– Na pewno. – Przełknęła ślinę, zastanawiając się, dlaczego, mówiąc prawdę, czuje się, jakby kłamała.

– Z chęcią bym ci pomogła – kontynuowała hrabina – ale jak widzisz, mam gości. Może spróbujesz sama go poszukać. Jest pięć czy sześć pomieszczeń, w których mogłaś go zostawić, nie powinno więc być trudno go znaleźć. A służba wie, że możesz się czuć u mnie jak w domu.

Elizabeth wyprostowała się i kiwnęła głową. Została odprawiona.

– Pójdę od razu.

Mężczyzna, który do tej pory milcząco przysłuchiwał się tej wymianie zdań, przyskoczył gwałtownie do Elizabeth.

– Z radością pani pomogę.

– Ależ nie możesz tak sobie pójść! – zakwiliła jedna z pań żałośliwie.

Elizabeth przyglądała się tej scenie z zainteresowaniem. Nietrudno się było domyślić, dlaczego obie panie tak ochoczo wysłuchiwały wywodów hrabiny.

– Dunfordzie! – huknęła lady Danbury. – Nie skończyłam ci opowiadać o mojej audiencji u rosyjskiej księżnej.

Elizabeth osłupiała. Nie zdarzyło się jej dotychczas spotkać nikogo, na kim hrabina nie umiałaby wymusić posłuszeństwa. No i ten jego uśmiech – dobry Boże, w życiu nie widziała niczego podobnego. Ten mężczyzna musiał mieć na sumieniu niejedno złamane serce.

– Poza tym – kontynuował – z chęcią zabawię się w takie poszukiwanie skarbów.

– W takim razie powinnam was sobie przedstawić, jak sądzę – odrzekła ze zmarszczonym czołem hrabina. – Panie Dunford, to moja dama do towarzystwa, panna Hotchkiss. A panie to pani i panna Corbishley.

Dunford ujął Elizabeth pod rękę.

– Wyśmienicie. Jestem pewny, że błyskawicznie odnajdziemy pani zgubę.

– Naprawdę nie musi się pan…

– Nonsens. Nie potrafię odmówić pomocy damie w opałach!

– Jakich tam opałach! – rzuciła panna Corbishley kąśliwie. – Zgubiła kajet, na miłość boską!

Ale Dunford już porwał Elizabeth z tarasu i oboje znikli w głębi domu.

Lady Danbury zmarszczyła czoło.

Panna Corbishley wpatrywała się płonącym wzrokiem w przeszklone drzwi, jakby chciała, żeby nie tylko same drzwi, ale i cały dom stanęły w płomieniach.

Pani Corbishley, która rzadko uznawała, że warto silić się na takt, oznajmiła cierpko:

– Na pani miejscu zwolniłabym tę pannicę. Nie umie się zachować.

Lady Danbury rzuciła jej mordercze spojrzenie.

– A na czym opiera pani swoje przypuszczenie?

– Ależ wystarczy tylko popatrzeć na…

– Znam pannę Hotchkiss dłużej niż panią, pani Corbishley.

– To prawda. – Kąciki ust kobiety ściągały się w wybitnie nietwarzowym grymasie. – Ale ja jestem z Corbishleyów. Corbishleyów pani zna.

– Tak – warknęła lady Danbury – ale nigdy ich nie lubiłam. Proszę mi podać laskę.

Rozmówczyni hrabiny była zbyt wstrząśnięta, by zareagować, ale jej córka zachowała wystarczającą przytomność umysłu, by złapać żądany przedmiot i wcisnąć go w dłonie lady Danbury.

– Coś podobnego! – wykrztusiła wreszcie pani Corbishley.

Laska łupnęła o podłogę i hrabina już stała.

– Muszę z kimś porozmawiać. Muszę z kimś porozmawiać w tej chwili – powiedziała z roztargnieniem i pokuśtykała w głąb domu szybciej, niż to się jej zdarzało od lat.

– Zdaje sobie pani sprawę – mówił pan Dunford – że ma pani we mnie dozgonnego dłużnika?

– To wyjątkowo długoterminowa obietnica, panie Dunford – odrzekła Elizabeth z nutką rozbawienia w głosie.

– Po prostu Dunford, jeśli łaska. Od lat nikt nie nazywał mnie panem.

Nie mogła się nie uśmiechnąć. Nie mogła też nie uznać, że wydawał się niezwykle sympatyczny. Z doświadczenia wiedziała, że ci, których los obdarzył niebiańską urodą, miewali zwykle piekielne charakterki. Dunford jednak zdawał się być wyjątkiem. Byłby z niego świetny mąż, gdyby tylko udało się jej go w sobie rozkochać.

– Dobrze więc – odparła – Dunfordzie. A przed kim chciał pan uciec? Przed lady Danbury?

– Dobry Boże, gdzie tam. Obecność Agathy gwarantuje udany wieczór.

– Przed panną Corbishley? Wydawała się zainteresowana…

– Nawet w połowie nie tak, jak jej matka. – Wzdrygnął się.

– Aha.

Uniósł znacząco brew.

– Rozumiem, że spotkała się już pani z osobami tego pokroju.

Zaniosła się gorzkim śmiechem. Boże, przecież ona sama do nich należała!

– Oddałbym nie jedno królestwo, ale dwa, żeby dowiedzieć się, o czym pani teraz myśli – usłyszała.

Potrząsnęła głową. Ciągle jeszcze wahała się, niepewna, czy znowu wybuchnąć śmiechem, czy też raczej zapaść się pod ziemię.

– Te myśli są zbyt kosztowne dla… – Obejrzała się gwałtownie. Czy aby przed chwilą James nie wyjrzał z niebieskiego pokoju?

Dunford podążył za jej wzrokiem.

– Coś się stało?

Uciszyła go zniecierpliwionym machnięciem ręki.

– Chwilę. Zdawało mi się, że widzę…

– Co? – Brązowe oczy mężczyzny stały się nagle czujne. – Czy też kogo?

Potrząsnęła głową.

– Musiało mi się przywidzieć. Wydawało mi się, że zobaczyłam nowego zarządcę.

Patrzył na nią bez wyrazu.

– Czy to aż takie dziwne?

Leciutko pokręciła głową. Wykluczone, żeby chociaż spróbowała wyjaśnić mu sytuację.

– Wydaje mi się… hm… że mogłam zostawić kajet w bawialni. Właśnie tam spędzamy z lady Danbury większość dnia.

– Proszę przodem, miła pani.

Poszedł za nią. Elizabeth ostentacyjnie przeszukiwała szuflady i zaglądała we wszelkie możliwe zakamarki.

– Jakiś służący mógł pomyśleć, że kajet należy do lady Danbury, i odłożyć go do jej rzeczy – powiedziała wyjaśniająco.

Podczas tych poszukiwań Dunford stał dyskretnie z boku, co Elizabeth wydało się zrozumiałe i na miejscu. Jako dżentelmen musiał brzydzić się myszkowaniem w cudzych rzeczach. A zresztą nawet gdyby jej pomagał, pomyślała cierpko Elizabeth, i tak niczego by to nie zmieniało. Wszystkie cenne rzeczy hrabina trzymała pod kluczem, a kajetu i tak by nie znalazł, bo sama schowała go w bibliotece.

– Może jest w innym pokoju – zasugerował Dunford po chwili.

– Możliwe, chociaż…

Przerwało jej dyskretne pukanie do drzwi, notabene otwartych. Prawdę mówiąc, Elizabeth nie miała zielonego pojęcia, jak to zdanie dokończyć, i zobaczywszy w progu służącego, omal go nie uściskała.

– Pan Dunford? – odezwał się lokaj.

– Tak.

– List do pana.

– List? – Dunford wyciągnął rękę po kremową kopertę. Zerknął na list i usta ułożyły się mu w pełen niesmaku grymas.

– Chyba to nic złego?

– Muszę wracać do Londynu.

– Natychmiast? – spytała z zawodem w głosie, patrząc na Dunforda. Co prawda w jego obecności serce nie biło jej mocniej, ale z całą pewnością był z niego materiał na męża.

– Obawiam się, że tak. – Pokręcił głową. – Zabiję tego Riverdale.

– Kogo?

– Markiza Riverdale. Niech pani tylko spojrzy! – Gniewnie potrząsnął listem w powietrzu, uniemożliwiając jej jakiekolwiek oględziny. – Nie wiadomo, czy to jakiś nagły wypadek czy też po prostu chce mi pokazać nowego konia pod wierzch.

– A – bąknęła, bo nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

– Chciałbym tylko wiedzieć, jak on mnie tu znalazł – zżymał się Dunford. – Tydzień temu jakby zapadł się pod ziemię.

– Zapewne to coś poważnego – mruknęła.

– Będzie – odparł – kiedy go już uduszę.

Wstrzymała na chwilę oddech, żeby się nie roześmiać. Intuicja podpowiadała jej, że byłaby to wysoce niestosowna reakcja.

Oderwał wzrok od listu i po raz pierwszy od dłuższej chwili spojrzał na jej twarz.

– Mam nadzieję, że poradzi sobie pani beze mnie.

– Och, naturalnie – uśmiechnęła się cierpko. – Radzę sobie sama od z górą dwudziestu lat.

Uwaga ta musiała go zaskoczyć, bo dodał:

– Porządna z pani dziewczyna. Przepraszam, ale muszę już iść.

I tyle go widziała.

– Porządna dziewczyna. Cholernie porządna – powtórzyła z przekąsem i zajęczała: – Porządna do znudzenia.

Mężczyźni nie żenili się z „porządnymi kobietami”. Pragnęli piękna, ognia, namiętności. Innymi słowy – jak wyraziła się ta piekielna pani Seeton – pragnęli kogoś niezwykłego.

No, ale nie nazbyt niezwykłego.

Przelotnie zastanowiła się, czy za spalenie kukły pani Seeton poszłaby do piekła.

– Elizabeth.

Podniosła oczy i spojrzenie jej padło na Jamesa, szczerzącego się radośnie z otwartych drzwi.

– Co robisz? – spytał.

– Dumam nad marnościami tego świata – odburknęła.

– Wyjątkowo szlachetne zajęcie.

Rzuciła mu ostrzejsze spojrzenie. Wychwyciła w jego głosie nutki, które wydały się jej aż nadto beztroskie. Dlaczego to właśnie jego uśmiech musiał sprawiać, że zamierało w niej serce, podczas gdy widząc Dunforda – który był posiadaczem najbardziej olśniewających ust i zębów – miała ochotę po siostrzanemu poklepać go po ramieniu?

– Jeżeli zaraz nie otworzysz buzi, zetrzesz sobie zęby na proszek od tego zgrzytania.

– Poznałam tego twojego pana Dunforda – oznajmiła.

– Doprawdy? – mruknął.

– Wcale przyjemny człowiek.

– A tak, przyjemne z niego chłopisko.

Stała z wyciągniętymi wzdłuż ciała rękami, dławiona złością.

– Mówiłeś, że to kobieciarz – rzuciła oskarżycielsko.

– Bo nim jest. Przyjemnym kobieciarzem.

Coś się tutaj nie zgadzało, była tego pewna. Jej spotkanie z Dunfordem obeszło Jamesa wręcz podejrzanie mało. Nie umiała sprecyzować, jaką reakcję uznałaby w tej sytuacji za naturalną, ale na pewno nie był nią niewzruszony spokój. Oczy Elizabeth zwęziły się.

– Nie znasz przypadkiem markiza Riverdale?

Zaczął się krztusić.

– James? – Jednym susem znalazła się przy nim.

– To przez kurz – odparł na przydechu.

Poklepała Jamesa po plecach, po czym skrzyżowała ręce na piersi, zbyt zatopiona w swoich rozważaniach, by okazać mu więcej troski.

– Zdaje mi się, że ten cały Riverdale jest krewniakiem lady Danbury.

– Doprawdy?

W zamyśleniu pukała się palcem w policzek.

– Jestem pewna, że o nim wspominała. Możliwe, że to jej kuzyn, ale równie dobrze siostrzeniec. Ona ma chmary rodzeństwa.

James uśmiechnął się z przymusem bez wielkiej nadziei na to, że ten uśmiech wygląda na szczery.

– Mogłabym ją o niego podpytać. W zasadzie chyba powinnam to zrobić.

Musiał zmienić temat, i to szybko.

– Przecież i tak będzie się chciała dowiedzieć, dlaczego Dunford wyjechał tak nagle – kontynuowała.

Jamesa szczerze by to zdziwiło. To właśnie Agatha odszukała go i nakazała mu zrobić cokolwiek, byle Dunford – ten, jak się wyraziła, pozbawiony skrupułów rozpustnik – zostawił Elizabeth w spokoju.

– Może powinnam od razu do niej pójść.

W tej samej sekundzie James znowu się rozkasłał. Jedynym innym sposobem, by ją zatrzymać, byłoby chwycić ją mocno w ramiona i wziąć, tu i teraz, ale miał przeczucie, że takie rozwiązanie nie zyskałoby jej aprobaty.

No, może nie jedynym sposobem, lecz z pewnością najbardziej kuszącym.

– James? – spytała z niepokojem, a jej ciemnobłękitne oczy pociemniały. – Na pewno nic ci nie jest?

Kiwnął głową, ale wydusił z siebie jeszcze kilka pokasływań.

– Nie podoba mi się ten kaszel. – Delikatnie położyła ciepłą dłoń na jego policzku.

Wstrzymał oddech. Stała tak blisko, aż nazbyt blisko, i czuł, jak całe jego ciało się napina. Po chwili poczuł rękę Elizabeth na swoim czole.

– Wyglądasz jakoś niewyraźnie – stwierdziła półgłosem – chociaż czoło masz chłodne.

Chciał powiedzieć: „Dobrze się czuję”, ale zabrakło mu tchu.

– Mogę zadzwonić po herbatę.

Pokręcił szybko głową.

– Nie trzeba. Czuję się… zaraz poczuję się dobrze – zapewnił, zakasławszy znowu, po czym dodał, uśmiechając się blado: – Już mi lepiej. Widzisz?

– Na pewno? – Zabrała rękę i badawczo przyjrzała się jego twarzy. Z każdym mrugnięciem powiek ów chmurny, zamglony wyraz jej oczu znikał stopniowo, ustępując miejsca chłodnej rzeczowości.

A szkoda. Chmurne, zamglone spojrzenie stanowiło lepszy wstęp do pocałunku.

– Czujesz się dobrze? – upewniła się jeszcze raz, a gdy kiwnął głową, dodała: – Skoro tak, to pójdę do domu.

– Już? – spytał, dotknięty niebywałą, jego zdaniem, niefrasobliwością w głosie Elizabeth.

Ramię dziewczyny uniosło się i opadło w dziwnie rozczulającym geście.

– I tak już dzisiaj niczego więcej nie zdziałam. Pana Dunforda wezwał do Londynu nasz tajemniczy markiz, a wątpię, żeby udało mi się wycisnąć oświadczyny z tego złotowłosego adonisa, który wziął mnie za zwykłą służącą.

– Adonisa? – Boże drogi, czy to jego własny głos? Nigdy by nie przypuszczał, że stać go na podobnie zgryźliwy ton.

– Anielskie rysy – rozwinęła myśl – maniery wołu.

Kiwnął głową, czując, że poprawia mu się humor.

– Fellport.

– Kto?

– Sir Bertram Fellport.

– A, ten co za dużo pije.

– Właśnie ten.

– Skąd ty znasz tych ludzi?

– Mówiłem ci, kiedyś obracałem się w kręgu arystokracji.

– Skoro tak się z nimi przyjaźnisz, to dlaczego nie chcesz nawet się z nimi przywitać?

Dobre pytanie, ale James miał na nie dobrą odpowiedź.

– Żeby mogli naocznie przekonać się o moim upadku? Wykluczone.

Elizabeth westchnęła. Świetnie rozumiała jego obiekcje. Doświadczyła tego wszystkiego na własnej skórze – wypowiadane szeptem uwagi we wsi, wytykanie palcami, złośliwe chichoty. Co niedziela prowadziła rodzinę do kościoła i co niedziela siedziała w ławce, sztywna i nieruchoma, z miną, jakby lubiła ubierać rodzeństwo w znoszone sukienki czy wytarte na kolanach porcięta, przez które przeświecało gołe ciało.

– Wiele nas łączy – powiedziała miękko.

W jego oczach dostrzegła dziwny błysk, bólu lub może wstydu. Uzmysłowiła sobie wtedy, że powinna natychmiast odejść. Tak bardzo chciała przytulić go, pocieszyć – jak gdyby ona, drobniutka kobietka, mogła osłonić tego wysokiego, silnego mężczyznę przed całym złem tego świata.

Tylko by się ośmieszyła. On jej nie potrzebował.

A ona nie mogła sobie pozwolić, by potrzebować jego. Na tym etapie jej życia przywiązanie stanowiło luksus, na który nie było jej stać.

– Idę – rzuciła szybko i przeraziła się, słysząc swój ochrypły głos. Szybko przeszła obok Jamesa, kuląc się, gdy przypadkowo musnęła go ręką. Przemknęło jej przez myśl, że mógłby ją zatrzymać. Wyczuwała jego wahanie. Drgnął, ale w końcu spytał tylko:

– Zobaczymy się w poniedziałek?

Kiwnęła głową i wypadła z pokoju.

Przez kilka minut James wpatrywał się w drzwi, za którymi znikła Elizabeth. W powietrzu ciągle jeszcze unosił się jej zapach, lekka woń, w której mieszał się zapach truskawek i mydła. Żadne tam wyrafinowane perfumy, ale i tak poczuł, że mięśnie ma napięte do granic możliwości. Tak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona, że czuł niemal fizyczny ból.

Bo chciał chwycić ją w ramiona, do cholery! Dalsze oszukiwanie samego siebie mijało się z celem. Chciał poczuć ją pod sobą, na sobie, obok siebie.

Zatonąć w niej.

Pragnął jej i nic nie mogło tego zmienić.

Co, do diabła, powinien zrobić?

Sprawą przekazu bankowego już się zajął – anonimowo, rzecz jasna, bo w innym wypadku przenigdy by tych pieniędzy nie przyjęła. To powinno wystarczyć, żeby przestała paplać o poślubieniu pierwszego lepszego mężczyzny, który nie byłby brzydszy od diabła, za to diabelnie bogaty.

W żaden sposób nie wpłynęło to jednak na stan jego ducha. Kiedy dowiedział się od ciotki, że Elizabeth poszła gdzieś w towarzystwie Dunforda, odczuł przypływ takiej zazdrości, jakiej istnienia nigdy nie podejrzewał. Ścisnęła go za serce, płynęła w jego żyłach, wprawiła w jakiś na poły bezrozumny stan. Zdolny był jedynie myśleć o tym, jak natychmiast pozbyć się Dunforda z Surrey, odesłać chociażby do Londynu.

Do Londynu, psiakrew! Z rozkoszą wyekspediowałby go do Stambułu, gdyby tylko wiedział jak.

Powtarzał sobie, że Elizabeth to tylko jedna z wielu kobiet w jego życiu, ale mijało się to z celem. Na samą myśl, że miałaby się znaleźć w ramionach innego mężczyzny, odczuwał fizyczne mdłości. Wiedział, że nie zdoła długo ciągnąć tej intrygi z szukaniem dla niej męża. Jakże miałoby mu się to udać, skoro za każdym razem, gdy widział Elizabeth, pragnął wziąć ją choćby gwałtem.

Jęknął zrezygnowany. Z dnia na dzień stawało się dla niego bardziej oczywiste, że będzie się musiał z nią ożenić. Nie widział innej drogi, by choć w małym stopniu odzyskać spokój ducha – i ciała.

Przed ślubem powinien jednak powiedzieć jej, kim jest, a tego zrobić nie mógł, dopóki nie wyjaśni się sprawa szantażu. Przynajmniej tyle był ciotce dłużny. Może przecież zapanować nad własnymi pragnieniami na jakieś – bagatela – dwa tygodnie.

A jeżeli nie uda mu się w tym czasie rozwikłać rodzinnej zagadki – cóż, nie miał bladego pojęcia, co wtedy pocznie. Nie sądził, żeby zdołał dłużej

znosić stan chronicznego napięcia.

Zaklął głośno i bez żenady, odwrócił się na pięcie i wyszedł na dwór. Świeże powietrze powinno mu dobrze zrobić.

Elizabeth starała się nie myśleć o Jamesie, gdy pośpiesznie mijała jego przytulny domek. Jednak bez powodzenia. Pewną pociechę stanowił fakt, że dzisiaj nie powinna się już na niego natknąć. Zapewne dalej siedział w bawialni i zaśmiewał się w najlepsze, wspominając jej ucieczkę.

Musiała jednak przed sobą przyznać, że jest niesprawiedliwa – James nigdy by się z niej nie śmiał i świetnie o tym wiedziała. Chociaż właściwie wolałaby, żeby się śmiał. Mogłaby go wtedy nienawidzić.

Malcolm tymczasem musiał dojść do wniosku, że torturowanie Elizabeth jest zajęciem o niebo wdzięczniejszym od wysłuchiwania tyrad hrabiny – jak gdyby dzień nie był już wystarczająco przykry – dziewczyna zauważyła bowiem, że ogromne kocisko truchta u jej boku, posykując jadowicie i ze zdumiewającą regularnością.

– Czy to bezwzględnie konieczne? – spytała. – Naprawdę musisz za mną iść i tak syczeć?

Odpowiedział jej kolejny nieżyczliwy syk.

– Wstrętny zwierzaku! Nikt nie wierzy, że to robisz, wiesz? Syczysz na mnie tylko wtedy, gdy nikogo nie ma w pobliżu.

Kot uśmiechnął się szyderczo – przynajmniej Elizabeth gotowa była przysiąc, że widzi na jego pyszczku złośliwy uśmieszek.

Ciągle jeszcze perorowała do niego, gdy mijali stajnie. Malcolm prychał na nią i syczał jak oszalały, Elizabeth poszturchiwała go palcem i nakazywała mu ciszę. Zapewne właśnie dlatego nie usłyszała zbliżających się kroków.

– Panna Hotchkiss.

Poderwała głowę. Stał przed nią sir Bertram Fellport – ów jasnowłosy adonis o twarzy anioła. Stał aż nazbyt blisko, jej zdaniem.

– Och, do widzenia, sir. – Uczyniła mały, i jak miała nadzieję, dyskretny krok do tyłu.

Uśmiechnął się tak, że Elizabeth nie zdziwiłaby się, widząc nad jego głową gromadkę cherubinków i słysząc anielskie pienia.

– Jestem Fellport – przedstawił się.

Skinęła głową. Znała jego nazwisko, ale nie widziała powodów, by go o tym informować.

– Znalazła pani swój kajet?

Musiał przysłuchiwać się jej rozmowie z hrabiną.

– Nie – odparła – nie znalazłam. Ale jestem pewna, że wkrótce się znajdzie. Takie rzeczy zawsze się prędzej czy później znajdują.

– Tak – powiedział gardłowo. Jego błękitne jak niebo oczy wpatrywały się w nią z uwagą, która sprawiała, że poczuła się nieswojo. – Długo pani pracuje u lady Danbury?

– Pięć lat – odrzekła, cofnąwszy się o kolejny malutki kroczek.

Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku.

– Musi się pani czuć samotna.

– Nic podobnego – odparła sztywno. – Pan wybaczy, ale naprawdę muszę iść.

Dłoń Fellporta wystrzeliła w stronę dziewczyny i zacisnęła się boleśnie na jej łokciu.

– Nie wybaczę.

– Sir Bertramie – serce tłukło się jej w piersi tak głośno, iż zdziwiła się, słysząc własny głos – pozwoli pan, że przypomnę, iż jest pan w tym domu gościem.

Przyciągnął ją do siebie.

– A ja przypomnę, iż pani tu pracuje i dbanie o samopoczucie gości stanowi pani obowiązek.

Elizabeth spojrzała w te jego oszałamiająco błękitne oczy i dostrzegła w nich brzydkie, chłodne błyski. Poczuła w brzuchu jakieś dziwne ściskanie i

uzmysłowiła sobie, że musi natychmiast uciekać. Fellport nieznacznie ciągnął ją na ubocze, a kiedy znajdą się z dala od ludzi, na ucieczkę będzie już za późno.

Krzyknęła, ale krzyk zdławiła dłoń, brutalnie przyciśnięta do jej ust.

– Zrobisz, co ci każę – syknął jej Fellport do ucha – a potem mi podziękujesz.

Wszystkie najgorsze obawy Elizabeth urzeczywistniły się w jednej chwili. Poczuła bowiem, że prześladowca wlecze ją w kierunku stajni.

15

Drogę do stajni James pokonywał z wciśniętymi w kieszenie rękami. Był w nastroju graniczącym z przygnębieniem, na który pozwalał sobie niezwykle rzadko, ale też i nieczęsto zdarzało się, by musiał odmawiać sobie czegokolwiek, czego szczerze pragnął. Tymczasem musiał zawiesić swoje plany wobec Elizabeth i to doszczętnie psuło mu humor.

Świeże powietrze nie za bardzo mu pomogło, ale postanowił pójść za ciosem i wybrać się na małą przejażdżkę – czy też raczej na szaleńczą galopadę na złamanie karku, taką, podczas której wiatr smaga po twarzy i wyrywa włosy z głowy. Jako zarządca Agathy miał swobodny wstęp do stajni, a jeżeli nawet zarządcy nie mieli w zwyczaju galopować po okolicy jak obłąkani, to nic – zamierzał jechać o wiele za szybko, by ktokolwiek mógł go rozpoznać.

Kiedy jednak dotarł na miejsce, oczom jego ukazał się niecodzienny widok: oto Malcolm stał na tylnych łapach, orał pazurami stajenne wrota i wydzierał się przy tym wniebogłosy.

– Boże kochany, kocie. Co w ciebie wstąpiło?

Malcolm miauknął przeraźliwie, opadł na ziemię, cofnął się nieznacznie, a potem z rozpędu popchnął łebkiem drewniane wrota.

Wtedy dopiero James uświadomił sobie, że są zamknięte, co – zważywszy na porę dnia – wydało się mu dość dziwne.

Co prawda konie gości były już dawno oporządzone i stajenni mogli przenieść się do Worka Gwoździ na kufelek czy dwa, ale i tak nie było

powodów, by stajnię zamykać. Dzień był ciepły i odrobina wiaterku z zewnątrz wyszłaby koniom tylko na dobre.

Zdecydowanym szarpnięciem otworzył wrota i aż się wzdrygnął, słysząc głośny zgrzyt zawiasów. Miał niejasne wrażenie, że zajmowanie się podobnymi sprawami wchodziło w zakres jego obowiązków. To, lub przynajmniej dopilnowanie, by ktoś się nimi zajął. Podumał przez chwilę, poklepując się po biodrze, po czym ruszył w kierunku szafy z narzędziami, żeby poszukać jakiegoś smaru. Naoliwienie zawiasów powinno mu zająć tylko chwilę. Poza tym w obecnym nastroju miał ochotę na odrobinę pracy fizycznej, im bardziej brudzącej, tym lepiej.

Zamierzał właśnie otworzyć szafę, gdy uszu jego dobiegł przedziwny dźwięk.

Jakiś cichy szelest, ściśle biorąc, ale naprawdę dziwny. Nie brzmiał jak chrzęst siana pod końskimi kopytami.

– Jest tu kto? – zawołał.

Znowu szeleszczenie, tym razem szybsze i bardziej gwałtowne. Towarzyszyły mu zdławione, pełne paniki pomruki.

Krew ścięła mu się w żyłach.

W stajni było kilkanaście boksów i dźwięki te mogły dobiegać z któregokolwiek z nich. On jednak wiedział. Stopy same zaniosły go do tego, który był położony najdalej od wejścia. Z dzikim, przejmującym okrzykiem niemal wyrwał drzwiczki z zawiasów.

Elizabeth wiedziała już, jak wygląda piekło. Miało błękitne oczy, złote włosy i zły, okrutny uśmiech. Walczyła z Fellportem z całych sił, ale nie była dla niego przeciwnikiem. Bez wysiłku pociągnął ją w głąb stajni.

Poczuła na twarzy jego wargi, szorujące jej delikatną skórę, i rozpaczliwie zacisnęła usta. Może i nie mogła ocalić honoru, może i nie mogła go powstrzymać, ale przynajmniej tę cząstkę siebie mogła przed nim obronić.

Oderwał się od ust Elizabeth i przyparł ją do drewnianego słupa, boleśnie wbijając palce w smukłe ramiona.

– Pocałowałem panią, panno Hotchkiss – powiedział z jadowitą słodyczą w głosie. – Niech mi pani podziękuje.

Patrzyła na niego w niemym buncie.

Przyciągnął ją do siebie, po czym znowu pchnął na słup, szczerząc zęby, gdy głowa dziewczyny uderzyła o twarde, grubo ciosane drewno.

– Rozumiem, że ma mi pani coś do powiedzenia – zagruchał.

– Idź do diabła! – syknęła i plunęła mu w twarz. Zdawała sobie sprawę, że ryzykuje wiele. Rozsierdzony, mógł rzucić się na nią, ale pal go diabli, nie będzie jej dyktował, co powinna mówić.

Rzucił jej rozwścieczone spojrzenie. Przez jedną krótką chwilę Elizabeth miała nadzieję, że na tym się skończy, że Fellport nie zemści się za to, co zrobiła. Jednak moment później z głuchym warknięciem oderwał ją od słupa i pchnął do pustego boksu. Upadła na siano. Próbowała się podnieść, ale Fellport był szybki. Opadł na nią z siłą, która wycisnęła z jej płuc całe powietrze.

– Zostaw mnie, ty…

Dłoń napastnika przywarła do ust dziewczyny i brutalnie przekrzywiła jej głowę. Teraz siano wbijało się Elizabeth w policzek, ale nie czuła bólu. Czuła… pustkę. Jej ciało zostawało gdzieś w tyle, jakby wiedziała, że jedynym sposobem, by przetrwać ten koszmar, było opuścić je, wyjść poza nie. Sprawić, by to ciało – które Fellport plugawił – stało się czymś obcym.

I wtedy właśnie, gdy proces ten prawie się w niej dokonał, usłyszała hałas.

Nie tylko ona. Fellport jeszcze mocniej przycisnął rękę do jej ust i znieruchomiał.

Zgrzyt zawiasów. Główny stajenny miał je wczoraj naoliwić, ale wezwano go nagle w jakiejś błahej sprawie, a pozostali zajęci byli końmi gości, tak że nikt nie miał na to czasu.

– Jest tu kto?

Głos Jamesa.

Elizabeth zaczęła się rzucać jak oszalała. Poczuła przypływ siły, o jaką by nigdy nawet się nie podejrzewała, i zaczęła wściekle pomrukiwać pod dłonią Fellporta.

Wydarzenia, które nastąpiły w chwilę później, zlały się w jedną mglistą całość. Najpierw rozległ się głośny wrzask – nie brzmiał jak krzyk człowieka – i drzwiczki do boksu niemal wyfrunęły z zawiasów. Fellport nie leżał już na niej, a ona na czworakach pełzła do rogu, by skulić się w nim i obciągnąć pomiętą sukienkę.

James zachowywał się jak furiat. Brutalnie młócił Fellporta po twarzy, a potem z dzikim, drapieżnym błyskiem w oku przycisnął jego głowę do ziemi.

– Lubisz siano? – zasyczał. – A jak ci się podoba leżeć z gębą wbitą w ziemię?

Elizabeth patrzyła na obu mężczyzn z ponurą fascynacją.

– Taki się czujesz odważny, kiedy krzywdzisz kogoś dwa razy od ciebie słabszego? O to chodzi? Robisz, co ci się podoba, bo jesteś większy i silniejszy?

Jeszcze mocniej docisnął Fellporta, szorując jego twarzą po ziemi.

– Ach, tak, ale ja jestem jeszcze większy i silniejszy od ciebie. Jak ci się to podoba, Fellport? Jak się czujesz, wiedząc, że jesteś zdany na moją łaskę i niełaskę? Mógłbym cię przełamać na pół.

Nastała ponura cisza, przerywana jedynie nierównym, urywanym oddechem Jamesa. Wpatrywał się z napięciem w Fellporta, ale jego oczy miały dziwny, nieobecny wyraz.

– Czekałem na tę chwilę. Czekałem długie lata, żeby ci się wreszcie odpłacić.

– Mnie? – zaskrzeczał Fellport.

– Wam wszystkim – rzucił James gardłowo. – Każdemu z osobna. Nie mogłem uratować…

Zachłysnął się i umilkł, ale twarz mu drgała.

– Mogę uratować Elizabeth – wyszeptał w zapadłej nagle martwej ciszy. – Nie pozwolę ci odrzeć jej z godności.

– James? – szepnęła. Boże kochany, on tego Fellporta zabije i niech jej Bóg wybaczy, ale tego właśnie pragnęła. Marzyła o tym, by rozdarł go na sztuki.

Ale nie chciała, by James trafił na szubienicę, a tym by się to najpewniej skończyło. Fellport to baronet, jemu podły postępek zapewne uszedłby na sucho. Ale zamordowanie baroneta nie może ujść na sucho zwykłemu zarządcy.

– James – powtórzyła głośniej – musisz przestać.

Puścił Fellporta, ten zaś obejrzał się i wykrztusił:

– Ty!

– Przeproś damę. – James drżał na całym ciele, ale jego głos zabrzmiał czysto i pewnie.

– Tę służącą?

Baronet znowu zarył twarzą w ziemię.

– Przeproś damę – powtórzył James.

Odpowiedziało mu uparte milczenie.

I wtedy ruchem tak szybkim, że Elizabeth nie dowierzała własnym oczom, James wyciągnął pistolet.

Dziewczyna zachłysnęła się i przycisnęła do ust drżącą rękę.

Rozległ się głośny trzask i lufa znalazła się niebezpiecznie blisko głowy baroneta.

– Przeproś damę.

– Ja… ja… – Fellportem wstrząsały drgawki i nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

James przesunął lufę powolnym, wręcz pieszczotliwym ruchem tak, że niemal dotknęła skroni napastnika.

– Przeproś damę.

– James – zawołała Elizabeth, a w jej głosie brzmiało przerażenie – musisz przestać! Już dobrze. Nie chcę…

– Nie jest dobrze! – ryknął. – I nigdy nie będzie! A on przeprosi, bo inaczej…

– Przepraszam! – wyrzucił z siebie Fellport, piskliwie i z paniką.

Złapany za kołnierz i szarpnięty do góry, zakrztusił się, gdy materiał koszuli wpił mu się w szyję.

– To przyjęcie już się dla ciebie skończyło – rzucił James.

Fellport tylko zacharczał.

James odwrócił się do Elizabeth, ani na chwilę nie poluźniając chwytu.

– Zaraz wrócę.

Drżąco kiwnęła głową, składając razem dłonie, by przestały dygotać, a on wywlókł Fellporta na dwór, zostawiając ją samą. Samą z tysiącem pytań.

Dlaczego nosił przy sobie broń? I gdzie nauczył się walczyć z taką śmiertelną precyzją? W jego ciosach nie było nic z niewinnego, sportowego boksowania – każdy z nich miał zabijać.

A potem nasuwały się jeszcze bardziej przerażające pytania – te, które sprawiały, że serce dalej tłukło się jej w piersi, a ciało nie przestawało drżeć. A gdyby James nie pojawił się na czas? A gdyby Fellport zaczął być bardziej brutalny? A gdyby…

Wiedziała, że nie można iść przez życie, nieustannie gdybając. Wiedziała, że roztrząsając to, co mogło się stać, ale się nie stało, tylko sobie przysparza bólu. Ale i tak nie mogła przestać myśleć o tym, co się wydarzyło, przy czym Fellport – tak jakby James się nie pojawił – posuwał się dalej, zdzierał z niej ubranie, siniaczył jej skórę, gwałcił…

– Dość tego – powiedziała na głos i przyciskając skronie palcami, opadła na ziemię. Wstrząsające nią dreszcze przerodziły się w gwałtowny dygot.

W krtani narastał szloch, z którym walczyła tak długo. Oddychała głęboko, starając się zapanować nad zdradzieckim ciałem, ale nie była w stanie powstrzymać łez.

Ukryła twarz w dłoniach i wybuchła gorzkim płaczem. Wtedy właśnie poczuła coś przedziwnego. To Malcolm wdrapał się na jej kolana i zaczął zlizywać łzy płynące strumieniem po jej policzkach. Czując to, z niejasnego powodu rozszlochała się jeszcze gwałtowniej.

Rozmowa obu mężczyzn należała do krótkich. Nie trzeba było wielu słów, by trzęsący się ze strachu i oburzenia Fellport dowiedział się, co czeka go w przypadku, gdyby ważył się postawić stopę na ziemiach lady Danbury. Lub – jak podkreślił po chwili namysłu James – w ogóle w promieniu dwudziestu jardów od Elizabeth, gdziekolwiek by się znajdowała.

Wszak jeżeli zrealizuje swoje plany i ożeni się z nią, ich drogi będą się musiały kiedyś skrzyżować, choćby w Londynie, uświadomił sobie.

– Rozumiemy się? – spytał z przerażającym spokojem w głosie.

Baronet kiwnął głową.

– To wynoś się stąd do diabła!

– Muszę zabrać swoje rzeczy.

– Każę ci je wysłać – uciął James. – Przyjechałeś swoim powozem?

– Nie – odparł Fellport, kręcąc głową. – Przyjechałem z lordem Binsby.

– To dobrze. Miasto jest zaledwie o milę stąd. Będziesz sobie mógł wynająć kogoś, kto by odwiózł cię do Londynu.

Fellport znowu pokiwał głową.

– A jeśli bodaj piśniesz o tym, co tu zaszło – dodał złowieszczym tonem James – jeżeli bodaj napomkniesz o mojej tu obecności, zabiję cię.

Mina Fellporta jasno mówiła, że nie marzy o niczym innym, jak zastosować się do polecenia i pójść sobie do diabła, ale James nadal trzymał go za kołnierz.

– Jeszcze jedno – usłyszał. – Jeżeli napomkniesz o mnie, zabiję cię, jak powiedziałem, ale jeżeli napomkniesz coś o pannie Hotchkiss, uczynię to powoli.

Uchwyt się rozluźnił. Fellport zrobił kilka chwiejnych kroków, po czym puścił się biegiem, śledzony groźnym spojrzeniem, dopóki nie zniknął za łagodnym wzniesieniem pagórka.

James zawrócił do stajni. Dławiła go złość, że musiał zostawić Elizabeth samą po takim wstrząsie, ale po prostu nie miał innego wyjścia. Musiał się rozmówić z Fellportem, a nie sądził, by dziewczyna chciała przebywać z tym łajdakiem nawet chwilę dłużej, niż to było konieczne.

Nie mówiąc o tym, że ten łajdak mógł w każdej chwili go zdemaskować.

Gdy tylko wszedł do środka, usłyszał jej płacz.

– Cholera – zaklął bezgłośnie, czując, że uginają się pod nim nogi. Nie wiedział, jak się zachować, jak dodać Elizabeth otuchy. Wiedział tylko, że go potrzebowała, i modlił się, by jej nie zawieść.

Dotarł do narożnego boksu. Drzwiczki zwisały krzywo z zawiasów. A w głębi, pod ścianą, siedziała Elizabeth, obejmując ramionami podkulone nogi, z twarzą wtuloną w kolana. Kot zdołał jakoś wcisnąć się pomiędzy jej uda i brzuch i ku szczeremu zdumieniu Jamesa, wydawał się ją pocieszać.

– Lizzie? – szepnął James. – Och, Lizzie.

Kołysała się leciutko na boki, drobne ramiona unosiły się i opadały w rytm urywanego oddechu.

James znał ten rodzaj oddechu. Tak oddycha człowiek, który resztkami sił stara się pokonać ból, ale jest na to za słaby.

Pospieszył do niej i usiadł obok na sianie. Obejmując jej szczuplutkie plecy ramieniem, wyszeptał:

– Już go nie ma.

Nie odpowiedziała, ale czuł, że spięła się w sobie.

Omiótł wzrokiem jej drobną postać. Ubranie miała pobrudzone, ale nie podarte, i choć właściwie był pewny, że Fellport nie zdążył jej zgwałcić,

modlił się w duchu, by cała napaść skończyła się na brutalnym pocałunku.

Pocałunku? Miał ochotę wypluć to słowo.

W płowych włosach dziewczyny dostrzegł źdźbła siana i chociaż nie widział jej twarzy, wyglądała na tak zagubioną i nieszczęśliwą, że wprost bolało go serce.

Ręce zacisnęły mu się bezwiednie. Powracały wspomnienia, a z nimi znajome uczucie bezradności. Czuł jej przerażenie. Wstrząsnęło nim, zagnieździło się gdzieś w żołądku.

– Proszę – zaczął. – Powiedz, co mogę zrobić.

Nie wydała z siebie żadnego dźwięku, ale przycisnęła się do niego, a on przygarnął ją jeszcze mocniej.

– Nie będzie ci się więcej naprzykrzał – zapewnił stanowczo. – Obiecuję ci.

– Tak bardzo staram się być silna – wykrztusiła. – Każdego dnia tak bardzo się staram…

James odwrócił się do niej przodem i złapał ją za ramiona, zmuszając, by podniosła na niego zapłakane oczy.

– Jesteś silna – powiedział. – Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam.

– Tak bardzo się staram – powtórzyła, jakby chciała upewnić samą siebie – każdego dnia. Ale nie byłam wystarczająco silna. Nie byłam…

– Nie mów tak. To nie twoja wina. Mężczyźni tego pokroju co Fellport… – przerwał, by uspokoić wzburzony oddech. – Oni krzywdzą kobiety. Tylko wtedy czują się mocni.

Milczała, ale wiedział, że stara się nie wybuchnąć znowu płaczem.

– Tę… tę napaść… spowodowała jego skaza. Jego, nie twoja. – Potrząsnął głową i na ułamek sekundy zacisnął powieki. – Nie wolno ci myśleć, że sobie na to zasłużyłaś.

– Wiem – szepnęła. Potem jej usta ułożyły się w najsmutniejszy uśmiech, jaki widział w życiu. – Ale nie mogłam go powstrzymać.

– Elizabeth, on jest dwa razy od ciebie silniejszy!

Westchnęła ciężko i odsunęła gwałtownie od Jamesa, by znowu oprzeć się o ścianę.

– Mam dość bycia silną. Naprawdę dość. Od dnia, w którym umarł ojciec…

James wpatrywał się w dziewczynę, w błękitne oczy, z których znikał wszelki wyraz, i serce mu się ścisnęło, tknięte dziwnym przeczuciem.

– Elizabeth – spytał ostrożnie – jak umarli twoi rodzice?

– Matka zginęła w wypadku – odrzekła głucho. – Wszyscy widzieli, jak to się stało. Roztrzaskany powóz.

Czekał, aż powie coś na temat ojca, ale milczała. W końcu szepnął:

– A ojciec?

– Odebrał sobie życie.

James oniemiał, a potem poczuł falę gwałtownego, niepohamowanego gniewu. Nie wiedział, co skłoniło ojca Elizabeth do tak desperackiego kroku, ale uważał, że pan Hotchkiss wybrał rozwiązanie godne tchórza: odszedł, przerzucając wszystkie swoje obowiązki na barki najstarszej córki.

– Jak to się stało? – spytał, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiała złość.

Elizabeth podniosła wzrok i westchnęła gorzko, z rezygnacją.

– To się stało w sześć miesięcy po śmierci mamy. On zawsze… – urwała – zawsze ją najbardziej kochał.

James chciał coś powiedzieć, ale z ust Elizabeth polały się niepohamowanym strumieniem słowa, zupełnie jakby przebił się przez jakąś tamę.

– Po prostu stracił sens życia – stwierdziła, a w jej oczach rozbłysnął gniew. – Z każdym dniem coraz bardziej wycofywał się w jakieś tajemne miejsce, do którego żadne z nas nie mogło dotrzeć. A staraliśmy się. Boże, przysięgam, że tak.

– Wiem, że tak – zapewnił cicho, ściskając jej ramię. – Znam cię. Wiem, że się starałaś.

– Nawet Jane i Lucas. Wdrapywali się mu na kolana, jak wcześniej, ale ich odpychał. Nie przytulał nas. Nie dotykał. A pod koniec nawet się do nas nie odzywał. – Wzięła głęboki, spazmatyczny oddech, żeby się uspokoić, ale nie zdało się to na wiele. – Zawsze wiedziałam, że nigdy nie pokocha nas tak, jak kochał ją, ale sądziłam, że kocha nas wystarczająco mocno.

Przepełniony smutkiem i bezradny, patrzył, jak zaciska w piąstkę dłoń i unosi ją do ust. Wyciągnął rękę i poczuł przedziwną ulgę, gdy zacisnęły się na niej jej palce.

– Można by sądzić – wyszeptała Elizabeth z wielkim smutkiem – że powinien nas kochać wystarczająco mocno, by chcieć żyć.

– Nie musisz nic mówić – odpowiedział także szeptem. Wiedział, że ta chwila będzie go prześladować do końca jego dni.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Chcę mówić. Nigdy wcześniej o tym nie mówiłam.

Zbierała się na odwagę, a on czekał w milczeniu.

– Zastrzelił się – wyznała w końcu ledwie słyszalnie. – Znalazłam go w ogrodzie. Było tyle krwi… W życiu nie widziałam tyle krwi.

James milczał. Niczego nie pragnął bardziej, jak powiedzieć coś, co dodałoby Elizabeth otuchy, ale wiedział, że słowa nie pomogą.

Zaśmiała się gorzko.

– Próbowałam sobie wmówić, że był to jego ostatni dowód troski o nas, to, że zastrzelił się w ogrodzie. I tak musiałam wiele razy chodzić do studni po wodę, ale przynajmniej krew szybko wsiąkła w ziemię. Bóg jeden wie, jak udałoby mi się to wszystko wyczyścić, gdyby zastrzelił się w domu.

– Co zrobiłaś? – spytał miękko.

– Upozorowałam wypadek przy polowaniu – wyszeptała. – Zawlokłam jego ciało do lasu. Wszyscy wiedzieli, że poluje. Nikt się niczego nie domyślił. A przynajmniej o tym nie mówił.

– Zawlokłaś go do lasu? – spytał z niedowierzaniem. – Wasz ojciec był drobnej postury? To znaczy, ty jesteś drobniutka i…

– Mniej więcej twojego wzrostu, ale trochę szczuplejszy. Sama nie wiem, jak starczyło mi na to siły – odparła, potrząsając głową. – Nie wiem, może dodaje jej przerażenie. Nie chciałam, żeby dzieci się dowiedziały. – Podniosła na Jamesa oczy; malowała się w nich niepewność. – Nie wiedzą do dziś. Nie chciałam źle o nim mówić.

– I dźwigasz ten ciężar na barkach od pięciu lat – powiedział miękko. – Tajemnice są strasznym brzemieniem, Elizabeth. Ciężko im podołać w pojedynkę.

Wzruszyła ramionami, zmęczona.

– Może postąpiłam źle. Ale wpadłam w panikę. Nie wiedziałam, co robić.

– Wydaje mi się, że świetnie wiedziałaś, co trzeba zrobić.

– Pochowano go w poświęconej ziemi – kontynuowała bez wyrazu. – Dla kościoła, dla wszystkich poza mną, jego śmierć nie była samobójstwem. Ludzie składali kondolencje, powtarzali, jaka to tragedia, a ja chciałam wykrzyczeć prawdę.

Odwróciła twarz w stronę Jamesa. Oczy, w tej chwili barwy fiołków, miała zapłakane i błyszczące.

– Robili z niego bohatera, a mnie zbierało się na mdłości. Ukryłam prawdę, ale jednocześnie chciałam, by wszyscy wiedzieli, jakim był tchórzem, że zostawił mnie samą, bym pozbierała po nim cały ten bałagan. Chciałam nimi potrząsnąć, raz, drugi, trzeci, żeby przestali wreszcie powtarzać, jaki z niego był dobry ojciec. Bo nim nie był – głos jej stawał się gardłowy i pełen furii. – Nie był dobrym ojcem. Zależało mu tylko na mamie. Na nas nigdy.

– Tak mi przykro – wyszeptał James, biorąc ją za rękę.

– To nie twoja wina.

Uśmiechnął się do niej, pragnąc, by i ona się uśmiechnęła.

Usta jej zadrgały i ułożyły się w cyniczny grymas.

– Czyż to nie ironia losu? Mówi się, że miłość jest czymś dobrym, prawda?

– Bo tak jest, Elizabeth – powiedział z wiarą. I wierzył w to tak, jak nawet nigdy nie przypuszczał, że wierzyć może.

Pokręciła głową, nieprzekonana.

– Moi rodzice kochali się za bardzo. Na nas już nie było miejsca. A kiedy mama umarła… Cóż, po prostu nie mogliśmy zapełnić powstałej pustki.

– To nie twoja wina – powtórzył James, patrząc jej prosto w oczy z hipnotyzującą siłą. – W miłości nie ma ograniczeń. Jeżeli w sercu twojego ojca nie było miejsca dla całej rodziny, on zawiódł, nie ty. I gdyby chociaż po części był mężczyzną, zrozumiałby, że w dzieciach może żyć jego miłość do ich matki. I życie bez niej zyskałoby sens.

Elizabeth rozważała słowa Jamesa i powoli otwierała przed nim serce. Wiedziała, że ma rację. Wiedziała, że słabości jej ojca pozostawały jego słabościami i że ona niczemu nie zawiniła. Ale tak trudno było w to uwierzyć. Spojrzała w oczy Jamesa, pełne takiej życzliwości, takiego ciepła, jakich nie doznała w życiu.

– Twoi rodzice musieli się bardzo kochać – powiedziała łagodnie.

James aż się cofnął, zaskoczony.

– Moi rodzice… – mówił wolno. – To nie było małżeństwo z miłości.

– Może to i lepiej. Przecież moi…

– To, co zrobił twój ojciec – przerwał – było złe, dowodziło jego słabości i tchórzostwa. To, co zrobił mój ojciec…

Elizabeth dostrzegła ból malujący się na twarzy Jamesa i ścisnęła go za ręce.

– To, co zrobił mój ojciec – wyszeptał z wściekłością – powinno mu zapewnić miejsce w piekle.

– Jak to? – spytała.

Zapadła głucha cisza.

– Miałem sześć lat, kiedy umarła moja matka – powiedział w końcu zdławionym głosem.

Elizabeth milczała, przepełniona współczuciem.

– Mówili, że spadła ze schodów. Złamała kark. Taka tragedia, powtarzali.

– Och, nie! – okrzyk sam wyrwał się z ust dziewczyny.

Gwałtownie obrócił głowę w jej stronę.

– Ciągle mi powtarzała, że jest strasznie niezręczna, ale to nieprawda. Widziałem, jak tańczy. Nieraz przyglądałem się jej, gdy wirowała po pokoju, nucąc jakiegoś walca. Była pełną gracji kobietą, najpiękniejszą, jaką w życiu widziałem. Czasem tańczyła ze mną na rękach.

– Ja tańczyłam tak z Lucasem – odparła Elizabeth z uśmiechem.

– Nie była niezręczna – mówił James, kręcąc głową. – Nigdy nie potrąciła lichtarza, nie przewróciła świeczki. On ją krzywdził, Elizabeth, krzywdził ją każdego cholernego dnia.

Przełknęła ślinę i bezwiednie przygryzła wargę. Nagle jego niekontrolowana wściekłość na Fellporta zaczęła nabierać sensu. Nosił w sobie ten gniew od przeszło dwudziestu lat. Aż nazbyt długo.

– Czy… czy skrzywdził ciebie? – spytała szeptem.

– Nigdy. Byłem jego następcą i nie pozwalał matce o tym zapomnieć. Ona przestała się liczyć, kiedy dała mu mnie. Może i była jego żoną, ale to ja miałem w sobie jego krew.

Poczuła na plecach zimny dreszcz. Wiedziała, że powtórzył słowa, które słyszał aż za często.

– Używał mnie przeciwko niej – kontynuował James. Oczy miał zamglone, a jego duże, silne dłonie drżały. – Używał mnie jako wymówki do swoich napaści na nią. Nigdy nie zgadzał się z jej metodami wychowawczymi. Jeżeli tylko przyłapał ją na tym, że przytula mnie czy pociesza, kiedy płakałem, wpadał w furię. Krzyczał, że mnie psuje. Wychowuje na maminsynka.

– Och, James! – Pogłaskała go po głowie, nie mogła się powstrzymać. Nigdy nie widziała nikogo, kto równie rozpaczliwie potrzebowałby pociechy.

– Nauczyłem się nie płakać – mówił, potrząsając głową. – Po jakimś czasie sam wydzierałem się z jej ramion. Myślałem, że jeżeli matka przestanie mnie tulić, ojciec przestanie ją bić.

– Ale nie przestał?

– Nie. Zawsze znalazł się jakiś powód, by pokazać, gdzie jej miejsce. Aż w końcu… – umilkł, a z piersi wydarło mu się urywane westchnienie. – W końcu uznał, że jej miejsce jest na dole schodów.

Elizabeth poczuła coś ciepłego na policzkach i wtedy dopiero zrozumiała, że płacze.

– Co się z tobą później działo?

– Moje dalsze losy – odparł James nieco już spokojniejszy – stanowią jedyną chyba jasną kartę w dziejach mojej rodziny. Przyjechała ciotka, siostra mojej matki, i zabrała mnie do siebie. Myślę, że zawsze podejrzewała, co się u nas dzieje, ale nie sądziła, że jest aż tak źle. Już później powiedziała mi, że raczej padłaby trupem, niż pozwoliłaby mojemu ojcu pastwić się nade mną.

– A tak by się stało?

– Nie wiem. Wciąż byłem dla niego cenny. Ja, jego jedyny następca. Ale musiał mieć jakąś ofiarę, a po śmierci mamy… – Wzruszył ramionami.

– Twoja ciotka musi być naprawdę wyjątkową kobietą.

Patrzył Elizabeth prosto w oczy. Z całej duszy pragnął wyjawić jej prawdę, ale nie mógł tego zrobić. Jeszcze nie.

– Jest – odparł ochrypłym z emocji głosem. – Ocaliła mnie. Zupełnie tak, jakby wyciągnęła mnie z płonącego budynku. Ocaliła mnie.

Elizabeth dotknęła jego policzka.

– Musiała cię nauczyć, jak być szczęśliwym.

– Stale próbowała mnie przytulić – opowiadał. – Okazywała mi miłość, ale przez cały rok nie pozwalałem się jej zbliżyć. Myślałem, że wujek ją zbije, gdyby mnie objęła. – Przegarnął ręką włosy i zaśmiał się krótko, gniewnie. – Wyobrażasz sobie?

– A co mógłbyś myśleć? – spytała Elizabeth cichutko. – Twój ojciec był jedynym mężczyzną, jakiego znałeś.

– Nauczyła mnie kochać – wyznał i westchnął ciężko. – Ciągle jeszcze nie umiem wybaczać, ale wiem, co to miłość.

– Twój ojciec nie zasłużył na wybaczenie – powiedziała Elizabeth. – Zawsze starałam się żyć zgodnie z boskimi przykazaniami i wiem, że powinno się nadstawiać drugi policzek, ale twój ojciec na to nie zasługuje.

James milczał przez chwilę, a potem spojrzał na nią.

– Umarł, kiedy miałem dwadzieścia lat. Nie byłem na jego pogrzebie.

Elizabeth pokiwała głową ponuro, ale z aprobatą.

– Widywałeś się z nim jako podrostek?

– Czasami musiałem. To było nieuniknione. Byłem jego synem. Formalnie ciotka nie miała do mnie żadnych praw. Ale była silna i zdołała go ujarzmić. Nigdy wcześniej żadna kobieta mu się nie sprzeciwiła. Nie umiał sobie z nią poradzić.

Pochyliła się w stronę Jamesa i delikatnie pocałowała go w czoło.

– Pomodlę się za nią dziś wieczorem.

Dotknęła dłonią policzka Jamesa. Patrzyła na niego, pełna żalu i współczucia. Tak bardzo chciała móc cofnąć czas, objąć tego małego chłopca sprzed lat i pokazać mu, że świat może być piękny i pełen miłości.

James wtulił twarz w dłoń Elizabeth i przycisnął do niej usta, spragniony ciepła skóry dziewczyny i wdzięczny za ciepło jej serca.

– Dziękuję ci – wyszeptał.

– Za co?

– Za to, że tu jesteś. Za to, że jesteś sobą.

– I ja ci dziękuję – odpowiedziała szeptem. – Za to samo.

16

James odprowadzał Elizabeth do domu, czując, że jego życie wraca na właściwe tory. Od czasów, gdy zmuszony był opuścić ministerstwo wojny, częściej pozwalał unosić się wydarzeniom, niż brał je w swoje ręce. Żył w stanie marazmu, świadom tego, że nie można tkwić bez końca w jednym miejscu, ale też i nie pociągała go żadna ze ścieżek, którymi mógłby ruszyć. Wiedział, że powinien się ożenić, ale większość londyńskich „dobrych partii" budziła w nim co najwyżej letnie uczucia. Powinien bardziej zainteresować się ziemią i posiadłościami, ale trudno mu było nazywać zamek Riverdale domem – każdy jego zakamarek przywoływał wspomnienia o ojcu.

Wystarczył jednak tydzień, by jego życie nabrało nowego sensu. Po raz pierwszy od ponad roku czegoś pragnął.

Pragnął kogoś.

Elizabeth.

Już wcześniej był nią oczarowany, zauroczony, wręcz opętany do tego stopnia, że postanowił się z nią ożenić. Jednak dopiero dzisiaj stało się coś dziwnego, wręcz magicznego, co zmieniło wszystko.

A stało się po napaści Fellporta. James nagle uświadomił sobie, że mówi Elizabeth rzeczy, które trzymał w tajemnicy od lat. Słowa lały się z niego strumieniem, a on czuł, jak wypełnia się w nim jakaś wewnętrzna pustka. I wiedział już, że nie był tą dziewczyną oczarowany. Nie był zauroczony ani opętany.

Potrzebował jej.

I wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki nie będzie jego, dopóki nie pozna każdego skrawka jej ciała i każdego zakamarka duszy. To była miłość i poddał się jej z radością.

Ale nie mógł zaniedbywać swoich obowiązków i nie chciał złamać obietnicy złożonej ciotce. Po tym wszystkim, co Agatha zrobiła dla niego, chciał za wszelką cenę rozwikłać tajemnicę szantażu. Dla niej.

Elizabeth kocha Agathę. Zrozumiałaby.

Ale to nie oznaczało, że zamierzał siedzieć z założonymi rękami. Powiedział ciotce, że najlepszą metodą, by złapać szantażystę, jest czekanie na następny list – i była to prawda, ale on miał już dość czekania.

Przeniósł wzrok na twarz Elizabeth, na jej przepastne błękitne oczy, jedwabistą cerę i podjął decyzję.

– Muszę jutro pojechać do Londynu – rzucił nagle.

Błyskawicznie obróciła twarz w jego stronę.

– Do Londynu? – powtórzyła. – Dlaczego?

– W nieprzyjemnej sprawie rodzinnej – odrzekł, wściekły, że nie może wyznać jej całej prawdy, ale pocieszony o tyle, że jego słowa nie były w zasadzie kłamstwem.

– Rozumiem – powiedziała wolno.

Naturalnie, że nie rozumie, pomyślał. Jakże by mogła rozumieć? Ale musiał milczeć. Nie sądził, by szantażysta ciotki okazał się brutalny, ale tej możliwości James nie mógł całkowicie wykluczyć. Jedynym sposobem, by Elizabeth była w pełni bezpieczna, było nie wtajemniczać jej w sprawę.

– Niedługo wrócę – obiecał. – Nie później niż za tydzień, mam nadzieję.

– Nie chcesz dopaść Fellporta, prawda? – spytała, zaniepokojona, marszcząc czoło. – Bo jeżeli tak…

Delikatnie przycisnął palec wskazujący do miękkich ust Elizabeth.

– Nie mam zamiaru gonić za Fellportem.

Na jej twarzy nadal malowała się niepewność.

– Jeżeli go znów zaatakujesz, zawiśniesz – dodała z uporem. – Ale ty to oczywiście świetnie…

James zamknął jej usta pocałunkiem, krótkim, a jednak pełnym obietnic.

– Nie martw się o mnie – mruknął, muskając wargami kącik jej ust, po czym odsunął się i ujął ją za ręce. – Są pewne sprawy, którymi muszę się zająć, rzeczy, które muszę zrobić, zanim…

Umilkł i dostrzegł w oczach dziewczyny nieme pytanie.

– Będziemy razem – poprzysiągł. – Obiecuję ci.

Poczuł, że musi złożyć na jej ustach jeszcze jeden, tym razem pożegnalny, pocałunek.

– Przyszłość wygląda promiennie – wyszeptał miękko i czule. – Wyjątkowo promiennie.

Elizabeth nosiła te słowa w sercu dziesięć kolejnych dni, przez które James nie dawał znaku życia. Sama nie wiedziała, dlaczego patrzy w przyszłość z takim optymizmem; dalej pracowała jako dama do towarzystwa, James dalej był zarządcą, a oboje dalej byli biedni jak myszy kościelne. Jednak wierzyła, że on sprawi, by przyszłość stała się, jak to ujął, promienna.

Może spodziewał się spadku po jakimś dalekim krewnym. Może znał któregoś z nauczycieli z Eton i mógł załatwić niższe czesne dla Lucasa. Może…

Może, może, może. W życiu nic nie było pewne, ale słowo „może” nagle zaczęło nieść w sobie więcej nadziei.

Przez lata Elizabeth dźwigała na sobie ciężar odpowiedzialności i teraz, gdy znikł, czuła niemalże zawrót głowy. James powiedział, że rozwiąże jej problemy, i ona mu wierzyła. Czy nie była naiwna, sądząc, że jakiś mężczyzna wkroczy w jej życie i sprawi, by stało się doskonałe? Jakkolwiek na to patrzeć, jej ojca nie dało się nazwać wzorem odpowiedzialności.

Ale bezsprzecznie zasługiwała na to, by w jej życiu pojawiła się bodaj odrobina magii. A teraz, kiedy miała Jamesa, nie mogła zmusić się do tego, by ustawicznie wypatrywać życiowych pułapek i niebezpieczeństw. Było jej na sercu lżej niż przez ostatnie lata i nie zamierzała myśleć o rzeczach, które mogłyby zmącić jej szczęście.

Lady Danbury potwierdziła, że udzieliła Jamesowi pozwolenia na krótką wizytę u rodziny. Dla zarządcy było to duże wyróżnienie, ale Elizabeth założyła, że James cieszy się większą swobodą i względami dzięki luźnej znajomości jego rodziny z rodem Danbury.

Zdziwienie w tym wszystkim budziło jedynie zachowanie hrabiny, która wydawała się być w stanie niemal chronicznego rozdrażnienia. Choć zezwoliła Jamesowi na zajęcie się jego sprawami rodzinnymi, najwyraźniej na tym kończyła się jej pobłażliwość. Utyskiwała na jego nieobecność więcej razy, niż Elizabeth mogłaby zliczyć.

Od niedawna jednak hrabina była na tyle zaabsorbowana zbliżającym się balem maskowym, że nie miała czasu na odsądzanie Jamesa od czci i wiary. Zapowiadał się największy od lat bal w domu lady Danbury i cała służba – oraz pięćdziesięciu służących ściągniętych specjalnie na tę okazję – uwijała się jak w ukropie. Elizabeth rzadko udawało się przedostać z bawialni do biblioteki (od której dzieliło ją zaledwie troje drzwi), żeby nie wpaść na jakiegoś służącego pędzącego na złamanie karku do hrabiny z pytaniami o listę gości, kartę dań, chińskie lampiony, kostiumy i tak bez końca.

Tak, kostiumy, bowiem ku zdumieniu Elizabeth lady Danbury zamówiła dwa: królowej Elżbiety dla siebie i pasterki dla swojej damy do towarzystwa.

Co tej ostatniej bynajmniej nie rozbawiło.

– Nie będę przez cały wieczór nosić ze sobą tego kostura – oznajmiła twardo.

– Co tam kostur. To pestka – zachichotała lady Agatha. – Poczekaj, aż zobaczysz owcę.

– Cooooo?

– Żartowałam sobie. Na miłość boską, dziewczyno, musisz popracować nad swoim poczuciem humoru.

Elizabeth wykrztusiła z siebie mnóstwo „ochów” i „achów”, zanim zdołała wreszcie powiedzieć:

– Wypraszam sobie!

Hrabina zbyła ją machnięciem dłoni.

– Wiem, wiem. Zaraz mi powiesz, że ktoś, kto wytrzymał u mnie pięć lat musi mieć znakomite poczucie humoru.

– Coś w tym rodzaju.

– Albo że gdybyś sama nie miała niesamowitego poczucia humoru, to na skutek męczarni, które znosisz w moim towarzystwie, dawno już padłabyś trupem.

Elizabeth zamrugała oczami.

– Ależ lady Danbury, można by wręcz powiedzieć, że pani także ma poczucie humoru.

– Phi! W moim wieku poczucie humoru jest niezbędne. Inaczej nie byłoby po co wstawać z łóżka.

Dziewczyna uśmiechnęła się tylko.

– Gdzie mój kot?

– Nie mam pojęcia, lady Danbury. Nie widziałam go dziś rano.

Lady Danbury kręciła głową w prawo i w lewo, jednocześnie mówiąc i rozglądając się po pokoju.

– Ale i tak – oznajmiła pompatycznie – mogłabym chyba liczyć na ociupinę więcej szacunku.

– Naprawdę nie wiem, co pani chce przez to powiedzieć.

Hrabina miała minę co najmniej kwaśną.

– Przy tobie i przy Jamesie nigdy mi się nie przewróci w głowie.

Zanim Elizabeth zdążyła odpowiedzieć, chlebodawczyni odwróciła się w jej stronę i zagrzmiała:

– W moim wieku mam święte prawo mieć przewrócone w głowie.

– A w jakim to wieku jest pani dzisiaj?

Hrabina pogroziła jej palcem.

– Nie bądź taka mądra! Świetnie wiesz, ile mam lat.

– Staram się nie pogubić w natłoku informacji.

– Hm. Gdzie mój kot?

Na to pytanie Elizabeth udzieliła już odpowiedzi, teraz więc zapytała tylko:

– Kiedy, hm, spodziewa się pani powrotu pana Siddonsa?

– Mojego zaginionego zarządcy? – Oczy hrabiny były wręcz podejrzanie czujne.

– Tak.

– Nie wiem, pal go diabli. Grozi nam kompletna ruina.

Elizabeth zerknęła przez okno na ciągnące się bez końca nieskazitelnie wypielęgnowane trawniki.

– Chyba popada pani w lekką przesadę.

Lady Danbury otworzyła usta, ale Elizabeth uniosła rękę i zastrzegła się:

– Niech mi pani tylko nie mówi, że popadanie w przesadę jest przywilejem osób w pani wieku.

– Cóż, bo i jest. Hm. Malcolm!

Elizabeth strzeliła oczami w stronę drzwi. Do bawialni wkraczał właśnie pan i władca domu Danbury, bezgłośnie stąpając grubymi łapkami po dywanie.

– Przyszły moje słodkości – zagruchała hrabina. – Chodź do mamy!

Ale Malcolm nawet nie machnął w jej stronę kawowym ogonem. Na oczach osłupiałej hrabiny potruchtał do Elizabeth i wskoczył jej na kolana.

– Dobry kiciuś – zamruczała dziewczyna.

– Co tu się dzieje? – spytała gniewnie lady Agatha.

– Zawarliśmy z Malcolmem coś na kształt przymierza.

– Przecież on ciebie nie znosi!

– Ależ, lady Danbury?! – zakrzyknęła Elizabeth z udawaną zgrozą. – Przez wszystkie te lata powtarzała pani, że to wyjątkowo przyjazny kotek!

– Wyjątkowy to on jest… – mruknęła hrabina.

– Nawet nie chcę przypominać, ile razy mi pani mówiła, że sobie wmawiam, że mnie nie lubi.

– Kłamałam!

Elizabeth przycisnęła rękę do policzka w wystudiowanym zdumieniu.

– Nie może być!

– Proszę mi oddać mojego kota!

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Malcolm przewrócił się na grzbiet i wyciągnął na całą długość, by zastygnąć ze zwisającymi, wiotkimi łapami.

– Wstrętny koci zdrajca.

Elizabeth obdarzyła kota ciepłym uśmiechem, drapiąc go po bródce.

– Życie jest piękne, prawda, Malcolm? Życie jest bardzo, bardzo piękne.

Kocur zamruczał potakująco, a Elizabeth wiedziała, że się nie myli.

Powrót do Londynu nie przyniósł Jamesowi niczego poza piekielnym rozczarowaniem. Ponad tydzień poświęcił na zbieranie informacji o ciotce, ale nie natknął się na nic ważnego. Nie zdołał znaleźć ani jednej osoby, która znałaby kogoś żywiącego do Agathy urazę. Oczywiście, wiele nasłuchał się o jej zgryźliwym dowcipie i bezpardonowości, ale nie natrafił na nikogo, kto by jej nienawidził.

Co więcej, nie obiło się o niego nawet słabe echo pogłosek o jej skandalicznym postępku sprzed lat. W oczach Londynu Agatha, lady Danbury, od zawsze wiodła żywot godny naśladowania. Wychwalano jej prawdomówność i szlachetność. Stawiano za wzór prawdziwej angielskiej damy.

Szczerze mówiąc, nie przypominał sobie w swojej karierze podobnie nudnego śledztwa.

Jeszcze przed wyjazdem wiedział, że ma niewielkie szanse na znalezienie jakiegoś punktu zaczepienia; było nie było, szantażysta ujawnił się w Surrey. W domu lady Danbury nie udało się jednak Jamesowi znaleźć żadnych śladów i wyjazd do Londynu wydawał się logicznym posunięciem. Gdyby szantażysta o romansie hrabiny dowiedział się od kogoś z towarzystwa – odznaczającego się darem skutecznego kolportowania plotek – w Londynie ktoś musiałby wiedzieć o całej sprawie.

James gorzko się jednak rozczarował.

Pozostawało jedynie wrócić do Surrey i mieć nadzieję, że w czasie jego nieobecności szantażysta ponownie się odezwał. James nie żywił jednak zbytnich nadziei; ciotka na pewno zawiadomiłaby go, gdyby przyszedł kolejny list z pogróżkami. Wiedziała, gdzie go znaleźć – dokładnie poinformował ją, dokąd się wybiera i po co.

Agatha starała się go zatrzymać. Twierdziła, że jej szantażysta musi być z Surrey i jak nic czai się gdzieś w pobliżu. Kiedy James opuszczał dom ciotki, była ona w zaiste rewelacyjnym nastroju: zrzędząca, zasępiona i bardziej jeszcze drażliwa niż jej własny kot.

James aż się skulił, gdy pomyślał o biednej Elizabeth, pozostawionej na pastwę ciotki i jej fochów na cały długi tydzień. Ale jeżeli ktokolwiek mógł wyciągnąć Agathę z takiego nastroju, to tylko Elizabeth.

Jeszcze trzy dni. Więcej czasu nie zamierzał poświęcić śledztwu w Londynie. Trzy dni i będzie mógł wrócić do domu Danbury, powiadomić ciotkę o swojej porażce i Elizabeth o zamiarach, jakie żywił wobec niej.

Jeszcze trzy dni i będzie mógł rozpocząć życie od nowa.

Piątkowe popołudnie zastało siedzibę rodu Danbury w stanie oblężenia. Elizabeth zamknęła się w bibliotece na dobrą godzinę, uciekając przed istną chmarą służących przygotowujących rezydencję na wieczorny bal maskowy. Przed tą gorączkową krzątaniną nie było jednak ucieczki – lady Danbury uparła się, by Elizabeth przebrała się u niej. Pomysł ten był

sensowny, oszczędzał bowiem spaceru do domu i powrotu w pełnym kostiumie.

Z drugiej jednak strony uniemożliwiał dziewczynie wymknięcie się na dwór i zyskanie kilku chwil spokoju.

Nie zaznała go bowiem, siedząc zamknięta w bibliotece. Bo i jak można mówić o spokoju, skoro w ciągu jednej godziny przynajmniej sześcioro służących dobijało się do drzwi, domagając się jej opinii w najdziwaczniejszych kwestiach. Za szóstym razem w bezsilnej złości potrząsnęła rękami i wykrzyczała: „Proszę spytać lady Danbury!”

Kiedy pierwszy powóz przetoczył się po podjeździe, Elizabeth pomknęła na górę do pokoju, który hrabina na dzisiejszy wieczór przeznaczyła dla niej. Kostium pasterki wisiał w garderobie. Obok, wdzięcznie oparty o ścianę, stał kostur.

Elizabeth usiadła ciężko na łóżku. Nie zamierzała zjawiać się na dole zbyt wcześnie. Przewidywała raczej, że większość wieczoru spędzi w samotności, i nie miała nic przeciwko temu. Ale zdecydowanie nie chciała, by to, że jest sama, rzucało się w oczy. Uznała, że najrozsądniej będzie zejść, kiedy zabawa sięgnie zenitu. W praktyce oznaczało to, że będzie mogła po prostu wmieszać się w tłum. Goście lady Danbury powinni być na tyle zajęci sobą, żeby się nią nie interesować.

Goście jednak nie napływali stopniowo, jak na to liczyła – ich przybycie przypominało raczej powódź. Elizabeth znała gospodynię na tyle, by wiedzieć, że jeżeli będzie dłużej zwlekać z przyłączeniem się do bawiących, hrabina gotowa jest wparować na górę i zwlec ją na dół za włosy.

Wbiła się więc w kostium, założyła ozdobioną piórami maskę, w którą wyposażyła ją hrabina, i stanęła przed lustrem.

– Wyglądam śmiesznie – wyznała z niesmakiem swojemu odbiciu. – Po prostu śmiesznie.

Na białą sukienkę Elizabeth składała się cała masa szczypanek i falbanek, przyozdobiona koronką w ilościach przerastających możliwości finansowe normalnej pasterki. Gorset zaś, choć nie można go było nazwać nieprzyzwoitym, wycięty był głębiej niż cokolwiek, co dotychczas miała na sobie.

– Już widzę pasterkę biegającą po polach w czymś takim – mamrotała dziewczyna pod nosem, szamocąc się z sukienką.

Oczywiście, można było również wątpić, by pierzasta maska wchodziła w skład codziennego stroju pasterek, ale ta kwestia bledła wobec rozmiarów dekoltu sukienki.

– Och, wszystko mi jedno – oznajmiła w końcu Elizabeth. – I tak nikt nie będzie wiedział, kim jestem. A jeśli ktoś zachowa się niestosownie, zawsze mi zostaje ten cholerny badyl.

Z tymi słowy Elizabeth chwyciła kostur i pchnęła nim w powietrze niczym szpadą. Uznała, że jest uzbrojona w stopniu satysfakcjonującym, wyszła z pokoju i pomaszerowała dziarsko przez hol. Zanim jednak dotarła do schodów, drzwi do jednego z pokojów otworzyły się nagle i prosto na Elizabeth wypadła z nich młoda kobieta przebrana za dynię.

Obie wylądowały na dywanie przy wtórze głuchego pacnięcia i żywiołowych, obustronnych przeprosin. Elizabeth wstała z podłogi, po czym przeniosła wzrok na dynię, która dalej siedziała na podłodze.

– Pomóc pani? – spytała Elizabeth.

Dynia, która miała jedną rękę zajętą – trzymała w niej zieloną maskę – kiwnęła głową.

– Jeśli pani tak miła… Obawiam się, że ostatnio ruszam się dość niezgrabnie.

Elizabeth zdążyła ładnych parę razy zatrzepotać rzęsami, zanim zrozumiała, co ta dy… ta dama! chciała przez to powiedzieć. Nakazała sobie w myślach nie nazywać jej więcej dynią.

– Och, nie! – jęknęła i padła obok niej na kolana. – Nic się pani nie stało? A pani… – wskazała ręką na talię damy, lub też raczej miała taką nadzieję, przebranie bowiem poważnie utrudniało to zadanie.

– Nic mi nie jest – zapewniła Elizabeth. – Ucierpiała jedynie moja duma, może mi pani wierzyć.

– Pomogę pani wstać. – Przebranie stawiało pewien opór, ale w końcu Elizabeth udało się podnieść jego właścicielkę z podłogi.

– Najmocniej przepraszam, że tak na panią wpadłam – odrzekła dama. – To dlatego, że jestem bardzo spóźniona i już widzę mojego męża, jak stoi na dole i tupie nogą, a…

– Nic się nie stało, zapewniam panią – odpowiedziała Elizabeth, a że dama wydała się jej uroczą dynią, dodała: – Prawdę mówiąc, jestem pani wdzięczna. Całkiem możliwe, że po raz pierwszy w życiu to nie ja spowodowałam podobny incydent. Jestem strasznie niezręczna.

Nowa znajoma Elizabeth roześmiała się.

– Skoro już się tak dobrze poznałyśmy, pozwoli pani, że będę okrutnie bezpośrednia i przedstawię się. Blake’owa Ravenscroft. Ale poczuję się też okropnie dotknięta, jeżeli nie będzie mnie pani nazywała Caroline.

– Panna Elizabeth Hotchkiss, dama do towarzystwa lady Danbury.

– Mój Boże, naprawdę? Słyszałam, że potrafi być z niej straszna jędza.

– W gruncie rzeczy to naprawdę słodka kobieta. Chociaż lepiej z nią nie zadzierać…

Caroline kiwnęła głową i przyklepała swoje jasnobrązowe włosy.

– Jestem potargana?

– Nie bardziej niż można by się spodziewać po dyni.

– Tak, dynie, jak sądzę, mogą pozwolić sobie na większą swobodę, jeśli idzie o fryzurę.

Elizabeth zaśmiała się, czując, że już lubi tę kobietę.

– Idziemy na dół? – spytała Caroline i podała jej ramię.

Elizabeth potaknęła i obie ruszyły w stronę schodów.

– Chylę przed tobą ogonek – powiedziała Caroline, ze śmiechem, unosząc maskę w geście uznania. – Mój mąż spędził tu sporo czasu jako dziecko i ciągle zapewnia mnie, że nadal panicznie boi się hrabiny.

– Twój mąż przyjaźnił się z jej dziećmi?

– W zasadzie z jej siostrzeńcem. Z markizem Riverdale. Mam zresztą nadzieję, że dziś się zobaczymy. Na pewno jest zaproszony. Miałaś okazję go poznać?

– Nie. Nie, nie znam go, ale trochę o nim słyszałam.

– Naprawdę? – Caroline zaczęła ostrożnie schodzić po schodach. – Co on teraz porabia? Nie odzywał się do mnie od ponad miesiąca.

– Szczerze mówiąc, to nie wiem. W zeszłym tygodniu lady Danbury wydała małe garden party, a on przysłał jednemu z gości list wzywający go bezzwłocznie do Londynu.

– Ooo. Intrygująca sprawa. I bardzo w typie Jamesa.

Elizabeth uśmiechnęła się na dźwięk tego imienia. Miała swojego Jamesa i nie mogła się doczekać spotkania z nim.

Caroline zatrzymała się na schodku i zwróciła się do Elizabeth z bardzo siostrzaną – i bardzo wścibską – miną.

– No, przyznaj się.

– Do czego?

– Skąd ten uśmiech. I nie mów, że się nie uśmiechałaś. Widziałam.

– Och – Elizabeth poczuła, że policzki zaczynają ją szczypać – to nic takiego. Mam adoratora, który też ma na imię James.

– Naprawdę? – W morskiego koloru oczach Caroline pojawił się błysk urodzonej swatki. – Musisz nas ze sobą poznać.

– Obawiam się, że nie ma go tu teraz. Jest nowym zarządcą lady Danbury, ale musiał niedawno wyjechać do Londynu. W ważnych sprawach rodzinnych, jak sądzę.

– Jaka szkoda! Mam wrażenie, że już jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Chętnie bym go poznała.

Oczy Elizabeth zaszkliły się.

– Bardzo jesteś kochana, że tak mówisz.

– Tak sądzisz? Cieszę się. Nie uważasz, że jestem zbyt bezpośrednia? Nie wychowałam się w towarzystwie i mam odrażający zwyczaj mówienia, zanim się zastanowię. Mojego męża doprowadza to do szału.

– Jestem pewna, że cię uwielbia.

Oczy Caroline rozbłysły i Elizabeth nie miała wątpliwości co do tego, że małżeństwo jej znajomej było małżeństwem z miłości.

– Jestem już tak spóźniona, że chyba mnie udusi – wyznała. – On się tak strasznie wszystkim przejmuje.

– Zatem najlepiej będzie, jeśli ruszymy na dół.

– Nie mogę się doczekać, żeby przedstawić cię Blake'owi.

– Bardzo się cieszę. Ale najpierw muszę odnaleźć lady Danbury i upewnić się, czy niczego nie potrzebuje.

– Obowiązek rzecz święta, jak sądzę. Ale musisz mi przyrzec, że zobaczymy się później na balu. – Caroline uśmiechnęła się kwaśno i wskazała ręką na swój kostium. – Nietrudno mnie zauważyć.

Na dole Elizabeth wysunęła rękę spod jej ramienia i powiedziała: „Przyrzekam". Uśmiechnęła się, pomachała ręką i pośpiesznie wypadła z sali balowej. Lady Danbury powinna przed domem witać gości, a zdecydowanie łatwiej było obejść budynek, niż próbować przedrzeć się przez kłębiący w nim tłum.

– Co jest, do diabła? – mruknął James, po czym, klnąc na czym świat stoi, zmusił konia do ominięcia niezliczonych powozów zmierzających powoli w kierunku domu ciotki.

Bal maskowy! Zupełnie zapomniał o tym cholernym, irytującym balu.

Zaplanował sobie wieczór z każdym najmniejszym szczegółem. Najpierw miał zobaczyć się z ciotką, powiedzieć jej, że zawiódł, że nie potrafił do tej pory znaleźć jej szantażysty i obiecać, że nie przestanie go

szukać, ale że nie może z tego powodu odkładać swoich spraw na drugi plan.

Potem pojechałby do domku Elizabeth i poprosił ją o rękę. Całą drogę powrotną szczerzył się jak idiota, zastanawiając się, co powiedzieć, słowo po słowie. Zdecydował, że odwoła Lucasa na bok i jego poprosi o rękę siostry. Nie żeby zamierzał pozostawiać ośmiolatkowi decyzję, ale z niejasnych powodów na myśl o udziale Lucasa w całym przedsięwzięciu robiło się mu cieplej na sercu.

Miał ponadto przeczucie, że Elizabeth byłaby tym gestem oczarowana, a tylko to się liczyło.

Tymczasem okazało się, że na wyrwanie się z domu ciotki nie można liczyć, a już z całą pewnością nie było mowy o widzeniu się z ukochaną sam na sam.

Powozy wlokły się i wlokły, i James stracił w końcu cierpliwość. Spiął konia i zjechał z drogi, po czym przeciął porośnięte rzadko drzewami pole, za którym ciągnął się główny trawnik domu Danbury.

Była pełnia, a poza tym tyle światła wylewało się z licznych okien rezydencji, że nie musiał nawet zbytnio zwalniać, gdy podjeżdżał do stajni.

Oporządził konia i zmęczonym krokiem ruszył do swojego lokum. Uśmiechnął się, gdy przypomniał sobie, jak przyłapał Elizabeth myszkującą po gabinecie. Jeszcze jej o tym nie powiedział. Nieważne. Miał przed sobą całe życie na to, by dzielić się z nią wspomnieniami i tworzyć nowe, wspólne.

Usiłował ignorować odgłosy hucznej zabawy, spragniony spokoju i odosobnienia, jakie czekały na niego w jego tymczasowym domu. Nie mógł jednak zignorować potężnego burczenia w brzuchu. Tak się śpieszył do Surrey, tak bardzo chciał zobaczyć Elizabeth, że przez całą drogę nie wziął niczego do ust. Naturalnie okazało się, że w domu nie ma niczego jadalnego, pozwolił więc sobie na jeszcze jedno głośne przekleństwo i powlókł się w stronę rezydencji. Przy odrobinie szczęścia powinien dostać

się do kuchni, nie narażając się na zdemaskowanie czy chociaż przyłapanie przez jakiegoś podpitego uczestnika zabawy.

Z nisko zwieszoną głową przemykał pośród tłumów wylewających się z rezydencji na dwór. Zachowywał się jak służący, goście Agathy powinni więc widzieć jedynie służącego i – jeśli szczęście go zupełnie nie opuści – zostawić go w świętym spokoju. Na Boga, nie mogli się przecież w osobniku w tak zakurzonym i pomiętym stroju domyślać markiza Riverdale.

Kiedy już zostawił większość gości za sobą i znajdował się mniej więcej w połowie drogi, kątem oka dostrzegł jasnowłosą pasterkę. Potknęła się o jakiś kamyk, zamachała dziko rękami, próbując złapać równowagę. W końcu ją odzyskała, podpierając się kosturkiem.

Elizabeth. To musiała być ona. Żadna inna blond pasterka nie mogła być podobnie ujmująco niezręczna.

Mknęła pośpiesznie wzdłuż domu, najwyraźniej kierując się w stronę wejścia frontowego. James nieznacznie zmienił trasę i ruszył ku dziewczynie. Wiedział, że za chwilę będzie trzymał ją w ramionach, i czuł, że serce w nim śpiewa.

Kiedy to stał się takim romantycznym głupcem?

Kto to wie? Kogo to obchodzi? Był zakochany. W końcu znalazł tę jedną jedyną, która mogła wypełnić pustkę w jego sercu, i jeżeli to oznaczało, że jest głupcem, niech i tak będzie.

Gnała pośpiesznie, a on szybkim krokiem zbliżał się do niej. Zanim zdążyła usłyszeć chrzęst jego kroków po żwirze, wyciągnął rękę i złapał ją za nadgarstek.

Obróciła się ze zdławionym okrzykiem. James patrzył z zachwytem, jak wyraz jej oczu zmienia się z paniki w czystą radość.

– James! – zawołała. Natychmiast odnalazła jego dłoń. – Wróciłeś!

On z kolei przyciągnął do ust jej ręce i ucałował.

– Jak mógłbym nie wrócić!

Rozłąka sprawiła, że w zachowaniu Elizabeth pojawiła się nieśmiałość. Nie odwzajemniła jego spojrzenia, gdy mówiła cicho:

– Tęskniłam za tobą.

Niech diabli wezmą dobre maniery, pomyślał, chwycił ją w ramiona i pocałował. A później, kiedy zmusił się, by oderwać usta od jej warg, szepnął:

– Chodź ze mną.

– Gdzie?

– Gdziekolwiek.

Poszła.

17

Noc była przesycona magią. Księżyc lśnił jasno, w powietrzu unosiła się delikatna woń polnych kwiatów, a każdy powiew wiatru był jak czuły szept.

Elizabeth czuła się jak księżniczka. Ta kobieta z kaskadą złotych włosów falujących na wietrze nie mogła być zwykłą, pospolitą panną Hotchkiss. Na tę jedną noc Elizabeth stała się kimś innym. Tej jednej nocy jej serce wolne było od zmartwień i trosk. Roześmiana i pełna pasji biegła przez łąkę, ogarnięta wielką radością.

Biegli, trzymają się za ręce. Dom lady Danbury znikł już z pola widzenia, ale w powietrzu ciągle jeszcze niosły się odgłosy zabawy. Wpadli do zagajnika; drzewa wokół nich gęstniały z każdą chwilą.

Nagle James zatrzymał się, oddychając ciężko, zmęczony i podniecony.

– O mój Boże – wydyszała Elizabeth, o mało na niego nie wpadając. – Nie biegłam tak szybko od…

Jego ramiona zamknęły się wokół niej i zamarła bez tchu.

– Pocałuj mnie – rozkazał.

Magia tej nocy zrobiła już swoje i wszelkie wątpliwości, które Elizabeth mogłaby czuć, wszelkie granice między tym, co właściwe, i tym, co skandaliczne, rozwiały się bez śladu. Odchyliła głowę, podając mu usta, a on przywarł do nich, zawładnął nimi, rozdarty między czułością i prymitywną żądzą.

– Nie wezmę cię. Nie teraz. Jeszcze nie teraz – przysięgał z wargami tuż przy jej skórze. – Ale pozwól mi cię kochać.

Elizabeth nie rozumiała tych słów, ale czuła, że krew zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach, i nie była w stanie się opierać. Spojrzała mu w twarz i widząc płomień w jego brązowych oczach, podjęła decyzję.

– Kochaj mnie – wyszeptała. – Ufam ci.

Palce mu drżały, gdy z jakąś nabożną czcią dotknął gładkiej skóry jej skroni. Musnął złocisty jedwab włosów. Zdumiał się, widząc, jak boleśnie drobniutka i krucha wydaje się przy jego dużych, nagle niezdarnych dłoniach. Zupełnie jakby mogła się w nich rozprysnąć niby porcelanowa figurka. Była drobna i przecudowna. Potrzebowała go jako obrońcy.

– Będę delikatny – powiedział prawie niesłyszalnie, z trudem poznając własny głos. – Nigdy cię nie skrzywdzę. Nigdy.

Ufała mu. I był to dar pełen mocy, zdolny odmienić duszę.

Pozwolił palcom błądzić w dół po jej policzkach, ku nieosłoniętej szyi. Kostium, który nosiła, nie przypominał żadnego z ubrań, w których widywał ją wcześniej. Dręczył zarysem prawie obnażonych ramion, jakby miał zsunąć się pod najlżejszym dotknięciem. Wystarczyłoby musnąć miękką białą materię, a ukazałoby się jedno delikatne ramię, potem drugie, a wtedy mógłby pociągnąć suknię w dół, odsłonić jej ciało i…

Krew napłynęła mu do lędźwi. Dobry Boże, jeżeli czuł taką żądzę na samą myśl o rozbieraniu Elizabeth, co, do diabła, się stanie, gdy będzie ją trzymał w ramionach, nagą i uległą? Jak zdoła kochać się z nią z całą delikatnością i czułością, na jaką zasługiwała?

Oddech palił go w płucach, gdy powoli zsuwał suknię z jej ramienia. Sycił oczy widokiem odsłaniającego się ciała. W świetle księżyca skóra dziewczyny lśniła niczym najcenniejsza perła. Wtulił twarz w kuszące ciepło szyi i poczuł się szczęśliwy.

Nie przestając jej całować, obnażył drugie ramię. Wstrzymała oddech, gdy delikatna koronka zsunęła się na tyle, by odkryć wierzchołki krągłych piersi. Wyszeptała coś bezgłośnie. Zdało mu się, że słyszy swoje imię. Ale

nie opierała się, więc rozpiął guzik przy dekolcie sukni i patrzył, jak materiał zsuwa się miękko.

Wstydliwie uniosła ręce, by się przed nim zakryć, ale schwytał je w swoją dłoń i łagodnie odsunął. Złożył na jej ustach leciutki pocałunek.

– Jesteś piękna – wyszeptał z żarem w głosie. – Taka piękna.

Delikatnie nakrył dłonią piersi Elizabeth. Zdumiała go ich jędrność i obfitość. Poczuł, jak twardnieją jej sutki, i jęknął z rozkoszy.

Podniósł wzrok – musiał zobaczyć wyraz twarzy ukochanej, musiał wiedzieć, że czeka na jego pieszczoty. Usta miała rozchylone i lśniące, jakby przed chwilą zwilżyła je językiem. Oczy zamglone, spojrzenie niewidzące, a oddech urywany i pośpieszny.

Dłoń powędrowała na pośladek, przywarła do niego, podtrzymując ciało Elizabeth, gdy osuwali się na ziemię, prosto na miękki, chłodny dywan traw. Włosy dziewczyny rozsypały się na nim jak bezcenny złoty wachlarz. Przez moment James wpatrywał się w nią tylko, dziękując bezgłośnie bogom za tę wspaniałą chwilę, a potem nachylił głowę nad jej piersią, całując, pieszcząc…

Elizabeth jęknęła cicho, gdy dotknął jej sutka. Oddech Jamesa parzył i oblała ją fala gorąca. Z trudem poznawała własne ciało. Czuła się tak, jakby miało za chwilę eksplodować. Owładnęło ją przemożne pragnienie, by się poruszyć, wyprężyć, poczuć pod stopami chłodną trawę, rozczapierzyć palce, a potem zatopić je w jego gęstych, ciemnych włosach.

Wygięła się w łuk, posłuszna diabelskim podszeptom nakazującym jej brać to, co on chciał jej dać.

– James – wyszeptała bez tchu. – James.

Jego imię cisnęło się jej na usta. Brzmiało w nim błaganie i modlitwa.

Materiał sukienki przeszkadzał niecierpliwym dłoniom Jamesa. Jedna powędrowała na gładką skórę łydki, musnęła ją i przesunęła się ku kolanu dziewczyny. A potem ruchem tak powolnym, że Elizabeth zadrżała w bolesnym oczekiwaniu, popełzła wyżej.

Chciała znowu wyszeptać jego imię, ale żaden dźwięk nie wydobył się z ust zamkniętych pocałunkiem. Ręka Jamesa niespiesznie wędrowała w górę, by zatrzymać się na wewnętrznej stronie uda. Elizabeth znieruchomiała, czując, że za moment coś się stanie. Coś, od czego nie ma odwrotu.

James szukał spojrzeniem jej wzroku. Chwilę trwało, zanim zdołał jak przez mgłę ujrzeć zarys ukochanej twarzy.

– Jeszcze? – spytał z uśmiechem na ustach.

Boże, ratuj, pomyślała, ale kiwnęła głową. Zobaczyła, że uśmiechnął się szerzej, po czym jego usta przeniosły się na jej podbródek, każąc unieść twarz, by mógł pieścić odsłoniętą szyję.

I wtedy dłoń Jamesa powędrowała jeszcze wyżej, by zatrzymać się na samej górze uda, tak blisko tego najbardziej sekretnego, intymnego miejsca na jej ciele. Bliskość była tak obezwładniająca…

– Zaufaj mi – wyszeptał. – Tylko mi zaufaj. Będzie ci dobrze, obiecuję.

Dalej drżała, gdy opadł między lekko rozchylające się nogi. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że przez cały ten czas unosił się nad nią, opierając cały ciężar na silnych ramionach.

Jednak w chwili, gdy Elizabeth poczuła go na sobie, wszystko się zmieniło. Ciężar muskularnego ciała, bijący od niego żar zaparły jej dech w piersi. Był tak potężnie zbudowany. Nie uzmysławiała sobie jednak ogromu jego siły, dopóki to potężne ciało nie przycisnęło się do niej z wielką mocą.

Otwartą dłonią objął wierzch jej uda tak, że kciuk znalazł się niebezpiecznie blisko włosów okrywających jej łono. Pieścił ją, drażnił.

A potem dotknął.

Elizabeth była całkowicie nieprzygotowana na tę eksplozję czystej energii, która przeszyła jej ciało. Nie wiedziała, że można tak płonąć, tak drżeć i tak bardzo pragnąć dotyku drugiej istoty.

Jego palce łaskotały, muskały, aż była pewna, że dłużej nie wytrzyma, ale on nie przestawał. Gorący oddech owiewał jej ucho, paląc nieznośnie skórę.

James zaczął znowu coś szeptać. Słyszała słowa pełne miłości i namiętności. I za każdym razem, gdy wydawało się jej, że nie można się już bardziej zapamiętać, wynosił ją na nowy poziom uniesień.

Darła rękami trawę. Bała się, że gdyby oplotła go ramionami, poszarpałaby na nim ubranie.

– Dotknij mnie – wyszeptał.

Niepewnie, przerażona własną żądzą, uniosła dłonie do kołnierza koszuli. Górny guzik był rozpięty. Drżącymi palcami rozpięła drugi, pragnąc poczuć jego skórę.

– Mój Boże, Elizabeth – wykrztusił. – Zabijesz mnie.

Zamarła, szukając wzrokiem jego oczu.

– Nie – odrzekł, śmiejąc się mimo woli. – Tak dobrze.

– Na pewno? Bo… Och!

Nie wiedziała, co takiego zrobił, ale nagromadzone w niej napięcie eksplodowało nagle. Ciało jej wyprężyło się, potem wygięło w łuk, a kiedy rozedrgana opadła na ziemię, była pewna, że musiała się rozprysnąć na tysiące malusieńkich kawałków.

Jego ciało nadal było napięte do ostatnich granic. Nie był zaspokojony i wiedział, że dzisiejszej nocy jego napięcie nie znajdzie ujścia, sam tak zadecydował. Ze zmęczenia zaczęły mu drżeć ręce, przetoczył się więc na bok i wyciągnął obok Elizabeth na trawie. Podparł głowę ręką, sycąc się widokiem jej twarzy. Dziewczyna miała zamknięte oczy, rozchylone usta i James mógł przysiąc, że w życiu nie widział niczego równie pięknego.

– Chciałbym ci tyle powiedzieć – szeptał, odgarniając jej włosy z czoła.

Elizabeth zatrzepotała rzęsami.

– Tak?

– Jutro – obiecał, delikatnie podciągając jej gorset. Zakrywanie takiego nieskazitelnego piękna wydawało mu się wręcz grzechem, wiedział jednak, że nagość wciąż jeszcze napawa ją wstydem. Czy też raczej napawałaby wstydem, gdyby Elizabeth pamiętała, że jest w tej chwili naga.

Zarumieniła się, co potwierdzało jego przypuszczenie, że w szale uniesień zapomniała o swojej nagości.

– Dlaczego nie możesz powiedzieć mi dzisiaj? – zapytała.

Dobre pytanie. Kusiło go, by wreszcie wyznać całą prawdę, by oświadczyć się jej tu i teraz, ale coś go przed tym powstrzymywało. Oświadczyny zdarzają się raz w życiu i chciał, by były idealne. Nigdy mu się nawet nie śniło, że zdoła znaleźć kobietę, która tak całkowicie zawładnęłaby jego sercem. Ale znalazł ją i zasługiwała na róże, drogocenne klejnoty i oświadczyny na klęczkach.

Uważał także, że powinien powiedzieć ciotce, że ma zamiar położyć kres całej tej historii, zanim to faktycznie zrobi.

– Jutro – powtórzył. – Jutro.

Wydawała się być usatysfakcjonowana jego odpowiedzią, westchnęła bowiem i usiadła na ziemi.

– Powinniśmy chyba wracać.

Wzruszył ramionami.

– Nie wzywają mnie żadne pilne sprawy – odrzekł z uśmiechem.

Odpowiedziało mu gniewne spojrzenie.

– Ciebie nie, ale mnie tak. Lady Danbury marudziła przez cały tydzień, żebym wreszcie zgodziła się przyjść na bal. I jeśli się nie pojawię, zrzędzeniu nie będzie końca – rzuciła mu spod oka dość cierpkie spojrzenie. – I tak niewiele brakuje, żebym przez nią oszalała. Kolejna niekończąca się tyrada mogłaby dokonać dzieła.

– To prawda – mruknął James – nieźle jej wychodzi wpędzanie człowieka w poczucie winy.

– A może byś poszedł ze mną? – spytała nagle.

Najgorszy pomysł pod słońcem. Cale mnóstwo ludzi mogłoby go rozpoznać.

– Bardzo bym chciał – skłamał – ale nie mogę.

– Dlaczego?

– E… Ubranie mam całe w kurzu po tej podróży i…

– Kurz się otrzepie i tyle.

– Nie mam przebrania.

– Ba! Połowa mężczyzn nie jest przebrana. Jestem pewna, że znajdziemy jakąś maskę.

– Po prostu nie mogę pokazać się ludziom w takim stanie – wybuchł, zdesperowany.

To sprawiło, że zacisnęła usta i nie dowiedział się, co zamierzała właśnie dodać. Po kilku minutach niezręcznego milczenia spytała:

– Konkretnie w jakim?

James jęknął. Nikt jej nie wtajemniczył w sprawy damsko-męskie? Pewnie nie. Jej matka umarła, gdy Elizabeth miała osiemnaście lat, a trudno mu było sobie wyobrazić, żeby tego delikatnego zadania miała się podjąć jego ciotka. Zerknął na dziewczynę; patrzyła na niego wyczekująco.

– A jeśli powiem ci, że mam ochotę na kąpiel w jeziorze, zadowoli cię ta odpowiedź i skończymy temat? – spytał w końcu.

Pokręciła przecząco głową.

– Nawet na to nie liczyłem – mruknął.

– Ty nie… a…

Wpadł jej w słowo.

– Właśnie. Ja nie.

– Cały problem w tym – oznajmiła, nie patrząc mu w oczy – że nie wiem, czego ty nie…

– Kiedy indziej ci pokażę – obiecał. – Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, jeśli ci nie pokażę, bo pewnikiem nie dożyję końca miesiąca.

– Miesiąca?

Miesiąc! Chyba zmysły postradałem, pomyślał, powinienem sobie wyrobić specjalne papiery.

– Tygodnia. Tak, nawet tygodnia.

– Rozumiem.

– Wcale nie. Ale zrozumiesz.

Zarumieniła się po same uszy.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała niewyraźnie – ale mam wrażenie, że to coś zbereźnego.

Uniósł dłoń do jej ust.

– Nadal jesteś dziewicą, a ja jestem sfrustrowany jak diabli.

– Och! Ja… – uśmiechnęła się, zażenowana. – Dziękuję.

– Powiedziałbym, że nie ma za co – odrzekł, podając jej ramię – ale byłoby to jawne kłamstwo.

– Rozumiem też – dodała figlarnie – że skłamałbyś, mówiąc, że cała przyjemność leży po twojej stronie.

– To byłoby gigantycznym kłamstwem. Nieznanych dotąd rozmiarów.

Roześmiała się.

– Jeżeli nie zaczniesz traktować mnie z należnym szacunkiem – mruknął – mogę zostać zmuszony do tego, żeby wrzucić cię do jeziora.

– Nie można się z tobą odrobinę podroczyć?

– Zniosłem dzisiaj więcej niż odrobinę droczenia. Tyle, ile moje biedne ciało było w stanie wytrzymać.

Znowu roześmiała się perliście.

– Przepraszam – wykrztusiła. – Nie chcę się z ciebie śmiać, ale…

– Owszem, chcesz – starał się nie uśmiechać radośnie, ale to mu się nie udało.

– No, dobrze. Owszem, chcę, ale tylko dlatego – zatrzymała się i z czułością dotknęła jego twarzy – ale tylko dlatego, że przy tobie czuję się wolna i szczęśliwa. Już nie pamiętam czasów, kiedy śmiech przychodził mi równie łatwo.

– A kiedy jesteś ze swoją rodziną? – spytał. – Wiem, jak kochasz swoje rodzeństwo.

– Bo kocham. Ale nawet kiedy śmiejemy się i żartujemy, kiedy jest po prostu cudownie, wisi nade mną jakaś chmura, coś ciągle przypomina mi,

że mogę stracić to wszystko, co kocham. Że utraciłabym wszystko w chwili, gdy zabrakłoby pieniędzy na utrzymanie.

– Już nigdy nie będziesz musiała się o to martwić – obiecał żarliwie. – Nigdy.

– Och, James – odrzekła z bezdennym smutkiem. – Kochany jesteś, że to mówisz, ale nie wiem, jak mógłbyś…

– Będziesz musiała mi zaufać – przerwał jej. – Mam w rękawie kilka asów. Poza tym, sama przed chwilą powiedziałaś, że kiedy jesteś ze mną, to dokuczliwe szare chmurzysko znika.

– Kiedy jestem z tobą, zapominam o kłopotach, ale to nie znaczy, że one przestają istnieć.

Poklepał ją po ręce.

– Mogę cię jeszcze zaskoczyć, Elizabeth Hotchkiss.

Szli w stronę domu w milczeniu. Z każdym krokiem odgłosy zabawy stawały się coraz donośniejsze – muzyka, szmer głosów i sporadycznie wybuchy głośnego, radosnego śmiechu.

– Sądząc po hałasie, zebrał się tam prawdziwy tłum – zauważyła Elizabeth.

– Lady Danbury nie zadowoliłaby się niczym innym – odrzekł James. Omiótł wzrokiem dostojną, wzniesioną z kamienia budowlę, która właśnie pojawiła się w polu widzenia. Goście przenieśli się na trawnik i wiedział, że musi się natychmiast stąd zabrać.

– Elizabeth – powiedział. – Muszę natychmiast iść, ale przyjdę do ciebie jutro.

– Nie, zostańmy, proszę! – uśmiechnęła się do niego. Jej błękitne oczy były teraz ogromne i poczuł, że ściska mu się serce. – Nigdy nie tańczyliśmy razem.

– Zatańczymy, przysięgam. – Nie odrywał oczu od stojących najbliżej biesiadników. Nie poznawał żadnej twarzy, ale nadmiar ostrożności nie mógł zaszkodzić.

– Znajdę dla ciebie maskę, jeśli o to się martwisz.

– Nie, Elizabeth. Naprawdę nie mogę zostać. Musisz się z tym pogodzić.

Zmarszczyła czoło.

– Nie widzę powodów.

– Tak po prostu być musi. Ja… Och!

Coś wypchanego i pokaźnych rozmiarów miękko uderzyło o jego plecy. Najwyraźniej nie stali od tłumu tak daleko, jak sądził. Odwrócił się z zamiarem zbesztania niezręcznego biesiadnika…

I zamarł, wpatrzony prosto w morskie oczy Caroline Ravenscroft.

Elizabeth przyglądała się rozwojowi wydarzeń rozdarta między niedowierzaniem a zgrozą.

– James? – wykrzyknęła Caroline. W jej oczach malowała się szczera radość. – Och, James! Jak się cieszę!

Elizabeth popatrywała to na niego, to na nią, starając się zrozumieć, skąd ta dwójka może się znać. Gdyby Caroline znała Jamesa, wiedziałaby, że to on jest zarządcą hrabiny i że o nim właśnie wspomniała Elizabeth wcześniej dzisiejszego wieczoru.

– Caroline – odpowiedział James z niezwykłym napięciem w głosie.

Caroline usiłowała rzucić mu się na szyję, ale strój dyni skutecznie utrudniał to zadanie.

– Gdzieś ty się ukrywał? – spytała. – Bardzo się na ciebie gniewamy. Blake próbował się z tobą skontaktować… Elizabeth?!

James po prostu skamieniał.

– Skąd znasz Elizabeth? – spytał powoli, ostrożnie.

– Poznałyśmy się dzisiaj wieczorem – odrzekła Caroline, zbywając go machnięciem ręki i odwracając się do nowej przyjaciółki. – Gdzie znikłaś? I skąd znasz Jamesa?

– Ja… ja… – wyjąkała zagadnięta, niezdolna wykrztusić reszty, ująć słowami tego, co stawało się dla niej oczywiste.

– Kiedy poznałeś Elizabeth? – Caroline odwróciła się do Jamesa tak szybko, że poczuł, jak jej jasnobrązowy warkocz smaga go po ramieniu. – Nie tak dawno opowiadałam jej o tobie i mówiła, że się nie znacie.

– Opowiadałaś mi o nim? – wyszeptała Elizabeth. – Ależ nie, nawet o nim nie wspomniałaś. Jedynym, o kim mówiłaś, był…

– James – nie wytrzymała Caroline. – Markiz Riverdale.

– Nie – odparła Elizabeth drżącym głosem. Przed oczami stanął jej tomik z niezliczonymi edyktami pani Seeton. – Niemożliwe…

Caroline odwróciła się w stronę Jamesa.

– James? – oczy jej rozszerzyły się nagle. Zrozumiała, że mimowolnie zdradziła jakiś sekret. – Och, nie. Przepraszam. Nie przyszło mi do głowy, że mógłbyś pracować tutaj, w domu lady Danbury, pod przebraniem. Mówiłeś, że nie zajmujesz się już tymi rzeczami.

– Jakimi rzeczami? – spytała Elizabeth piskliwie.

– Ministerstwo wojny nie ma z tym nic wspólnego – uciął James.

– A co ma? – dociekała Caroline.

– Markiz Riverdale? – rzuciła nagle Elizabeth. – Jesteś markizem?

– Elizabeth – odpowiedział, nie spuszczając z oczu Caroline. – Daj mi chwilę, wszystko ci wyjaśnię.

Markiz. On jest markizem. Musiał mieć znakomitą zabawę przez ostatnie tygodnie.

– Ty łajdaku! – wysyczała. A potem, przywołując wszystkie lekcje boksowania, których jej udzielił, i niemało instynktu, zamachnęła się i uderzyła.

Zachwiał się. Caroline wydała przenikliwy okrzyk, a Elizabeth sztywno ruszyła przed siebie.

– Elizabeth! – zagrzmiał, puszczając się za nią biegiem. – Wracaj tu w tej chwili! Wysłuchasz mnie.

Złapał ją za rękę.

– Puszczaj! – krzyknęła Elizabeth.

– Puszczę, kiedy mnie wysłuchasz.

– Och, musiałeś się setnie ubawić – wykrztusiła – całym tym udawaniem, że pomagasz mi wyjść za markiza. Łajdak. Parszywy łajdak.

Niemalże drgnął, słysząc jadowite nuty w jej głosie.

– Elizabeth, ani przez chwilę…

– Śmiałeś się ze mnie z przyjaciółmi? Wyśmiewaliście się z biednej, głupiutkiej damy do towarzystwa, której zdawało się, że może wyjść za markiza?

– Elizabeth, miałem powody, żeby nie mówić ci, kim jestem. Przedwcześnie wyciągasz wnioski.

– Nie bądź protekcjonalny – wysyczała, usiłując wyszarpnąć rękę. – Nawet nie odzywaj się do mnie! Nigdy!

– Nie pozwolę ci uciec, dopóki mnie nie wysłuchasz.

– A ja pozwoliłam ci się dotknąć – wyszeptała ze zgrozą. – Pozwoliłam ci się dotknąć. Zaufałam ci, a ty mnie oszukiwałeś.

Złapał ją za drugą rękę i przyciągnął do siebie, aż jej piersi rozpłaszczyły się na jego torsie.

– Nigdy – syknął – nie nazywaj tego oszustwem.

– A jak mam to nazywać? Nie kochasz mnie. Nie szanujesz mnie nawet na tyle, by powiedzieć, kim jesteś.

– Wiesz, że to nieprawda. – Podniósł wzrok i zobaczył, że wokół stojącej jakieś dziesięć jardów od nich Caroline zdążył się zebrać spory tłumek.

– Chodź ze mną – rzucił władczo i ruszył z miejsca, ciągnąc Elizabeth za sobą. – Porozmawiamy o tym bez świadków.

– Nigdzie z tobą nie idę! – Zaparła się w ziemię obcasami, ale wobec jego siły nie miała nic do powiedzenia i w chwilę później znajdowali się już za rogiem. – Idę do domu i jeżeli kiedykolwiek się do mnie odezwiesz, nie ręczę za siebie.

– Elizabeth, nie zachowuj się irracjonalnie.

I wtedy wybuchła. Czy to jego głos tak podziałał, czy tamte słowa – nie wiedziała. Ale po prostu coś w niej pękło.

– Już ty mi nie mów, jak się zachowuję! – krzyczała, okładając go pięściami. – Już ty mi nic nie mów!

Nieruchomy, bez protestu przyjmował kolejne ciosy. Na tyle nieruchomo, że po pewnym czasie jej ramiona opadły.

Szarpnęła się do tyłu. Wstrząsana urywanym, spazmatycznym oddechem, patrzyła mu prosto w twarz.

– Nienawidzę cię – rzuciła gardłowo.

Odpowiedziało jej milczenie.

– Nawet nie wiesz, co takiego zrobiłeś – wyszeptała, z niedowierzaniem kręcąc głową. – W ogóle nie uważasz, że zrobiłeś coś złego.

– Elizabeth… – Nigdy by nie przypuszczał, ile siły może wymagać wypowiedzenie jednego prostego słowa.

W jej oczach pojawiło się coś na kształt politowania, jakby nagle uświadomiła sobie, że góruje nad nim, że James nigdy nie zasłużyłby sobie na jej miłość i szacunek.

– Idę do domu. Możesz przekazać lady Danbury moje wymówienie.

– Nie możesz tego zrobić.

– A dlaczego to?

– Ona cię potrzebuje. A ty potrzebujesz…

– Pieniędzy? – wypluła to słowo, pełna goryczy. – To właśnie chciałeś powiedzieć?

Poczuł na policzkach falę gorąca i wiedział, że dostrzegła w jego oczach odpowiedź na to pytanie.

– Są pewne rzeczy, których nie zrobię za pieniądze – rzuciła – i jeśli ci się wydaje, że wrócę tu, by dalej pracować dla twojej ciotki… Och, Boże, Boże! – urwała bez tchu, jakby nagle dotarło do niej znaczenie własnych słów. – Bo to jest twoja ciotka. Musiała wiedzieć. Jak ona mogła mi to zrobić?

– Agatha nie wie o niczym, co zaszło między nami. I jeśli chcesz kogoś za cokolwiek winić, to nie ją.

– Ufałam jej – szepnęła. – Była mi bliska jak matka. Jak mogła na to pozwolić?

– James? Elizabeth?

Obrócili się zgodnie i ujrzeli niepewną i zdenerwowaną dynię, czy też raczej jej głowę wystającą zza rogu, a obok niej rozsierdzonego czarnowłosego pirata wymachującego rękami i pokrzykującego groźnie:

– A idźcie sobie! Wszyscy! Tu nie ma nic do oglądania.

– To nie jest odpowiednia pora, Caroline – warknął James.

– Prawdę mówiąc – powiedziała Caroline miękko – obawiam się, że to najwyższa pora, by się gdzieś przenieść. Może przejdziemy do środka? W jakieś odosobnione miejsce?

Blake Ravenscroft, mąż Caroline i najlepszy przyjaciel Jamesa, wysunął się przed nią.

– James, ona ma rację. Plotka już się rozniosła. W przeciągu paru minut ściągnie tu niezgorszy tłumek.

Caroline kiwnęła głową.

– Obawiam się, że wybuchnie straszny skandal.

– Ja sądzę, że to już się stało – odparowała Elizabeth. – Ale mnie to nie obchodzi. Z żadnym z tych ludzi więcej się nie zobaczę.

James czuł, jak zaciskają mu się pięści. Zaczynał już mieć szczerze dość uporu Elizabeth. Nie dała mu sposobności, by mógł przedstawić sytuację ze swojego punktu widzenia. Po co mówiła o zaufaniu? Gdyby ufała mu naprawdę, powiedziałaby, co leży jej na sercu, a potem pozwoliła zrobić to samo jemu.

– Będziesz się z tymi ludźmi widziała – oznajmił, a w jego tonie pojawiły się groźne nutki.

– Och, a kiedy to spotka mnie ten zaszczyt? – spytała drwiąco. – Nie należę do twojego gatunku, jak to zgrabnie, choć może nie wprost, dałeś mi

do zrozumienia.

– Nie – odrzekł miękko – ty jesteś lepsza.

To zdumiało ją tak bardzo, że umilkła. Usta jej drżały, a głos się łamał, gdy w końcu zdobyła się na odpowiedź.

– Nie. Nie uda ci się. To, co zrobiłeś, jest niewybaczalne, i słodkie słówka z niczego cię nie rozgrzeszą.

Zgrzytnął zębami i przyciągnął ją mocniej do siebie, niepomny obecności Caroline i Blake’a, wpatrujących się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Dam ci jeden dzień, byś przestała się wściekać, Elizabeth. Masz czas do jutra o tej samej porze.

– A co potem?

Oczy mu pałały, gdy pochylał się w jej stronę. Chciał, by się zlękła.

– A potem wyjdziesz za mnie.

18

Uderzyła go jeszcze raz, i to tak znienacka, że upadł na ziemię.

– Jak możesz mówić takie wstrętne rzeczy! – wykrzyknęła.

– Elizabeth – powiedziała Caroline, łapiąc ją za nadgarstek i ciągnąc w swoją stronę. – Wydaje mi się, że właśnie poprosił cię o rękę. A to miła rzecz. Miła.

Caroline odwróciła się w stronę męża, który patrzył na Jamesa, starając się zachować względną powagę.

– Miła, prawda?

– On wcale tego nie chce – wybuchła Elizabeth. – Tylko tak mówi, bo czuje się winny. Wie, że źle postąpił, i…

– Czekaj, czekaj – przerwał jej Blake. – Czy nie mówiłaś przed chwilą, że nawet nie wie, że zrobił coś złego?

– Bo to prawda. Sama nie wiem! – Odwróciła się ze zwężonymi oczami i rzuciła groźne spojrzenie ciemnowłosemu, przystojnemu mężczyźnie. – Ale pana tu przecież nie było. Skąd pan wie, co mówiłam? Podsłuchiwało się?

Blake, który przez lata pracował z Jamesem, wzruszył tylko ramionami.

– Obawiam się, że to moja druga natura.

– Po prostu obrzydliwy zwyczaj. Ja… – urwała nagle, po czym machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. – Kim pan w ogóle jest?

– Blake Ravenscroft – odparł z dwornym ukłonem.

– Mój mąż – uzupełniła Caroline.

– Ach, tak, ten co się przyjaźni z tym tam – przekrzywiła głowę, by spojrzeć na Jamesa, który siedział na trawie i trzymał się za nos – i to od lat. Wybaczy pan, ale ta znajomość nie stanowi dobrej rekomendacji.

Blake uśmiechnął się tylko.

Elizabeth kręciła głową, dziwnie rozstrojona. Świat rozpadał się wokół niej z zawrotną prędkością, wszyscy mówili naraz i wydawało się, że jedyną rzeczą, której mogła się uchwycić w tym chaosie, była jej wściekłość na Jamesa. Pokiwała palcem w jego stronę, nie spuszczając z Blake'a roziskrzonych oczu.

– On jest arystokratą! Cholernym markizem!

– Czy to aż takie straszne? – spytał Blake, unosząc brew.

– Powinien był mi powiedzieć!

– James – odezwała się Caroline, klękając tak blisko obok niego, na ile pozwalał jej kostium. – Krwawisz?

Krew? Elizabeth ze zdławionym jękiem obróciła się w jego stronę. Naturalnie nigdy mu nie wybaczy. Na pewno też nie będzie go chciała już nigdy widzieć, ale nie mogła znieść myśli, że cierpi.

– Nie krwawię – mruknął niewyraźnie.

Caroline podniosła oczy na męża i wyjaśniła:

– Uderzyła go dwa razy.

– Dwa razy? – wyszczerzył się Blake. – Poważnie?

– Nie ma w tym nic śmiesznego – fuknęła Caroline.

– Pozwoliłeś się jej uderzyć dwa razy? – Blake patrzył na Jamesa pytająco.

– Do diabła, sam ją uczyłem boksu.

– To, drogi przyjacielu, dowodzi wybitnej krótkowzroczności z twojej strony.

James rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Próbowałem ją nauczyć, jak się bronić.

– Przed kim? Przed tobą?

– Nie! Przed… och, na miłość boską, jakie to ma teraz znaczenie. Ja… – spojrzał na Elizabeth, która usiłowała się chyłkiem wycofać, i zerwał się na równe nogi. – Nigdzie się nie wybierasz – warknął, łapiąc za szarfę, którą była przepasana w talii.

– Puszczaj mnie! Au! Och! James! – Wywijała się jak piskorz, bez powodzenia starając się wykręcić w jego stronę i spiorunować go wzrokiem. – Puść mnie! Już!

– Niedoczekanie twoje.

Elizabeth spojrzała na Caroline błagalnie. Kto jak kto, ale kobieta powinna wczuć się w jej rozpaczliwe położenie.

– Powiedz mu, żeby mnie puścił.

Caroline zerkała to na nią, to na Jamesa, wyraźnie rozdarta między lojalnością wobec przyjaciela a współczuciem dla Elizabeth.

– Ja… – wyjąkała – ja nic nie wiem poza tym, że nie powiedział ci, kim jest.

– A to nie dość?

– Cóż – bąknęła wykrętnie. – James rzadko kiedy mówi ludziom, kim jest.

– Co? – spytała piskliwie Elizabeth, obracając się na pięcie, by przyłożyć Jamesowi w cały ten jego arystokratyczny bark. – Robiłeś tak wcześniej? Ty nędzny, amoralny…

– Dość! – ryknął James.

Zza rogu wychynęło kilka twarzy w maskach.

– Naprawdę uważam, że powinniśmy przenieść się do środka – powiedziała Caroline słabym głosem.

– Chyba że milsza wam publika – dodał Blake.

– Ja chcę do domu – stwierdziła nagle Elizabeth, ale nikt jej nie słuchał. Zdziwiło ją to, choć sama nie wiedziała dlaczego. Przecież jej zdanie ignorowano tu już od jakiegoś czasu.

James przytaknął Blake’owi i Caroline powściągliwym skinieniem, a potem wskazał dom szybkim ruchem głowy. Jeszcze mocniej zacisnął rękę na szarfie i kiedy ruszył do środka, Elizabeth nie pozostawało nic innego, jak pójść za nim.

Kilka chwil później znajdowała się już w bibliotece, co wydało się jej szczególnie okrutnym żartem losu. Książka *Jak poślubić markiza* dalej leżała na półce, dokładnie tam, gdzie sama ją położyła.

Elizabeth zdławiła irracjonalną ochotę, by wybuchnąć śmiechem. Pani Seeton miała świętą rację. Za każdym węgłem rzeczywiście czyhał jakiś markiz. Arystokraci, gdziekolwiek by się obejrzeć, przyczajeni, by dopaść biedną, niczego nie podejrzewającą kobietę i ją upokorzyć.

I tak właśnie postąpił James. Za każdym razem, gdy uczył ją, jak złapać męża – markiza, do cholery – upokarzał ją. Każda lekcja uśmiechu czy flirtu była jak policzek. A kiedy całował ją, podając się za skromnego zarządczynę, brukał ją swoimi kłamstwami.

Gdyby nadal nie ściskał w garści jej szarfy, najpewniej chwyciłaby tę piekielną książkę i wyrzuciła ją przez okno, by następnie pozbyć się tą samą drogą jego samego.

Elizabeth poczuła na sobie wzrok Jamesa – wręcz parzył jej skórę. Podniosła spłoszone oczy i zrozumiała, że podążył za jej spojrzeniem na książkę pani Seeton.

– Nie mów – wyszeptała błagalnie, świadoma obecności Ravenscroftow. – Proszę cię, nie rób mi tego.

Skinął powściągliwie głową, a Elizabeth poczuła tak dojmującą ulgę, że aż się zachwiała. Blake’a nie znała wcale, Caroline zaś bardzo słabo, ale umarłaby, gdyby mieli się dowiedzieć o jej żałosnym poszukiwaniu męża za pomocą poradnika.

Blake zamknął drzwi do biblioteki, po czym powiódł wzrokiem po twarzach obecnych z nieprzeniknioną miną.

– Hm… – zaczął, strzelając oczami to na Elizabeth, to na Jamesa – może wolelibyście zostać sami?

– Owszem – uciął James.

– Nie! – niemal krzyknęła Elizabeth.

– Sądzę, że powinniśmy wyjść – zwrócił się do żony Blake.

– Elizabeth chce, żebyśmy zostali – powiedziała z naciskiem Caroline – i nie możemy jej zostawić z nim zupełnie samej.

– To byłoby niestosowne – pośpiesznie dodała Elizabeth.

Nie chciała zostać z Jamesem sam na sam. Gdyby zostali tylko we dwoje, przekonywałby ją tak długo, aż uleciałby cały jej gniew. Użyłby słodkich słówek, delikatnych pieszczot i zapomniałaby o prawdzie, przyzwoitości. Wiedziała, że leży to w jego mocy, i nienawidziła się za to.

– Na tym etapie nie musimy się martwić o obyczajność, jak sądzę – odparował James.

– Ojej! – Caroline aż przysiadła na brzegu stołu.

Blake rzucił jej rozbawione spojrzenie.

– Od kiedy to obyczajność tak bardzo leży ci na sercu?

– Od kiedy… Och, cicho! – rzuciła. Po chwili dodała ściszonym głosem: – Nie chcesz, żeby się pobrali?

– Jeszcze dziesięć minut temu nie wiedziałem, że ona istnieje.

– Nie zamierzam za niego wyjść – oznajmiła Elizabeth, starając się nie zwracać uwagi na to, że głos się jej łamie. – I byłabym wdzięczna, gdybyście oboje byli łaskawi nie zachowywać się, jakby mnie tu nie było.

Caroline spuściła oczy.

– Przepraszam – wymamrotała. – Sama nie znoszę, kiedy ludzie zachowują się tak wobec mnie.

– Chcę iść do domu – powtórzyła Elizabeth po raz setny.

– Wiem, skarbie – mruknęła Caroline – ale naprawdę powinniśmy jakoś to wyjaśnić i…

Rozległo się gwałtowne dobijanie do drzwi.

– Proszę odejść! – krzyknął Blake.

– Będziesz się rano czuła o wiele lepiej, jeżeli teraz wyjaśnimy sytuację – kontynuowała Caroline. – Obiecuję ci, że…

– Cisza!

Potężny ryk Jamesa z taką mocą wstrząsnął pokojem, że Elizabeth aż usiadła. Niefortunnie jednak jej szarfa nadal znajdowała się w zaciśniętej dłoni Jamesa i Elizabeth poczuła nagle, że nie może złapać tchu, a coś wbija się jej boleśnie między żebra.

– James – wykrztusiła – puść.

Tak też zrobił, chociaż przede wszystkim dlatego, że miał potworną ochotę pogrozić komuś pięścią. Komukolwiek.

– Na miłość boską! – zagrzmiał. – W takim jazgocie nie można nawet myśleć! Czy nie moglibyśmy poprzestać na jednej rozmowie? Jednej, ale takiej, w której moglibyśmy wszyscy uczestniczyć?

– W zasadzie – wtrąciła Caroline nierozważnie – żeby nie skłamać, to właśnie omawialiśmy jedno zagadnienie. Naturalnie, mówiliśmy równocześnie…

Mąż przyciągnął ją do siebie ze zdecydowaniem, które sprawiło, że wydała gromki okrzyk, po czym zamilkła na chwilę.

– Muszę porozmawiać z Elizabeth – powiedział James. – Sam na sam.

Odpowiedź dziewczyny była natychmiastowa i zdecydowana:

– Nie.

Blake skierował się ku drzwiom, ciągnąc za sobą opierającą się Caroline.

– Pora na nas, kochanie.

– Nie możemy Elizabeth tu zostawić wbrew jej woli – protestowała Caroline. – To nie w porządku i nie mogę z czystym sumieniem…

– Przecież jej nie skrzywdzi – przerwał Blake.

Caroline owinęła nogę wokół nogi stołu.

– Ja jej nie zostawię – warknęła Caroline.

Elizabeth podziękowała jej bezgłośnie, za to z głębi serca.

– Blake – rzucił James, łypiąc dziko na Caroline, która zdążyła tymczasem objąć pomarańczowymi łapkami spory fotel.

Blake tylko wzruszył ramionami.

– Już wkrótce się nauczysz, Jamesie, że są takie chwile, kiedy z żoną po prostu lepiej się nie spierać.

– Cóż, może się tego nauczy przy jakiejś innej żonie – oznajmiła twardo Elizabeth – bo ja za niego nie wyjdę.

– Jak chcesz! – wybuchł James, wymachując wściekle ręką w stronę Ravenscroftów. – Zostańcie i słuchajcie sobie. I tak pewnie podsłuchiwalibyście pod drzwiami. Co zaś do ciebie… – spiorunował Elizabeth wzrokiem – to wysłuchasz mnie i wyjdziesz za mnie.

– Widzisz? – szepnęła Caroline mężowi. – Wiedziałam, że zmądrzeje i pozwoli nam zostać.

James obrócił się wolno. Kark miał napięty do granic możliwości i chodziła mu szczęka.

– Ravenscroft – zagadnął z niebezpiecznym spokojem w głosie, patrząc na przyjaciela – nie bierze cię czasem chętka, żeby ją udusić?

– Och, co chwila – odparł Blake pogodnie. – Ale i tak się cieszę, że wyszła za mnie, a nie za ciebie.

– Co? – głos Elizabeth był cienki i ochrypły. – On ją prosił o rękę?

Dobrą chwilę gwałtownie kręciła głową, wodząc wzrokiem od Jamesa do Blake’a i z powrotem, zanim wreszcie zdołała względnie znieruchomieć i spojrzeć na Caroline.

– Oświadczył ci się?

– Tak – potwierdziła Caroline bez większego przejęcia, wzruszając ramionami. – Ale nie mówił poważnie.

Elizabeth spojrzała na niego chłodno.

– Masz zwyczaj składania nieszczerych propozycji małżeństwa?

W spojrzeniu, które James rzucił Caroline, było jeszcze więcej chłodu.

– Nie przyczyniasz się do poprawy sytuacji.

Caroline podniosła na męża spokojne oczy.

– Na mnie nie licz – powiedział.

– Ożeniłby się ze mną, gdybym się zgodziła – wyjaśniła w końcu z głośnym westchnieniem. – Ale oświadczył się dlatego, że chciał zagrać na ambicji Blake’a, który nie kwapił się z oświadczynami. To był bardzo uprzejmy gest z jego strony.Będzie dla ciebie cudownym mężem, Elizabeth. Naprawdę.

Elizabeth wpatrywała się w całą tę trójkę z niedowierzaniem. Samo przysłuchiwanie się ich rozmowie sprawiało, że czuła się zmęczona.

– Namieszaliśmy ci w głowie, prawda? – spytała Caroline.

W samej rzeczy Elizabeth nie wiedziała nawet, jak odpowiedzieć.

– To naprawdę dość niezwykła historia – rzucił Blake, niedbale wzruszając ramionami. – Napisałbym o niej książkę, ale i tak nikt by mi nie uwierzył.

– Tak myślisz? – spytała Caroline. Oczy jej rozbłysły. – A jak byś ją nazwał?

– Czy ja wiem – Blake podrapał się po brodzie. – Może coś o łapaniu dziedziczki na żonę.

– A dlaczego nie „Jak doprowadzić przyjaciół do całkowitego i nieodwracalnego obłędu”? – warknął James.

Elizabeth pokręciła głową.

– Wszyscy jesteście obłąkani. Jestem tego pewna.

Blake znowu wzruszył ramionami.

– Sam często tak myślę.

– Czy mógłbym zamienić słowo z Elizabeth, jeśli łaska? – warknął James.

– Najmocniej przepraszam – odparł Blake celowo zaczepnym tonem. – Zdążyłem całkiem zapomnieć, dlaczego tu jesteśmy.

James szarpnął się za włosy – wydawało mu się, że to jedyny sposób, by nie zacisnąć rąk na szyi przyjaciela.

– Zaczynam rozumieć – cedził przez ściśnięte zęby – dlaczego zaloty powinny się odbywać bez świadków.

Blake uniósł brew.

– To znaczy?

– To znaczy, że wszystko zepsułeś.

– Dlaczego? – napadła na niego Elizabeth. – Bo cię przypadkiem zdemaskował?

– Wszystko bym ci jutro sam powiedział.

– Nie wierzę ci.

– Wierz albo nie wierz, nic mnie to nie obchodzi! – krzyknął James. – Ale to prawda.

– Wybacz, że ci przerywam – wtrąciła Caroline – ale to chyba powinno cię obchodzić, nie sądzisz? Było nie było, poprosiłeś ją o rękę.

James zaczął dygotać, gotów udusić kogoś gołymi rękami. Miał do wyboru Blake’a z jego kpiącymi spojrzeniami, Caroline z jej upodobaniem do wtykania nosa w nie swoje sprawy w stopniu nieznanym dotąd ludzkości i Elizabeth…

Elizabeth. Tak, najwyraźniej to ona budziła w nim najwięcej gniewu, samo bowiem jej imię sprawiało, że temperatura podskakiwała mu o kilka stopni. I w tej chwili nie była to kwestia pożądania.

Był w furii. Trząsł się na całym ciele, szczękał zębami, napiął mięśnie tak, jakby za moment miał wyskoczyć ze skóry. A trójka jego obecnych towarzyszy ewidentnie nie uświadamiała sobie niebezpieczeństwa, na jakie się narażali z każdym kolejnym głupawym żarcikiem.

– Teraz będę mówił. – Panowanie nad głosem sprawiało mu ból. – A następna osoba, która mi przerwie, wyfrunie przez okno. Czy to jasne?

Nie padło ani jedno słowo.

– Czy to jasne?

– Sądziłem, że mamy się nie odzywać – zauważył Blake.

Okazało się to wystarczającą zachętą dla Caroline, która rzuciła półgłosem:

– Myślisz, że on wie, że okno jest zamknięte?

Elizabeth przycisnęła rękę do ust. James spojrzał na nią dziko. Niech Bóg ma ją w swojej opiece, jeżeli się roześmieje.

Zrobił głęboki wdech, wpatrzony w jej błękitne oczy.

– Nie powiedziałem ci, kim jestem, bo ciotka wezwała mnie tu po to, żebym dowiedział się, kto ją szantażuje.

– Ktoś szantażuje twoją ciotkę? – spytała śmiertelnie zaskoczona Caroline.

– Boże kochany! Ten kretyn musi szukać śmierci! – wykrzyknął Blake i łypnął na Elizabeth. – Mnie na przykład ta stara jędza przeraża.

James spojrzał na niego, po czym znacząco zerknął w stronę okna, by wreszcie znowu zwrócić oczy na Elizabeth.

– Byłoby nieroztropnością mówić ci o moim prawdziwym zadaniu tutaj, w domu mojej ciotki, ponieważ, jak sobie przypominasz, sama byłaś główną podejrzaną.

– Podejrzewałeś Elizabeth? – przerwała Caroline. – Czyś ty całkiem oszalał?

– Owszem. I tak już zostało – potaknęła Elizabeth. – Mówię o stanie jego umysłu.

James odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. Dosłownie moment i wybuchnie.

– Szybko oczyściłem ją z podejrzeń – warknął.

– I właśnie wtedy powinieneś mi był powiedzieć, kim jesteś. Zanim… – Elizabeth urwała, wbijając spojrzenie w podłogę.

– Zanim co? – spytała Caroline.

– Okno, kochanie – przypomniał Blake, delikatnie poklepując żonę po ramieniu. – Nie zapominaj o oknie.

Kiwnęła głową i znowu odwróciła się do Jamesa i Elizabeth z wyczekującą miną.

James rozmyślnie ją zignorował, całą uwagę skupiając na Elizabeth. Siedziała na fotelu, sztywna, z twarzą zdradzającą takie napięcie, jakby gotowa była się rozsypać pod dotykiem dłoni. Usiłował sobie przypomnieć, jak wyglądała zaledwie godzinę wcześniej, zarumieniona, zachwycona i roznamiętniona. Ku swojemu przerażeniu przekonał się, że nie potrafi.

– Nie wyznałem ci wtedy prawdy – kontynuował – ponieważ uważałem, że przede wszystkim winny jestem lojalność ciotce. Ona… – gorączkowo szukał słów, które mogłyby wyrazić głębię jego przywiązania do tej szorstkiej starszej kobiety, ale przypomniał sobie, że Elizabeth zna jego przeszłość. W rzeczywistości była jedyną osobą, której opowiedział całą historię swojego dzieciństwa. Nawet Blake znał tylko jej fragmenty.

– Z czasem stała się dla mnie bardzo ważna – powiedział w końcu. – Nie mógłbym…

– Nie musisz mi tłumaczyć, dlaczego kochasz lady Danbury – powiedziała Elizabeth cichutko, nie podnosząc na niego oczu.

– Dziękuję ci – odparł. – Nie znałem i dalej nie znam tożsamości szantażysty. Ponadto nie wiem, czy to indywiduum może okazać się niebezpieczne. Nie widziałem powodów, by wciągać cię jeszcze bardziej w tę aferę.

Gwałtownie poderwała głowę. Na jej twarzy malował się ból.

– Ale wiesz, że nie zrobiłabym niczego, co zraniłoby lady Danbury.

– Oczywiście, że tak. Twoje przywiązanie do niej jest oczywiste. Ale fakt faktem, że nie masz w podobnych sprawach doświadczenia i…

– A ty oczywiście masz? – spytała z sarkazmem.

– Elizabeth, prawie przez dziesięć lat pracowałem w ministerstwie wojny.

– Tamten pistolet – wyszeptała. – Sposób, w jaki zaatakowałeś Fellporta. Wiedziałam, że coś jest nie tak.

James zaklął bezgłośnie.

– Moje porachunki z Fellportem nie wiązały się w żaden sposób z moim doświadczeniem zawodowym. Na miłość boską, Elizabeth, ten człowiek zaatakował ciebie.

– Tak – odparła – ale widać było, że przemoc ci nieobca. Przychodziła ci zbyt łatwo. To, jak wyjąłeś pistolet… Widać było, że umiesz aż nazbyt dobrze obchodzić się z bronią.

Nachylił się, wbijając w nią płomienny wzrok.

– To, co czułem w tamtej chwili, nie mogło mi być bardziej obce. To była furia, Elizabeth, czysta i prymitywna furia, i nie przypominała niczego, czego wcześniej zaznałem.

– Ty… ty nigdy wcześniej nie czułeś furii?

Pokręcił powoli głową.

– Nie takiej. Fellport ważył się wyciągnąć łapy po coś, co było moje. Ma szczęście, że pozwoliłem mu żyć.

– Nie jestem twoja – wyszeptała, ale w jej głosie zabrakło pewności.

– Nie jesteś?

Stojąca w przeciwległym kącie pokoju Caroline westchnęła.

– James – mówiła Elizabeth. – Nie mogę ci wybaczyć. Po prostu nie umiem.

– Czegóż to, do diabła, nie możesz mi wybaczyć? – warknął. – Że nie powiedziałem ci, że mam ten cholerny tytuł? Do czorta, miałem wrażenie, że sama mówiłaś, że nie chcesz markiza?

Cofnęła się i wyszeptała;

– Jak to?

– Nie pamiętasz? Tu, w tym pokoju? Trzymałaś książkę i…

– Nie mów o niej – poprosiła gardłowo, niemal z wściekłością. – Nawet o niej nigdy nie wspominaj.

– Dlaczego nie? – zadrwił. Gniew i ból uczyniły go okrutnym. – Bo nie chcesz, by ci przypominać, w jakiej byłaś desperacji? Jak interesowna i

chciwa?

– James! – wykrzyknęła Caroline. – Przestań!

Ale było w nim zbyt wiele bólu. Za daleko już się posunął.

– Nie jesteś ode mnie lepsza, Elizabeth Hotchkiss. Prawisz kazania o uczciwości, a sama chciałaś podstępem skłonić jakiegoś nieszczęsnego, niczego niespodziewającego się człowieka do małżeństwa.

– Nic podobnego! Nie poślubiłabym nikogo, nie upewniwszy się najpierw, że zna moją sytuację. Sam wiesz.

– Wiem? Nie przypominam sobie, byś wspomniała o takich szlachetnych pryncypiach. Prawdę mówiąc, pamiętam tylko, że wypróbowywałaś swoje sztuczki na mnie.

– Sam mi kazałeś!

– James Siddons, zarządca, był wystarczająco dobry, żeby się z nim podroczyć – szydził – ale nie wystarczająco dobry, by za niego wyjść. W tym rzecz?

– Jamesa Siddonsa kochałam! – wybuchła. Zaraz potem przerażona swoimi słowami zerwała się na równe nogi i rzuciła do drzwi.

Ale James był szybszy. Zagrodził jej drogę, szepcząc:

– Kochałaś mnie?

– Kochałam jego! – zawołała. – Nie wiem, kim ty jesteś.

– Tym samym człowiekiem.

– Nie, to nieprawda! Mężczyzna, którego kochałam, już nie istnieje. On nie drwiłby z kobiety, jak ty zadrwiłeś ze mnie. A przecież… – głos jej się załamał. Zaśmiała się przez ściśnięte gardło. – A przecież zadrwił…

– Na miłość boską, Elizabeth, co, u diabła, zrobiłem tak nikczemnego i podłego?

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Ty nawet nie wiesz, tak? Brzydzę się tobą.

Poczuł ogarniającą go wściekłość. Włożył całą siłę woli w to, by nie chwycić dziewczyny za ramiona i nie potrząsać nią, dopóki nie odzyska

rozsądku. W końcu, zdobywając się na opanowanie, o jakie się nawet nie podejrzewał, zdołał wykrztusić dwa słowa:

– Wyjaśnij to.

Stała przez chwilę w absolutnym bezruchu. Następnie tupnęła nogą, sztywnym krokiem przemierzyła pokój i gwałtownym ruchem zdjęła z półki *Jak poślubić markiza*.

– Przypominasz to sobie? – krzyknęła, wymachując czerwonym tomikiem w powietrzu. – Przypominasz?

– Prosiłaś, żebym nie wspominał o tej książce w obecności Ravescroftow.

– To nie ma znaczenia. Upokorzyłeś mnie już przed nimi tak gruntownie, że równie dobrze sama mogę dokończyć dzieła.

Caroline oparła dłoń na ramieniu Elizabeth kojącym gestem.

– Uważam, że jesteś naprawdę dzielna – powiedziała miękko. – Nie wolno ci myśleć, że zostałaś upokorzona.

– Och, tak uważasz? – rzuciła Elizabeth, zachłystując się przy każdym słowie. – Cóż, w takim razie popatrz na to! – Wcisnęła książkę w dłonie Caroline.

Ta spojrzała na tomik, ale że trzymała go tytułem do spodu, mruknęła tylko, zdziwiona. Kiedy jednak obróciła go w dłoni, wyrwał się jej cichy okrzyk.

– Co to, skarbie? – spytał Blake.

Bez słowa podała tomik mężowi, który zaczął mu się przyglądać. Potem oboje podnieśli pytający wzrok na Jamesa.

– Nie jestem pewna, co się faktycznie stało – zaczęła ostrożnie Caroline – ale wyobraźnia podsuwa mi najróżniejsze straszne obrazy.

– Przyłapał mnie z tym w ręku – odparła Elizabeth. – Wiem, że to tylko idiotyczna książka, ale musiałam wyjść za mąż i nie miałam do kogo zwrócić się po radę. A tu nagle on przyłapuje mnie z tą książką. Bałam się, że będzie ze mnie kpił. Ale tego nie zrobił – nabrała powietrza i otarła łzę

płynącą po policzku. – Był taki miły. A potem… A potem zaproponował, że będzie mnie uczyć. Zgodził się ze mną, że nie mogę mieć nadziei na poślubienie markiza…

– Nigdy tego nie powiedziałem! – wykrzyknął z żarem James. – Ty to powiedziałaś. Nie ja.

– Zaproponował, że pomoże mi tak zinterpretować tę książkę, żeby…

– Zaproponowałem, żeby ją spalić, jeśli sobie przypominasz. Mówiłem ci, że to same bzdury.

Rzucił Elizabeth wściekłe spojrzenie, a gdy stwierdził, że nie zaczęła się pod jego wpływem trząść jak osika, popatrzył groźnie na Blake’a i Caroline. I tu jednak jego spojrzenia nie wydawały się przynosić pożądanych skutków, odwrócił się więc z powrotem w stronę Elizabeth i niemal wrzasnął:

– Na miłość boską, kobieto, w całej tej cholernej książce jest jedno jedyne zdanie, które należy potraktować serio.

– A mianowicie? – spytała z przekąsem dziewczyna.

– Że wyjdziesz za tego swojego cholernego markiza!

Milczała dłuższą chwilę, nie spuszczając z Jamesa błękitnych oczu, po czym odwróciła się od niego z gwałtownością, którą odczuł jak smagnięcie bicza.

– Obiecał, że pomoże mi się nauczyć, jak złapać męża – mówiła do Ravenscrofta. – Ale nigdy mi nie powiedział, kim jest. Nigdy nie mówił, że jest cholernym markizem.

Nikt się nie odezwał, więc westchnęła tylko z goryczą i dodała:

– Teraz już znacie całą prawdę.

W mgnieniu oka James znalazł się obok ukochanej.

– Nigdy się z ciebie nie śmiałem, Elizabeth – zapewnił, nie odrywając od jej twarzy uważnego spojrzenia. – Musisz w to uwierzyć. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

– Tak się jednak stało – powiedziała tylko.

– Zatem wyjdź za mnie. Pozwól mi do końca życia wynagradzać ci tę krzywdę.

Kolejna łza popłynęła po policzku dziewczyny

– Ty nie chcesz się ze mną ożenić.

– Oświadczam ci się i oświadczam – odparł z niecierpliwym syknięciem. – Jakich jeszcze dowodów byś chciała?

– Nie mam prawa do dumy? A może to uczucie zastrzeżone dla elity?

– Takim jestem strasznym człowiekiem? – westchnął. – No więc nie powiedziałem ci, kim jestem. To prawda. Przepraszam. Racz mi wybaczyć jednak to, że tak się ucieszyłem… Nie, że tak uszczęśliwił mnie fakt, że zakochałaś się we mnie, nie w moim tytule, nie w pieniądzach, w niczym, co posiadam. Po prostu we mnie.

Wydała gardłowy, stłumiony okrzyk.

– To była próba?!

– Nie! – niemal krzyknął. – Oczywiście, że to nie była żadna próba. Mówiłem ci, miałem bardzo ważne powody, by ukrywać tożsamość. Ale… Ale… – gorączkowo szukał słów. – Ale i tak było mi dobrze. Nawet nie wiesz jak, Elizabeth. Nie masz pojęcia.

– Nie – odparła cicho. – Nie wiem.

– Nie karz mnie, Elizabeth.

Przejęcie sprawiło, że głos Jamesa brzmiał niewyraźnie, ale Elizabeth i tak poczuła, że jego ciepły baryton przenika ją po najdalsze zakamarki duszy. Musi stąd wyjść, uciec, zanim oplącze jej serce nićmi kolejnych kłamstw.

Wyrwała ręce z uścisku Jamesa i pomknęła ku drzwiom.

– Muszę iść – rzuciła. W jej głosie narastała panika. – Nie mogę teraz z tobą przebywać.

– Gdzie idziesz? – spytał James.

– Do domu.

Zatrzymało ją jego wyciągnięte ramię.

– Nie pójdziesz do domu sama. Jest ciemno, a po okolicy kręci się mnóstwo podpitych mężczyzn.

– Ale…

– Możesz mnie znienawidzić, nie dbam o to – powiedział nie znoszącym sprzeciwu tonem. – Ale nie pozwolę ci wyjść z tego pokoju samej.

Spojrzała błagalnie na Blake’a.

– Ty mógłbyś mnie odprowadzić. Zrobisz to? Proszę.

Blake wstał. Jego spojrzenie spotkało się na chwilę ze wzrokiem Jamesa, po czym kiwnął głową.

– Byłbym zaszczycony.

– Uważaj na nią – rzucił James ochryple.

Blake ponownie kiwnął głową.

– Wiesz, że będę.

Podał Elizabeth ramię i razem wyszli na korytarz.

James popatrzył w ślad za nimi, a potem oparł się o ścianę. Drżał na całym ciele teraz, gdy ujawniały się emocje, nad którymi starał się panować przez cały wieczór. Furia, ból, rozdrażnienie, a nawet frustracja – wszystkie te uczucia wrzały w nim, zżerały go, dławiły oddech.

Usłyszał dziwny dźwięk i obejrzał się. Do licha, zupełnie zapomniał, że w pokoju została jeszcze Caroline.

– Och, James – westchnęła. – Jak mogłeś?

– Nic nie mów, Caroline – warknął. – Po prostu nic nie mów.

Jak burza wypadł na korytarz i nie patrząc przed siebie, zaczął torować sobie drogę przez tłum w holu. W gabinecie czekała na niego butelka whisky, która wydawała się najlepszą towarzyszką na ten wieczór.

19

Nie trzeba było wiele czasu, by Elizabeth doszła do wniosku, że Blake – mimo swojej zażyłości z Jamesem – jest bardzo mądrym człowiekiem. Odwożąc ją do domu, nie próbował nawiązywać rozmowy, nie zadawał wścibskich pytań. Ograniczył się jedynie do pocieszającego poklepania jej po plecach i stwierdzenia:

– Jeżeli chciałabyś z kimś porozmawiać, jestem przekonany, że Caroline chętnie cię wysłucha.

Inteligentny mężczyzna wie, kiedy trzymać usta na kłódkę.

Drogę do domu przebyli w ciszy przerywanej jedynie przez okazjonalne uwagi Elizabeth dotyczące trasy.

Kiedy jednak zajechali na miejsce, Elizabeth zauważyła ze zdumieniem, że jej niewielki dom tonie w światłach.

– Boże – mruknęła. – Musieli zapalić wszystkie świeczki.

A potem, naturalnie, odezwało się przyzwyczajenie. Zaczęła obliczać w myślach koszty zużywanych właśnie knotów do lamp, modląc się przy tym, by nie okazało się, że rodzeństwo użyło drogich świec z pszczelego wosku, które trzymała dla gości.

Blake oderwał wzrok od drogi i spojrzał na nią.

– Coś się stało?

– Mam nadzieję, że nie. Nie mam pojęcia…

Kariolka zatrzymała się. Elizabeth zeskoczyła na ziemię, nie czekając na pomoc Blake’a. Nie było powodu, dla którego w domu Hotchkissów

miałaby o tej porze panować taka wrzawa. Najmniejszego powodu. Ze środka dobiegał jednak hałas zdolny obudzić nieboszczyka – i chociaż Elizabeth wydawało się, że rozróżnia w nim radosne piski – nie mogła wyzbyć się uczucia narastającej paniki.

Wpadła przez drzwi i ruszyła w stronę, z której dobiegały głośne okrzyki i wybuchy śmiechu, by stanąć w drzwiach bawialni. Susan, Jane i Lucas tańczyli w kółku, trzymając się za ręce. Zaśmiewali się przy tym i śpiewali na całe gardło jakąś z lekka nieprzyzwoitą piosenkę.

Elizabeth dosłownie oniemiała. Nigdy wcześniej rodzeństwo nie zachowywało się w podobny sposób. Chciała wierzyć, że przez pięć ostatnich lat udawało się jej ich osłaniać i że zapewniła im cudowne i względnie beztroskie dzieciństwo. Teraz jednak wydawali się wręcz pijani szczęściem.

Blake stał obok niej, ale kiedy szepnął: „Wiesz już, co się stało?”, nie umiała odpowiedzieć.

Po kilku sekundach Susan zauważyła starszą siostrę, stojącą w progu i przypatrującą się ich trójce z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy.

– Elizabeth! – zawołała. – Wróciłaś!

Elizabeth pokiwała wolno głową.

– Co tu się dzieje? Nie spodziewałam się, że będziecie jeszcze na nogach.

– Och, Elizabeth – wykrzyknęła Jane. – Stało się coś przewspaniałego! Nigdy nie uwierzysz!

– Cudownie – odparła Elizabeth, wciąż jeszcze zbyt zdruzgotana, by wykrzesać z siebie więcej radości. Ale próbowała. Nie wiedziała, co mogło wprawić jej rodzeństwo w taką ekstazę, ale była im winna chociaż tyle, by spróbować zgasić wyraz bólu we własnych oczach.

Susan podbiegła do niej, hołubiąc w ręce porwaną ze stolika kartkę papieru.

– Zobacz, co przyszło, kiedy cię nie było. Przyniósł to posłaniec.

– Posłaniec w liberii – dodała Jane. – Straszliwie przystojny.

– To był służący – powiedział z wyższością Lucas.

– Co nie oznacza, że nie mógł być przystojny – odparowała dziewczynka.

Elizabeth poczuła, że musi się uśmiechnąć. Przysłuchiwanie się sprzeczkom Lucasa i Jane było tak cudownie swojskie. Nie jak wcześniejsza część tego potwornego wieczoru. Wzięła od Susan ową kartkę i zaczęła czytać.

I nagle zaczęły jej drżeć ręce.

– Czyż to nie wspaniałe? – pytała Susan z jaśniejącymi z zachwytu oczami. – Kto by się spodziewał?

Elizabeth nie odpowiedziała. Zbierało się jej na mdłości.

– Jak myślisz, od kogo to może być? – dopytywała się Jane. – Na pewno to ktoś bardzo, bardzo cudowny. Najmilszy, najbardziej cudowny człowiek na świecie.

– Mogę? – mruknął Blake.

W milczeniu podała mu kartkę. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że Susan, Jane i Lucas wpatrują się w nią ze zdumieniem.

– Nie cieszysz się? – spytała szeptem Jane.

Blake oddał kartkę Elizabeth, a ona znowu przebiegła wzrokiem jej treść, jakby ponowne przeczytanie mogło zmienić sens owej uwłaczającej wiadomości.

Sir Lucas Hotchkiss,

Panna Elizabeth Hotchkiss,

Panna Susan Hotchkiss,

Panna Jane Hotchkiss.

Z przyjemnością informuję, iż otrzymaliście państwo anonimowy przekaz bankowy na niebagatelną sumę 5000 funtów. Anonimowy dobroczyńca

zadbał także o to, by sir Lucas mógł uczęszczać do szkoły w Eton, gdzie powinien się stawić na początku semestru,

Z poważaniem

Geo Shillingworth

Shillingworth i Syn

To od Jamesa. Na pewno od niego. Odwróciła się w stronę Blake’a i zmierzyła go niemal wrogim spojrzeniem.

– On chciał tylko pomóc – powiedział miękko.

– To mi uwłacza – wykrztusiła z trudem. – Jak mogłabym to przyjąć? Jakże miałabym…

Położył dłoń na jej ramieniu.

– Jesteś wycieńczona. Być może gdybyś zastanowiła się nad tym jutro rano…

– Oczywiście, że jestem wycieńczona! Ja… – kątem oka dostrzegła osłupiałe miny rodzeństwa i zakryła usta dłonią, przerażona.

Trzy pary błękitnych oczu wpatrywały się na przemian to w nią, to w Blake’a Ravenscrofta, którego nawet nie znali i…

Pan Ravenscroft. Powinna przedstawić go dzieciom. Musiały być poważnie zaniepokojone jej reakcją i powinny się dowiedzieć chociażby tego, kim jest nieznajomy stojący w ich saloniku.

– Susan, Jane, Lucas – starała się mówić ze spokojem – to jest pan Ravenscroft, przyjaciel… – Przełknęła ślinę. O mały włos nie powiedziała „przyjaciel pana Siddonsa”, a James nie tak się przecież nazywał. – To przyjaciel rodziny Danburych. I był tak uprzejmy, że odwiózł mnie do domu.

Odczekała, aż rodzeństwo wymruczy powitalne formułki, po czym odwróciła się w stronę gościa.

– Panie Ravenscroft, oto moje… – urwała nagle i oczy się jej zwęziły. – Bo tak się pan nazywa, panie Ravenscroft, prawda? A może pan też ukrywa przede mną jakiś tytuł?

Blake pokręcił głową z lekkim uśmiechem.

– Zwyczajny „pan”, niestety. Chociaż jeżeli konieczne są pełniejsze wyjaśnienia, to mój ojciec jest wicehrabią.

Elizabeth chciała się uśmiechnąć – wiedziała, że ten komentarz miał poprawić jej humor – ale po prostu nie mogła. Stanęła przodem do rodzeństwa i powiedziała z ciężkim sercem:

– Nie możemy tego przyjąć.

– Ale…

– Nie możemy. – Nie była nawet w stanie określić, które z rodzeństwa chciało zaprotestować, tak szybko wpadła w słowo. – To zbyt wiele. Nie możemy przyjąć tak hojnego daru.

Jane najwyraźniej była odmiennego zdania.

– Ale skoro ta osoba, kimkolwiek jest, dała nam tyle pieniędzy, to chyba chciała, żebyśmy je sobie wzięli?

Elizabeth przełknęła ślinę, czując ucisk w gardle. Kto mógł wiedzieć, jaka myśl przyświecała Jamesowi? Czy była to część jakiegoś wielkiego planu, by z niej zadrwić? Po tym, co już zrobił, motywy jego postępowania były dla niej zagadką.

– Jestem przekonana, że tego chciał – odparła ostrożnie – w innym wypadku nasze nazwiska nie pojawiłyby się w nagłówku. Ale to nie ma związku ze sprawą. Nie możemy przyjąć takich pieniędzy od nieznajomego.

– Może to nie jest nieznajomy – bąknęła Susan.

– To byłoby jeszcze gorsze! – odparowała Elizabeth. – Mój Boże, wyobrażacie to sobie? Jakiś wstrętny człowiek traktujący nas jak marionetki, pociągający za wszystkie sznurki w przekonaniu, że wolno decydować o naszym losie. To chore. Po prostu chore.

Nastąpiła krótka cisza, a po niej najstraszniejszy chyba dźwięk pod słońcem. Poznała go od razu. To Lucas starał się nie wybuchnąć płaczem.

Podniósł na nią ogromne oczy i sam ten widok sprawił, że ścisnęło się jej serce.

– Czy to znaczy, że nie pojadę do Eton? – wyszeptał.

Zaczęło ją dławić w gardle. Chciała mu powiedzieć prawdę.

Wiedziała, że musi go jakoś przekonać, że nie mogą przyjąć pieniędzy Jamesa, ale nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

Stała tylko i patrzyła, jak drżą mu usta. Tak bardzo starał się zachować kamienną twarz i nie okazać rozczarowania. Małe rączyny wyciągał sztywno wzdłuż ciała, bródkę wysunął do przodu, jakby jej nieruchomość miała sprawić, że łzy nie popłyną.

Elizabeth patrzyła na niego i uzmysłowiła sobie, jaka jest cena jej dumy.

– Nie wiem, jak to będzie z Eton – powiedziała, pochylając się, żeby go objąć. – Może nam się jakoś uda.

Ale Lucas szarpnął się do tyłu.

– Nie stać nas na mój wyjazd. Bardzo się starasz ukryć to przede mną, ale ja wiem. Nie mogę pojechać. Nigdy nie będę mógł.

– Nieprawda. Być może mylę się co do tego – wskazała list niesprecyzowanym gestem.

Uśmiechnęła się blado. W jej słowach nie brzmiał cień przekonania i nawet ośmiolatek – zwłaszcza ośmiolatek – musiał poznać, że kłamała.

Lucas patrzył Elizabeth prosto w oczy przez najdłuższą, najtrudniejszą chwilę w jej życiu. Potem przełknął ślinę i powiedział:

– Idę się położyć.

Nie próbowała go zatrzymać. Nie miała nic do powiedzenia.

Jane ruszyła za nim bez słowa. Jej przygnębienie objawiało się nawet w sposobie, w jaki kołysał się jej warkocz, gdy szła.

Elizabeth przeniosła wzrok na Susan.

– Nienawidzisz mnie?

Susan pokręciła przecząco głową.

– Ale nie rozumiem.

– Nie możemy tego przyjąć, Susan. Mielibyśmy wobec ofiarodawcy dług do końca życia.

– Ale co to ma za znaczenie? Nawet nie wiemy, kim jest!

– Nie chcę mieć wobec niego długu wdzięczności! – oznajmiła Elizabeth z pasją. – Nie chcę.

Dziewczynka cofnęła się z rozszerzonymi oczami.

– Ty wiesz, kto to jest – wyszeptała. – Wiesz, kto nam to przysłał.

– Nie – odparła Elizabeth, ale obie wiedziały, że to kłamstwo.

– Właśnie, że tak. I dlatego nie chcesz przyjąć tych pieniędzy.

– Susan, nie mam zamiaru dłużej o tym rozmawiać.

Mała cofała się dalej, ale zatrzymała się w drzwiach na chwilę i zacisnęła rączkę na framudze.

– Pójdę pocieszyć Lucasa – powiedziała. – Przyda mu się ramię, na którym będzie mógł się wypłakać.

Elizabeth aż się skuliła.

– W samo serce – mruknął Blake, kiedy Susan była już na schodach.

Dziewczyna odwróciła się w jego stronę. Zdążyła całkiem o nim zapomnieć.

– Słucham?

Potrząsnął głową.

– Nie ma czego powtarzać.

Elizabeth oparła się ciężko o tył sofy, czując, że nie zdoła utrzymać się na nogach ani sekundy dłużej.

– Wydaje mi się, że dzisiejszego wieczoru został pan wtajemniczony we wszystkie moje intymne sprawy.

– Nie we wszystkie.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Zakładam, że wróci pan teraz do markiza Riverdale i wszystko mu opowie.

– Nie, opowiem wszystko żonie. Jamesowi nie.

Elizabeth patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

– Co zatem zamierza mu pan powiedzieć?

Blake wzruszył ramionami, kierując się do drzwi.

– Że byłby idiotą, gdyby panią stracił. Ale podejrzewam, że już to wie.

Elizabeth obudziła się następnego poranka, wiedząc, że ma przed sobą okropny dzień. Nie chciała nikogo widzieć, absolutnie nie chciała z nikim rozmawiać, ze sobą włącznie.

Nie chciała oglądać rodzeństwa i ich rozczarowanych twarzy, nie mówiąc już o Ravenscroftach, dwojgu nieznajomych, którzy stali się świadkami jej całkowitego i ostatecznego upokorzenia. Postanowiła nie odwiedzać lady Danbury. Nie łudziła się, że zdołałaby spędzić cały dzień w towarzystwie hrabiny, żeby nie wybuchnąć płaczem i nie zasypać jej pytaniami, jak mogła uczestniczyć w knowaniach Jamesa.

A już na pewno nie chciała widzieć Jamesa.

Wstała z łóżka, ubrała się, po czym usiadła na nim, ogarnięta dziwną apatią. Poprzedni dzień był strasznie wyczerpujący pod tyloma względami. Jej serce, umysł, ciało – wszystko odmawiało dziś posłuszeństwa. Najszczęśliwsza byłaby, mogąc po prostu przesiedzieć tak, nie widując się z nikim, nie robiąc niczego cały boży tydzień.

No, może nie szczęśliwa. To już była przesada. Jednak to, co odczuwała w tej chwili, wydawało się nieskończenie lepsze od uczuć, które wezbrałyby w niej, gdyby ktoś zapukał do drzwi i…

Puk, puk.

Elizabeth wbiła oczy w sufit.

– Ten jeden raz – zamruczała zrzędliwie – ten jeden jedyny raz Ty nie mogłeś wysłuchać mojej prośby? – Podniosła się, zrobiła krok, ponownie podniosła oczy i z twarzą ściągniętą w grymasie niezadowolenia dodała: – A naprawdę sam wiesz, że nie prosiłam o wiele.

Otworzyła drzwi mocnym pchnięciem i oczom jej ukazała się Susan, zastygła z uniesioną w górze ręką. Elizabeth milczała, przede wszystkim dlatego, że miała wrażenie, iż nie powinna ufać swojemu głosowi.

– Masz gościa – oznajmiła dziewczynka.

– Nie chcę go widzieć.

– To nie jest żaden „on”.

Elizabeth tak to zaskoczyło, że aż pochyliła się cała w stronę siostry.

– Nie?

– Nie – Susan podała jej kremowobiałą kartę wizytową. – Wygląda na dosyć miłą osobę.

Elizabeth zerknęła na kartę, stwierdzając mimochodem, że wykonano ją z najdelikatniejszego, najdroższego gatunku papieru.

„Pani Blake’owa Ravenscroft”

– Rozumiem, że to żona tego pana, którego wczoraj poznaliśmy.

– Tak. Ma na imię Caroline – Elizabeth przegarnęła ręką włosy, których nie zdążyła jeszcze nawet upiąć. – Jest bardzo miłą osobą, ale po prostu nie mam siły na gości.

– Wybacz – przerwała Susan – ale nie sądzę, żeby zamierzała sobie pójść.

– Słucham?

– Pozwól, że zacytuję: „Spodziewam się, że nie ma ochoty na gości, ale z radością tu poczekam, aż zmieni zdanie”. A potem usiadła, wyjęła książkę…

– Boże! *Jak poślubić markiza*?!

– Nie, ta miała czarną okładkę. Myślę, że to jakiś dziennik. W każdym razie coś w nim zapisywała. Ale przerwałaś mi – dodała z wyrzutem dziewczynka. – Spojrzała na mnie i powiedziała: „Nie martw się. Sama się czymś zajmę”.

– Tak powiedziała?

Susan kiwnęła głową, po czym wzruszyła ramionkami.

– No to się nie martwię. Siedzi i pisze coś w tym swoim dzienniku, i wygląda na bardzo zadowoloną. Ale i tak nastawiłam imbryk. Wypadało.

– Naprawdę nie zamierza wyjść?

Susan pokręciła głową.

– Wydaje mi się, że to wyjątkowo uparta kobieta. Nie sądzę, żeby wyszła, zanim się z tobą nie zobaczy. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby przyniosła ubranie na zmianę.

– W takim razie powinnam chyba ułożyć włosy i zejść na dół – odparła z westchnieniem Elizabeth.

Susan sięgnęła do stojącej obok niewielkiej toaletki i podniosła szczotkę.

– Pomogę ci.

Zapał ten wydał się Elizabeth podejrzany. Nigdy wcześniej Susan nie pomagała jej układać fryzury i zapewne zrobiła to teraz tylko dlatego, że skręcała się z ciekawości. Ale szorstkawy dotyk szczotki na skórze był tak przyjemny, że Elizabeth postanowiła nie oponować. Poza tym rozkoszowała się świadomością, że dla odmiany teraz ktoś czeka na nią.

Liczyła w myślach ruchy szczotki po włosach, ciekawa, kiedy Susan wyrwie się z pierwszym pytaniem. Jeden, dwa, trzy, cztery – aha! Przed piątym dziewczynka jakby się zawahała. Jak nic pytanie jest gotowe…

– Czy wizyta pani Ravenscroft ma jakikolwiek związek z tym, co stało się ubiegłej nocy? – spytała Susan.

Pięć pociągnięć szczotką! Elizabeth była pod wrażeniem. Nie spodziewała się, żeby Susan wytrzymała do trzeciego.

Szczotka znowu przesunęła się po jej włosach.

– Lizzy? Słyszysz mnie?

– Zapewniam cię, że nie znam powodu jej wizyty – skłamała.

– Hm…

– Au!

– Przepraszam.

– Dawaj to! – wyrwała młodszej siostrze szczotkę. – I spinki też. Nie dam ci do siebie podejść z żadnym ostrym narzędziem.

Susan cofnęła się, założyła ręce i zmarszczyła czoło.

– Nie mogę się na niczym skupić, gdy tak stoisz i piorunujesz mnie wzrokiem – mruknęła Elizabeth.

– I dobrze.

– Susan Mary Hotchkiss!

– Nie zachowuj się, jakbyś była moją matką.

Elizabeth westchnęła ciężko, bezradnie pocierając ręką czoło. Tego ranka tylko tego jej było trzeba do szczęścia.

– Susan – zaczęła cicho – powiem ci wszystko, co powinnaś wiedzieć, kiedy tylko dojdę do siebie.

Dziewczynka nie spuszczała z niej wzroku przez kilka chwil, wyraźnie szukając właściwych słów.

– Nie stać mnie w tej chwili na nic więcej – dodała Elizabeth, wsuwając ostatnią spinkę. – Mogłabyś więc równie dobrze okazać trochę miłosierdzia i postarać się zrozumieć moją sytuację.

Susan kiwnęła głową z pociemniałymi nagle oczami, w których malował się teraz cień skruchy. Zeszła siostrze z drogi, gdy ta wychodziła z pokoju, po czym ruszyła za nią po schodach.

Kiedy Elizabeth stanęła w drzwiach, Caroline siedziała przycupnięta na sofie w bawialni, zajęta pisaniem w oprawionym w czarną skórę notesie.

Na dźwięk kroków Caroline podniosła wzrok.

– Nie jesteś bardzo zaskoczona, widząc mnie tutaj, prawda?

Elizabeth uśmiechnęła się lekko.

– Nie spodziewałam się ciebie, ale teraz, kiedy już tu jesteś… Nie mogę powiedzieć, żebym była zaskoczona.

Caroline zatrzasnęła notes.

– Blake o wszystkim mi opowiedział.

– A tak, wspominał, że powie. Ja… – Elizabeth urwała, odwróciła głowę, by spojrzeć za siebie. Rzuciła gniewne spojrzenie Susan kręcącej się nadal przy wejściu. Spojrzenie to wystarczyło, by mała szybko znikła z holu. Elizabeth nie była jednak usatysfakcjonowana. Odwróciła się w stronę gościa: – Miałabyś ochotę się przejść? Nie wiem, o czym chcesz porozmawiać, ale jeżeli wskazana byłaby dyskrecja, zdecydowanie radziłabym przeniesienie się na dwór.

Caroline roześmiała się.

– Uwielbiam rodziny! Są tak nieskończenie wścibskie! – Podniosła się, podpierając ręką plecy. – Nie wątpię, że chciałabyś, żeby twoja teraz znalazła się w Grecji albo jeszcze dalej. Ja nie miałam rodziny i mogę ci szczerze powiedzieć, że cudownie jest mieć kogoś, kto interesuje się tobą na tyle, by podsłuchiwać.

– Jest w tym trochę racji – przyznała niechętnie Elizabeth.

Caroline poklepała się po brzuchu.

– Między innymi dlatego tak bardzo cieszę się na to dziecko. Nie miałam rodziny, równie dobrze mogę więc sama ją stworzyć.

Wyszły na dwór i zaczęły niespiesznie oddalać się od domu. Kiedy już nie można ich było dostrzec z okna, Caroline odwróciła się do Elizabeth.

– Mam nadzieję, że nie czujesz się dotknięta tym, że James zaaranżował ten przekaz bankowy – zaczęła, tuląc do siebie notes.

– Nie wiem, jak mogłabym się czuć inaczej.

Caroline wyglądała, jakby miała odpowiedź na końcu języka, ale zamknęła usta, pokręciła nieznacznie głową i podjęła w innym tonie:

– A może zrobił to dlatego, żebyś nie czuła się zmuszona wyjść za mąż niezgodnie z głosem twojego serca.

Elizabeth nie odpowiedziała.

– Naturalnie nie znam całej sprawy – mówiła dalej Caroline – ale próbowałam złożyć jakoś jej fragmenty najlepiej jak potrafię i rozumiem, że postanowiłaś dobrze wyjść za mąż, żeby utrzymać rodzinę.

Elizabeth kiwnęła głową ze smutkiem.

– Nic nie mamy. Ledwie ich mogę wykarmić.

– Jestem przekonana, że James chciał jedynie, byś mogła wybrać, kogo zechcesz. Może nawet niepozornego zarządcę.

Elizabeth gwałtownie odwróciła twarz w jej stronę.

– Nie – zaprotestowała powoli drżącym głosem – nigdy tego nie chciał.

– Nie? Kiedy rozmawiałyśmy przed zabawą, odniosłam wrażenie, że ty i twój zarządca zbliżaliście się do jakichś wiążących ustaleń.

Elizabeth przygryzła wargę. Jako „pan Siddons” James nie wspominał nigdy o małżeństwie, ale faktycznie przysiągł jej, że znajdzie jakiś sposób, by mogli być razem. Zakładała wtedy, że mówił szczerze, ale jak mogłaby nadal wierzyć jego słowom? Przecież skłamał jej nawet wówczas, gdy się przedstawiał.

Caroline chrząknęła dyskretnie.

– Nie uważam, że powinnaś przyjąć jego darowiznę.

– Zatem rozumiesz, jak się czuję…

– Uważam, że powinnaś za niego wyjść.

– On mnie ośmieszył, Caroline.

– Nie sądzę, żeby było to jego zamiarem.

– Ale taki właśnie był skutek.

– Dlaczego tak myślisz? – I zanim Elizabeth zdążyła odpowiedzieć, dodała: – Ja tak nie sądzę. Blake też nie. A James to już na pewno…

– Czy możemy przestać o nim rozmawiać?

– Jak chcesz. W takim razie równie dobrze możemy już wracać do ciebie do domu – Caroline odchyliła się do tyłu i podparła ręką krzyż. – Ostatnimi czasy nie mam tyle energii, co zwykle.

Wyciągnęła notes w stronę Elizabeth, prosząc:

– Mogłabyś go potrzymać?

– Oczywiście. To jakiś dziennik?

– Coś w tym rodzaju. To mój słownik. Kiedy natykam się na jakieś nowe słowo, zapisuję je w nim razem z definicją. Naturalnie, muszę potem użyć go w kontekście, bo inaczej wyleciałoby mi z głowy.

– Jakże to interesujące – mruknęła Elizabeth. – Powinnam też spróbować.

Caroline kiwnęła głową.

– Napisałam wczoraj o tobie.

– Tak?

Caroline znowu potaknęła.

– Tam, na ostatniej stronie. To znaczy, na ostatniej zapisanej. Nie krępuj się. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś obejrzała.

Elizabeth wertowała kartki, aż znalazła ostatnie hasło. Brzmiało ono:

Felicytacja (rzeczownik) powinszowanie; życzenie szczęścia; gratulacje

Obawiam się, że James okaże się niezłomny w swoich staraniach o pannę Hotchkiss i wkrótce będziemy składać felicytacje na ręce ich obojga.

– Boże, broń – mruknęła Elizabeth.

– Cóż, to tylko taki zwrot – pośpiesznie wyjaśniła Caroline. – Wcale się tego nie „obawiam”. Jeśli mogę być zupełnie szczera, to powinnam była napisać, że „mam nadzieję”, iż James okaże się niezłomny.

Elizabeth przyglądała się swojej świeżo upieczonej przyjaciółce, starając się zdusić jęk.

– Może powinnyśmy po prostu wrócić do domu.

– Jak chcesz, ale jeśli mogę jeszcze dodać jedną, ostatnią rzecz…

– Jeżeli ma to mieć cokolwiek wspólnego z Jamesem, to wolałabym, żebyś tego nie robiła.

– Ma, ale przyrzekam, że to już ostatnia. Widzisz… – Caroline umilkła, by podrapać się po brodzie. Uśmiechnęła się, zawstydzona, i wyznała: – Zawsze tak się zachowuję, gdy próbuję zyskać trochę czasu.

Elizabeth machnęła ręką w stronę domu i obie z Caroline ruszyły wolnym krokiem.

– Na pewno zaraz mi powiesz, że James jest absolutnie cudownym człowiekiem i…

– Skądże, nic podobnego – przerwała Caroline. – Jest absolutnie nieznośny, ale uwierz mi na słowo, że to najlepszy człowiek pod słońcem.

– Taki, z którym nie można wytrzymać?

– Taki, bez którego nie można żyć. A skoro go kochasz…

– Nie kocham.

– Kochasz. Widzę to w twoich oczach.

– Nieprawda.

– Prawda. – Caroline zbyła jej protesty machnięciem ręki. – Po prostu jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– Caroline!

– Chciałam tylko powiedzieć, że mimo to, iż postąpił wyjątkowo podle, nie mówiąc ci, kim jest naprawdę, miał po temu swoje powody i żadnym z nich nie była chęć upokorzenia ciebie. Naturalnie – dodała ze skinieniem głowy – wiem, że łatwo mi to mówić, bo nie ja brałam lekcje uwodzenia markizów u markiza…

Elizabeth aż się skuliła.

– Ale James miał szlachetne zamiary, tego jestem pewna. I kiedy już uporasz się ze swoim gniewem, wielce słusznym i uzasadnionym zresztą – Caroline zerknęła na towarzyszkę, by się upewnić, że uwaga ta została zauważona – zrozumiesz, że będziesz nieszczęśliwa, jeżeli zabraknie go w twoim życiu.

Elizabeth starała się jej nie słuchać, coraz mocniej bowiem podejrzewała, że w słowach tych było więcej prawdy, niż by sobie tego życzyła.

– Nie wspominając nawet o tym – ciągnęła Caroline beztrosko – że ja będę nieszczęśliwa, jeżeli w moim życiu zabraknie ciebie. Jedyną kobietą w

moim wieku, którą znam, jest siostra Blake’a, a ona wyjechała do Indii Zachodnich razem z mężem.

Elizabeth nie mogła się nie uśmiechnąć, ale szczęśliwie oszczędzono jej odpowiedzi, zauważyła bowiem, że drzwi frontowe jej domu są otwarte na oścież. Odwróciła się do Caroline i spytała:

– Nie zamykałyśmy drzwi, wychodząc?

– Chyba tak.

Wtedy właśnie usłyszały donośny łomot.

Następnie ktoś tubalnym głosem zażądał herbaty.

I w końcu powietrze przeszyło kocie miauczenie.

– Och, nie – zajęczała Elizabeth. – Lady Danbury.

20

Lady Danbury rzadko podróżowała bez swojego kota.

Malcolm, niestety, nie był w stanie docenić uroków życia poza domem. Naturalnie udawał się na okazjonalne wyprawy do stajni, żeby rozejrzeć się za jakąś okrągłą, tłuściutką myszą. Wychował się jednak wśród arystokracji i ewidentnie sam uważał się za arystokratę, więc buntował się, gdy przemocą wydzierano go z domowych pieleszy.

Ku fascynacji Lucasa i Jane, kocur postanowił dać wyraz swojemu zrozumiałemu gniewowi żałośliwym i oskarżycielskim pomiaukiwaniem. Dźwięk ten wydawał z siebie w dwusekundowych odstępach z regularnością, która byłaby imponująca, gdyby sam dźwięk nie był tak potwornie irytujący.

– Miau… – zajęczał boleściwie.

– Co to? – spytała Caroline.

Łup!

– Kwilenie czy łomot? – odpowiedziała pytaniem Elizabeth, kryjąc twarz w dłoniach.

– Miau…

– Jedno i drugie.

Elizabeth poczekała na następne „miau” Malcolma i odrzekła:

– To był kot lady Danbury, a – łup! – to była lady Danbury.

Zanim Caroline zdążyła odpowiedzieć, rozległ się kolejny odgłos – pośpieszny tupot stóp oddalających się w głąb domu.

– To, jak sądzę, była moja siostra, Susan, z herbatą dla lady Danbury.

– Nie miałam przyjemności poznać hrabiny – wyznała Caroline.

Elizabeth złapała ją za rękę i popchnęła przed siebie.

– Zatem czeka cię miła niespodzianka!

– Elizabeth! – zagrzmiała gromko hrabina z bawialni. – Słyszę cię!

– Ona wszystko słyszy – mruknęła dziewczyna.

– To też słyszałam!

Elizabeth uniosła znacząco brwi i wyszeptała bezgłośnie:

– Widzisz?

Caroline otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zamarła z pełnym paniki spojrzeniem rzuconym w kierunku bawialni. Wyrwała swój notes z rąk Elizabeth, sięgnęła po pióro ze stolika i pośpiesznie coś nagryzmoliła.

Elizabeth zajrzała do notesu i przeczytała:

Ona mnie przeraża.

Uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Działa tak na większość ludzi.

– Elizabeth!

– Miau….

– Nie mogę uwierzyć, że zabrała ze sobą kota – powiedziała dziewczyna, kręcąc głową.

– Elizabeth!

– Lepiej będzie, jak pójdziesz się nią zająć – szepnęła Caroline cichutko.

Elizabeth westchnęła ciężko, idąc do bawialni najwolniej jak się dało. Lady Danbury z pewnością będzie miała swoje zdanie na temat upokarzających wydarzeń ubiegłej nocy, a ona będzie musiała grzecznie siedzieć, dopóki hrabina nie przedstawi go co do joty. Jedyną pociechę stanowił fakt, że nie była zupełnie sama.

– Poczekam tutaj – szepnęła Caroline.

– O, nie! Nie ma mowy – zaprotestowała Elizabeth. – Ja wysłuchałam tego, co miałaś mi do powiedzenia. Teraz ty będziesz musiała wysłuchać

jej.

Caroline osłupiała.

– Pójdziesz ze mną – warknęła Elizabeth. Zęby same się jej zaciskały, ale zdobyła się jakoś na niewyraźny uśmiech i zajrzała do salonu. – Muszę powiedzieć, że to prawdziwa niespodzianka widzieć tu panią.

– Gdzieś ty była? – spytała hrabina gniewnie, wiercąc się w ulubionym krześle Elizabeth. – Czekałam na ciebie godzinami.

Elizabeth uniosła dumnie brew.

– Nie mogło mnie nie być dłużej niż jakiś kwadrans, lady Danbury.

– Hm… Każdego dnia przybywa ci tupetu, Elizabeth Hotchkiss.

– A tak – odrzekła Elizabeth i uśmiech jej stał się nieco pogodniejszy. – Chyba ma pani rację.

– Hm. Gdzie mój kot?

– Miaau!

Elizabeth obróciła się na pięcie na tyle szybko, że przed oczami mignął jej kłębek futerka barwy ecru pędzący przez hol, a za nim dwoje piszczących radośnie dzieci.

– Wnoszę, że jest obecnie zajęty, lady Danbury.

– Hm. Pal go licho. Rozprawię się z nim później. Muszę z tobą porozmawiać, Elizabeth.

Elizabeth wepchnęła Caroline do salonu.

– Poznała pani panią Blake’ową Ravenscroft, lady Danbury?

– Żonę tego całego Blake’a?

Caroline kiwnęła głową.

– Nawet i dość przyjemny chłopina – przyznała łaskawie lady D. – Przyjaźni się z moim siostrzeńcem. Przyjeżdżał z wizytą jako dziecko.

– Tak – odparła Caroline. – Boi się pani panicznie.

– Hm. Niegłupi człowiek. I ty też się powinnaś bać.

– Och, bezwzględnie tak.

Oczy hrabiny zwęziły się niebezpiecznie.

– Czy ty się aby ze mnie nie podśmiewasz?

– Nigdy by się nie odważyła – wpadła jej w słowo Elizabeth. – Lady Danbury, jedyną osobą, której pani nie przeraża, jestem ja.

– Cóż, zamierzam dać z siebie wszystko, żeby to teraz zmienić, Elizabeth Hotchkiss. Muszę z tobą porozmawiać. Natychmiast.

– Tak – odparła zmęczona Elizabeth. – Tego się obawiałam. Nigdy wcześniej nie zaszczyciła nas pani wizytą.

Lady Danbury chrząknęła, Elizabeth z ciężkim westchnieniem zaczęła przygotowywać się w duchu na dłuższą tyradę. Hrabina miała zdanie na każdy temat i Elizabeth była głęboko przekonana, że wczorajsze wydarzenia nie mogły stanowić tu wyjątku. A że James był jej siostrzeńcem, na pewno weźmie jego stronę i Elizabeth będzie zmuszona wysłuchać nie kończącej się listy jego zalet, urozmaicanej jedynie okazjonalnymi uwagami na temat cnót samej hrabiny.

– Ty – rzuciła lady Danbury teatralnie, oskarżycielsko wskazując na Elizabeth palcem – nie raczyłaś pojawić się na moim balu maskowym.

Elizabeth na chwilę utraciła zdolność mowy.

– O tym chciała pani ze mną porozmawiać? – spytała w końcu.

– Brak mi słów. Ciebie – wymierzyła palec w Caroline – widziałam. Dynia, tak? Zaiste barbarzyński owoc.

– Warzywo, jak sądzę.

– Nonsens, oczywiście, że owoc. Ma nasiona w tym takim mięsistym, czyli jest owocem. Gdzieś ty się uczyła biologii, dziewczyno?

– Załóżmy, że to tykwa – warknęła Elizabeth. – Możemy zmienić temat?

Lady Danbury zbyła ją niedbałym machnięciem ręki.

– Cokolwiek by to było, nie rośnie w Anglii. Dlatego też nic mi po nim.

Elizabeth poczuła, że ogarnia ją niemoc. Hrabina odbierała jej siły.

Rzeczona dama gwałtownie odwróciła twarz w jej stronę.

– Jeszcze z tobą nie skończyłam, Elizabeth.

Ta jęknęłaby, gdyby nie to, że lady Danbury dodała surowo:

– I usiądź prosto.

Elizabeth podniosła się.

– A zatem – kontynuowała hrabina – tyle się namęczyłam, żebyś się w ogóle zgodziła przyjść. Sprawiłam ci kostium, bardzo twarzowy, dodam, a ty jak mi się odpłacasz? Nie raczysz nawet pofatygować się i bodaj ze mną przywitać.

– Miaaaaaau!

Lady Danbury podniosła oczy akurat w momencie, gdy Lucas i Jane biegli z krzykiem przez korytarz.

– Co oni robią mojemu kotu?

Elizabeth wyciągnęła szyję.

– Nie jestem pewna, czy oni gonią Malcolma, czy to on ugania się za nimi.

Caroline ożywiła się.

– Chętnie sprawdzę.

Dłoń Elizabeth wylądowała ciężko na jej ramieniu.

– Ależ zostań – rzuciła Elizabeth z podejrzaną słodyczą – proszę.

– Dziewczyno – zgrzytnęła hrabina – czy ty masz zamiar mi odpowiedzieć?

Elizabeth zamrugała oczami w konsternacji.

– A zadała pani jakieś pytanie?

– Gdzieś ty była? Dlaczego nie było cię na przyjęciu?

– Ja… ja… – gorączkowo szukała słów. Z pewnością nie mogła jej wyznać prawdy – że była poza domem, za to w ramionach jej siostrzeńca.

– A więc?

Puk, puk, puk.

Elizabeth wystrzeliła z pokoju niczym pocisk armatni.

– Muszę otworzyć drzwi – rzuciła przez ramię.

– Przede mną nie uciekniesz, Lizzy Hotchkiss! – usłyszała jeszcze gromki okrzyk hrabiny. Odniosła także wrażenie, że Caroline mruknęła pod

nosem: „zdrajczyni”, ale nie miała siły się tym przejmować, zżerana niepokojem, że po drugiej stronie ciężkich dębowych drzwi zobaczy twarz Jamesa.

Wzięła głęboki wdech. Jeżeli to nawet był on, i tak nie mogła nic na to poradzić.

– Och, dzień dobry, panie Ravenscroft. – Sama nie wiedziała, skąd brało się to dziwne uczucie rozczarowania.

– Panno Hotchkiss – skinął głową. – Czy jest tu moja żona?

– Tak, w bawialni razem z lady Danbury.

Blake jakby się skulił.

– Może przyjdę później…

– Blake? – usłyszeli wołanie Caroline, dość zresztą rozpaczliwe. – Czy to ty?

Elizabeth szturchnęła go w ramię.

– Za późno.

Szurając nogami, Blake wszedł do bawialni. Miał minę ośmiolatka, który coś przeskrobał i właśnie idzie zebrać burę. Wyobraziła sobie, jak Blake wkłada komuś żabę pod poduszkę, i o mało nie wybuchła śmiechem.

– Blake. – W głosie Caroline brzmiała taka ulga, że wydawała się śpiewać.

– Lady Danbury – wymamrotał.

– Blake Ravenscroft! – wykrzyknęła hrabina. – Ostatni raz cię widziałam, gdy miałeś osiem lat.

– Ukrywałem się.

– Hm. Wszyscy się robicie aż nazbyt impertynenccy, i to wobec kobiety w moim wieku.

– A ile to sobie dzisiaj dajemy latek? – spytał uprzejmie Blake.

– Nie próbuj zmieniać tematu – odrzekła lady Danbury ostrzegawczo.

Caroline odwróciła się do Elizabeth i wyszeptała:

– A jest jakiś temat?

Hrabinie oczy się zwęziły. Pogroziła Blake’owi palcem.

– Jeszcze z tobą nie skończyłam rozmawiać o tym incydencie z żabą, którą włożyłeś nieszczęsnej pani Bowater do poszewki.

– Była okropną guwernantką – odrzekł Blake – a poza tym to był pomysł Jamesa.

– Nie wątpię, ale trzeba było wykrzesać z siebie odrobinę przyzwoitości i… – urwała nagle i rzuciła pełne niezwykłej dla siebie paniki spojrzenie w stronę Elizabeth, która dopiero wtedy uświadomiła sobie, że hrabina nie wie o wydarzeniach minionej nocy.

Ostatnim, czego Elizabeth pragnęła, było, żeby rozmowa zeszła na te tory. Ustawiła się więc do pracodawczyni bokiem i zaczęła niezwykle skrupulatnie studiować swoje paznokcie. Po chwili podniosła wzrok, zamrugała rzęsami i spytała z udanym zaskoczeniem:

– Mówiła pani do mnie?

– Nie – w głosie lady D. brzmiała podejrzliwość. – Nawet nie padło twoje imię.

– Och – odparła Elizabeth. Nie chciała przesadzić z manifestowaniem nieuwagi. – Widziałam, że pani na mnie patrzy, i…

– Nieważne – odrzekła hrabina szybko. Odwróciła się z powrotem w stronę Blake’a, zapewne z zamiarem udzielenia mu reprymendy, ale w końcu nie odezwała się.

Dziewczyna przygryzła wargę. Teraz to dopiero chciało jej się śmiać. Biedna lady Danbury wręcz skręcała się, by zbesztać Blake’a za psotę sprzed dwudziestu lat, ale zrobić tego nie mogła. Wcześniej czy później ktoś musiałby wspomnieć o Jamesie, a przecież hrabina sądziła, że Elizabeth nie zna prawdy, i…

– Komu herbaty? – spytała Susan od progu, niemal zataczając się pod ciężarem przeładowanej zastawą tacy.

– Tego mi było trzeba! – Hrabina o mało nie zerwała się z krzesła, tak spieszno jej było zmienić temat.

Tego już Elizabeth nie wytrzymała i zaniosła się perlistym śmiechem. Dobry Boże, od kiedy to była zdolna śmiać się z czegoś, co wiązało się z wczorajszą katastrofą?

– Elizabeth? – szepnęła Caroline. – Ty się śmiejesz?

– Nie – zakasłała. – Kaszlę.

Caroline mruknęła pod nosem coś, zdaniem Elizabeth, raczej niepochlebnego.

Serwis wylądował na stole z głośnym brzękiem, po czym lady Danbury pozbawiła Susan możliwości czynienia honorów domu, przystawiając bliżej swoje krzesło i oznajmiając:

– Ja naleję.

Dziewczynka cofnęła się gwałtownie, wpadając przy tym na Blake’a, który przycisnął się do żony i szepnął:

– Piękna scenka rodzajowa. Brakuje tu tylko Jamesa.

– Trzymaj język za zębami – rzuciła półgłosem Elizabeth, nie przepraszając nawet za to, że przysłuchuje się ich rozmowie.

– Lady Danbury nie wie, że Elizabeth wie – odszepnęła do męża Caroline.

– O czym wy tak we trójkę szepczecie? – huknęła hrabina.

– O niczym! – Byłoby niezwykle trudno określić, które z nich krzyknęło najgłośniej.

W niezmąconej ciszy lady Danbury podała Susan filiżankę herbaty. Blake obejrzał się dyskretnie i szepnął:

– Czy aby ktoś nie puka?

– Przestań dziewczynie dokuczać – ofuknęła go Caroline.

– To tylko kot – oznajmiła twardo Elizabeth.

– Masz kota? – spytał Blake.

– To kot lady Danbury.

– Gdzie jest mój kot? – spytała hrabina.

– Ona wszystko słyszy – mruknęła Elizabeth.

– To też słyszałam!

Elizabeth przewróciła oczami.

– Wydajesz się być dzisiaj w nie najgorszym nastroju – skomentował Blake ostrożnie.

– Rozpacz jest zbyt wyczerpująca. Postanowiłam powrócić do mojego starego nawyku dopatrywania się tego, co najlepsze, w tym, co najgorsze.

– Cieszę się, że to mówisz – odparł półgłosem Blake – bo właśnie widziałem, jak James podjeżdża pod dom.

– Co? – Elizabeth obróciła się gwałtownie, żeby wyjrzeć przez okno. – Nie widzę go.

– Już przejechał.

– O czym tak we trójkę trajkoczecie? – spytała gniewnie hrabina.

– Mówiłaś, że ona wszystko słyszy – wypomniała Caroline.

Lady Danbury odwróciła się przodem do Susan i zagrzmiała:

– Twoja siostra wygląda, jakby miała zaraz dostać ataku epilepsji.

– Wygląda tak od wczoraj – wyjaśniła uprzejmie dziewczynka.

Hrabina zaniosła się gromkim śmiechem.

– Podoba mi się ta twoja siostra, Elizabeth. Jeżeli mi kiedyś znienacka wyjdziesz za mąż, wezmę ją na twoje miejsce.

– Nie wyjdę za mąż – odparła Elizabeth nie tyle z przekonaniem, co z przyzwyczajenia.

Na te słowa oboje Ravenscroftowie obrócili się w jej stronę z powątpiewającymi minami.

– Naprawdę nie!

I wtedy właśnie rozległo się gwałtowne dobijanie do drzwi.

Blake uniósł znacząco brew.

– Mówisz, że nie wyjdziesz za mąż? – rzucił półgłosem.

– Elizabeth – napadła na nią hrabina. – Nie powinnaś aby otworzyć drzwi?

– Przemknęło mi przez myśl, żeby tego nie robić – mruknęła dziewczyna.

Lucas i Jane uznali najwyraźniej, że jest to świetny moment, by pojawić się w drzwiach do bawialni.

– Chcesz, żebym otworzyła? – spytała Jane.

– Chyba zgubiłem kota lady Danbury – oznajmił Lucas.

Hrabinie filiżanka wypadła ze zmartwiałej ręki.

– Gdzie jest mój biedny Malcolm?

– Cóż, wbiegł do kuchni, potem do ogrodu, a potem rzucił się ścieżką za grządką z rzepami i…

– Mogłabym powalcować do drzwi – paplała Jane. – Powinnam ćwiczyć walca.

– Malcolm! – zakwiliła lady D. – Kici, kici, kici!

Elizabeth odwróciła się, by rzucić gniewne spojrzenie Blake’owi i Caroline, trzęsącym się w napadzie bezgłośnego śmiechu.

– Nie sądzę, żeby panią stąd usłyszał – odpowiedział Lucas.

Łomot stawał się coraz donośniejszy. Najwyraźniej Jane postanowiła potańczyć walca wokół holu, zanim otworzy wreszcie drzwi frontowe.

Potem rozległ się głośny ryk – to James wołał Elizabeth po imieniu – a po nim następny, w którym pobrzmiewała irytacja:

– Otwórz w tej chwili!

Elizabeth opadła bezwładnie na puf, walcząc z przemożną ochotą, by wybuchnąć śmiechem. Gdyby w bawialni było zaledwie o kilka stopni goręcej, mogłaby przysiąc, że znalazła się w piekle.

James Sidewell, markiz Riverdale, nie był w dobrym humorze. Jego zachowania nie można było nazwać nawet znośnie uprzejmym. Przez całe rano nie mógł uleżeć na miejscu. Musiał siłą woli przykuć się do łóżka, by nie pobiec do Elizabeth.

Chciał pójść do niej z samego rana, ale nie! Caroline i Blake uparli się, że powinien dać dziewczynie więcej czasu. Jest wycieńczona, powiedzieli. Lepiej poczekać, aż emocje choć trochę przycichną.

Czekał więc. Wbrew głosowi rozsądku i – co istotniejsze – wbrew głosowi serca, ale czekał. A później, kiedy w końcu wybrał się do pokoju Ravenscroftow, żeby spytać się, czy już dość się naczekał, zastał wiadomość od Caroline dla Blake'a z informacją, że udała się do domu Hotchkissów.

Oraz kartkę od Blake'a o podobnej treści dla niego samego.

Jakby tego jeszcze było mało, kiedy mknął przez główny hol, zatrzymał go lokaj i powiedział mu, że i sama hrabina wybrała się do rodzeństwa Hotchkissów.

– Elizabeth – ryczał James, waląc pięściami w zaskakująco solidne i krzepkie drzwi. – Wpuść mnie w tej chwili, bo jak nie…

Drzwi otworzyły się gwałtownie, a jego wzrok napotkał pustkę. Powiódł spojrzeniem w dół. W progu stała mała Jane Hotchkiss i patrzyła na niego promiennie.

– Dzień dobry, panie Siddons – zaszczebiotała, wyciągając rączkę. – Uczę się tańczyć walca.

– Panno Jane – odrzekł pośpiesznie James. – Miło mi panią znowu widzieć.

Dziewczynka pomachała niecierpliwie paluszkami.

Zamrugał zdumiony.

Paluszki zadrgały znowu.

– Och, naturalnie – rzucił szybko, pochylając się, by pocałować ją w rękę. Najwyraźniej człowiek, który pocałował małą dziewczynkę w rękę, jest zobligowany witać się z nią w ten sam sposób do końca jej dzieciństwa.

– Piękny dzień, nie sądzi pan? – spytała Jane, zdobywając się na swój najbardziej dorosły ton.

– Tak, ja… – urwał i zerknął ponad jej ramieniem, usiłując zobaczyć, co powoduje takie zamieszanie w bawialni. Ciotka krzyczała jedno, Lucas drugie, przez drzwi wypadła Susan i popędziła przez hol do kuchni.

– Znalazłam go! – wrzasnęła w następnej chwili.

Następnie ku szczeremu zaskoczeniu Jamesa z kuchni wytoczył się okrągły kłębek sierści, przemierzył hol i z godnością znikł w bawialni.

Cholera. Nawet temu pieprzonemu kotu udało się tu dotrzeć przed nim.

– Jane – powiedział z heroiczną, jego zdaniem, dozą cierpliwości. – Naprawdę muszę porozmawiać z twoją siostrą.

– Z Elizabeth?

Nie, z Susan, pomyślał cierpko.

– Tak, z Elizabeth – odrzekł wolno.

– A. Jest w bawialni. Ale powinnam pana uprzedzić – Jane przekrzywiła kokieteryjnie główkę – że jest bardzo zajęta. Mieliśmy dziś wielu gości.

– Wiem – mruknął James, czekając, aż Jane odsunie się na bok, tak żeby nie zbić jej z nóg, gdy będzie pędził do bawialni.

– Miau!

– Ten kot nie ma szczególnie dobrych manier – oznajmiła mała oficjalnie, nie wykazując chęci usunięcia się z drogi teraz, gdy miała nowy temat do rozmowy. – Biadoli tak przez cały dzień.

James zauważył, że dłonie same zacisnęły mu się w pięści.

– Doprawdy? – spytał tak uprzejmie, jak tylko mógł. Gdyby jego ton stanowił wierne odbicie jego uczuć, dziewczynka zapewne uciekałaby już z krzykiem.

A droga do serca Elizabeth z pewnością nie prowadziła przez doprowadzanie jej młodszych sióstr do histerii.

Jane pokręciła głową.

– To okropny kot.

– Jane – powiedział James, kucając, by się z nią zrównać – czy mógłbym teraz porozmawiać z Elizabeth?

Dziewczynka odsunęła się błyskawicznie.

– Naturalnie. Trzeba było mówić od razu!

James oparł się dzikiej ochocie wygłoszenia szerszego komentarza. Zamiast tego podziękował Jane, z rozpędu ponownie cmoknął ją w łapkę i pomaszerował do bawialni, gdzie ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu i pewnemu rozbawieniu zastał Elizabeth pełzającą na czworakach po podłodze.

– Malcolmie – syknęła Elizabeth – wyłaź spod tej szafki! I to już!

Kocur tylko pociągnął obraźliwie nosem.

– Już, ty żałosny mały kiciusiu…

– Proszę się nie zwracać do mojego kota w ten sposób – zahuczała lady Danbury.

Dziewczyna sięgnęła ręką pod szafkę, żeby złapać oporny kłębek sierści. Oporny kłębek sierści odwzajemnił się machnięciem upazurzoną łapą.

– Lady Danbury – powiedziała, nie podnosząc głowy – ten kot to potwór.

– Nie bądź śmieszna. Malcolm jest najmilszym kotkiem pod słońcem i świetnie o tym wiesz.

– Malcolm – mruknęła Elizabeth – to diabelskie nasienie.

– Elizabeth Hotchkiss!

– Taka jest prawda.

– Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu powiedziałaś, że jest cudowny.

– W ubiegłym tygodniu był dla mnie miły. O ile pamiętam, pani nazwała go wtedy zdrajcą.

Lady Danbury sapnęła gniewnie, przyglądając się dalszym wysiłkom Elizabeth.

– Naturalnie, że jest podenerwowany, bo go te małe bestyjki ganiały po ogrodzie.

Miarka się przebrała, pomyślała Elizabeth, zerwała się gwałtownie na nogi i huknęła:

– Nikt nie będzie nazywał Lucasa i Jane bestiami oprócz mnie!

Po słowach tych nie zapadła cisza tylko dlatego, że Blake zaśmiewał się pod przyciśniętą do ust dłonią, a lady Danbury krztusiła się, wydając przy tym dziwne, gulgoczące dźwięki. Mrugała przy tym oczami z taką siłą, że Elizabeth była gotowa przysiąc, iż przy każdym spotkaniu się powiek słyszy głośne pacnięcie.

Nic jednak nie mogłoby jej przygotować na dźwięk następny – wolne klaskanie w ręce dochodzące zza jej pleców. Obróciła się niespiesznie przodem do drzwi.

James. Z półuśmiechem podziwu na ustach i uniesioną znacząco brwią. Przekrzywił głowę, by spojrzeć na ciotkę, i powiedział:

– Nie pamiętam, kiedy ostatnim razem ktoś podobnie odezwał się do ciebie, ciociu.

– Poza tobą! – odparowała hrabina. Następnie uzmysłowiwszy sobie, że zwrócił się do niej per „ciociu”, zaczęła znowu krztusić się i gulgotać, kiwając nerwowo głową w stronę Elizabeth.

– Wszystko w porządku – oznajmił James. – Ona już wie.

– Od kiedy?

– Od wczorajszego wieczoru.

Lady Danbury odwróciła się do Elizabeth i wykrzyknęła tubalnie:

– I dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bo pani nie pytała!

Elizabeth tymczasem spojrzała na Jamesa i warknęła:

– Jak długo tu stoisz?

– Widziałem, jak pełzasz pod szafką, jeśli o to chodzi.

Starała się nie jęknąć. Udało się jej porozmawiać z Jane i poprosić, by opóźniła wejście Jamesa do domu. W głębi ducha liczyła na to, że siostrzyczce uda się go powstrzymać przynajmniej na tak długo, by sama mogła zdążyć oddać hrabinie tego jej sakramenckiego kota.

Naprawdę nie chciała, by pierwszym, co James zobaczy po wczorajszej katastrofie, był widok jej kręcącego się siedzenia.

Kiedy dopadnie tego kota…

– Dlaczego – zawołała przenikliwie hrabina – nikt nie poinformował mnie o zmianach w oficjalnej tożsamości Jamesa?

– Blake – rzuciła Caroline, wieszając się na mężowskim ramieniu – możliwe, że to sygnał do naszego wyjścia.

Pokręcił głową.

– Nie przegapiłbym tego za żadne skarby świata.

– Cóż, będziesz musiał – odrzekł James z mocą. Przemierzył pokój i chwycił Elizabeth za rękę. – Wy sobie tu wszyscy zostańcie, napijcie się herbatki, ale my z Elizabeth wychodzimy.

– Poczekaj chwilę – zaprotestowała dziewczyna, bezskutecznie usiłując się wyswobodzić. – Nie możesz tak.

– Jak? – spytał, wpatrując się w nią bez wyrazu.

– Tak! – powiedziała. – Nie masz do mnie żadnych praw…

– Ale będę miał – odparł. Na usta wypłynął mu bardzo pewny, bardzo męski uśmiech.

– Źle się do tego zabiera – szepnęła mężowi Caroline.

Elizabeth rozczapierzyła palce. Dławił ją gniew.

– To mój dom – warknęła. – I jeżeli ktokolwiek ma proponować moim gościom herbatę, to tylko ja.

– Zatem zrób to – odparował James.

– A ty nie możesz mi rozkazywać.

– Nie rozkazuję. Powiedziałem tylko twoim dobranym gościom, z których nikt zresztą nie był tu zaproszony, że wychodzimy.

– On wszystko zepsuje – szepnęła znowu Caroline.

Elizabeth skrzyżowała ręce na piersi.

– Nigdzie się nie wybieram.

Na twarzy Jamesa malowała się groźba.

– Gdyby ją tylko ładnie poprosił… – szepnęła Blake’owi Caroline.

– Blake – rzucił James – zaknebluj swoją żonę.

Ten roześmiał się, czym zapracował sobie u żony na dość solidne szturchnięcie w ramię.

– Co do ciebie… – oznajmił James, łypiąc na Elizabeth. – Znosiłem tyle, na ile pozwoliła mi cierpliwość. Musimy porozmawiać. Możemy to zrobić albo na dworze, albo tutaj, w obecności mojej ciotki, twojego rodzeństwa i – machnął ręką w stronę Caroline i Blake’a – tych dwojga.

Elizabeth nerwowo przełknęła ślinę i znieruchomiała, niezdecydowana.

James pochylił się bliżej w jej stronę.

– Zdecyduj, Elizabeth.

Nie robiła nic, dziwnie niezdolna do odezwania się słowem.

– Dobrze więc – warknął. – Ja zdecyduję za ciebie.

Po czym bez większych ceregieli chwycił ją wpół, przerzucił sobie przez ramię i wyniósł z bawialni.

Blake od dłuższego czasu przyglądał się rozwojowi sytuacji rozbawiony, z uśmiechem na twarzy. Teraz odwrócił się do żony i oznajmił:

– W zasadzie nie mogę się z tobą zgodzić, kochanie. Powiedziałbym, że James zabrał się za to jak należy. Tylko Elizabeth się trochę uniosła.

21

Kiedy wynosił Elizabeth przez drzwi frontowe, wiła się jak piskorz, i to piskorz rozsierdzony. Nie wiedziała jednak, że opowiadając jej o swoich doświadczeniach pięściarskich, James był co najmniej skromny; doświadczenie miał bowiem ogromne, a lekcji wziął znacznie więcej niż kilka. Bawiąc w Londynie, codziennie trenował w klubie bokserskim Jacksona, przebywając zaś poza miastem, notorycznie powodował konsternację i rozbawienie służby, przeskakując z wdziękiem z nogi na nogę i trenując ciosy na belach siana. Skutkiem tego ręce miał silne, ciało umięśnione i Elizabeth, choćby nie wiadomo jak się wierciła, nie miała najmniejszych szans.

– Postaw mnie! – pisnęła.

Nie widział powodu, by odpowiedzieć.

– Milordzie! – rzuciła sarkastycznie.

– Jamesie – warknął, zwiększając odległość dzielącą ich od domu długimi, równymi krokami. – Zwracałaś się do mnie po imieniu wystarczająco często.

– Tak było wtedy, kiedy myślałam, że jesteś panem Siddonsem – odparowała. – I postaw mnie!

James szedł dalej z ręką wbitą w jej żebra. Czuła się jak w imadle.

– James!

Chrząknął.

– Już lepiej?

Elizabeth zaczęła się rzucać odrobinę mocniej, zmuszając go do opasania jej talii drugą ręką. Uspokoiła się prawie natychmiast.

– W końcu zdałaś sobie sprawę, że ucieczka jest niemożliwa? – spytał łagodnie.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Biorę to za „tak”.

Wreszcie, po jakiejś minucie podróży w milczeniu, postawił ją na niewielkim wzniesieniu u stóp ogromnego drzewa. Za plecami miała masywny pień, stopy uwięzione w gmatwaninie grubych, poskręcanych korzeni i twarz dokładnie na wysokości twarzy Jamesa.

Stał przed nią, potężny, ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

Spojrzała na niego ze złością i także skrzyżowała ręce.

James przestąpił z nogi na nogę, ale nadal się nie odzywał.

Wysunęła brodę i zacisnęła szczęki.

James uniósł brew.

– Och, na miłość boską! – wybuchła. – Po prostu mów, co masz do powiedzenia.

– Wczoraj – przypomniał – poprosiłem cię o rękę.

– Wczoraj odmówiłam – odrzekła cicho.

– A dziś?

Miała na czubku języka: „Dzisiaj mnie nie prosiłeś”, ale słowa te nie przeszły jej przez usta. Na taką uwagę mogła sobie pozwolić przy człowieku, którego znała jako Jamesa Siddonsa. Jednak ten drugi mężczyzna – markiz – był kimś zupełnie innym i nie miała pojęcia, jak powinna się przy nim zachowywać. Nie chodziło o to, że nie znała zwyczajów arystokracji, wszak spędziła całe lata w towarzystwie lady Danbury.

Czuła się tak, jakby utknęła w samym środku jakiejś dziwnej farsy, której zasad nie znała. Przez całe jej dotychczasowe życie uczono ją, jak się zachowywać; uczono tego każdą szlachetnie urodzoną dziewczynę w

Anglii. Nikt jednak nie uprzedzał jej, jak się zachować, kiedy zakocha się w mężczyźnie, który zmienia nazwiska jak inni ubranie.

Po długiej ciszy powiedziała:

– Nie powinieneś był przysyłać pieniędzy.

– A dostałaś je?

– Wczoraj.

Zaklął pod nosem, mrucząc:

– Sakramencko nie w porę.

– Dlaczego tak postąpiłeś? – Mrugała oczami; zbierało się jej na płacz. – Myślałeś, że potrzebuję zapomogi? Że jestem żałosną, bezradną…

– Myślałem – przerwał gwałtownie – że zbrodnią byłoby, gdybyś musiała wyjść za jakiegoś podagrycznego starego rozpustnika, żeby móc utrzymać rodzeństwo. Ponadto serce mi pękało, gdy patrzyłem, jak wychodzisz z siebie, usiłując sprostać wizji kobiecości według pani Seeton.

– Nie chcę twojej litości – rzuciła.

– To nie jest litość, Elizabeth. Nie potrzebujesz tych przeklętych edyktów. One tylko zabijały w tobie duszę – rzekł z westchnieniem i przegarnął ręką włosy. – Nie zniósłbym, gdybyś miała stracić ten błysk, który czyni cię tak wyjątkową. Ten cichy żar w oczach lub ten tajemniczy uśmiech, który widzę na twoich ustach, gdy jesteś rozbawiona. Ta kobieta zniszczyłaby w tobie to wszystko, a ja nie mogłem się temu spokojnie przyglądać.

Przełknęła ślinę, zakłopotana ciepłem jego głosu.

James zbliżył się nieco, zmniejszając dzielącą ich odległość o połowę.

– Wszystko, co robiłem, robiłem z przyjaźni.

– To po co te tajemnice? – wyszeptała.

Brwi uniosły mu się w niedowierzaniu.

– A przyjęłabyś te pieniądze, gdybyś wiedziała? – odczekał zaledwie sekundę i dodał: – Wiem, że nie. Poza tym nie wolno mi było wypaść z roli Jamesa Siddonsa. Jak zwykły zarządca zdobyłby taką sumę?

– James, czy ty masz pojęcie, jak bardzo poniżona czułam się wczoraj wieczorem? Kiedy wróciłam do domu, po tym wszystkim, co się stało i znalazłam anonimowy przekaz?

– A co czułabyś – odparował – gdyby przyszedł dwa dni wcześniej? Zanim dowiedziałaś się, kim jestem. Zanim miałaś jakiekolwiek powody, by przypuszczać, że mógłby być ode mnie.

Przygryzła wargę. Prawdopodobnie byłaby trochę zaniepokojona, ale i szczęśliwa. A już na pewno przyjęłaby dar. Duma dumą, ale jej rodzeństwo musi jeść. A Lucas musi iść do szkoły. I gdyby przyjęła oświadczyny Jamesa…

– Czy w ogóle rozumiesz, jaka jesteś samolubna? – pytał gniewnie, w porę przerywając jej rozmyślania, które szły w niebezpiecznym kierunku.

– Jak śmiesz! – wykrzyknęła. Jej głos drżał z wściekłości. – Jak śmiesz nazywać mnie samolubem! Zniosę inne obelgi, może i prawdziwe, ale nie tę.

– Dlatego, że przez ostatnich pięć lat harowałaś dla dobra rodziny? Dlatego, że myślałaś wyłącznie o rodzeństwie, a nigdy o sobie?

Słyszała sarkazm w jego głosie i była zbyt wzburzona, by odpowiedzieć.

– Och, to wszystko prawda – rzucił z chłodnym cynizmem – ale mając niepowtarzalną szansę, by poprawić swoją sytuację, tę jedną jedyną sposobność, by położyć kres wszystkim zmartwieniom i dać rodzeństwu życie, na jakie twoim zdaniem zasługuje, odrzucasz ją.

– Mam swoją godność – odparła dumnie.

Roześmiał się oschle.

– Tak, masz swoją godność. I jest całkiem jasne, że stawiasz ją ponad dobrem swojej rodziny.

Podniosła rękę, by go spoliczkować, ale bez trudu złapał ją za nadgarstek.

– Nawet gdybyś za mnie nie wyszła… – urwał nagle. Tak trudno było mu wypowiadać te słowa. – Nawet gdybyś za mnie nie wyszła, mogłabyś wziąć

pieniądze, a potem wykreślić mnie ze swojego życia.

Potrząsnęła głową.

– Miałbyś nade mną zbyt wielką władzę.

– Jak? Pieniądze byłyby twoje. Nie mógłbym ich odebrać.

– Ukarałbyś mnie, gdybym je wzięła – wyszeptała. – Za to, że je wzięłam i nie wyszłam za ciebie.

Czuł, jak jego serce lodowacieje.

– Za takiego człowieka mnie masz?

– Nie wiem, jakim jesteś człowiekiem! – wybuchła. – Jakże bym mogła wiedzieć? Nie wiem nawet, kim jesteś.

– Przecież mnie dobrze znasz. Musisz wiedzieć, jakim jestem człowiekiem i jakim byłbym mężem. – Dotknął policzka Elizabeth w czułym, pełnym miłości geście. Wiedział, że jego spojrzenie wyraża wszystko, ale tego właśnie chciał. – Nikt nie zna mnie tak dobrze, jak ty.

Dostrzegł jej wahanie i w tej chwili nienawidził jej za to. Ofiaruje jej wszystko, całe swoje serce, a ona się jeszcze waha?

Zaklął bezgłośnie i odwrócił się, by odejść. Zaraz jednak usłyszał wołanie:

– Zaczekaj!

Odwrócił się powoli.

– Wyjdę za ciebie – rzuciła impulsywnie.

Oczy się mu zwęziły.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzyła tępo. – Dlaczego?

– Przez te dwa dni wielokrotnie odrzucałaś moje oświadczyny – przypomniał. – Skąd ta nagła zmiana?

W panice otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Ściskało ją w gardle. Nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa, nie mogła nawet myśleć. Ostatnim, czego się spodziewała, było pytanie o powody zmiany jej decyzji.

Zbliżył się do niej. Żar i siła emanujące z jego ciała obezwładniały ją, choć nawet jej nie dotknął. Uświadomiła sobie nagle, że stoi bez tchu, oparta plecami o pień drzewa i wpatrzona w jego ciemne, pałające gniewem oczy.

– Oś… oświadczyłeś mi się – wykrztusiła z trudem. – Oświadczyłeś się, a ja powiedziałam „tak”. Czy nie tego właśnie chciałeś?

Wolno pokręcił głową i oparł się dłońmi o pień.

– Powiedz mi, dlaczego zmieniłaś zdanie.

Elizabeth przywarła plecami do drzewa. Coś w tym jego niewzruszonym spokoju napawało ją przerażeniem. Gdyby krzyczał, pieklił się, gdyby zareagował jakkolwiek inaczej, możliwe, że wiedziałaby, co robić. Ale ta chłodna furia wytrącała ją z równowagi. Elizabeth stała uwięziona między jego ramionami a pniem, i poczuła, że krew zaczyna w niej wrzeć.

Oczy się jej rozszerzyły i uświadomiła sobie, że musiał dostrzec w nich lęk.

– Prze… przekonałeś mnie – starała się wybrnąć z godnością, tym jednym, czego nadmiar jej zarzucał. – Nie mogę zapewnić rodzeństwu warunków, na jakie zasługują, a ty możesz. I tak musiałabym kiedyś wyjść za mąż, więc równie dobrze mogę wyjść za kogoś, kogo…

– Zapomnij o tym – rzucił. – Wycofuję moją propozycję.

Poczuła, że się dusi.

– Wycofujesz!?

– Nie chcę cię w taki sposób.

Nogi się pod nią ugięły i musiała się chwycić szerokiego pnia za plecami, by nie upaść.

– Nie rozumiem – wyszeptała.

– Nie zamierzam dać się poślubić dla moich pieniędzy – wycedził.

– Och! – wybuchła. Cała jej energia i furia odżyły w jednej chwili. – I kto tu jest hipokrytą? Najpierw szkolisz mnie, żebym mogła wyjść za jakiegoś niczego niespodziewającego się nieszczęśnika dla jego pieniędzy,

a potem wytykasz mi, że nie chciałam twoich. A na koniec wycofujesz propozycję małżeństwa tylko dlatego, że byłam uczciwa i przyznałam, że twoja pozycja i majątek pomogą mojej rodzinie. To niegodne dżentelmena. Ale wiem przynajmniej, dlaczego tak usilnie namawiałeś mnie do małżeństwa. Po to, by mnie jeszcze bardziej upokorzyć!

– Skończyłaś? – spytał niemal z pogardą.

– Nie! – wykrzyknęła. Zła i zraniona, chciała zranić i jego. – W końcu i tak ktoś wyjdzie za ciebie dla twoich pieniędzy. Czyż nie taki zwyczaj panuje w twoim świecie?

– Tak – odparł z mrożącą krew słodyczą. – Pewnie to właśnie było mi przeznaczone, mariaż fortun. Tak jak moim rodzicom, ich rodzicom i rodzicom ich rodziców. Mogę znieść zimne małżeństwo zbudowane na pieniądzu. W ten sposób zostałem wychowany. – Pochylił się w stronę Elizabeth tak blisko, że czuła jego oddech na swoich wargach. – Ale nie mógłbym znieść takiego małżeństwa z tobą.

– Dlaczego nie? – wyszeptała, niezdolna oderwać od niego oczu.

– Ponieważ łączy nas to.

W mgnieniu oka silna dłoń znalazła się na karku dziewczyny, usta łapczywie szukały jej ust. Zanim przygarnął ją do siebie, zdążyła jeszcze pomyśleć, że będzie to pocałunek pełen gniewu, a uścisk gwałtowny, miażdżący. Lecz chociaż trzymał ją w ramionach mocno i pewnie, całował ze zdumiewającą, roztkliwiającą delikatnością.

Był to pocałunek, o jakim marzy każda kobieta. Taki, którego nie sposób przerwać, choćby wokół rozpętało się piekło. Elizabeth poczuła, jak fala gorąca rozlała się po jej ciele, i wyszarpnęła ręce, by opleść je wokół niego. Potem błądziła nimi po jego barkach, ramionach, szyi, by w końcu zatopić obie w jego gęstych włosach.

James szeptał słowa pełne miłości i pożądania, wodząc ustami po policzku Elizabeth. Jego wargi zatrzymały się przy kształtnym uchu, drażniąc i pieszcząc. Odrzuciła głowę do tyłu i kiedy oczom Jamesa ukazał

się kształtny łuk jej długiej szyi, mruknął z zadowolenia. Widok kobiecej szyi, tego cudownego miejsca, zawsze go podniecał.

Ale to była Elizabeth i nie przypominała żadnej z kobiet, które znał. Czuł, jak ogarnia go tkliwość. Włosy miała tak jasne, że nie widać było ich nasady. Jej zapach drażnił jego zmysły. Pachniała mydłem, różami i czymś niepowtarzalnym.

Jego usta wędrowały w dół białej szyi, by zatrzymać się przy zachwycającej linii obojczyka. Górne guziki sukienki były rozpięte. Nie pamiętał, kiedy je rozpiął. Ten obnażony skrawek ciała napawał go zachwytem.

Słyszał oddech Elizabeth, czuł, jak owiewa jego włosy, i podniósł głowę, by ucałować ją w podbródek. Oddech dziewczyny zaczął się rwać, usłyszał jej ciche pojękiwania. Świadomość, że tak gwałtownie reaguje na jego pieszczoty, była cudowna. Pragnęła go. Pragnęła go bardziej, niż się spodziewała. Czuł to. Tego jednego nie mogła przed nim ukryć.

Z wysiłkiem oderwał się od Elizabeth i z trudem odsunął się od niej, choć jego ręce nadal spoczywały na jej ramionach. Oddychali ciężko i drżeli oboje. James ledwo stał na nogach, a i ona nie wyglądała lepiej.

Omiótł spojrzeniem postać ukochanej, napawając się malowniczym nieładem jej włosów. Złociste pasma wysmyknęły się jej z koczka. Każdy kosmyk kusił, by wziąć go w rękę i unieść do ust. Mięśnie miał napięte do ostatnich granic i musiał włożyć całą siłę woli w to, by znowu nie przygarnąć jej do siebie.

Chciał zedrzeć z Elizabeth ubranie, obalić na miękką trawę i dowieść swojej nad nią władzy w ten najbardziej prymitywny ze sposobów. A później, kiedy już wiedziałaby, że do niego należy całkowicie i nieodwracalnie, zrobiłby to jeszcze raz, powoli, zbadał każdy najmniejszy skrawek jej ciała niecierpliwymi dłońmi, potem wargami, a gdy cała płonęłaby z pożądania…

Gwałtownym ruchem zabrał dłonie z ramion dziewczyny. Wolał jej nie dotykać teraz, gdy jego myśli zeszły na tak niebezpieczne tory.

Oparła się ciężko o pień drzewa i podniosła na niego ogromne, błękitne oczy. Oblizała usta i James poczuł, że znowu przebiega go dreszcz.

Cofnął się o kolejny krok. Z każdym jej najmniejszym poruszeniem, z każdym ledwie słyszalnym oddechem tracił kontrolę nad sobą. Nie ufał swoim dłoniom. Za bardzo chciał jej dotykać.

– Przyznaj się, że to jest powodem, dla którego mnie chcesz – wyrzucił z siebie z pasją. – Wtedy się z tobą ożenię.

Jeszcze dwa dni później samo wspomnienie owego pocałunku sprawiało, że Elizabeth ogarniało drżenie. Pamiętała wszystko. Jak stała przy drzewie, oszołomiona i oniemiała, i patrzyła za nim, gdy odchodził. Nie była w stanie się ruszyć przez następnych dziesięć minut. Nie odrywała oczu od horyzontu, bezmyślnie wpatrzona w miejsce, w którym zniknął. A później, kiedy już trochę ochłonęła, usiadła na ziemi i zaniosła się płaczem.

Wmawiała sobie, że chciała go poślubić dlatego, że jest majętny, że jest markizem, ale wiedziała, że to nieprawda. Życie okrutnie sobie z niej zadrwiło – przez ostatni miesiąc próbowała pogodzić się z losem, z tym, że będzie musiała wyjść za kogoś dla pieniędzy, a teraz zakochała się, i to w mężczyźnie zamożnym, który mógł dać jej rodzinie lepsze życie, a była nieszczęśliwa.

Kochała go. Lub też raczej kochała mężczyznę, który był łudząco do niego podobny. Nie obchodziło jej, co mówili Ravenscroftowie. Skromny pan Siddons nie mógł być tym samym człowiekiem, co jaśnie urodzony markiz Riverdale. To po prostu nie było możliwie. W brytyjskim społeczeństwie każdy ma swoje miejsce, nawet dzieci to wiedzą. A już szczególnie często powtarza się to osobom takim jak ona, wywodzącym się z drobnej szlachty, nie liczącej się w towarzystwie.

Mogłaby rozwiązać wszystkie swoje problemy. Wystarczyłoby powiedzieć Jamesowi, że pragnie jego samego, a nie jego majątku. Poślubiłaby mężczyznę, którego kocha, miałaby więcej niż dość pieniędzy, by utrzymać rodzinę. Ale nie potrafiła wyzbyć się obawy, że po prostu go nie zna.

Była realistką i wiedziała, że gdyby zdecydowała się wyjść za kogoś innego, i tak nie znałaby go zbyt dobrze. Albo nawet w ogóle. Zaloty najczęściej trwały krótko i nie pozwalały dwojgu ludziom poznać się bliżej.

Ale z Jamesem było inaczej. Nie mógłby znieść, gdyby wyszła za niego dla samych pieniędzy. Ona z kolei nie mogłaby znieść związku, w którym nie byłoby zaufania. Z kimś innym może tak. Nie z nim.

Zacisnęła powieki i wyciągnęła się na łóżku. Przez ostatnich kilka dni większość czasu spędziła w swoim pokoju. Po kilku nieśmiałych próbach porozmawiania z nią rodzeństwo skapitulowało i przyzwyczaiło się do zostawiania tacki z jedzeniem pod drzwiami. Susan przyrządzała jej ulubione potrawy, ale większość wracała nietknięta. Najwyraźniej problemy sercowe nie przyczyniały się do poprawy apetytu.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Elizabeth słyszała je, ale nie miała zamiaru otworzyć. Obróciła głowę w stronę okna. Słońce wisiało nisko nad horyzontem; musiała nastać pora wieczornego posiłku. Pomyślała sobie, że jeśli nie zareaguje, po prostu zostawią tackę i odejdą.

Pukanie jednak nie cichło, więc z rezygnacją zwlokła się z łóżka. Podeszła do drzwi i gwałtownie pociągnęła za klamkę. Oczom jej ukazała się trójka młodszych Hotchkissów.

– To przyszło do ciebie – oznajmiła Susan, wyciągając w stronę siostry kremową kopertę. – Od lady Danbury. Chce się z tobą spotkać.

Elizabeth uniosła brew z irytacją.

– Zaczęłaś czytywać moją korespondencję?

– Oczywiście, że nie. Wiem to od jej lokaja.

– To prawda – wtrąciła Jane. – Byłam przy tym.

Elizabeth wzięła kopertę. Nie odrywali od niej oczu.

– Nie przeczytasz? – nie wytrzymał w końcu Lucas.

Jane szturchnęła brata w bok.

– Lucas, nie bądź nieuprzejmy – podniosła wzrok na Elizabeth. – Przeczytasz?

– I kto jest teraz nieuprzejmy? – odrzekła Elizabeth.

– Równie dobrze mogłabyś otworzyć – zauważyła Susan. – Przynajmniej na chwilę przestaniesz myśleć o…

– Nic nie mów – ostrzegła ją Elizabeth.

– Cóż, z całą pewnością nie możesz się nad sobą użalać bez końca.

Elizabeth westchnęła ciężko.

– Czyż nie mam prawa pożalać się nad sobą przynajmniej dzień czy dwa?

– Naturalnie – odparła Susan łagodząco. – Ale i tak twój czas się skończył.

Elizabeth zajęczała i rozdarła kopertę. Zastanawiała się, ile o jej sytuacji wiedziało rodzeństwo. Nic im nie mówiła, ale gdy szło o odkrywanie tajemnic, cała trójka była jak małe liski i mogła się założyć, że do tej pory znali już dobrze ponad połowę całej tej historii.

– Nie wyjmiesz go nawet? – spytał z podnieceniem Lucas.

Elizabeth uniosła brwi i spojrzała na brata. Dosłownie podskakiwał.

– Nie mam pojęcia, dlaczego tak cię skręca z ciekawości, żeby dowiedzieć się, co ma mi do przekazania lady Danbury – rzuciła.

– Ja też nie – warknęła Susan, ciężko kładąc rękę na jego ramieniu, żeby przestał się wiercić.

Elizabeth pokręciła głową. Mali Hotchkissowie znowu się sprzeczali, co oznaczało, że życie wraca na zwykłe tory, a to musiał być powód do radości.

Ignorując oburzone pochrząkiwania Lucasa, tak obcesowo potraktowanego przez siostrę, Elizabeth wysunęła kartkę z koperty i

rozłożyła ją. Przebiegnięcie jej treści wzrokiem trwało nie więcej niż kilka sekund, po czym z ust dziewczyny wyrwał się pełen zaskoczenia okrzyk:

– Ja?!

– Coś się stało? – spytała Susan.

Elizabeth pokręciła przecząco głową.

– W zasadzie nie. Ale lady Danbury chce, żebym ją odwiedziła.

– Myślałem, że już u niej nie pracujesz – wyznał Lucas.

– Bo nie pracuję, choć, jak sądzę, będę musiała najeść się wstydu i poprosić ją o moją starą posadę. Nie wiem, jak inaczej moglibyśmy zdobyć pieniądze chociażby na jedzenie.

Kiedy podniosła wzrok, trójka młodszych Hotchkissów przygryzała wargi, w widoczny sposób wręcz umierając z ochoty, by przypomnieć, że po pierwsze mogła wyjść za Jamesa lub – po drugie – mogła przynajmniej zachować pismo z banku, zamiast drzeć je precyzyjnie na kawałki.

Opadła na czworaka, żeby wyjąć buty spod łóżka, pod które wkopała je poprzedniego dnia. Obok domacała się swojej torebki i wyciągnęła ją.

– Idziesz w tej chwili? – spytała Jane.

Elizabeth kiwnęła głową, siadając na dywaniku przed łóżkiem, żeby wciągnąć buty.

– Nie czekajcie na mnie – powiedziała. – Nie wiem, ile mi to zajmie. Sądzę, że lady Danbury odeśle mnie do domu powozem.

– A może nawet zostaniesz na noc – wtrącił Lucas.

Jane palnęła go w ramię.

– Dlaczego miałaby zostawać?

– Może po ciemku byłoby łatwiej – odparł z pałającym wzrokiem – i…

– Tak czy inaczej – rzekła głośno Elizabeth, której cała ta rozmowa wydała się dosyć dziwna – nie czekajcie na mnie, tylko połóżcie się spać.

– Tak zrobimy – zapewniła ją Susan, zgarniając Lucasa i Jane, gdy Elizabeth wychodziła do holu. Cała trójka przyglądała się jej, gdy mknęła po schodach i gwałtownie otworzyła drzwi.

– Baw się dobrze! – zawołała Susan.

Elizabeth rzuciła siostrze sarkastyczne spojrzenie przez ramię.

– Na pewno nie będę się dobrze bawić, ale dziękuję za życzliwość.

Zatrzasnęła za sobą drzwi, pozostawiając Lucasa, Jane i Susan na górze schodów.

– Och, żebyś się nie zdziwiła, Elizabeth Hotchkiss – powiedziała Susan z ironicznym uśmieszkiem. – Żebyś się nie zdziwiła.

Ostatnich kilku dni James Siddons nie mógł zaliczyć do szczególnie udanych. Zachowywał się tak, że nazwanie jego sposobu bycia obmierzłym stanowiłoby czysty eufemizm, a służący lady Danbury zaczęli chodzić opłotkami, żeby się tylko na niego nie napatoczyć.

Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to porządnie się upić. Tak jak owej nocy, gdy Elizabeth dowiedziała się, kim jest. Nie dało mu to jednak niczego poza koszmarnym kacem. Dlatego też szklanka whisky, której nalał sobie po ostatnim spotkaniu z Elizabeth, nadal stała na biurku w bibliotece. W normalnych warunkach wymusztrowana służba ciotki zdążyłaby dawno ją uprzątnąć, choć upita była jedynie w połowie; szklanka zwietrzałej whisky na wypolerowanym blacie była skazą na honorze każdego służącego. Jednak furia, która malowała się na twarzy Jamesa, gdy ktoś niebacznie zapukał do biblioteki, zapewniła mu święty spokój. Teraz ta przystań – i zwietrzała whisky – należały wyłącznie do niego.

Oczywiście, litował się nad sobą, ale wydawało mu się, że człowiekowi, który ma za sobą to, co on, przysługuje prawo do aspołecznego zachowania przez dzień czy dwa.

Byłoby mu łatwiej, gdyby mógł się zdecydować, na kogo jest bardziej zły, na Elizabeth czy na siebie.

Podniósł szklankę dziś chyba już po raz setny, przyjrzał się jej i odstawił na stół. Po drugiej stronie biblioteki czerwony grzbiet *Jak poślubić markiza* połyskiwał szyderczo, przyciągając wzrok. James wpatrywał się w tomik

pałającymi z wściekłości oczami, starając się zapanować nad ochotą ciśnięcia w niego szklanką whisky.

Uznał, że rzecz warto przemyśleć. Gdyby oblał go whisky, a potem wrzucił do kominka… Miałby satysfakcję.

Właśnie ten pomysł rozważał, oceniając w myślach wysokość, jaką powinny osiągnąć płomienie, gdy rozległo się pukanie. Tym razem o wiele głośniejsze od żałosnych popukiwań służby.

– James! Otwórz w tej chwili!

Jęknął. Ciotka Agatha. Podniósł się, zrezygnowany. Lepiej już mieć to za sobą, pomyślał. Znał ten ton. Waliłaby do drzwi, aż okrwawiłaby sobie pięści. Ale nawet wtedy by nie przestała.

– Agatha – powiedział aż nazbyt słodko – jak miło cię widzieć.

– Wyglądasz jak nieboskie stworzenie – sarknęła, a potem odepchnęła go na bok, weszła do środka i usadowiła się w jednym z foteli.

– Taktowna jak zawsze – mruknął, opierając się o stół.

– Jesteś pijany?

Pokręcił głową i wskazał szklankę.

– Nalałem sobie, ale nie wypiłem – przeniósł wzrok na bursztynowy płyn. – Hm. Zaczyna się już zbierać kurz.

– Nie przyszłam, żeby dyskutować o trunkach – odparła Agatha dostojnie.

– Interesowała cię sprawa mojej trzeźwości – przypomniał.

Zignorowała tę uwagę.

– Nie wiedziałam, że zaprzyjaźniłeś się z małym Lucasem Hotchkissem.

Zamrugał oczami i wyprostował się, szczerze zaskoczony. W przeskakiwaniu z tematu na temat ciotka była mistrzynią i do tego był przyzwyczajony. Tym razem jednak naprawdę nie wiedział, co myśleć.

– Lucas? – powtórzył. – Co ma do tego Lucas?

Lady Danbury wyciągnęła złożoną kartkę papieru.

– Przysłał ci ten list.

James wziął do ręki po dziecięcemu uwalaną atramentem kartkę.

– Rozumiem, że przeczytałaś – rzucił.

– Nie był zapieczętowany.

Postanowił dać temu spokój i rozłożył kartkę.

– Dziwne… – mruknął.

– Że chce się z tobą zobaczyć? Nie uważam, żeby było w tym cokolwiek dziwnego. W życiu tego biedactwa nie było dorosłego mężczyzny. Miał trzy latka, gdy jego ojciec zginął w wypadku na polowaniu.

James gwałtownie poderwał głowę. Najwyraźniej zabiegi Elizabeth poskutkowały. Jeżeli nawet Agatha nie odkryła prawdy, to tajemnica pana Hotchkissa była bezpieczna.

– Pewnie ma do ciebie jakieś pytanie – kontynuowała ciotka. – Chce zapytać o coś, o co wstydzi się zapytać siostrę. Chłopcy już tacy są. No i musi być zaniepokojony tym, co się działo przez ostatnich kilka dni.

James przyjrzał się z ciekawością ciotce, która wykazywała się niebywałym wręcz zrozumieniem dla trudnej sytuacji chłopca.

Wtedy właśnie powiedziała miękko:

– Przypomina mi ciebie w jego wieku.

Aż wstrzymał oddech.

– Och, nie rób takiej zdziwionej miny. Jest, naturalnie, o wiele szczęśliwszy, niż ty w owych czasach. – Schyliła się i podniosła kota, który tymczasem zakradł się do biblioteki. – Ale z pewnością nie ma w jego życiu mężczyzny, na którym mógłby się wzorować. – Pogładziła futerko Malcolma. – Rzecz jasna, my, kobiety, jesteśmy bardzo zdolne i w większości wypadków o wiele mądrzejsze od mężczyzn, ale nawet ja muszę przyznać, że są pewne rzeczy, których zrobić nie możemy.

James słuchał, zdumiony. Nie mógł uwierzyć, iż ciotka właśnie przyznała się do istnienia czegoś przekraczającego jej możliwości.

– Pójdziesz się z nim zobaczyć, prawda? – dodała.

Dotknęło go to pytanie. Tylko wyzuty z uczuć potwór mógłby zignorować taką prośbę.

– Oczywiście, że tak. Dziwi mnie jednak jego wybór miejsca spotkania.

– Domek myśliwski lorda Danbury? – Agatha wzruszyła ramionami. – To wcale nie jest takie dziwne. Po śmierci mojego męża nikt z niego nie korzystał. Cederic nie przepada za polowaniem. Poza tym, i tak prawie nigdy nie wyjeżdża z Londynu. Zaproponowałam go Elizabeth. Odmówiła, naturalnie.

– Naturalnie – mruknął James.

– Och, wiem, że uważasz ją za osobę nazbyt dumną, ale nie znasz jej sytuacji. Dom ma opłacony na pięć lat i przeprowadzka niczego by nie zmieniła. Nie chciała niepotrzebnego zamieszania. – Uniosła kota tak, że stał na jej kolanach, i pozwoliła, by polizał ją w nos. – Czyż to nie jest najbardziej kochany kotek na świecie?

– Zależy od tego, jak definiujesz słowo „kochany” – odrzekł James, po to tylko, by ciotce dokuczyć. Sam był Malcolmowi dozgonnie wdzięczny za to, że doprowadził go do Elizabeth owego fatalnego popołudnia.

Lady D. rzuciła siostrzeńcowi gniewne spojrzenie.

– Jak już mówiłam, Elizabeth nie skorzystała z mojej propozycji. Niewykluczone jednak, że mogliby się tam przeprowadzić, kiedy trzeba będzie znowu płacić za dom. Zaprowadziła do domku swoje rodzeństwo. Lucas był pod wrażeniem… – Zmarszczyła czoło w zamyśleniu. – Myślę, że to przez te trofea myśliwskie. Mali chłopcy uwielbiają podobne rzeczy.

James łypnął na zegarek, który służył za podpórkę do książek. Powinien wyjść mniej więcej za kwadrans, żeby nie spóźnić się na spotkanie.

Agatha sapnęła i wstała, pozwalając Malcolmowi zeskoczyć na pustą półkę.

– Pozostawię cię z twoimi myślami – oznajmiła, wspierając się o laskę. – Powiem służbie, żeby nie spodziewali się ciebie przy kolacji.

– Jestem przekonany, że to tyle nie potrwa.

– Nigdy nie wiadomo. Może chłopiec ma jakiś poważny problem i będziesz chciał spędzić z nim więcej czasu. Poza tym – urwała, zatrzymując się w drzwiach i odwracając do niego – i tak nie można powiedzieć, żebyś zaszczycał nas swoją obecnością przy stole przez tych ostatnich kilka dni.

Jadowita riposta, która cisnęła się Jamesowi na usta, zepsułaby to efektowne zejście ze sceny, uśmiechnął się więc cierpko i patrzył bez słowa, jak ciotka wolno idzie przez hol, wspierając się na lasce. Dawno temu zrozumiał, że wszystkim żyje się lepiej, jeżeli przynajmniej w połowie konfliktów ostatnie słowo należy do Agathy.

Wolno wrócił do biblioteki, podniósł szklankę whisky i jednym ruchem wylał jej zawartość za okno. Odstawiając pustą, rozejrzał się wkoło i wzrok jego spoczął na małej czerwonej książce, która prześladowała go od wielu dni.

W paru krokach znalazł się przy tomiku i zdjął go z półki. Wydało mu się ironią losu, że taki mały, lekki jak piórko przedmiot w tak wielkim stopniu wpłynął na jego życie. Stał, przerzucając go z ręki do ręki. A potem zrobił coś, czego sam nie rozumiał. Błyskawicznym ruchem wsunął go do kieszeni płaszcza.

Nienawidził tego tomiku z całego serca, ale dzięki niemu czuł się bliżej niej.

22

Elizabeth zbliżała się do domku myśliwskiego nieboszczyka lorda Danbury, nerwowo przygryzając wargę. Zatrzymała się, żeby ponownie przeczytać nieoczekiwaną wiadomość od hrabiny.

Elizabeth!

Jak świetnie wiesz, jestem szantażowana. Sądzę, że możesz być w posiadaniu informacji, dzięki którym uda się nam schwytać nikczemnika, który obrał mnie sobie za cel. Proszę, spotkaj się ze mną w domku myśliwskim lorda Danbury o ósmej wieczór.

Z poważaniem

Agatha, lady Danbury

Dlaczego lady Danbury uważała, że właśnie ona może wiedzieć coś istotnego – tego Elizabeth nie była w stanie pojąć. Nie miała jednak powodów, by wątpić w autentyczność tego listu. Pismo hrabiny znała jak swoje własne i poznałaby je na końcu świata.

Z rozmysłem nie pokazała tego listu rodzeństwu. Uważała, że wystarczy, jak się dowiedzą, iż hrabina chce się z nią zobaczyć, i tyle. Dzieci nie wiedziały nic o szantażu i Elizabeth nie chciała, by się martwiły, tym bardziej że hrabina wzywała ją o tak późnej porze. Co prawda o ósmej było jeszcze jasno, ale gdyby spotkanie potrwało dłużej niż kilka minut, musiałaby wracać po zmroku.

Zamarła z ręką na klamce. Nigdzie nie było widać powozu, a zdrowie nie pozwalało hrabinie na dłuższe spacery. Nie mogła zatem jeszcze przybyć na miejsce i drzwi musiały być zamknięte na klucz, a skoro tak…

Klamka obróciła się jej w dłoni.

– Dziwne – mruknęła i weszła do środka.

W kominku buzował ogień, obok stał elegancko nakryty stół. Obeszła pokój wolnym krokiem, zastanawiając się, skąd to wszystko się tu wzięło. Dlaczego hrabina miałaby…

– Lady Danbury? – zawołała. – Jest tu pani?

Poczuła, że ktoś stoi za nią, i odwróciła się na pięcie.

– Nie – odpowiedział James. – To tylko ja.

Ręka pofrunęła jej do ust.

– Co ty tu robisz? – rzuciła bez tchu.

Uśmiechnął się krzywo.

– To samo, co ty, jak sądzę. Dostałaś liścik od brata?

– Od Lucasa? – spytała zdumiona. – Nie, od twojej ciotki.

– Aha. Spiskują za naszymi plecami. Masz… – wyciągnął w jej stronę pognieciona kartkę papieru. – Przeczytaj.

Elizabeth rozprostowała ją i przebiegła jej treść wzrokiem.

Milordzie!

Prosiłbym o posłuchanie, zanim wyjedzie Pan z naszego okręgu. Chciałbym zasięgnąć Pańskiej rady w nader delikatnej sprawie. Bynajmniej nie takiej, o jakiej mężczyzna chciałby dyskutować z siostrami.

Brak odpowiedzi uznam za zgodę. Będę oczekiwał Pana w domku myśliwskim lorda Danbury dziś o ósmej wieczorem.

Łączę wyrazy szacunku

sir Lucas Hotchkiss

Elizabeth z trudem powstrzymała pełen zgrozy chichot.

– Pismo Lucasa, ale słowa Susan.

James uśmiechnął się.

– Wydawało mi się, że treść listu nie licuje z wiekiem autora.

– To bardzo mądry chłopiec, naturalnie…

– Naturalnie.

– Ale nie mogę go sobie wyobrazić mówiącego o „nader delikatnej sprawie”.

– Nie zapominając o tym – dodał James – że w wieku ośmiu lat nie miewa się raczej takich spraw.

Elizabeth przytaknęła.

– Och! Jestem przekonana, że cię to zainteresuje – dodała, wręczając Jamesowi list od lady Danbury.

Przeczytał go szybko.

– Wcale nie jestem zdziwiony – rzucił. – Przyjechałem tu kilka minut przez tobą i zobacz, co znalazłem.

W dłoni trzymał dwie koperty. Napis na jednej głosił:

Przeczytajcie natychmiast.

Na drugiej:

Przeczytajcie dopiero wtedy, kiedy się pogodzicie.

Elizabeth o mało nie zaniosła się śmiechem.

– Zareagowałem dokładnie tak samo – mruknął – ale nie sądzę, żebym wyglądał przy tym chociaż w połowie tak czarująco.

Podniosła na niego oczy. Wpatrywał się w Elizabeth z takim napięciem, że aż zaparło jej dech w piersi. A potem, ani na chwilę nie odrywając od niej płomiennego wzroku, spytał:

– Otwieramy?

Moment potrwało, zanim Elizabeth zrozumiała, o czym mówi.

– Ach, koperty. Tak, tak. – Oblizała spierzchnięte wargi. – Obie?

Uniósł tę z napisem: „Przeczytajcie dopiero wtedy, gdy się pogodzicie”, i lekko nią potrząsnął.

– Mogę z nią poczekać, jeżeli uważasz, że będziemy wkrótce mieli powody, by ją przeczytać.

Przełknęła nerwowo ślinę.

– Może otworzymy tę drugą i zobaczymy, co w niej jest – odrzekła wymijająco.

– Jak sobie życzysz.

Skinął wdzięcznie głową. Podważył palcem brzeg koperty i wyjął z niej kartkę. Pochylili się nad nią.

Do Was obojga!

Spróbujcie, proszę, nie zachowywać się jak para kompletnych idiotów.

List nie był podpisany, ale i tak wiedzieli, spod czyjej ręki wyszedł. Te smukłe, kształtne litery znali oboje, ale to lapidarność treści ostatecznie zdradzała autorkę. Nikt, poza lady Danbury, nie potrafił być równie uroczo nieuprzejmy.

James przechylił głowę na bok.

– Ach, ta moja kochająca ciotunia.

– Nie mogę uwierzyć, że mnie tak podeszła – jęknęła Elizabeth.

– Naprawdę? – spytał z powątpiewaniem.

– No, cóż. Oczywiście, że mogę w to uwierzyć. Ale w to, że użyła sprawy szantażu jako pretekstu? Bałam się o nią.

– Szantaż, mówisz. – James przyglądał się zaklejonej kopercie. – Mam nieodparte wrażenie, że wiele się wyjaśni, kiedy do niej zajrzymy.

Elizabeth aż się żachnęła.

– Myślisz, że to wszystko wymyśliła?

– Z pewnością nie była zbyt przejęta brakiem postępów w sprawie.

– Otwórz ją – nakazała. – Natychmiast. Nawet jeszcze szybciej.

James zaczął manipulować przy kopercie, ale nagle przestał i potrząsnął głową.

– Nieee… – powiedział przeciągle. – Chyba jednak poczekam.

– Chcesz czekać?

Uśmiechnął się do niej zmysłowo.

– Jeszcze się nie pogodziliśmy.

– James – rzuciła z wyrzutem, ale w głosie jej brzmiała tęsknota.

– Znasz mnie – mówił. – Znasz moją duszę lepiej niż ktokolwiek na świecie. A jeżeli na początku nie znałaś mojego prawdziwego nazwiska… Cóż, mogę powiedzieć, że wiesz, dlaczego tak się stało. Miałem zobowiązania wobec ciotki. Jestem jej winien więcej, niż kiedykolwiek zdołam odpłacić.

Czekał na odpowiedź, ale Elizabeth milczała uparcie.

– Znasz mnie – powtórzył, tym razem ze zniecierpliwieniem w głosie – i to na tyle, żeby wiedzieć, że przenigdy nie zrobiłbym niczego, co mogłoby cię zranić czy upokorzyć.

Oparł ciężko dłonie na jej ramionach. Miał szczerą ochotę nią potrząsnąć.

– Bo jeśli mnie nie znasz, to nie ma już dla nas nadziei.

Rozchyliła usta w niemym zdziwieniu. Zobaczył koniuszek języka, przesuwający się po wargach. I nagle, patrząc w tę twarz, która nie dawała mu spokoju od tygodni, pojął, co powinien zrobić.

Zanim zdążyła zareagować, chwycił ją za rękę i przycisnął do serca.

– Czujesz? – wyszeptał. – Ono bije dla ciebie. Czujesz? – powtórzył jak echo, unosząc jej dłoń do ust. – Oddychają dla ciebie.

– Przestań – wykrztusiła, niemal mdlejąc. – Przestań.

– Spójrz na moje ramiona – mówił głosem ochrypłym z emocji. – Są ciebie do bólu spragnione.

Zbliżyła się bezwiednie cal, może dwa i wiedział, że jeszcze chwila, a podda się temu, co nieuniknione.

– Kocham cię – wyszeptał. – Kocham cię. Widzę twoją twarz, gdy budzę się rano. W nocy śnię tylko o tobie. To, jaki jestem, to, jaki chciałbym być…

Padła mu w ramiona i wtuliła twarz w ciepły tors.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś – powiedziała z wyrzutem. Głos miała zdławiony od szlochu, z którym walczyła od kilku dni. – Nigdy wcześniej mi tego nie mówiłeś.

– Sam nie wiem dlaczego – tłumaczył się cicho z twarzą wtuloną w jej włosy. – Chciałem, ale czekałem na właściwy moment, a ten nie nadchodził i…

Przycisnęła miękko palec do jego ust.

– Cśśś… Pocałuj mnie.

Przez ułamek sekundy nie był w stanie się ruszyć. Odczuł ulgę tak wielką, że mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. A potem, owładnięty irracjonalną obawą, że Elizabeth zniknie w jego ramionach, przycisnął ją do siebie z całej siły i przywarł do jej ust, przepełniony miłością i pożądaniem.

– Przestań – rzucił zdławionym głosem, odsuwając się od Elizabeth. Wpatrywała się w niego, zaskoczona. Wyjął szpilkę z jej koczka.

– Nigdy nie widziałem cię z rozpuszczonymi włosami – mówił. – Widziałem cię potarganą, ale nigdy z rozpuszczonymi włosami. Chcę zobaczyć, jak lśnią.

Wyjmował pozostałe szpilki, jedną po drugiej, i patrzył, jak kolejne pasma wijących się, złotych włosów spadają kaskadą na plecy Elizabeth. W końcu odsunął ją na odległość ramienia i powoli obrócił.

– Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałem – rzucił bez tchu.

Zarumieniła się.

– Nie żartuj – odrzekła niewyraźnie. – Ja…

– Najpiękniejszą – powtórzył. A potem znowu przyciągnął ukochaną do siebie, uniósł jeden złoty kosmyk i wtulił w niego usta. – Najczystszy jedwab – mruczał. – Chcę go dotykać co noc.

Elizabeth była cała rozpalona i nie sądziła, by ten cały żar, który czuła w sobie, mógł się jeszcze wzmóc. Myliła się jednak. Słowa Jamesa sprawiły, że zaczęła wręcz płonąć. Jej policzki pałały i pochyliłaby głowę, by pod

włosami ukryć rumieniec, ale James uniósł jej twarz do góry i spojrzał prosto w oczy.

Nachylił się nad nią i ucałował kącik jej ust.

– Już wkrótce nie będziesz się rumienić. – Ucałował drugi. – Albo też, jeśli będę miał szczęście, będziesz się rumieniła co noc.

– Kocham cię, James! – Nie wiedziała, dlaczego to mówi, ale wiedziała, że powiedzieć musi.

Uśmiechnął się szeroko, a w jego oczach pojawiła się duma. Ujął w dłonie twarz Elizabeth i przyciągnął do siebie, by złożyć na jej ustach kolejny pocałunek, gorętszy i bardziej namiętny niż kiedykolwiek dotąd.

Przywarła do niego; żar jego ciała przenikał ją na wskroś, a ogień, który w niej płonął, zmienił się w istną pożogę. Drżała z podniecenia, spragniona jego dotknięć, gdy on porwał ją na ręce i ruszył w stronę sypialni.

W chwilę potem opadli na łóżko. Elizabeth czuła, jak kolejne części jej garderoby zsuwają się z niej jedna po drugiej, aż została w samej cienkiej bawełnianej halce. W ciszy słychać było jedynie urywane oddechy. Nagle James rzucił ochryple:

– Elizabeth… Nie… nie mogę…

Podniosła na niego oczy, w których kryło się nieme pytanie.

– Jeśli chcesz, żebym przestał – wykrztusił z trudem – powiedz mi teraz.

Dotknęła ręką jego policzka.

– Powiedz mi od razu – mówił ochryple – bo za chwilę będzie już za późno.

Pocałowała go bez słowa.

– O Boże – jęknął. – Elizabeth.

Wiedziała, że powinna się była odezwać. Powinna wybiec z pokoju i nie pozwalać się Jamesowi do siebie zbliżać, dopóki nie staną na ślubnym kobiercu jako mąż i żona. Ale miłość, którą dopiero poznawała, okazała się uczuciem zbyt silnym, by mu się przeciwstawić, a i samej namiętności oprzeć się było trudno. I nic, ani poczucie przyzwoitości, ani obrączka

wiążąca ją z innym mężczyzną, ani lęk przed utratą reputacji i dobrego imienia, nie mogłoby jej powstrzymać przed garnięciem się do niego.

Drżącymi palcami sięgnęła ku guzikom u jego koszuli. Po raz pierwszy zdobyła się na śmiałość, ale tak bardzo chciała poczuć gorącą skórę jego piersi. Chciała błądzić palcami po muskularnym ciele, poczuć, jak serce mu wali z pożądania.

Jej dłonie zsuwały się powoli w dół jego brzucha, zatrzymały się na chwilę, a potem delikatnie wyciągnęły kraj płóciennej koszuli z bryczesów. Z uczuciem dumy patrzyła, jak mięśnie Jamesa grały pod najlżejszym dotknięciem jej ręki, i wiedziała, że jego pożądania nic nie zdołałoby okiełzać.

Ten mężczyzna, który gonił za przestępcami po całej Europie i za którym, jak mówiła Caroline Ravenscroft, uganiały się setki kobiet, reagował na najlżejszy jej dotyk i to wstrząsało nią do głębi. Czuła się… Czuła się kobietą, gdy patrzyła na swoją własną rękę kreślącą tajemne znaki na jego szerokim torsie i umięśnionym brzuchu.

Wstrzymał oddech i z jękiem wymówił jej imię, a ona poczuła się wszechwładna.

Pozwalał jej wodzić rękami po swoim ciele, aż w pewnym momencie wyrwał się mu gardłowy pomruk i przewrócił się na bok.

– Dosyć – rzucił bez tchu. – Nie mogę… Ani chwili…

Elizabeth uznała to za komplement i usta ułożyły się jej w tajemniczy, zmysłowy uśmiech. Ale niedługo mogła napawać się swoją przewagą. James opadł na pościel, przewrócił ją na plecy i ukląkł nad nią. W jego oczach malowało się pragnienie i wyczekiwanie.

Palce odnalazły rząd malutkich guzików. Zdumiewająco szybko i zręcznie rozpiął wszystkie pięć.

– Ach – mruczał, zsuwając ramiączka halki – tego mi było trzeba.

Obnażył wierzchołki jej piersi, łaskocząc je, zanim zsunął niżej bieliznę.

Elizabeth wbiła ręce w pościel, walcząc z potrzebą, by się okryć. James patrzył na nią z takim ogniem w oczach, że poczuła ciepło i wilgoć. Przez dłuższą chwilę trwał nieruchomo. Nie podejmował pieszczot, wpatrzony w piersi. Językiem zwilżył spierzchnięte wargi, gdy zobaczył, jak twardnieją jej sutki.

– Zrób coś – poprosiła ledwie słyszalnie.

– To? – spytał miękko, pocierając dłonią brodawkę.

Milczała, z trudem łapiąc oddech.

– To? – Lekko ścisnął drugi sutek palcami wskazującym i serdecznym.

– Proszę – rzuciła błagalnie.

– Ach, na pewno myślisz o tym – głos miał zdławiony, gdy pochylał się nad nią, by popieścić jej pierś ustami.

Elizabeth wydała cichy okrzyk. Jej dłoń mięła prześcieradło, druga wczepiła się w gęste włosy Jamesa.

– Och, nie tego chciałaś? – droczył się. – Może druga strona czuje się zaniedbana.

Gdy jego usta dotknęły drugiej piersi, Elizabeth poczuła, że umrze, jeżeli James nie zrobi czegoś, co rozładowałoby to niewiarygodne napięcie, które narastało w niej z każdą chwilą.

Oderwał się od niej na tyle, na ile było trzeba, by halka prześliznęła się przez jej głowę. Gdy gwałtownym szarpnięciem rozpinał pasek, Elizabeth naciągnęła na siebie prześcieradło.

– Nie na długo się schowasz – powiedział głosem ochrypłym z pożądania.

– Wiem – zarumieniła się. – Ale kiedy jesteś przy mnie, jest inaczej.

Rzucił Elizabeth zaciekawione spojrzenie i wśliznął się do łóżka.

– Nie umiem tego wyjaśnić – bezradnie wzruszyła ramionami – co innego, kiedy widzisz mnie całą.

– Aha – powiedział powoli – czyli mogę patrzeć na ciebie taką? – Z iskierkami w oczach pociągnął za prześcieradło, aż zsunęło się, obnażając

jedwabiste ramię, po czym zaczął je całować.

Elizabeth wierciła się i chichotała.

– Rozumiem – powiedział, dla żartu wymawiając słowa ze śmiesznym, obcym akcentem. – A co pani powie na to?

Pochylił się, zdarł prześcieradło ze stóp Elizabeth i zaczął ją łaskotać.

– Przestań! – rzuciła piskliwie.

Odwrócił się w stronę dziewczyny i posłał jej swoje najbardziej chochlikowate spojrzenie.

– Nie wiedziałem, że masz takie łaskotki. – Znowu połaskotał ją w stopę. – A takie rzeczy warto wiedzieć.

– Och, przestań – wykrztusiła. – Przestań, bo nie wytrzymam.

James uśmiechnął się do Elizabeth i w tym uśmiechu wyrażała się cała jego miłość.

Tak bardzo mu zależało na tym, by jej pierwszy raz był doskonały. Marzył o nim od tygodni, o tym, by pokazać swej wybrance, jak wspaniała może być miłość między kobietą a mężczyzną. A nawet jeśli nie uwzględniał w tych marzeniach łaskotek, cóż… Wyobrażał ją sobie z uśmiechem na twarzy.

Prawie takim, jaki miała teraz.

– Och, Elizabeth – wymruczał, składając leciutki pocałunek na jej ustach. – Tak bardzo cię kocham. Musisz mi uwierzyć.

– Wierzę ci – odparła miękko. – W twoich oczach widzę to, co czuję w sercu.

Łzy napłynęły mu do oczu. Nie był w stanie wyrazić gwałtowności uczuć, które wyzwoliły jej słowa. Pocałował ją znowu. Koniuszkiem języka obwiódł jej usta, a jego ręka popełzła w dół po jej boku.

Zesztywniała, pełna wyczekiwania. Ale kiedy dotknął tego najbardziej intymnego miejsca, jej nogi rozchyliły się lekko, by go przyjąć.

– Może zaboleć – powiedział. W jego głosie brzmiał szczery żal. – Nie ma innego sposobu, ale potem będzie lepiej, obiecuję.

Kiwnęła głową, ale dostrzegł na jej twarzy ślad napięcia. Cholera, może nie powinien był tego mówić.

Nie miał doświadczenia z dziewicami. Nie wiedział, jak sprawić, by ból był mniejszy. Mógł jedynie być czuły i delikatny. Ale jak być delikatnym, skoro w życiu nie czuł silniejszego pożądania?

– Już dobrze… – szepnął tylko. Jego głos koił, dłoń odgarniała włosy z jej czoła.

Przysunął się najbliżej jak można. Nie mógł dłużej zwlekać.

– Widzisz? – wyszeptał. – Nie ma się czego bać.

– Jest ogromny – odrzekła.

Zaśmiał się mimo woli.

– Och, kochanie, normalnie odebrałbym to jako najwyższy komplement.

– A teraz… – prowokowała.

Powiódł palcami po jej twarzy, od czoła po brodę.

– A teraz wszystko, czego pragnę, to żebyś się nie bała.

Nieznacznie pokręciła głową.

– Nie boję się. Może troszkę denerwuję, ale nie boję. Wiem, że dzięki tobie to będzie piękne. Przy tobie wszystko jest piękne.

– Będzie pięknie – rzucił z żarem, zbliżając usta do jej ust. – Obiecuję.

Westchnęła cicho, gdy poczuła go. Wszystko to było takie niezwykłe, ale, o dziwo, naturalne, jak gdyby została stworzona dla tej jednej chwili, jakby żyła po to, by przyjąć miłość tego mężczyzny.

Dłonie Jamesa popełzły na jej pośladki, przywarły do nich, unosząc ją lekko. Jęknęła, gdy zatrzymał się na ostatecznym dowodzie jej niewinności.

– Po tej chwili – szeptał, parząc ją oddechem – będziesz już moja.

A potem, nie czekając na odpowiedź, pchnął i zdławił jej cichy, pełen zaskoczenia okrzyk namiętnym pocałunkiem.

Nadal przygarniając ją do siebie, zaczął się poruszać. Przy każdym pchnięciu wydawała cichutki jęk, a potem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, przyłączyła się do niego w rytmie starym jak sam świat.

Napięcie w dole jej brzucha potęgowało się, narastało. Miała wrażenie, że nie mieści się we własnej skórze. A potem coś się zmieniło i czuła się tak, jakby spadała z urwiska, a świat wokół niej eksplodował. W chwilę później James wydał ochrypły okrzyk. Zacisnął dłonie na jej ramionach z nieznośną siłą. Przez chwilę wyglądał, jakby miał umrzeć, aż na jego twarzy pojawił się wyraz czystej rozkoszy, gdy ciężko opadał na nią.

W ciszy było słychać tylko ich oddechy, uspokajające się powoli. W końcu James przetoczył się na bok, przyciągnął Elizabeth plecami do siebie. Leżeli ciasno przytuleni.

– Tego szukałem przez całe życie – powiedział.

Elizabeth kiwnęła głową i oboje zasnęli.

Kilka godzin później obudził ją odgłos kroków po drewnianej podłodze domku myśliwskiego. Nawet nie wiedziała, kiedy James wyśliznął się z łóżka, ale oto i wracał do sypialni, nagi jak w dniu, w którym przyszedł na świat.

Czuła się rozdarta między gwałtowną potrzebą odwrócenia oczu i pokusą, by wpatrywać się w niego bezwstydnie. Wybrała kompromis.

– Zobacz, o czym zapomnieliśmy – powiedział, machając czymś w powietrzu. – Leżał na podłodze.

– List od lady Danbury!

Uniósł brwi i rzucił jej swój najbardziej lubieżny uśmiech.

– Musiałem go upuścić, ale tak się śpieszyłem, żeby dostać od ciebie to, czego chciałem.

Nie sądziła, by po tym, co się stało, jakaś jego uwaga mogłaby jeszcze przyprawić ją o rumieniec. Myliła się jednak.

– Otwórz już ten list – mruknęła.

Postawił świeczkę na stoliku przy łóżku i położył się przy Elizabeth. Zabrał się do listu, jej zdaniem, zbyt opieszale, bo wyrwała mu kopertę i

otworzyła zdecydowanym ruchem. W środku znajdowała się kolejna koperta z napisem:

Oszukujecie mnie, prawda? Czy naprawdę chcecie tu zajrzeć, zanim się pogodzicie?

Elizabeth przycisnęła ręką usta. James nawet nie starał się stłumić chichotu.

– Ale podejrzliwa… – mruknął.

– Najpewniej miała swoje powody – skwitowała Elizabeth. – O mało co nie otworzyliśmy jej listu, zanim…

– Zanim pogodziliśmy się? – dokończył z szatańskim uśmiechem.

– Owszem – odrzekła niewyraźnie – jakbyś mi to z ust wyjął.

Wskazał na kopertę.

– Masz zamiar ją otworzyć?

– Tak, oczywiście.

Otworzyła ją, tym razem spokojniej, wyjęła delikatnie uperfumowaną kartkę białego papieru listowego, starannie złożoną na pół, i wyprostowała ją. Oboje pochylili głowy i zaczęli czytać w świetle świecy:

Najdroższe Dzieci!

Tak, to prawda. Najdroższe dzieci. Bo tak właśnie o Was myślę.

Jamesie, nigdy nie zapomnę dnia, w którym przywiozłam Cię do swego domu. Byłeś taki podejrzliwy, tak trudno Ci było uwierzyć, że mogę kochać Cię za to, jaki jesteś. Przytulałam Cię każdego dnia, próbując uzmysłowić Ci, czym jest rodzina. Pewnego dnia i Ty przytuliłeś się do mnie i powiedziałeś: „Kocham cię, ciociu Agatho”. Od tamtej chwili byłeś mi jak syn. Oddałabym za ciebie życie, ale pewnie o tym wiesz.

Ty, Elizabeth, wkroczyłaś w moje życie, gdy ostatnie z moich dzieci założyło rodzinę i opuściło mnie. Od pierwszego dnia uczyłam się od Ciebie, jak być dzielną, lojalną i wierną swoim przekonaniom. Przez tych ostatnich kilka lat patrzyłam, jak wzrastasz i zakwitasz, i w sercu mym

wzbierała radość. Kiedy pojawiłaś się w mym domu, byłaś taka młoda, niedoświadczona, tak łatwo było Cię wyprowadzić z równowagi. Nawet się nie zdążyłam obejrzeć, a już miałam przed sobą młodą damę, stonowaną, o dowcipie, którego inne mogą jej tylko zazdrościć. Nie schlebiasz mi, nie pozwalasz mi sobie dokuczać; kobieta taka jak ja nie może chyba otrzymać cenniejszego daru. Oddałabym wszystko, co mam, by móc nazywać Cię córką, ale pewnie i Ty o tym wiesz.

Czyż zatem byłoby to tak dziwne, gdybym zaczęła marzyć, by połączyć Was, dwójkę najbliższych mi osób? Wiedziałam, że celu tego nie osiągnę, stosując tradycyjne metody. James z pewnością buntowałby się, widząc mnie w roli swatki. Jest przecież mężczyzną i jak wszyscy mężczyźni jest głupio dumny. Wiedziałam też, że nigdy nie zdołałabym namówić Elizabeth na spędzenie sezonu w Londynie na mój koszt. Nigdy nie wzięłaby udziału w przedsięwzięciu, które na tak długo oderwałoby ją od rodziny.

I tak zrodziło się moje niewinne oszustwo. Zaczęło się od jednego liściku do Jamesa. Zawsze chciałeś mnie uratować, jak ja niegdyś uratowałam ciebie, mój chłopcze. Na pomysł z szantażem wpaść było nietrudno (Muszę poczynić tu pewną dygresję i zapewnić Cię, że w historii tej nie ma słowa prawdy; wszystkie moje dzieci są z prawego łoża, autorstwa – powiedzmy – lorda Danbury. Nie należę do kobiet, które łamią przysięgę małżeńską).

Byłam w zasadzie pewna, że jeśli tylko uda mi się doprowadzić do Waszego spotkania, pokochacie się (a ja się w tych sprawach rzadko mylę), lecz żeby popchnąć Elizabeth we właściwym kierunku, zostawiłam na widoku stary egzemplarz Jak poślubić markiza. Chyba nigdy nie napisano głupszej książki, ale nie wiedziałam, jak inaczej można skłonić Elizabeth do zastanowienia się nad małżeństwem (Zapewniam cię, Lizzy, że wybaczyłam już kradzież tej książki z mej biblioteki. Tak właśnie miałaś się zachować, rzecz jasna, i możesz ją sobie zatrzymać na pamiątkę zalotów Jamesa).

Oto już, i całe moje wyznanie. Nie będę Was prosić o wybaczenie, jako że nie zrobiłam niczego, co moglibyście mieć mi za złe. Mniemam, że niektórzy

mogliby oburzyć się na moje metody. Nie śniłoby mi się nawet, by stawiać Was w dwuznacznej sytuacji, ale było dla mnie jasne, iż oboje jesteście zbyt uparci, by sami dostrzec prawdę. Miłość jest cennym darem i postąpilibyście nierozsądnie, odrzucając go z powodu niemądrej dumy.

Mam nadzieję, że dobrze Wam w domku myśliwskim; przekonacie się, że z góry spełniłam wszystkie zachcianki. Możecie spokojnie w nim zanocować; wbrew temu, co się powszechnie mniema, nie ja ustalam pogodę, jednak składam na ręce pewnego dżentelmena, mieszkającego nad nami, prośbę o gwałtowną burzę – taką, która zatrzymałaby w domu każdego.

Podziękujecie mi na swoim weselu. Wystarałam się już o dyspensę dla Was.

Wasza

Agatha, lady Danbury

Elizabeth na chwilę oniemiała.

– Nie mogę w to uwierzyć – wykrztusiła po chwili. – Wszystko to zaaranżowała.

James przewrócił oczami.

– Ja tam mogę.

– Nie mogę uwierzyć, że podłożyła tę cholerną książkę, wiedząc, że ją wyniosę.

Pokiwał głową.

– W to też mogę uwierzyć.

Odwróciła się w jego stronę. Na twarzy nadal miała osłupienie.

– Wystarała się nawet o dyspensę.

– W to akurat uwierzyć nie mogę – wyznał uczciwie. – Ale tylko dlatego, że sam się o nią wystarałem, i zdziwiłbym się, gdyby arcybiskup sporządził ją w dwóch egzemplarzach.

List wysunął się z jej palców i trzepotliwie opadł na pościel.

– Wystąpiłeś o nią? – wyszeptała.

James uniósł jej dłoń do ust.

– Kiedy byłem w Londynie, szukając nieistniejącego szantażysty.

– Chcesz się ze mną ożenić – powiedziała niemal bezgłośnie, tonem stwierdzenia, nie pytania, ale w jej głosie brzmiała nutka niedowierzania.

James rzucił Elizabeth rozbawione spojrzenie.

– Prosiłem cię o rękę tylko kilkanaście razy.

Podniosła na niego oczy, jakby budziła się z jakiegoś szalonego snu.

– Jeśli mnie znowu poprosisz – powiedziała figlarnie – możesz usłyszeć inną odpowiedź.

– Ach, tak?

– Właśnie tak – odrzekła, kiwając głową.

Powiódł palcem po jej szyi. Zadrżała, a on poczuł, jak oblewa go fala gorąca.

– A dlaczego to zmieniłaś zdanie? – wymruczał.

– Można by pomyśleć – wstrzymała oddech, gdy palec powędrował w dół jej szyi – że to przez tę naszą niedwuznaczną sytuację, ale jeżeli chcesz poznać prawdę…

Nachylił się ku niej z drapieżnym uśmiechem.

– Prawdę i tylko prawdę.

Zbliżył się do niej odrobinę.

– To przez tę książkę.

– Książkę? – Zastygł w bezruchu.

– *Jak poślubić markiza*. Zastanawiam się, czy nie napisać nowej, ulepszonej wersji.

– Żartujesz? – spytał, blednąc.

Uśmiechnięta, zaczęła wiercić się pod nim.

– Tak myślisz?

– Proszę, powiedz, że żartujesz.

Zsunęła się głębiej w pościel.

– Zmuszę cię, żebyś to powiedziała – warknął.

Elizabeth oplotła go ramionami, nie zwracając uwagi na donośny grzmot, od którego zadrżały ściany.

– To mnie zmuś!

I zmusił.

Epilog

Uwaga Autorki: Badacze dziewiętnastowiecznej etykiety zgadzają się jednogłośnie, że liczne gryzmoły odnalezione na marginesach tego unikalnego tomu stanowią dzieło markiza Riverdale.

Ustępy z
Jak poślubić markiza
drugie wydanie uzupełnione i poprawione
przez markizę Riverdale
wydane w roku 1818
Nakład: 1 sztuka

Edykt pierwszy

Nigdy nie zaginaj parolu na dżentelmena, nie będąc pewną jego tożsamości. Jak to każda rozsądna młoda dama wiedzieć powinna, oszustwom mężczyzn nie ma kresu.

Dobry Boże, Lizzy, jeszcze mi tego nie wybaczyłaś?

Edykt piąty

Według przyjętych norm damie nie uchodzi prowadzić rozmowy z dżentelmenem dłużej niż dziesięć minut. Autorka niniejszego dzieła jest odmiennego zdania. Jeżeli mniemasz, iż mężczyzna ów godzien jest pojąć

cię za żonę, konieczne jest, byś go poznała, zanim zdecydujesz się złożyć świętą przysięgę małżeńską. Innymi słowy, dzięki półgodzinnej rozmowie możesz ustrzec się przed popełnieniem błędu, za który płaciłabyś do końca życia.

Podpisuję się pod tym obydwiema rękami.

Edykt ósmy

Choćbyś nie wiadomo jak kochała swych krewnych, zaloty powinny przebiegać bez ich czynnego lub biernego udziału.

Nie zapominasz czasem o domku myśliwskim?

Edykt trzynasty

Każda kobieta winna wiedzieć, jak bronić się przed niechcianymi awansami. Autorka zaleca boks. Niektórzy powiedzą, iż sport ten nie przystoi wrażliwej młodej damie. Powinnaś umieć bronić swej reputacji, nie zawsze bowiem twój markiz jest tuż. Może się zdarzyć, iż będziesz musiała się bronić sama.

Ja zawsze Cię będę bronił.

Edykt czternasty

W wypadku gdyby wspomniane wyżej awanse nie były niechciane, autorka niniejszego dzieła nie może służyć radą, która mogłaby pojawić się w druku, bez narażania się na proces sądowy.

Będę czekał na Ciebie w sypialni. Przyjdź, to posłużę Ci radą.

Edykt dwudziesty

(jedyny, o którym naprawdę powinnaś pamiętać)

Ponad wszystko, idź za głosem serca. Kimkolwiek byłby twój mąż – markizem, zarządcą czy jednym i drugim, wiążesz się z nim na całe życie.

Rób to, co ci serce dyktuje, i nigdy nie zapominaj, iż miłość jest najcenniejszym z darów. Pieniądze i status nie zastąpią czułego, pełnego ciepła uścisku. Niewiele jest w życiu rzeczy równie cudownych, jak radość płynąca z prawdziwego uczucia, i świadomość, że to uczucie jest odwzajemnione.

I jesteś kochana, Elizabeth. Do ostatniego mojego tchnienia, a potem całą wieczność…